



Kwartalnik polski

Nr 95–96

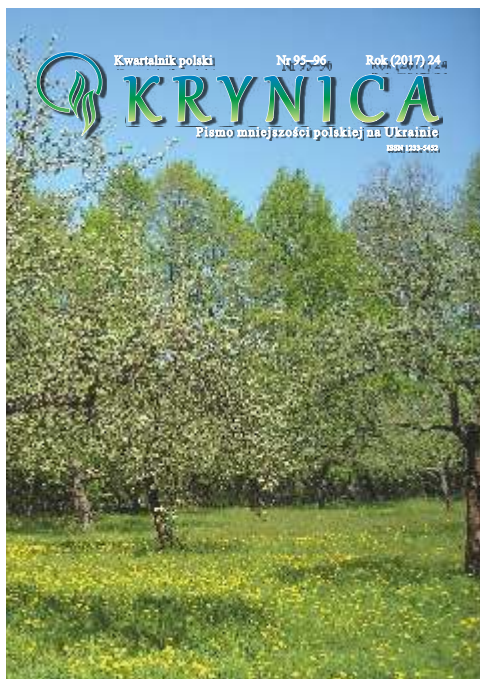
Rok (2017) 24

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Pewna moja znajoma ma zwyczaj mawiać, że gdyby zdjąć dachy naszych mieszkań, to okazałoby się ile w nich bólu i nieszczęść. Ile codziennych dramatów granych za zamkniętymi drzwiami. Ile codziennych tragedii, które obejrzą wyłącznie członkowie rodziny...

Media „dzielnie” sekundują podobnym negatywnym zjawiskom. Każdego dnia radio i telewizja opowiada o patologicznych zjawiskach, konfliktach, które zakończyły się nieszczęściem, o nieludzkich zachowaniach i... ludzkich tragediach.

Jeśli do tego dodać wojnę, która każdego dnia pozbawia kogoś życia lub je kaleczy, która zabiera komuś bliskich: rodzica, syna, męża – to po prostu trudno uwierzyć, że w tym świecie jest jeszcze coś jasnego, świetlnego, że istnieje

DOBRO...

Na dodatek politycy toczą swoje własne wojny. Głównie o władzę, pieniądze i wpływy. A zwykli ludzie ulegają owym politycznym sporom i... dzielą się. Na prawych, lewych, centrystów, tych co „za i tych co „przeciw”. Dyskutują, spierają się, kłócą, jakby nie było w ich życiu prawdziwych problemów: jak wyżyć, jak nie zagubić resztek tego, co piękne i ludzkie.

Jeśli do tych wszystkich problemów dodać te, które związane są z bytem, z wyżywaniem w warunkach kryzysu gospodarczego – to rodzi się pytanie: Jak dalej żyć, skąd czerpać siły i w jaki sposób ocalić NADZIEJĘ?

Bo przecież wszystko to, co jawi nam każdy dzień sprawia, że my, śmiertelnie przerażeni owym „światem złych wiadomości” – jak to kiedyś określił ks. prof. Edward Staniek – w pośpiechu ryglujemy zamki i ze strachu kulimy się w kącie własnego mieszkania. Nikomu nie wierzymy, do nikogo nie mamy zaufania. Czujemy się zagrożeni. I bardzo, bardzo samotni...

...Trzeba otworzyć drzwi. Wyjść i zobaczyć uśmiechy dzieci bawiących się na placach zabaw i rozczulenie rodziców, kiedy patrzą na swoje pociechy. Dostrzec człowieka, który z pietyzmem wybiera bukiet kwiatów w kwaciarni. Z całą pewnością dla kogoś bardzo ważnego, kochanego. Zobaczyć, jak na ulicy chłopak przytula dziewczynę, a w jego oczach tyle jest miłości.

A jeszcze dojrzeć kwiat róży, który zakwitł tuż obok twojej klatki schodowej, i... uśmiechnąć się. Do tej róży, do siebie i do życia, w którym tak wiele jest DOBRA, tylko przysłoniono je nam. Tylko daliśmy je sobie przysłonić...

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Ołeksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Dorota Jaworska
Zdjęcie na 3 str. okładki:
Andrzej Kandecki



„Zadanie współfinansowane
w ramach sprawowania opieki
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
nad Polonią i Polakami za granicą
w 2017 r.”

Koordynator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 (44) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Dialog potrzebny od zaraz! (Stanisław Panteluk)	3
Spotkanie w Pałacu Prezydenckim (Jana Laskowska)	4
„Ukraina-Polska: partnerstwo strategiczne...” (Andżelika Płaksina)	5
Polsko-ukraińskie debaty... (Stanisław Panteluk)	6
Modernistka z Wołynia (KOS)	8
Jest szansa... (Andżelika Płaksina)	9
Bolesna rocznica (Antoni Kosowski)	10
Nasza Wiktoria (Andżelika Płaksina)	12
Żyjemy bez granic! (Sergiusz Rożnowski)	13
Dębowej siły przebicia (KOS)	14
Duch Konstytucji 3 Maja (Stanisław Panteluk)	16
Ja piszę, ty piszesz, my piszemy po polsku... (dr Maria Czerniak)	17
Żegnaj szkoło! (Anna Morgaczowa)	18
Nagrody „Za krzewienie polskości” (Internet)	19
Polski maj w Nieżynie (Andżelika Płaksina)	20
Katyn’ 1940 przypomina i ostrzega (Eugeniusz Gołybard)	21

WSPÓŁPRACA

„Budujemy mosty, a nie mury” (Zbigniew Lewiński)	22
--	----

W KRAJU

Informacja o Seminarium Współpraca Gospodarcza z Ukrainą (Janusz Fuksa, Henryk Bukalski)	24
---	----

POŻEGNANIE

Żegnaj, Wiktorio! (Redakcja)	25
Odszedł Zbigniew Brzeziński (Internet)	26
Zmarł kardynał Lubomyr Huzar (KAI)	27

GOSPODARKA

W Stowarzyszeniu Eksporterów Polskich	28
---	----

ROCZNICE

500. rocznica Reformacji w Polsce (dr Jan Ciechanowicz)	30
---	----

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Kolejne wznowienie popularnego Herbarza	43
---	----

HISTORIA

Polskie dzieje Kijowa (cz. II) (Marian Kałuski)	44
---	----

POSTACI

Rok 2017 – Rokiem Ludwika Zamenhofs (dr Jan Ciechanowicz)	52
---	----

LOS Y I DROGI	
Wspomnienia Sybiraka (<i>Józef Kurtyka</i>)	60
Nauczyciele na Kresach Wschodnich. Tadeusz Wantuch (<i>Tomasz Wantuch</i>)	86
Moja służba wojskowa (<i>Władimir Mielnik</i>)	92
Mój pierwszy grób (<i>Janusz Fuksa</i>)	98
Skałat – wczoraj i dziś (<i>Maria Rutowicz</i>)	100
WSPOMNIENIA Z KIJOWA	
Ziemia mego ojca (<i>Jerzy Idzikowski</i>)	104
WYWIADY, ROZMOWY	
Pionierzy spawalnictwa (<i>Janusz Fuksa</i>)	120
JUBILEUSZ	
1000 razy Bornholm. Katamaran „Jantar” tropem wikingów (<i>kp.ż.w. Piotr Dymitr Wiszniewski</i>)	126
POEZJA	
„Pokażcie światu miłość...”. Wiersze Agnieszki Bulicz	134
DLA MŁODZIEŻY	
„Cud przemiany”, „W górach” (<i>Edward Guziakiewicz</i>)	140

DIALOG POTRZEBNY OD ZARAZ!

Instytut Polski w Kijowie 28 lutego br. w murach Narodowego Uniwersytetu Kijowskiego im. T. Szewczenki zorganizował dyskusję prof. Grzegorza Motyki i szefa ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Wołodomyra Wiatrowycza na temat: „Wołyń 43 – dlaczego pamięć dzieli Polaków i Ukraińców”.

Nielatwej misji prowadzenia dyskusji podjął się prof. Jurij Szapował – ukraiński historyk, znawca dziejów Ukrainy XX w., dyrektor instytucji „Wydawnictwo Encyklopedyczne”, współautor siedmiotomowego wydania naukowo-dokumentalnego „Polska i Ukraina w latach trzydziestych-czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych”.

Misji Nielatwej, gdyż po raz pierwszy w historii usiedli koło siebie czołowi przedstawiciele Instytutów Pamięci Narodowej Polski i Ukrainy, których punkt widzenia na wydarzenia tego okresu miejscami daleki jest od konsensusu.

Jurij Szapował przypomniał treść dwóch ostatnich pozycji wydawniczych autorów, a mianowicie: książki Grzegorza Motyki pt. „Wołyń 43. Ludobójcza czystka, fakty, analogie, polityka historyczna” oraz książki Wołodomyra Wiatrowycza „За лаштунками «Волині-43». Невідома польсько-українська війна” („Za kulisami «Wołyń-43». Nieznana wojna polsko-ukraińska”). Następnie oddał głos autorom i po mistrzowsku poprowadził polemikę z udziałem gromadnie przybyłych profesjonalnych historyków, wykładowców, studentów, osób publicznych i dziennikarzy.

Zdaniem Grzegorza Motyki „Wołyń 43 to właśnie ten fragment historii, która dzieli Polaków i Ukraińców, gdyż w jego ocenę i rozwiązanie zbyt agresywnie wtrącili się politycy, aczkolwiek koncepcja symetrii winy jest niedopuszczalną, stąd też wymagamy osądzenia antypolskich akcji UPA”.

Wołodomyr Wiatrowicz określa ten okres jako walkę między dwoma podziemnymi armiami, a zatem należy tu mówić o określonych przestępstwach ich wykonawców – konkretnych dowódców UPA, zaś wytycznym zawartym w dokumentach UPA, jego zdaniem, nie właściwa była totalna polonofobia.

Zabrzmiała jeszcze jedna ważna teza, iż pojednanie możliwe jest dziś poprzez odpolitycznienie historii oraz dehistoryzację polityki.

Ciekawe i kreatywne w wydźwięku było wystąpienie seniora poezji ukraińskiej, wybitnego dyplomaty, b. ambasadora Ukrainy w Polsce Dmytra Pawłyuczki,

który emocjonalnie radził zebrany: „Powinniśmy wysłuchać i odpowiedzieć na wszystkie pytania, które zadają ludzie. [...] A ludzie uważają dziś, że stosunki między naszymi krajami nie są takie, jakimi być powinny, są w czymś ułomne. My, Polacy i Ukraińcy, powinniśmy spojrzeć wstecz i spróbować szerzej zrozumieć przeszłość. Nie możemy wciąż żyć jednym momentem naszej historii. Powinniśmy wspomnieć wielkich Ukraińców, którzy współpracowali z Polską i byli nastawieni do niej pozytywnie – takich, na przykład, jak: hetman Mychajło Doroszenko, Iwan Mazepa, jeden z ideologów stworzenia Wielkiego Księstwa Ruskiego Jurij Nemyrycz, czy chociażby Symon Petlura. A zatem apeluję do polskich i ukraińskich historyków (i moje zdanie podziela prof. Radyszewski – dyrektor Instytutu Polonistyki Uniwersytetu Kijowskiego) stwórzmy, na początek, małą encyklopedię i wprowadźmy do niej nazwiska i opisy pozytywnych wydarzeń historycznych, jakie miały miejsce między naszymi narodami. [...] Z Polakami powinniśmy żyć w przyjaźni. Nie zapominać, że Ukraina razem z Polską to siła, zaś bez Polski – to wariant niezwykle trudny dla Ukraińców, ale też i dla Polaków”.

Dyskusja nie spowodowała zasadniczych zmian w podejściu stron do tych bolesnych wydarzeń, jednak udowodniła, że należy ją kontynuować.

Stanisław PANTELUK
Zdj. A. Płaksina



Podczas dyskusji płomienny apel wygłosił Dmytro Pawłyuczko

SPOTKANIE W PAŁACU PREZYDENCKIM

Cztery transporty z pomocą trafiły do Polaków na Ukrainie i na Litwie w ramach akcji współorganizowanej przez Kancelarię Prezydenta i Polonię na Zachodzie.

W Pałacu Prezydenckim w Warszawie 7 marca br., z udziałem Prezydenta Andrzeja Dudy i pierwszej damy Agaty Kornhauser-Dudy, odbyło się podsumowanie roku akcji pomocowych dla Polaków na Wschodzie. Delegacja Żytomierskiego Obwodowego ZPU, na czele z Prezes Wiktoria Laskowską-Szczur wzięła udział w spotkaniu. W spotkaniu uczestniczyły również delegacje ze Stryja, Stanisławowa, Kamieńca Podolskiego.

Podczas koncertu został zaprezentowany film podsumowujący akcje pomocowe na Litwie i Ukrainie. Następnie uczestnicy spotkania z Panem Prezydentem pokazali jak pięknie pielęgnują pamięć o swoich korzeniach: chór „Sursum Corda” pod kierownictwem Stanisława Nagórniaka z Kamieńca Podolskiego zaśpiewał znane polskie pieśni, m.in. „Polskie kwiaty”; dzieci ze Stryja opowiadały o Koziołku Motołku; zespół „Koroliski” pod kierownictwem Ireny Świtelskiej przedstawił polskie tańce – kujawiak z oberkiem w pięknych strojach ludowych.

Przedstawiciele Polaków ze Wschodu mieli możliwość opowiedzieć o swoich problemach i osiągnięciach. Prezes ŻOZPU z Żytomierza Wiktoria Laskowska-Szczur podziękowała za okazane wsparcie, za pamięć o rodakach oraz za tę dobroć i uwagę, jaką obdarzył ich Prezydent Polski Andrzej Duda i Jego Małżonka. Na zakończenie wystąpił Pan Prezydent Andrzej Duda: który swoje przemówienie podsumował w taki sposób: *„I gdy mówiłem w Kijowie w 2015 roku o tym, że chciałbym, żeby Polacy mieszkający poza granicami mieli to po-*

czucie, że ojczyzna o nich pamięta, że ta земля, na której urodzili się ich przodkowie, jest cały czas także i ich ziemią i że Polska ma świadomość, że jej synowie żyją poza granicami – podkreślałem, iż wszystko to właśnie będzie poprzez dzieło prezydenckie utrwalane. Dla mnie jest to obowiązek prezydenta. Jestem ogromnie Państwu wdzięczny – wszystkim tym, którzy tę pomoc organizowali, którzy tę pomoc prowadzili, wszystkim inicjatorom, wszystkim darczyńcom. Ogromnie, ogromnie z całego serca dziękuję i jestem wdzięczny, że poprzez działalność mojej małżonki, poprzez moją działalność, poprzez działalność pana ministra Adama Kwiatkowskiego i Biura ds. Kontaktów z Polakami za Granicą my możemy w tej wielkiej akcji solidarności i budowania wspólnoty uczestniczyć. Chciałbym, żeby ona trwała, chciałbym, żeby ona się rozwijała i wierzę w to głęboko, że tak właśnie będzie”.

Spotkanie w Pałacu Prezydenckim było podsumowaniem akcji pomocowej, a jednocześnie zapowiedzią jej kontynuowania. Przypomnijmy, że w 2016 roku i na początku 2017 trwały Akcje Pomocowe dla Polaków na Wschodzie, które odbyły się przy wsparciu Kancelarii Prezydenta RP.

Pomoc dotarła do dzieci polskiego pochodzenia, które obecnie swobodnie mogą uczyć się języka polskiego i brać udział w różnego rodzaju zespołach wokalnych, tanecznych i teatralnych, żeby zachować polską kulturę w swojej miejscowości. W Żytomierzu takie podarunki – puzzle, gry edukacyjne, książki – otrzymali uczestnicy zespołu wokального „Dzwoneczki”, tanecznego „Koroliski” i ModernPol. Pożyteczne dary zostały przekazane do szkółek języka polskiego, działających przy polskich organizacjach na Żytomierszczyźnie.

Pomoc otrzymali też ludzie starsi. Oni nieustannie pamiętają o swojej polskości, opowiadają o trudnych czasach wnukom i mieszkańcom miasta.

Pobył gości u Pana Prezydenta był owocny i trwał dwa dni. Uczestnicy zwiedzili Muzeum Narodowego Banku Polski i Pałac Prezydencki. Następnego dnia odbyło się spotkanie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II.

Jana LASKOWSKA



Prezydent RP Andrzej Duda, Prezes Wiktoria Laskowska-Szczur oraz inni uczestnicy pamiętnego spotkania w Warszawie

„UKRAINA-POLSKA: PARTNERSTWO STRATEGICZNE W UKŁADZIE GEOPOLITYCZNYCH WSPÓŁRZĘDNYCH”

Pod taką dewizą w Kijowskim Narodowym Uniwersytecie Przyrodniczym w dniach 16-17 marca 2017 roku obradowała Międzynarodowa Konferencja Naukowa pod patronatem Ministerstwa Edukacji i Nauki Ukrainy, Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie, Akademii Pomorskiej w Słupsku, Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, wydziałów Humanistyczno-Pedagogicznego i Zarządzania Rolniczego Narodowego Uniwersytetu Przyrodniczego.

Jej celem stało się wspieranie współpracy w dziedzinie edukacji i nauki, nawiązywanie i wzmocnienie kontaktów społecznych i politycznych, naukowych i edukacyjnych oraz informacyjnych na poziomie krajowym i międzynarodowym; kształtowanie kultury dialogu międzynarodowego oraz kompleksowej dyskusji publicznej o stosunkach międzynarodowych; nawiązywanie i wzmocnienie kontaktów między przedstawicielami opinii naukowej, edukacyjnej i publicznej; wzajemne wzbogacenie duchowe oraz wymiana najlepszych praktyk we wszystkich dziedzinach życia.

W konferencji wzięli udział badacze, naukowcy, doktoranci, studenci, pracownicy instytucji edukacyjnych, bibliotek, archiwów, muzeów, działacze społeczni, specjaliści z Ukrainy, Polski i innych krajów.

Inaugurację oraz obrady plenarne konferencji zaszczylicili swoją obecnością kierownik Referatu ds. Współpracy Naukowo-Oświatowej Ambasady RP w Kijowie Emilia Jasiuk i kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasz Dederko.

W pracy konferencji uczestniczyła delegacja z Akademii Pomorskiej ze Słupska na czele z dr hab. prof. Adelą Kuik-Kalinowską.

Wśród gości honorowych obecny był także Wołodmyr Ogryzko – kierownik Ośrodka Badań nad Rosją (były minister spraw zagranicznych Ukrainy), który podczas posiedzenia plenarnego wygłosił referat na bardzo aktualny temat: „Українсько-польські відносини. Не втратити шанс”.

Prowadzący przedsięwzięcie dr hab. prof. Wasyl Szynkaruk – prorektor Narodowego Uniwersytetu Przyrodniczego – zaznaczył, że konferencje takiego rodzaju pomagają wyznaczyć strategiczne priorytety rozwoju partnerstwa polsko-ukraińskiego w zakresie integracji europejskiej.

Podczas sesji plenarnej uczestnicy konferencji wysłuchali wiele ciekawych i dogłębnych referatów na temat aktualnych i nabrzmiałych tematów doby obecnej.

Program Konferencji przygotowano w taki sposób, że prezentacje naukowe przeplatane były wspaniałym programem artystycznym, przygotowanym przez studentów Wydziału Kultury Narodowego Uniwersytetu Przyrodniczego, w którym zabrzmiały słynne ukraińskie i polskie piosenki. Wszystko to sprzyjało doskonałej atmosferze na sali.

Po konferencji wszyscy uczestnicy otrzymali operatywnie przygotowany zbiór jej materiałów – Tom Po-konferencyjny.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora

„Polska w swoich działaniach wspiera Ukrainę w szerokim zakresie: w polityce, bezpieczeństwie, kulturze, w jej dążeniach do europejskich wartości. Cieszę się z takiego rodzaju konferencji. Dobrze wiemy, jeżeli społeczeństwo jest wykształcone, to i państwo będzie bogatsze” – podkreślił Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko podczas inauguracji konferencji



POLSKO-UKRAIŃSKIE DEBATY I SPOTKANIA EDUKACYJNE W KIJOWIE

W dniach 6-7.04.2017 r. na bazie Narodowego Uniwersytetu Technicznego Ukrainy „Kijowskiego Instytutu Politechnicznego im. Igora Sikorskiego” odbył się multilateralny cykl przedsięwzięć w ramach Polsko-Ukraińskich Dni Edukacji, Nauki i Innowacji.

Ten kolejny, największy projekt poświęcony rozwojowi akademickiej współpracy polsko-ukraińskiej, a także promocji polskiego szkolnictwa wyższego i nauki, zorganizowano przy wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego RP, Ministerstwa Edukacji i Nauki Ukrainy, przy aktywnym udziale Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji, Krajowego Punktu Kontaktowego „Horyzont 2020”, Politechniki Kijowskiej im. Igora Sikorskiego (KPI) i Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”.

W ramach Dni toczyło swe obrady III Forum Rektorów Wyższych Uczelni Technicznych Polski i Ukrainy.

Pierwsze Forum odbyło się w 2009 roku w NUTU „KPI”, drugie – w 2014 roku na Politechnice Lwowskiej. Tegoroczne zorganizowane zostało wspólnie przez Konferencję Rektorów Polskich Uczelni Technicznych i Stowarzyszenie Rektorów Wyższych Uczelni Technicznych Ukrainy. Udział w nim zgłosiło ponad siedemdziesięciu rektorów, prorektorów, dziekanów, pracowników naukowych polskich uczelni technicznych. Ukraińskie uczelnie techniczne reprezentowało niemal dziewięćdziesięciu przedstawicieli kadry kierowniczej uczelni, będących członkami Stowarzyszenia Rektorów Wyższych Technicznych Instytucji Edukacyjnych Ukrainy. Stronę polską reprezentowało 150 uczestników.

Równolegle przedstawiciele polskich uczelni mieli możliwość, w randze Gości Specjalnych, odwiedzić odbywające się w „Domu Ukraińskim” stolicy Międzynarodowe Targi Edukacyjne „Oświata i kariera”.

Uroczysta ceremonia otwarcia Forum nastąpiła w majestatycznej, historycznej Sali Rady Naukowej Politechniki Kijowskiej (nb. tej samej sali, w której egzaminy doktorskie przyjmował kiedyś Dymitr Mendelejew). Słowami hymnu studentów świata „*Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus*” oraz „*Niech raduje się z nami cała nasza elita*” – po łacinie i po ukraińsku – powitała uczestników Kapela Chóralna KPI, po czym rektor kijowskiej uczelni Mychajło Zgurowskyj przywitał wszystkich uczestników i przedstawił honorowych gości.

Mówiąc o szansach i perspektywach współpracy i wspólnych możliwościach rozwiązywania problemów ukraińskiego i polskiego wyższego szkolnictwa technicznego M. Zgurowskyj sięgnął do źródeł stosunków wzajemnych – do roku 1898, w którym to powstały uczelnie politechniczne w Kijowie i Warszawie. Przypomniat, że w roku 1905 na skutek wydarzeń rewolucyjnych ponad 1000 studentów politechniki warszawskiej oddelegowano do Kijowa, celem kontynuacji studiów. *„Jesteśmy dumni z tego, że nasza uczelnia umożliwiła im wtedy zdobycie wyższego wykształcenia, wrócić do kraju i pracować dla jego dobra. Wśród ówczesnych studentów był późniejszy wybitny polski chemik i biofizyk, rektor Politechniki Warszawskiej, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego II Rzeczypospolitej – Wojciech Świątosławski, którego pomnik stoi dziś w rzędzie z innymi znakomitymi absolwentami uczelni”*.

„Dla nas niezwykle ważną sprawą jest fakt, że ukraińscy uczeni, wykładowcy, studenci mają możliwość studiować, lub też pracować, czy odbywać staże w polskich wyższych uczelniach” – zaznaczyła w swojej wypowiedzi Lilia Hryniewicz, minister nauki i oświaty Ukrainy.

Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło, mówiąc o możliwościach studiowania Ukraińców w Polsce, podkreślił, że edukacja ponad granicami jest wspólnym dobrem. Zaś zwracając się do uczestników Forum powiedział: *„Życzę wszystkim wam wytrwałości, która wobec tego, co dzieje się nie tylko w Europie, ale i w świecie, jest niezbędna. Życzę też optymizmu, bo przecież to nowe pokolenie, w tym i ci młodzi ludzie na sali, to oni będą tworzyć przyszłe zręby świata, oni będą decydować, o tym, jaką będzie Europa, jakim będzie świat”*.

Przewodnicząca Podkomisji Współpracy Regionalnej i Transgranicznej między Ukrainą a UE, współprzewodnicząca ukraińskiej części Zgromadzenia Parlamentarnego Ukrainy i Polski Oksana Jurinec w swoim wystąpieniu odnotowała: *„Według ostatnich danych w Polsce wyższe wykształcenie zdobywa 60 tys. obcokrajowców, z których ponad połowę stanowią Ukraińcy. Niedawno podpisana została umowa o współpracy w dziedzinie kształcenia wyższego, w ramach której prowadzone są konkursy ukraińsko-polskich projektów, co stworzy możliwość dla utworzenia nowych wspólnych konsorcjów. Polska jest krajem atrakcyjnym dla ukraiń-*

skich studentów, aczkolwiek jestem pewna, że Ukraina też stanie się popularną dla młodzieży polskiej”.

Jan Szmidt – przewodniczący Konferencji Akademickich szkół Polski, rektor Politechniki Warszawskiej powiedział: *„Możemy sobie powiedzieć wiele ciepłych słów, ale przede wszystkim musimy mieć wspólne projekty, platformy wymiany intelektualnej, która jest nam tak potrzebna. Powinniśmy uczyć się na wzajemnych błędach i sprostać wyzwaniom nie mniej skomplikowanego, niż ten z ubiegłego wieku – świata, który wciąż nas zaskakuje. Ponadto musimy dbać o bezpieczeństwo, pamiętać, że, na przykład, Internet to rzecz wspaniała – wymyślona przez człowieka, ale jakże często używana w sposób, o którym nigdy byśmy nie chcieli wcześniej słyszeć, sprowadzający się do konstatacji faktu, że «Wielki brat czuwa!»”.*

Po uroczystych wystąpieniach inauguracyjnych rozpoczęła się pierwsza sesja plenarna.

Ożywionymi oklaskami przywitano Waldemara Siwińskiego, prezesa Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”, wieloletniego organizatora Polsko-Ukraińskich Dni Edukacji, Nauki i Innowacji w Kijowie, który w swoim referacie uwydatnił rolę wymiany edukacyjnej i współpracy z Ukrainą w kontekście umiędzynarodowienia. *„Pojęcie umiędzynarodowienia nauki polskiej – podkreślił – jest bardzo szerokie. Trzeba pamiętać, iż to nie tylko liczba studentów, których przyjmujemy, ale także wymiana naukowa, aplikowanie o wspólne projekty, które później mogą być wdrażane w przemyśle”.*

Kończąc wystąpienie zaproponował przeprowadzenie kolejnego IV Forum Rektorów w Polsce.

Zgodnie z programem Dni Edukacji, Nauki i Innowacji z udziałem rektorów uczelni technicznych Polski i Ukrainy odbyły się obrady plenarne oraz siedem

równoległych sesji („Okrągłych Stołów”) poświęconych różnym obszarom współpracy akademickiej, wyzwaniom stojącym przed uczelniami Polski i Ukrainy, takim, jak: internacjonalizacja, europejska akredytacja i certyfikacja kształcenia inżynierów, wprowadzenie programów podwójnych dyplomów, wspólny udział w realizacji projektów w ramach unijnego programu „Horyzont 2020” i rozszerzenie kontaktów w ramach programu „Erasmus +” jak też międzynarodowe współdziałanie środowisk innowacyjnych i tworzenie sieci współpracy start-up’ów.

Na zakończenie Dni w Centrum Kultury i Sztuki Politechniki Kijowskiej uczestników Forum czekała nie lada atrakcja – wielki koncert z udziałem zespołów artystycznych polskich i ukraińskich uczelni, podczas którego zaprezentowali się również młodzi Ukraińcy, którzy odnieśli sukces zawodowy i naukowy dzięki studiom odbytym w Polsce.

Burzliwymi oklaskami nagrodzono występ wspaniałego Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, jak też wyśmienite zespoły artystyczne Politechniki Kijowskiej.

Gościem specjalnym koncertu była piosenkarka Kasia Moś, która reprezentowała Polskę na majowym Konkursie Eurowizji 2017 w Kijowie.

Podsumowując przedsięwzięcie uczestnicy Dni podkreślali znakomitą atmosferę spotkania. Bezspornie wymiana doświadczeń, a przede wszystkim nawiązanie znajomości zaowocuje kolejnymi wspólnymi projektami i umowami o współpracy.

Stanisław PANTELUK

Zdj. A. Plaksina



Uczestnicy i dostojni goście Forum

MODERNISTKA Z WOŁYNIA

Na Katedrze Polonistyki Państwowego Uniwersytetu Kijowskiego im. T. Szewczenki 7 kwietnia dr hab. Anna Janicka z Zakładu Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Instytutu Filologii Polskiej w Białymstoku – autorka książki *„Modernistka z Wołynia. O twórczości Gabrieli Zapolskiej”* wraz z kierownikiem Katedry Polonistyki Instytutu Filologii prof. członkiem korespondentem Akademii Nauk Ukrainy Rostysławem Radyszewskim i tłumaczką Iryną Szewczenko zaprezentowali jej ukraińskie wydanie.

Prof. Radyszewski przedstawił studentom prof. Annę Janicką i wyraził głęboką satysfakcję z faktu ukazania się tłumaczenia na język ukraiński tej niezwykle ciekawej pozycji, zaś zwracając się do słuchaczy – studentów kijowskiej Polonistyki zaapelował, aby w swoich planach na przyszłość zajęli się tłumaczeniami literatury polskiej. *„Opracowałem już antologię trzech poetów Malczewskiego, Goszczyńskiego i Zalewskiego, myślę, że następnymi będą Tymon Zaborowski (niedoceniony autor tragedii o Bogdanie Chmielnickim), Olizarowski, Gostawski, jak też Czajkowski i jeszcze wielu innych. Jest to wspaniałe pole do popisu dla was, drodzy młodzi poloniści!”* – gorąco zachęcał profesor.

Dziękując profesorom R. Radyszewskiemu oraz M. Żułyńskiemu – autorowi idei tłumaczenia książki na język, jej autorka Anna Janicka podkreśliła:

„Jest dla mnie bardzo ważnym to, że na karcie tytułowej ukraińskiego tłumaczenia mojej książki o Zapolskiej widnieją nazwy tak znakomitych i zasłużonych jednocześnie dla relacji polsko-ukraińskich instytucji, jak Katedra Polonistyki Narodowego Uniwersytetu im. T. Szewczenki oraz Instytutu Literatury Akademii Nauk Ukrainy

i cieszę się, że książka ta ukazuje się już jako XXX tom wysoko cenionych Kijowskich Studiów Polonistycznych”.

Przybliżając słuchaczom dorobek twórczy Gabrieli Zapolskiej Pani Anna zaznaczyła, że: *„Zapisała się ona na kartach historii literatury i podręczników przede wszystkim jako skandalistka. Prowadziła życie zupełnie niezależne, niezwykle, przez co spotykała się z ostrą bezapelacyjną krytyką. Upodobała sobie metodę naturalistyczną, w tym twórczość głównego przedstawiciela naturalizmu francuskiego Emila Zoli. Wszechstronnie utalentowana ponad 5 lat występowała też na scenach eksperymentalnych teatrów francuskich. Wszystko to złożyło się na wizerunek pisarki skandalistki. Z jednej strony jej niezależność obyczajowa, z drugiej naturalizm i odważna tematyka jej utworów literackich prowadziła do tego, że nie mieściła się ona w schematach estetycznych, światopoglądowych własnego czasu”*.

Autorka przekładu, Iryna Szewczenko, podziękowała prof. Janickiej za ukraiński podtekst, który przenika całą książkę, dzięki czemu teraz ukraiński czytelnik nieco inaczej będzie odbierał postać Zapolskiej. Jej zdaniem, mało jest jeszcze przekładów na ukraiński dzieł tej pisarki, chociaż istnieją już niektóre tłumaczenia wydane we Lwowie i Łucku, ale warto, by pojawiły się również nowe pozycje translatorskie w Kijowie.

W drugiej części spotkania ze studentami I roku kijowskiej Polonistyki rozmawiał prof. dr hab. Jarosław Ławski, który opracował i wydał już prawie 40 tomów serii *„Czarny romantyzm”*, poświęconej głównie pisarzom pogranicza polsko-ukraińskiego.

KOS



Autorka książki Anna Janicka (L)
i tłumaczka Iryna Szewczenko

JEST SZANSA...

W niedzielę 9 kwietnia 2017 r. w kościele konkatedralnym p.w. św. Aleksandra w Kijowie celebrowano Mszę św. w intencji ofiar zbrodni katyńskiej oraz katastrofy smoleńskiej. Po mszy przedstawiciele korpusu dyplomatycznego i środowisk polskich stolicy wyjechali na Polski Cmentarz Wojenny w podkijowskiej Bykowni, gdzie złożyli wieniec i odmówili modlitwę za dusze zmarłych. Modlitwę poprowadził misjonarz zakonu św. Wincentego a Paulo ks. podharczmistrz Sławomir Wartalski.

Polski Cmentarz Wojenny w Bykowni, otwarty 21 września 1912, określany jako IV Cmentarz Katyński (po cmentarzach w Lesie Katyńskim, Miednoje i Charkowie-Piatichatkach), jest jednym z miejsc, w których spoczywają polscy oficerowie, urzędnicy państwowi i samorządowi, lekarze, prawnicy, nauczyciele, inżynierowie, działacze polityczni, ziemianie, kapelani katoliccy, prawosławni, protestanci oraz wyznania mojżeszowego, jak pisał szydlerczy Beria: „zatwardziali, nierokujący poprawy wrogowie władzy sowieckiej”. Wszyscy zamordowani zostali na mocy decyzji najwyższych władz ZSRR, ujętej w tajnej uchwale Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 roku, opatrzonej podpisem m.in. Stalina.

Spoczywają tu ofiary z tzw. „ukraińskiej listy katyńskiej”, czyli spisu osób więzionych na terenie Ukrainy i rozstrzelanych przez sowieckie NKWD. Są to więźniowie przerzuceni do kijowskich katowni z więzień we Lwowie, Drohobyczu, Łucku, Równem, Stanisławowie i Tarnopolu. Granitowe płyty cmentarza,

na których wykuto 3435 nazwisk są dziś dowodem, że pamięć silniejsza jest niż wierutne kłamstwo.

Podczas Mszy św. celebrowanej w dniu otwarcia tej nekropolii ówczesny Prymas Polski abp Józef Kowalczyk powiedział znamienne słowa: „*Przebywając na bykowniańskim cmentarzu trzeba z lękiem pomyśleć o tym, gdzie leży granica nienawiści, jaką niesie ze sobą wojna i ideologia, która dała jej motywację. To wojna niesie ze sobą ów ogromny przyrost nienawiści, zniszczenia, okrucieństwa*”.

Niestety, 77 lat po koszmarach Katynia wciąż jeszcze spotykamy się z nienawiścią i obłudą, co podczas niedzielnych uroczystości uwydatnił Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło, wspominając 7. rocznicę tragedii pod Smoleńskiem, jak też prowokacyjne tablice upamiętniające los jeńców sowieckich z wojny polsko-bolszewickiej, ustawione w przeddzień rocznicy zbrodni przez Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne na cmentarzu w Katyniu.

„*To jest kolejny etap próby relatywizacji*, – powiedział Pan Ambasador – *gdyż nie można zestawiać losów sowieckich jeńców, którzy zmarli w wyniku epidemii i złych warunków z brutalnym, dokonany z premedytacją zamordowaniem naszych oficerów. Jeżeli będziemy o tym przypominali światu i Europie, to jest szansa, że to się nie powtórzy. Natomiast, jeżeli proces relatywizacji będzie postępować dalej, to Europa może znów stać się świadkiem strasznych wydarzeń*”.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora

Delegacja pracowników
Ambasady RP w Kijowie,
na czele z JE Ambasadorem
Janem Piekło,
złożyła wieniec
w miejscu bykowniańskiego
mordu



BOLESNA ROCZNICA

11 kwietnia 2017 r. odbył wiec-requiem poświęcony 74. rocznicy bestialskiej zagłady zamieszkałej przez Polaków wsi Raska.

Do miejsca straceń bezbronných mieszkańców wsi przybyli licznie uczniowie szkół (w tym ze Szkoły nr 2 m. Irpień), studenci, wykładowcy, mieszkańcy okolicznych miejscowości rejonu borodiańskiego, Polacy zrzeszeni w regionalnych strukturach Związku Polaków Ukrainy, na czele z Arseniuszem Milewskim i Walentynem Kowalskim, weterani, przedstawiciele organizacji i instytucji regionalnych, społecznych i politycznych, dziennikarze (w tym redaktorzy „Dziennika Kijowskiego”) oraz współcześni mieszkańcy wsi Raski (w której zamieszkuje dziś zaledwie 150 osób).

Tegoroczne uroczystości zaszczycił swoją obecnością Przewodniczący Kijowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Ołeksandr Gorgan. Władze regionalne reprezentowali: Przewodniczący Zjednoczonej Wspólnoty Piskowskiej Anatolij Rudnyczenko, Przewodniczący Rady Rejonu Borodiańskiego Georgij Jerko, Przewodniczący Borodiańskiej Rejonowej Administracji Państwowej Ołeksandr Jankowyj.

Stronę polską na uroczystościach reprezentował I Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Bartosz Jabłoński, Dyrektor Generalny Kompanii „Plastics-Ukraina”, Wiceprezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich Przedsiębiorców na Ukrainie Ireneusz Derek.

Z Kijowa przybyła na wiec delegacja ZPU na czele z Prezesem Antonim Stefanowiczem.

Wieś Raska jest jedną z 330 wsi spacyfikowanych na Ukrainie w czasie II wojny światowej przez hitlerowców (nb. w Polsce takich wsi było 817). Mieszkańcy wioski, założonej przez Polaków jeszcze na przełomie XVIII-XIX wieku, byli związani z ruchem oporu.

Okupanci hitlerowscy w zemście za współpracę wieśniaków z partyzantami 11 kwietnia 1943 roku rozpoczęli operację karną, mającą na celu pacyfikację wsi Raska. Była to niedziela i na ten dzień przypadła Wielkanoc. Około trzeciej nad ranem oddziały żandarmarii i policje szeroką tyralierą ruszyli wzdłuż rzeki Teterów, otaczając tereny wokół wsi zwartym pierścieniem. Za późno było już myśleć o jakiegokolwiek ucieczce do lasu, zresztą na jego skrajach stały CKM-y. Oprawcy z premedytacją, według listy podchodzili kolejno do szeregu domów, brutalnie wypychając sennych

jeszcze mieszkańców na ulicę, a zatem popędzili wszystkich krańcem wsi w kierunku cmentarza, gdzie mieli rzekomo poszerzać rowy przeciwczołgowe.

Z czasem, kiedy wykopane przez chłopów rowy, zdaniem faszystów, były dostatecznie głębokie – spędzono ludzi w ciżbę i zaterkotały serie z automatów. Egzekucji towarzyszył jeden wielki krzyk, potężny płacz, modlitwa i błaganie o życie, o ratunek. Najmłodszą ofiarą było niemowlę, które matka urodziła tuż przed owym „sądnym dniem”. Wszystkie domy i zabudowania gospodarcze zostały spalone, a majątek zrabowany.

Znane jest nazwisko prowodyrów zbrodniarzy, ręce których zbrozzone są krwią tysięcy zamordowanych mieszkańców obwodu kijowskiego. Byli to szef borodiańskiej dzielnicowej komendantury okupacyjnej – Oscar Wallizer, jego pomocnicy sonderführer Bekenhoffric i obergefreiter naczelnik kancelarii borodiańskiej komendantury – Schadel August. Byli to prawdziwi bandyci i kaci Borodiańszczyzny.

Słowa oburzenia pod adresem oprawców i wyrazy współczucia dalekim już krewnym ofiar zabrzmiały w licznych wystąpieniach uczestników apelu.

O tragedii mówili mieszkańcy miejscowości sąsiadujących z Raską, którym dzięki szlachetnym działaniom dobrych ludzi udało się uniknąć grożącej im masakry, która im także groziła.

Z niezwykle wzruszającymi i dobitnymi słowami zwrócił się do zebranych Przewodniczący Kijowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Ołeksandr Gorgan, który m.in. powiedział:

„Wyobraźmy sobie na chwilę tę kolumnę ludzi, w której 74 lata temu, w przededniu Świąt Wielkanocnych szło ponad sześćset mężczyzn, kobiet i dzieci z dobrym i otwartym sercem i nikt nie wierzył do końca, że każdego z nich, jak Baranka Bożego prowadzą na śmierć. Pomyślcie tylko, jaki ból i rozpacz przeżywali mężowie, którzy nie mogli uchronić swoich żon i dzieci, bezsilni przed okrucieństwem faszystowskich katów. Nie szczędzono nikogo. Zamordowano setki dzieci z polskich rodzin, dzieci, które mogłyby dziś stać tutaj z nami – teraz już w podeszłym wieku, w otoczeniu potomstwa. A skądże... Niestety spoczywają tu... Na tym cmentarzyku wśród sosen.

Tragedia narodu polskiego współbrzmi z tragedią narodu ukraińskiego. Polski Katyń – ukraiński Wielki Głód. Jak wiele historycznych wyzwań kończyło się dla naszych

narodów wielkimi ofiarami. O odchodzili najlepsi. W podobieństwie losów formowało się nasze braterstwo. I dzisiaj w dni kolejnej wielkiej próby nasze narody idą ramię w ramię, broniąc światowego porządku, dobra i sprawiedliwości. Drodzy Bracia i Siostry! Dziś w imieniu władz państwowych, w imieniu ukraińskiego narodu pragnę zapewnić wszystkich obecnych, że tak długo, jak nad Ukrainą powiewać będzie niebiesko-żółta flaga i dopóki śpiewamy: „Ще не вмерла України...”, dopóty będziemy całym sercem chronić pamięć o tragedii wsi Raska”.

Wyrazy głębokiego współczucia wszystkim potomkom zamordowanych, jak też podziękowania za pamięć i gremialny udział w uroczystościach wyraził I Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Bartosz Jabłoński.

Uczestnicy wiecu-requiem minutą ciszy uczcili pamięć zamordowanych. Mszę żałobną celebrował ksiądz proboszcz Krzysztof Dulęba z kościoła św. Anny w Malinie.

Następnie zebrani wysłuchali kompozycji słowno-muzycznej poświęconej historii tej tragedii. Dzielono się wspomnieniami usłyszczanymi z ust ludzi, którzy byli świadkami bezlitosnej masakry. Osobliwą była opowieść Marii Jaworskiej, której matka wraz z innymi mieszkańcami Raski była jedną z inicjatorek upamiętnienia tego miejsca egzekucji. Z dobrowolnych składek w roku 1951 na miejscu tym postawiono wówczas pomnik przedstawiający kobietę udręczoną rozpaczą, do postaci której pozowała jej mama. Pomnik, wykonany z betonu (jak powszechnie zdarzało się w owych czasach), podniszczył ząb czasu, stąd też Pani Maria wyraziła podziękowania wszystkim, dzięki staraniom których obecnie powstała jego nowa wersja, wyrzeźbiona z szarego granitu Gabbro.

Kulminacją wiecu żałobnego stało się odsłonięcie odnowionego pomnika na miejscu straceń, którego dokonali Przewodniczący Kijowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Ołeksandr Gorgan i I Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Bartosz Jabłoński. Uczestnicy Apelu Pamięci złożyli wieńce, wiązanek kwiatów i zapalili znicze, oddając hołd poległym.

Bezlik kwiatów, płonące znicze, wypowiedzi ujęte w rzetelnie przygotowanym programie słowno-muzycznym – wszystko to stworzyło niepowtarzalny, podniosły nastrój, sprzyjający refleksjom i zadumie. I tu słowa uznania należą się reżyserowi przedsięwzięcia – wykładowczyni języka i literatury ukraińskiej, aktywistce Związku Polaków w Borodiance Wierze Szaszenko.

Teraz nad zbiorową cmentarną mogiłą, w której spoczywa ponad 630 ofiar bestialskiej hitlerowskiej zbrodni – mieszkańców Raski, góruje monumentalna rzeźba dłuta Ołeksandra Tymoszenki, przywołując pamięć o poległych.

Jak zaznaczył prezes Borodiańskiego Oddziału Związku Polaków Ukrainy, członek ZG ZPU Arseniusz Milewski, odnowienie miejsca pamięci stało się możliwe dzięki systematycznym staraniom organizacji tutejszych Polaków, Wydziału Konsularnego Ambasady RP na Ukrainie, Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich Przedsiębiorców na Ukrainie i Kompanii „Plastics-Ukraine”, kierowanej przez Ireneusza Derka oraz przy czynnym wsparciu władz ukraińskich.

Antoni KOSOWSKI

Zdj. A. Płaksina



Z uwagą wysłuchano emocjonalnego wystąpienia Przewodniczącego Kijowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Ołeksandra Gorgana

NASZA WIKTORIA

Z inicjatywy Związku Polaków na Ukrainie 26 kwietnia br. w Kijowskim Domu Nauczyciela odbył się Wieczór Wspomnień o śp. Wiktorii Radik, Zasłużonej dla Kultury Polski i Ukrainy.

Dlaczego wspaniali ludzie, jak Wiktoria – tak szybko odchodzą do wieczności? Trudno uwierzyć, że od lutego nie ma wśród nas naszej przyjaciółki i wspaniałej kobiety, utalentowanej organizatorki i pedagoga, która całe swoje życie poświęciła dziełu służenia polskiemu środowisku na Ukrainie.

Wiktoria była aktywnym członkiem ZG ZPU i jednocześnie stała na czele Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda”. Była też założycielką i kierownikiem zespołu polsko-ukraińskiego folkloru „Ластівки-Jaskółki”, członkiem Rady Mniejszości Narodowościowych Stowarzyszeń Kijowa.

W kwietniowy dzień przyszło mnóstwo ludzi, aby złożyć hołd pamięci Wiktorii: przyjaciele, uczniowie, przedstawiciele różnorodnych instytucji państwowych, reprezentanci polskiej diaspory oraz skupisk innych mniejszości narodowych Ukrainy. Wśród gości honorowych byli też: Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasz Dederko, Dyrektor Departamentu ds. Religii i Mniejszości Narodowych Ministerstwa Kultury Ukrainy Andrij Jurasz, Główny Specjalista Wydziału ds. Narodowości Departamentu Kultury Kijowskiej Miejskiej Administracji Państwowej Wołodmyr Horowyj, Prezes ZPU Antoni Stefanowicz, Prezes Partii Polaków Ukrainy Stanisław Kostecki.

Prowadząca wieczór dr Swietłana Leszczyńska – wykładowczyni folklorystyki na Uniwersytecie im. T. Szewczenki opowiadała o nieprzeciętnym darze, który towarzyszył Wiktorii poczynając od lat młodocianych. Pani Swietłana od wielu lat była choreografem zespołu „Ластівки-Jaskółki”, razem z Wiktorią stała u jego źródła.

Naturalnie, że od wielu sympatyków Jej talentu usłyszeliśmy ewokacje i wiele ciepłych słów. Wyrazy współczucia, podziękowania i pochwały za przykładowe wychowanie kierowano pod adresem Mamy Wiktorii – Czesławy Raubiszko, która rozczulona przyjmowała je z wielkim wzruszeniem.

Tłem muzycznym wieczoru była muzyka klasyczna, utwory fortepianowe Fryderyka Szopena w wykonaniu koncertmistrza Heleny Arendarewskiej, jednej z głównych organizatorów wieczoru.

Uczniowie Wiktorii Radik, w tym ze znakomitego zespołu polsko-ukraińskiego folkloru „Ластівки-Jaskółki”, którzy gromadnie przybyli tu, aby uczcić pamięć swojego ulubionego Opiekuna, wykonali najpopularniejsze i szczególnie Jej bliskie polskie piosenki ludowe i patriotyczne.

Zespół „Polanie znad Dniepru”, kierownikiem artystycznym którego jest Łesia Jermak – też była uczennica Wiktorii – zaprezentował punkt z programu, który na jubileuszowym koncercie zespół wykonywał razem z Wiktorią Radik.

Z przejściem i nie ukrywanym żalem w koncercie wspomnień wystąpili też artyści, Jej koledzy po fachu, w tym mistrz wokalu, Zasłużony Działacz Sztuki Ukrainy Mykoła Sikora i laureatka wielu międzynarodowych konkursów Olesia Sinczuk.

Wiktoria Radik na zawsze pozostanie w pamięci Polaków Kijowa, jako Ta, Która przyczyniała się do ocalenia i popularyzacji szeregu miejsc pamięci i wielu unikalnych obiektów kultury i historii Polski na ziemiach Ukrainy.

W wypowiedziach uczestników wieczoru-rekwiem zabrzmiała idea postawienia godnego pomnika, upamiętniającego Jej dzielną i zasłużoną postać.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Na scenie Kijowskiego Domu Nauczyciela Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasz Dederko w otoczeniu artystów

ŻYJMY BEZ GRANIC!

Festiwal Polaków Kijowa i obwodu kijowskiego pod hasłem „NOWE BLASKI NIECH OKRASZĄ UKRAINĘ NASZĄ” już po raz trzeci w dniu 14 maja br. zebrał swoich uczestników na Śpiewaczym Polu Muzeum Narodowej Architektury i Bytu w podkijowskim Pirogowie. Uczestników Festiwalu nie odstraszyła zimna pogoda i drobniotki, aczkolwiek natrętny deszczyk.

Dusza i organizator Festiwalu – Prezes Związku Polaków „Bez granic” (m. Bojarka) Helena Sedyk w ciepłych słowach przywitała uczestników i gości, życząc wszystkim miłości, pokoju i dobrej zabawy.

Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko zwracając się do zgromadzonych zapewnił, że Polska i naród polski podtrzymują i będą podtrzymywać Ukraińców w ich pragnieniu wstąpienia do jedynego europejskiego domu.

Idea dobrosąsiedzkich stosunków przyświecała wystąpieniom Zasłużonego Prawnika Ukrainy Jurija Karmazina i kierownika Ruchu Gromad Terytorialnych Ołeksandra Tigowa.

W Festiwalu wzięły udział zespoły amatorskie i utalentowani artystycznie przedstawiciele środowisk polskich z Bojarki, Browarów, Lewego Brzegu Kijowa, Buczy, Irpienia, Hostomela, Szpitki i dwóch stowarzyszeń z Białej Cerkwi.

Rozbrzmiewały ze sceny polskie i ukraińskie wiersze i piosenki. Atmosferę podgrzewały zaproszenia do wspólnego tańca prowadzących koncert, i niżej podpisanego, jak i dziarskie oberki, krakowiaki i hopaki. Ozdobą Festiwalu stał się chór „Nadzieja” Bojarskiej Administracji Miejskiej.

Prezes Związku Polaków Ukrainy Antonii Stefanowicz wręczył organizatorom i uczestnikom dyplomy, były też gorące podziękowania od Departamentu Kultury, Narodowości i Religii Kijowskiej Obwodowej Administracji Państwowej, Ligi Kobiet Kijowszczyzny (Natalia Ulianowa).

Sergiusz ROŻNOWSKI



Na festiwalowej scenie.
Od lewej: Natalia Ulianowa, Helena Sedyk, Antoni Stefanowicz i Sergiusz Rożnowski

DĘBOWEJ SIŁY PRZEBICIA!

Gniazdem rodowym Szymanowskich i miejscem, gdzie 3.10.1882 roku przyszedł na świat Karol – jak okazało się później najważniejszy, obok Szopena, polski kompozytor, wybitna postać muzyki okresu Młodej Polski oraz międzywojnia (1918–1939) – był dwór w Tymoszwówce, wsi położonej na skraju Dzikich Pól, 70 km od Elizawetgradu (dziś Kropywnyckij).

Tu kompozytor spędził swoją młodość (na ogół okresy lata i jesieni). Majątek był miejscem, do którego przyjeżdżali przyjaciele (Artur Rubinstein, Paweł Kochański, Stefan Spiess, Jarosław Iwaszkiewicz).

W Tymoszwówce Szymanowski skomponował większość swoich utworów. Dwór i spokojna okolica były rajem pomiędzy wyjazdami zagranicznymi. W październiku 1917 wyjechał z Tymoszwówki, by nigdy już do niej nie powrócić.

Dziś po dworze rodzinnym nie ma już śladu (na jego miejscu zbudowano szkołę), jednak Szymanowscy w nieodległym stąd Elizawetgradzie przy ul. Gogola posiadali dom, w którym zwyczajowo spędzali miesiące zimowe i gdzie schronili się po utracie Tymoszwówki.

Stąd też nie przypadkowo 17 maja 1997 potomkowie mieszkających tu Polaków zadecydowali, że założone przez nich Stowarzyszenie „Polonia” będzie nosić chlubne imię Karola Szymanowskiego.

Obecnie „Polonia” liczy sobie około 200 osób. Wielu z nich ma polskie korzenie, ale są i tacy, którzy choć nie mają polskiego pochodzenia, ale interesują się Polską, jej kulturą, historią i jej życiem współczesnym.

Stowarzyszenie „Polonia” im. Karola Szymanowskiego w Kropywnyckim w swojej działalności opiera się o wigor i doświadczenie takich znanych działaczy, jak: pierwszy prezes „Polonii” reżyser i prezenter telewizyjny Włodzimierz Moszczyński, zasłużona nauczycielka Ukrainy Margarita Borysowa, Dyrektor Centrum Metodycznego Miejskiego Departamentu Oświaty Marcelina Pacholiwecka, dyrygent Miejskiego Chóru Kameralnego miasta, Zasłużony Artysta Ukrainy Jurij Lubowicz, rektor Instytutu Regionalnego Zarządzania i Ekonomii Igor Dobrians’kij, prezes Obwodowego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Ukrainy Witalij Pliński.

Aktywnymi członkami organizacji są także Helena Maksimowa, Natalia Czeredniczenko, Alina Mecheda, Olga Zubryczewa, Eugeniusz Kotiszewski, Serhij Iwa-

nichin i wielu jeszcze ludzi, dla których praojczyzną lub pasją jest Polska.

W dorocznych programach działalności organizacji stałymi pozycjami są występy zespołów artystycznych, udział w ukraińsko-polskich konferencjach, seminariach, prezentacjach, wystawach. Dziś dzieci i dorośli z wielkim zapałem uczą się języka polskiego. W ciągu 20 lat wielu rodzimych pedagogów i tych skierowanych z Polski podejmowało tu trud nauczycielski.

Niemalży wkład włożyli członkowie „Polonii” w odrodzenie parafii rzymsko-katolickich w Kirowogradzie, Aleksandrii i Znamience. W odbudowanym, na miejscu zniszczonego w czasach stalinowskich, kościele pod wezwaniem Ducha Świętego, w którym dziś znajduje się ikona poświęcona przez Papieża Jana Pawła II podczas jego wizyty na Ukrainie, od 2012 roku funkcjonuje Sobotnia Szkoła Języka Polskiego.

Działacze „Polonii” pomyślnie współpracują ze Szkołą Muzyczną nr 1, gdzie mieści się izba-muzeum Karola Szymanowskiego.

Corocznie uczniowie uczestniczą w Konkursie Recytatorskim im. A. Mickiewicza „Kresy”, w „Dniach Europy”, w obchodach z okazji Dnia Konstytucji 3 Maja, Dnia Niepodległości Polski, w uroczystościach i festiwalach w Kijowie, Białej Cerkwi, Odessie, jak i Festiwalu Muzycznym im. Karola Szymanowskiego w Kirowogradzie i Tymoszwówce. Ostatnio wielkim uznaniem cieszyło się IV Ogólnoukraińskie Dyktando z Języka Polskiego *„Ja piszę, ty piszesz, my piszemy po polsku...”*, realizowane w ramach projektu *„Białe-czerwone ABC. Dofinansowanie wydarzeń uzupełniających edukację polską i o Polskę na Ukrainie”*.

Należy zaznaczyć, że wszystko to odbywa się pod czujnym okiem muzykologa, wybitnego znawcy życia i twórczości Szymanowskiego Aleksandra Polaczoka, który pełni funkcję Prezesa Stowarzyszenia od 2002 roku, zaś niedawno, 19 lutego został ponownie Prezesem „Polonii” na okres najbliższych 3 lat.

I oto w słoneczny dzień 26 maja 2017 roku w auli Obwodowego Edukacyjno-Wychowawczego Kompleksu Gimnazjum-Internatu Szkoły Sztuk Pięknych w Kropywnyckim rozległy się dźwięki hymnów Polski i Ukrainy, inaugurujące uroczystą akademię poświęconą 20. rocznicy powstania Stowarzyszenia Polaków „Polonia” im. Karola Szymanowskiego.

Na wstępie zebrany pokazano krótki film, który w skondensowanej formie przedstawił najważniejsze etapy dwudziestoletniej działalności Stowarzyszenia. Film zaprezentował liczne przedsięwzięcia, które weszły już do latopisu „Polonii”.

Oglądając koncert można się było przekonać jak wszechstronną jest paleta inicjatyw, pomysłów i zadań, podejmowanych przez utalentowanych społeczników Stowarzyszenia, jak dużo czasu i uwagi poświęcają oni, aby wykazać się potem umiejętnością pięknego czytania tekstów w języku polskim, znajomością kultury muzycznej – tej klasycznej i estradowej – literatury i historii Polski.

Scenariusz koncertu umiejętnie połączył występy artystyczne z jubileuszowymi wystąpieniami licznych gości, reprezentujących władze miasta, instytucje kultury i oświaty, duchowieństwo, bliskich przyjaciół i sympatyków Stowarzyszenia.

Najbardziej zasłużonym wręczano dyplomy uznania i upominki. Była też nagroda finansowa od władz lokalnych i... sadzonka dębu w doniczce z życzeniami długich lat istnienia „z dębową siłą przebicia”.

W wystąpieniach przewijały się tak nutki wesołe, jak i poważne. Honorowy gość z Kijowa – Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie Tomasz Dederko nawiązując do spraw globalnych zaznaczył m.in.: *„Bez tolerancji wobec innych narodowości zamieszkujących Ukrainę nigdy nie będzie dobrego współdziałania, dobrego życia, dobrego funkcjonowania samorządów i państwa. Cieszę się, że Ukraina zwróciła się ostatecznie ku Zachodowi. Polska mając doświadczenia wcześniejsze dziś jest zadowolona,*

że dzięki Europie potrafiliśmy się wydzwignąć ekonomicznie, ale też społecznie i kulturowo i wierzę, iż obecna orientacja Ukrainy również przyniesie w przyszłości pozytywne sekwencje”.

Dodać należy, że Pan Konsul przebywając z wizytą w Kropywnyckim znalazł czas na rozmowy z aplikantami na Kartę Polaka. W finale świątecznego wieczoru wręczył uroczyście Kartę Polaka Jarosławowi Dubowykowi oraz złożył podziękowania licznym aktywistom w dowód uznania za działalność w Stowarzyszeniu i z okazji jego Jubileuszu, jak też za zainteresowanie kulturą i językiem polskim. Pan Konsul wręczył także pamiątkowe dyplomy i upominki zasłużonym członkom Stowarzyszenia, życząc wszystkim kolejnych długich lat równie prężnej działalności.

Serdeczne podziękowania za solidną pracę Stowarzyszenia przekazał Prezes Związku Polaków na Ukrainie Antoni Stefanowicz, wręczając najaktywniejszym Dyplomy Uznania.

Jubileuszowa impreza przebiegała pod znakiem doskonałego porozumienia polsko-ukraińskiego. Wszystko świadczyło dobitnie, że polska społeczność Kropywnyckiego jest pokaźna, dobrze zorganizowana, gościnna i serdeczna.

Słowa wielkiego uznania należą się wszystkim urzekającym i perfekcyjnym aktorom, recytatorom, śpiewakom, muzykom i wszystkim zaangażowanym w zorganizowanie tego jubileuszowego wieczoru.

Serdecznie dziękujemy za zaproszenie!

KOS

Zdj. A. Płaksina



Na scenie było bardzo radośnie

DUCH KONSTYTUCJI 3 MAJA

W Operze Narodowej Ukrainy im. T. Szewczenki odbył się Koncert Galowy z obchodów 226. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Wydarzenie to miało miejsce 17 maja br. i zostało przygotowane wspólnie przez Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Litewskiej w Ukrainie.

W najbardziej reprezentacyjnej sali koncertowej stolicy zgromadzili się ci, którym Polska i jej historia nie jest obca – przedstawiciele ukraińskich władz, goście z Polski, dyplomaci, zwykli kijowianie, biznesmeni, duchowni, reprezentanci kijowskiej Polonii.

Uroczystość zainaugurowały dwa wystąpienia: Ambasadora RP w Ukrainie Jana Piekło oraz Ambasadora Republiki Litewskiej w Ukrainie Mariusa Janukonisa.

„To wzruszający moment – podkreślił Ambasador Polski – w którym dziś możemy czcić to święto razem z Litwinami i Ukraińcami. [...] To duch Konstytucji 3 Maja pomógł nam przetrwać i myśleć o wolności i niezależności. 3 Maja jest dla nas datą świadczącą o wiekach wspólnej historii i wspólnego oporu przed wrogim imperium. Niech ten sam duch daje nam siłę, by solidarnie wspierać naszych ukraińskich Przyjaciół w ich dzisiejszej walce o wolność. Niech żyje Ukraina! Niech żyje Litwa! Niech żyje Polska!”.

Po wystąpieniach po raz pierwszy w historii kijowskiej opery zabrzmiały słowa trzech hymnów – Polski, Litwy i Ukrainy w wykonaniu Narodowego Chóru „Dumka” pod dyрекcją E. Sawczuka. A następnie widzowie mieli unikalną możliwość usłyszeć najwspanialsze utwory polskich, litewskich i ukraińskich kompozytorów w aranżacji „Kyiv Classic Orchestra”

pod batutą dyrygenta Opery Narodowej – uznanego powszechnie za ambasadora ukraińskiej kultury – profesora Hermana Makarenki.

Zabrzmiała także etiuda c-moll „Rewolucyjna” Fryderyka Chopina w wykonaniu seniora współczesnych muzyków litewskich (79 lat) kompozytora Osvaldas Balakauskas.

Wątek litewski zaprezentował wyśmienicie litewski pianista Rokas Zubowas, odtwarzając fortepianowe dzieło swego pradziadka – koryfeusza sztuk plastycznych i muzyki Mikalojusas Konstantinasa Čiurlionisa pt. „Kosmiczna medytacja” na tle eksponowanych na ekranie reprodukcji jego obrazów.

Arię „Miecznika” z opery „Straszny Dwór” Stanisława Moniuszki wykonał solista Teatru Wielkiego w Warszawie baryton Adam Kruszewski. Interesujący jest fakt, że opera ta po raz pierwszy (na naszym terenie) została wystawiona w roku 1873 właśnie w Kijowie.

Ogromny aplauz publiczności zyskało inscenizowane wykonanie poloneza Wojciecha Kilara, napisanego w swoim czasie specjalnie dla ekranizacji „Pana Tadeusza” (w reżyserii Andrzeja Wajdy), inscenizowane tu z udziałem zasłużonych artystów Ukrainy, stylizowanych na postaci z poematu.

W finale koncertu Narodowy Chór „Dumka” przedstawił wiazankę-fantazję na temat polskich, litewskich i ukraińskich pieśni ludowych, otrzymując zasłużone brawa zachwyconej publiczności.

Stanisław PANTELUK



Scena
Opery Narodowej Ukrainy
w dniu 17.05.2017 r.

JA PISZĘ, TY PISZESZ, MY PISZEMY PO POLSKU...

W roku 2017, podobnie jak w latach poprzednich, Fundacja Wolność i Demokracja wspólnie z Centrum Polskim i Katedrą Polonistyki Instytutu Filologii Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki zorganizowała w stolicy Ukrainy IV Ogólnoukraińskie Dyktando z Języka Polskiego *„Ja piszę, ty piszesz, my piszemy po polsku...”*.

Przedsięwzięcie realizowane jest w ramach projektu *„Biało-czerwone ABC. Dofinansowanie wydarzeń uzupełniających edukację polską i o Polsce na Ukrainie”* i współfinansowane w ramach sprawowania opieki Senatu RP nad Polonią i Polakami za granicą.

Dyktando z języka polskiego na Ukrainie ma na celu promocję nauki języka polskiego oraz wyróżnienie osób, które wykażą się najlepszą znajomością ortografii i interpunkcji języka polskiego.

Test ze znajomości polskiej ortografii w tym roku odbył się w 13 miastach Ukrainy: w Charkowie, Chmielnickim, Czerniowcach, Drohobyczu, Gródku Podolskim, Kijowie, Kropywnyckim, Krzywym Rogu, Lwowie, Łucku, Odessie, Winnicy i Żytomierzu. W Dyktandzie mogli uczestniczyć wszyscy chętni – bez ograniczeń. Młodzież i seniorzy, uczniowie i nauczyciele, studenci i profesjonaliści – ogółem około 2000 uczestników zmagало się o tytuł *„Mistrza ortografii polskiej”*.

W Kijowie do dyktanda przystąpiło 113 osób. Najlepsi znawcy języka zostali oddelegowani do stolicy przez: Federację Organizacji Polskich na Ukrainie „Dom Polski” w Kijowie, Browarskie Miejskie Kulturolno-Oświatowe Stowarzyszenie „Rodzina”, punkt nauczania języka polskiego i kultury przy Związku Polaków na Ukrainie, Kulturolno-Oświatowy Związek Polaków w Prylukach, Związek Polaków w Borodziance, Ogólnokształcące Liceum m. Kijowa „Prestiz”, Katedrę Polonistyki Instytutu Filologii KNUS.

Dyktando swoją obecnością zaszczyliła Attaché Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie, kierownik Referatu ds. Współpracy z Polakami na Ukrainie Klaudia Tenoudji.

20 maja 2017 roku punktualnie o godz. 12:00 w auli Instytutu Filologii Uniwersytetu Kijowskiego Dyktando zainaugurował kie-

rownik Katedry Polonistyki profesor Rościśław Radyszewski. Tekst testu odczytała Anna Polenik – lektor języka polskiego. Tematem przewodnim tegorocznej edycji była postać Ojca Świętego Jana Pawła II.

Wśród dorosłych najlepszy wynik osiągnęła Tatiana Martynenko, drugie miejsce zajęła Maria Sawicka, a trzecie – Diana Mochnacz.

Wśród dzieci najlepiej dyktando napisała Sołomia Charczenko. Drugie miejsce zajął Maksym Czeredow z Browarów, a trzecie – Halina Gorysławska.

Podobnie jak w roku ubiegłym Polskie Kulturolno-Oświatowe Stowarzyszenie „Rodzina” w Browarach reprezentowali: najstarsza uczestniczka testu – Pani Nina Aleksejewa i najmłodsza – Maria Jemeljanowa.

W skład jury weszli wykładowcy Katedry Polonistyki IF KNU: dr Bogdana Gonczarenko (przewodnicząca), dr Natalia Demianenko, dr Switłana Bajdacka, dr Maria Jankowa, dr Maria Czerniak.

Tegoroczna wysoka frekwencja na tej tradycyjnej polonijnej imprezie świadczy, iż chętnych do sprawdzenia swoich umiejętności w zawiłościach polskiej ortografii nie brakuje. A zatem gratulujemy wszystkim uczestnikom Dyktanda i DO ZOBACZENIA w przyszłym roku!

*W oparciu o informacje kierownika
Centrum Polskiego KNUS
dr Marii CZERNIAK*

Tatiana Martynenko – kijowska zdobywczyni tytułu „Mistrza Języka Polskiego” na Ukrainie przyjmuje gratulacje od prof. Rościśława Radyszewskiego



ŻEGNAJ SZKOŁO!

20 maja br. w Kijowie w Szkole nr 175 odbył się koncert poświęcony zakończeniu roku szkolnego.

Czas szybko mija i już dobiegł do końca trzeci z rzędu rok szkolny w Polskiej Szkole Sobotniej, która powstała we wrześniu 2014 roku przy Związku Polaków Ukrainy dzięki wsparciu Wydziału Konsularnego przy Ambasadzie RP w Kijowie.

Dzięki staraniom doświadczonych i skrupulatnych nauczycieli Łesi Jermak i Łarysy Bułanowej w ciągu tego roku dzieci w znacznym stopniu opanowały język polski, zapoznały się z literaturą, historią, tradycjami i kulturą Polski, o czym można było się przekonać oglądając program zaprezentowany w tym dniu.

Zapytaliśmy uczestników o ich wrażenia z koncertu oraz z zajęć w Polskiej Sobotniej Szkole.

POLINA: *„Jestem uczennicą Polskiej Szkoły Sobotniej w Kijowie. Już od roku uczę się języka, kultury i historii polskiej. W ubiegłą sobotę brałam udział w koncercie poświęconym zakończeniu roku szkolnego w Polskiej Sobotniej Szkole. Miałam okazję zobaczyć wiele ciekawych występów. Jestem dumna z tego, że mogę teraz mówić po polsku. Pomogła mi z tym moja nauczycielka pani Łarysa Bułanowa. Myślę, że znajomość języka polskiego naprawdę przyda mi się w przyszłości”.*

ARTUR: *„Ten rok był dla mnie ostatnim w Polskiej Szkole Sobotniej w Kijowie. Trzy lata uczestniczyłem w za-*

jęciach języka polskiego w Centrum dla Dzieci i Młodzieży. Teraz po zakończeniu szkoły mam możliwość spełnić swoje marzenie i wstąpić do Rzeszowskiej Akademii Lotniczej. Planuję zostać pilotem i połączyć ze sobą niebo Ukrainy i Polski”.

Ale wróćmy do koncertu. W czasie tej przedwakacyjnej uroczystości uczniowie mieli możliwości pokazać wszystkie swoje talenty. Dzieci w różnym wieku, od przedszkolaków do absolwentów szkół, mówiły wiersze, śpiewały piosenki i tańczyły polskie tańce ludowe.

Szczególnie imponujący był występ zespołu tanecznego „Polanie znad Dniepru”.

W uroczystości wzięli także udział honorowi goście: Konsul Generalny na Ukrainie Tomasz Dederko z Małżonką, ksiądz phm. Sławomir Wartalski, Prezes Związku Polaków na Ukrainie Antoni Stefanowicz, Sekretarz ZPU Iwanna Cerkowniak.

Na zakończenie dzieciom wręczono dyplomy uznania, a absolwentom szkoły certyfikaty znajomości języka polskiego na poziomach A2 i B1.

Uczniowie pożegnali się ze szkołą, wyruszając na wakacje zadowoleni, że w następnym roku czekać na nich będą ich ulubieni nauczyciele i lekcje.

Anna MORGACZOWA



Uczniowie Polskiej Szkoły Sobotniej w czasie koncertu poświęconego zakończeniu roku szkolnego

NAGRODY „ZA KRZEWIENIE POLSKOŚCI”

W dniach 20-21 maja br. biskup Jan PURWIŃSKI, ksiądz Jarosław GIŻYCKI oraz Rafała WRÓBLEWSKA otrzymali z rąk prezydenckiego ministra Adama Kwiatkowskiego odznaczenia państwowe „za krzewienie polskość”. Uroczyste przekazanie orderów odbyło się w Żytomierzu i Kolybajwce k. Kamieńca Podolskiego na Ukrainie.

Za „wybitne zasługi dla polskiego Kościoła na Wschodzie, za krzewienie polskiej kultury i tradycji narodowej, za działalność na rzecz polskich mniejszości narodowych” Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Zasługi RP otrzymał ksiądz biskup Jan PURWIŃSKI; przekazanie orderu odbyło się w Żytomierzu.

Biskup urodził się w 1934 r.; duszpasterską działalność rozpoczął w Daugavpils w czasach komunizmu i prześladowań Kościoła katolickiego w ZSRR. Ze względu na polskie pochodzenie został proboszczem w Indrcie i Krasławiu, w parafiach zamieszkiwanych w większości przez Polaków. W 1991 r. Jan Paweł II mianował go biskupem ordynariuszem żytomiersko-kijowskim.

Przyczynił się do odrodzenia struktur diecezji, wspierał inicjatywy miejscowych Polaków, starał się, by na terenie kościoła mogli modlić się w ojczystym języku – wynika z informacji prasowych przekazanych PAP przez Biuro ds. Kontaktów z Polakami za Granicą Kancelarii Prezydenta.



Rafała Wróblewska



Bp Jan Purwiński otrzymuje odznaczenie z rąk prezydenckiego ministra Adama Kwiatkowskiego. Z prawej ks. Jarosław Giżycki

Ksiądz Jarosław GIŻYCKI otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP za „wybitne zasługi dla polskiego Kościoła na Wschodzie, za krzewienie polskiej kultury i tradycji narodowej, za działalność na rzecz polskich mniejszości narodowych”.

Ks. Giżycki urodził się w 1964 r.; jako diakon i ksiądz posługiwał w ZSRR, na terenie Ukrainy. W Doniecku organizował struktury kościelne; kładł podwaliny pracy duszpasterskiej w Donbasie. Pracował także na Białorusi. W 2011 r. został skierowany do pracy duszpasterskiej w Żytomierzu jako kapelan mieszkających tam Polaków. Od 2012 r. prowadzi zajęcia w Wyższym Seminarium Duchownym w Kijowie-Worzelu oraz w Wyższym Seminarium Duchownym „Redemptoris Mater” w Winnicy.

Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi odznaczona została „za wybitne zasługi w krzewieniu polskość i za działalność na rzecz zachowania polskiego dziedzictwa na Ukrainie” Rafała WRÓBLEWSKA; wręczenie odznaczenia odbyło się w miejscowości Kolybajwce koło Kamieńca Podolskiego. Z materiałów przekazanych PAP przez Biuro ds. Kontaktów z Polakami za Granicą Kancelarii Prezydenta wynika, że Rafała Wróblewska jest znana lokalnej społeczności ze starań, by zachować polski język i polską kulturę na Ukrainie. Mieszkańców okolic Kamieńca Podolskiego jednoczyła wokół idei powstania kościoła, w którym Msza św. byłaby odprawiana po polsku.

Wszystkim PT Odznaczonym serdecznie gratulujemy!

Wykorzystano materiały z Internetu
Zdj. z serwisu fotograficznego Kancelarii Prezydenta RP

POLSKI MAJ W NIEŻYNIE

Dobłą tradycją stało się przeprowadzenie w końcu maja w Nieżynie Festiwalu Kultury Polskiej „Festiwal Przyjaźni”, które z wielkim rozmachem regularnie organizuje Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie Polaków „Aster”.

...Piękny słoneczny dzień. Dla Stowarzyszenia Polaków „Aster” to dzień niezwykły, z zaplanowanym świątecznym programem, na który przybędą dostojni goście z Kijowa. I oto Prezes Feliksa Bielińska, dzieci w strojach ludowych, przedstawiciele administracji miasta gościnnie, kwiatami witają Kierownika Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasza Dederko i Prezesa Związku Polaków na Ukrainie Antoniego Stefanowicza.

Momentem symbolicznym stało się to, że w tym samym dniu w Nieżynie odbywała się uroczysta ceremonia wciągnięcia na maszt flagi państwowej Unii Europejskiej, do której zaproszono Konsula Generalnego RP w Kijowie Tomasza Dederko razem z merem Nieżyna Anatolijem Linnykiem.

Następnie odbyło się spotkanie z przedstawicielami władz miasta i rejonu, które od wielu już lat aktywnie wspierają i współpracują ze Stowarzyszeniem „Aster”. Mer Nieżyna Anatolij Linnyk i przewodniczący Nieżyńskiej Rady Rejonowej Oleg Buzun zaprosili delegację do urzędu miasta, gdzie dokonano wymiany poglądów na aktualne tematy.

Goście oraz przedstawiciele Stowarzyszenia „Aster” i władz lokalnych program Festiwalu złożyli wieniec pod pomnikiem na cmentarzu katolickim.

Szczególną rangę uroczystościom nadała obecność Ambasadora Polski na Ukrainie, Jana Piekło, który po raz pierwszy zawitał do Nieżyńskiego Państwowego

Uniwersytetu im. M. Gogola. W toku wizyty Ambasadora RP odbyło się spotkanie z rektorem uczelni prof. Aleksandrem Samojlenką.

Festiwalowy program był bardzo atrakcyjny i bogaty w ciekawe występy. Otworzył go laureat ponad trzydziestu europejskich międzynarodowych i krajowych festiwali i konkursów Młodzieżowy Chór „Switycz” Nieżyńskiego Uniwersytetu Państwowego im. M. Gogola pod kierownictwem Zasłużonych dla Kultury Ukrainy – profesor Ludmiły Szumskiej i Ludmiły Kostenko.

Piękną paletę artystyczną zaprezentował także zespół polskiej pieśni „Gwiazdeczka” (kierownik artystyczny Kateryna Rowenczyn), laureat ukraińskich i międzynarodowych konkursów – zespół taneczny „Wiktorija” (kierownik artystyczny Wiktorija Wysznewa), zespół „Trojści muzycy” (kierownik artystyczny Wołodymyr Kyszenko). Burzliwymi oklaskami witano też solowe występy młodych i utalentowanych wykonawców Serhija Juskewycza i Witaliny Dańszynej.

Perłą festiwalowego programu stał się występ połączonych orkiestr instrumentów ludowych Wydziału Kultury i Sztuki NDU im. M. Gogola i Nieżyńskiej Szkoły Kultury i Sztuki im. Marii Zańkowieckiej pod kierownictwem artystycznym zasłużonego artysty Ukrainy – dyrygenta Mikołaja Szumskiego.

W swoim wystąpieniu Ambasadorka Polski Jan Piekło m.in. podkreślił: *„Miło mi, że społeczność polska sprawuje tak piękną i chlubną sprawę, sprzyjającą rozwojowi kultury polskiej w mieście. Cieszy mnie, iż ma ona również dobre, otwarte stosunki z władzami miasta i to jest właśnie to, ku czemu powinniśmy dążyć w ukraińsko-polskich stosunkach, zarówno w aspekcie gospodarczym, jak i kulturalnym”*.

W finale świątecznego programu Feliksa Bielińska wyraziła szczerą wdzięczność polskim gościom, którzy zawitali do Nieżyna, podziękowała władzom miasta za okazywane wsparcie działalności Stowarzyszenia i w szczególności wszystkim obecnym, którzy przyszli na to polskie święto, by podzielić się radością z Polakami Nieżyna.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Organizatorzy, uczestnicy i goście Festiwalu na wspólnej fotografii

KATYŃ'1940 PRZYPOMINA I OSTRZEGA

Wszystko na ziemi ma swój wymiar. Z wyjątkiem zbrodni. Bo okrucieństwa nie da się zmierzyć...

O tym właśnie przypomina przygotowana przez warszawskie Muzeum Katyńskie, IPN i Ambasadę RP w Kijowie oraz Muzeum „Cytadela Kijowska” wystawa „Zbrodnia 1940” o ludobójstwie katyńskim, otwarta w sali kominkowej kijowskiej twierdzy.

W uroczystości otwarcia wystawy uczestniczyli dostojnicy wysokiej rangi: Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Jan Piekło, Dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej RP Jarosław Szarek, Dyrektor Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie Adam Buława, Dyrektor Muzeum Katyńskiego Ewa Kowalska, dyplomaci, pracownicy Ambasady RP, reprezentanci organizacji społecznych i towarzystw polonijnych, dziennikarze.

Na początku uroczystości, w przepełnionej po brzegi sali, dyrektor Muzeum „Cytadela Kijowska” Oksana Nowikowa-Wygran, nawiązując do wydarzeń początku II wojny światowej, przypominała obecnym o napadzie Rosji Sowieckiej na Polskę 17.09.1939 r.

W wyniku tej bestialskiej agresji aresztowano 130 243 obywateli polskich przebywających na służbie Rzeczypospolitej. W tym blisko 42 000 osób uznano przez władze sowieckie za „wrogów władzy sowieckiej, nie poddających się resocjalizacji”, a więc nadających się tylko „do likwidacji”.

Już na pierwszą listę przeznaczonych do likwidacji, podpisaną przez członków Biura Politycznego ze Stalinem na czele, wpisano ponad 14 500 Polaków, przeważnie oficerów, policjantów, osadników, inteligencję. Z nich, tylko w samym lesie katyńskim, zamordowano 44 421 osób.

Oksana NOWIKOWA-WYGRAN: „*Poprzez tę wystawę pragniemy donieść do Ukraińców całą prawdę o Katyniu, o tym symbolu ludobójstwa pod okupacją sowiecką*”.

Wołodymyr WIATROWYCZ, Prezes Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej: „*W historii stosunków ukraińsko-polskich jest niemało stron o wspólnej walce i zwycięstwach nad wspólnym wrogiem. Nie mniej mamy również sporo okresów wypełnionych wspól-*

nymi przeżyciami i męczeństwem pod presją wiekiustego agresora, zaborcy i falsyfikatora historii. Jednym z takich bolesnych dla obu narodów okresów jest trwałe komunistyczne panowanie. Prawdę o tym totalitarnym przestępczym systemie powinniśmy nieść na cały świat, który nie chce wiedzieć o zbrodniarzach komunistycznych i ich ofiarach. Opowiedzieć o tym – to nasza wspólna misja historyczna, polityczna, nawet geopolityczna, ponieważ mamy obok siebie sąsiada, który postawił kłamstwo, agresję i terroryzm w centrum swojej ideologii państwowej. Mamy ostrzec nie tylko Polaków i Ukraińców, ale cały świat przed niebezpieczeństwem sterowanym z Moskwy”.

Dyrektor IPN Jarosław SZAREK: „*Słowo Katyń w języku polskim jest nie tylko symbolem męczeństwa, ale również symbolem zwycięstwa. Ci, co podpisali listę na zniszczenie czołówki polskiej elity w Katyniu, myśleli, że w taki sposób zniszczą cały Naród. Pamięć o tym jest naszym wspólnym polsko-ukraińskim dziedzictwem*”.

Jan PIEKŁO, Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny RP na Ukrainie: „*Jestem z pokolenia, które znało i zachowało prawdę o Katyniu. Dziś mamy uszanować tych, kto nie dał zapomnieć o katastrofie i robił wszystko, aby prawda doszła do nas*”.

Tego samego dnia delegacja gości z Warszawy w składzie: Dyrektor IPN J. Szarek, Dyrektor Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie A. Buława, Dyrektor Muzeum Katyńskiego E. Kowalska, pracownicy Ambasady RP w Kijowie na czele z Ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie J. Piekło uczciła pamięć pochowanych na terenie Narodowego Parku „Mogiły Bykowniańskie”.

Eugeniusz GOŁYBARD

Zdj. A. Płaksina



Sala kominkowa Skośnej Kaponiery w Kijowie.
Uroczystość otwarcia wystawy „Zbrodnia 1940”

„BUDUJEMY MOSTY, A NIE MURY”

Starobielsk to 20-tysięczne miasto na wschodzie Ukrainy, tuż za linią frontu toczącej się obecnie wojny na Donbasie. Polacy wymieniają Starobielsk w jednym ciągu z Katyniem, Charkowem, Smoleńskiem, Ostaszkowem, Miednoje, Twerem czy Bykownią pod Kijowem. Bo to jeden z tych punktów na mapie, gdzie wsiąkła w ziemię krew polskich oficerów.

W latach 1939-40 znajdował się tu obóz jeniecki, w którym przetrzymywano ponad 6 500 polskich żołnierzy. Generałów zakwaterowano w byłym żeńskim klasztorze i w dwóch budynkach mieszkalnych przy ul. Wołodarskiego. Pułkowników i podpułkowników – przy ul. Kirowa. Wszyscy byli obrońcami Lwowa, gdy po 17-tym września 1939 r. tereny Kresów Wschodnich zajęli sowieci. Część jeńców przeniesiono z czasem do innych obozów na terenie byłego Związku Radzieckiego. Wszyscy ponieśli śmierć z rąk NKWD.

Polskim Cmentarzem Wojennym w Starobielsku opiekują się dzieci, młodzież i dorośli z kierowanego

przez p. Heleną Swacha-Udowenko Stowarzyszenia Miłośników Języka i Kultury Polskiej „Most Nadziei”.

Delegacje z Polski odwiedzają Starobielsk często. Nie często mają taką możliwość opiekunowie mogił polskich żołnierzy. Kilkakrotnie gościliśmy na festiwalu w Kielcach dziewczęta z zespołu wokalnego „Same Gwiazdy” działającego przy ww. Stowarzyszeniu. Niestety, w tym roku odmówiono dofinansowania grupy młodych Polaków ze Starobielska. Nie przyjadą, choć szykowali się na to przez cały rok.

Obok tego cmentarza, powstaje kolejny. Chowani są na nim ukraińscy (najczęściej bezimienni) żołnierze walczący z separatystami i rosyjskimi najemnikami okupującymi Donbas. Oprócz opieki nad cmentarzem polskich ofiar NKWD młodzi starobielszczanie organizują pogrzeby żołnierzy poległych w ATO i troszczą o ich groby.

Kiedy w lipcu ubiegłego roku „Same Gwiazdy” wracały z Kielc do Starobielska, wiozły ze sobą leki,



Uroczystości żałobne na cmentarzu w Starobielsku

środki opatrunkowe zebrane przez mieszkańców stolicy naszego województwa dla uczestników ATO. Mieśliśmy ochotę tę akcję powtórzyć; nie będzie to jednak możliwe.

W kwietniu bieżącego roku z inicjatywy prezes Stowarzyszenia „Most Nadziei”, p. Heleny Swacha-Udowenko, i opiekunki „Samych Gwiazd”, aktywnej wolontariuszki na rzecz pomocy żołnierzom ATO, p. Heleny Zibert-Czerewiatej, zorganizowano akcję „*Budujemy mosty, a nie mury*”. Objęła rejon starobielski, a impulsem do jej rozpoczęcia były akty wandalizmu po obu stronach granicy polsko-ukraińskiej. Na niszczenie pomników, ostrzelanie z granatnika Konsulatu RP w Łucku, prowokacje na drodze do granicy z Polską, dziesiątki, a może nawet setki starobielszczan odpowiedziało zdecydowanym protestem i chęcią zacieśnienia współpracy z naszym krajem. Młodzi i starsi masowo uczestniczyli w demonstracjach popierających dobre stosunki Ukraińców i Polaków. Takie akcje zorganizowali m.in.: Stowarzyszenie Miłośników Języka i Kultury Polskiej „Most Nadziei”, Centrum Ustawicznego Rozwoju „Aktywna Gromada”, Grupa Administracji Wojskowo-Cywilnej Garnizonu Starobielsk, Szulgińska Dziecięca Szkoła Artystyczna i inne organizacje społeczne działające na przyfrontowym terenie.

Do akcji włączyli się także uczniowie i nauczyciele Szkoły Podstawowej nr 10 w Starachowicach (woj. świętokrzyskie). Zebrali kilkadziesiąt płyt CD i DVD z polskimi filmami dla dzieci i młodzieży, materiały piśmienne i pomoce dydaktyczne. Paczkę wysłali nauczyciele „dziesiątki”, którzy w pierwszych dniach maja odwiedzili Lwów. Tak było bezpieczniej i szybciej. Po kilku dniach, najpierw na „Facebooku”, pojawiły się podziękowania i zdjęcia wysłanych przez nas materiałów, a przed kilkoma dniami otrzymaliśmy list od pani Olgi Larginoj – dyrektorki Szulgińskiej Szkoły Artystycznej. Píše m.in.:

„Jesteśmy szczerze wzruszeni pamięcią o naszej szkole. Podarki, które znaleźliśmy w paczce ze Starachowic wywołały szczerzy uśmiech na twarzach wielu naszych uczniów. Nasza maleńka, wiejska szkoła kształci dzieci w trzech profilach: muzycznym, choreograficznym i plastycznym. Często uczestniczymy w różnych uroczystościach, konkursach i festiwalach; z przyjemnością występujemy podczas imprez organizowanych przez Stowarzyszenie «Most Nadziei»: Dniu Polonii, Święcie Konstytucji RP, Dniu Niepodległości Polski, świętach religijnych i państwowych, uroczystościach upamiętniających oficerów polskich spoczywających na naszym cmentarzu.

Niestety, w spokojne życie naszej miejscowości wkroczyła wojna. W Szulgince i Starobielsku nie było działań wojennych, nie wpuściliśmy separatystów do naszych domów, ale w r. 2014 walki toczyły się zaledwie 10 kilometrów od nas. Odgłosy wybuchów przerywały nam sen, przejeżdżające ulicami kolumny techniki wojennej wzbudzały ogromny strach, ludzie chowali się w piwnicach lub uciekali w panice. Jednak dzieci, mimo wszystko, przychodziły na lekcje, a w końcu maja zorganizowaliśmy tradycyjny koncert podsumowujący rok szkolnej pracy.

Dziś wśród naszych uczniów są dzieci z rodzin, które uciekły przed wojną z Ługańska i Doniecka i zamieszkały w naszej wiosce. Teraz już wybuchów nie słychać, bo wojna odsunęła się od nas o 70 km. Ale, jak nikt, znamy cenę pokoju. Dlatego z radością włączyliśmy się do akcji «Budujemy mosty, a nie mury». Chcemy oglądać błękit nieba bez smug rakiet i pocisków, nawiązywać przyjaźnie z rówieśnikami z innych krajów.

Nastal czas egzaminów; 9 czerwca organizujemy koncert podsumowujący rok szkolny, dzieci rozpoczną wakacje. Nadal będą jednak odwiedzać szkołę, młodzi plastycy będą przygotowywać się do letnich plenerów, muzycy i tancerze będą spotykać się na próbach przed wakacyjnymi koncertami...”

A 10-letnia Nastia Matuzkowa napisała:

„...Nigdy w Polsce nie byłam, ale wiem, że mieszkają tam dobrzy ludzie. I może będzie okazja, by spotkać się z polskimi rówieśnikami u nas lub w Polsce i podziękować im za pamięć, wsparcie i podarki...”

W połowie maja w wielu miastach Ukrainy obchodzono „Dzień Europy”. Z tej okazji ulicami Starobielska przeszedł barwny korowód, w którym najwięcej było biało-czerwonych flag.

Za miesiąc, kiedy skończy się letnia sesja egzaminacyjna w Akademii Pomorskiej w Słupsku, wracać do domu, do Starobielska, będzie Liza Okuńkowa – studentka III roku. Oprócz swojego bagażu zawiezie kolejne listy od starachowickich uczniów do rówieśników z nad rzeki Ajdar. ... A może także troszeczkę polskiego nieba bez „smug rakiet i pocisków”...

Zbigniew LEWIŃSKI

INFORMACJA O SEMINARIUM „WSPÓŁPRACA GOSPODARCZA Z UKRAINĄ” W IWONICZU-ZDROJU, 19-21 MAJA 2017 R.

Seminarium „Współpraca gospodarcza z Ukrainą”, zorganizowane przez Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy FSNT NOT, odbyło się w pensjonacie AMELIA w Iwoniczu-Zdroju 19-21.05.2017 r.

Profesor Wasyl Gerasymczuk i docent Swietłana Andros, reprezentujący Politechnikę Kijowską, przedstawili życie uczelni, ilustrując prelekcję zdjęciami z Kijowa. Następnie za zasługi dla środowiska inżynierskiego i rozwijanie postępu technicznego w Polsce srebrne odznaki honorowe NOT otrzymali: Paweł Wiechecki, Sylwester Lewicki, Zygmunt Nikodem i Henryk Bukalski.

Referat o gospodarce Ukrainy wygłosił Janusz Fuxsa. Na podstawie danych Państwowej Służby Statystycznej Ukrainy stwierdził, że w 2016 r. nastąpiła poprawa podstawowych wskaźników w przemyśle, budownictwie, transporcie i rolnictwie, wzrosły inwestycje w gospodarce, rozwinął się handel zagraniczny.

Henryk Bukalski na podstawie danych z Ambasady RP w Kijowie poinformował, że w ubiegłym roku znacznie wzrosły obroty towarowe między obu krajami. Polska zajmowała trzecie miejsce w eksporcie Ukrainy i piąte w jej imporcie.

Uczestnicy otrzymali 32. broszurę z cyklu „Wspomnienia z Kijowa” pt. „Lata pięćdziesiąte”, zawierającą historię studiów w Kijowie opowiedzianą na podstawie biuletynu polskich studentów z tych lat. Organizatorami seminarium byli H. Bukalski i A. Sarnecki.

19 maja wieczorem przy ognisku uczestnicy wspominali swoją uczelnię, a następnie w sali pensjonatu wysłuchali koncertu czteroosobowego chóru, w którym śpiewał także absolwent KPI Krzysztof Świder. Koncert przekształcił się w ogólne śpiewanie piosenek polskich i ukraińskich. Zebrani oglądali też na ekranie zdjęcia z Kijowa i wschodnich podróży, przedstawione przez Aleksandra Sarneckiego. 20 maja, po obradach, podczas wycieczki autokarowej obecni zwiedzili skansen Muzeum Przemysłu Naftowego w Bóbrce i Duklę położoną w kotlinie wśród gór Beskidu Niskiego. Wieczorem zebrali się na uroczystej kolacji. W niedzielę uczestnicy samochodami udali się do Krosna, by zobaczyć stare miasto i zwiedzić Centrum Dziedzictwa Szkła z pokazną kolekcją najlepszych wyrobów szklarskich z wielu hut w kraju.

Janusz FUKSA, Henryk BUKALSKI



Uczestnicy Seminarium w Muzeum Przemysłu Naftowego w Bóbrce przed pomnikiem Ignacego Łukasiewicza

ŻEGNAJ, WIKTORIO!

1 lutego 2017 roku zmarła Wiktoria RADIK – wieloletnia działaczka społeczna, Zasłużona dla Kultury Polski i Ukrainy, Prezes Kijowskiego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda”.

Radik Wiktoria – muzyk, chórmistrz, śpiewaczka kameralna i pedagog, urodziła się 24 kwietnia 1955 r. w Rydze.

Ukończyła Akademię Muzyczną im. P. Czajkowskiego w Kijowie w 1982 r.

Pracowała w Teatrze Opery i Baletu im. T. Szewczenki w Kijowie.

Była m.in. dyrygentem chóru dziecięcego w latach 1982–1998.

Założycielka i od 1989 roku niezmienny kierownik artystyczny zespołu ukraińsko-polskiego folkloru „Jaskółki” Kijowskiego Domu Nauczyciela.

Od 1989 roku członek Zarządu Związku Polaków Ukrainy.

Od 2006 roku członek Zarządu Rady Narodowościowych Stowarzyszeń Kijowa.

Od 1992 roku Prezes Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda”.

Organizatorka wydarzeń kulturalnych: koncertów, wystaw, konferencji naukowych i imprez rocznicowych na Ukrainie i w Polsce.

Opieka miejsc pamięci narodowej: polskich grobów na Cmentarzu Bajkowa i w bykowniańskim lesie.

Inicjatorka odnowy mogiły legionistów 1920 r. oraz grobu Wilhelma Kotarbińskiego na Cmentarzu Bajkowa.

Obdarzona niezwykle pięknym głosem i ochotnie darująca go słuchaczom.

Ale nade wszystko Dobra Córka.

Wspaniała Mama i Troskliwa Babcia.

I po prostu Piękna Kobieta!

Zawsze elegancka, zawsze zadbana i zawsze uśmiechnięta.



Właśnie taką będziemy pamiętać naszą nieodżałowaną Przyjaciółkę-Polkę – Wiktorię Radik...

Wszystkim Bliskim
Ś.P. WIKTORII RADIK
Wszystkim, których Jej śmierć
zasmuciła
składamy wyrazy szczerego
współczucia

Redakcja kwartalnika „Krynica”



ODSZEDŁ ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI



26 maja 2017 roku w wieku 89 lat zmarł Zbigniew BRZEZIŃSKI, doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego w latach 1977–1981. Był jednym z najbardziej wpływowych politologów i strategów polityki zagranicznej USA.

Zbigniew Brzezinski urodził się w Warszawie 28 marca 1928 r. Jego ojciec Tadeusz Brzezinski był dyplomatą, od 1938 r. konsulem RP w Kanadzie. Przyszły doradca prezydenta Cartera skończył tam szkołę i Uniwersytet McGilla w Montrealu, a na Uniwersytecie Harvarda obronił pracę doktorską z historii totalitaryzmu sowieckiego. W 1958 r. został obywatelem USA. Rok wcześniej, po raz pierwszy od emigracji za Zachód odwiedził Polskę. Po doktoracie wykładał na Harvardzie, a w 1960 r. został profesorem na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Od młodości związany był z Partią Demokratyczną, doradzał prezydentom: Johnowi Kennedy'emu i Lyndonowi Johnsonowi. W latach 70. polemizował z antywojenną lewicą w swej partii i krytykował politykę odprężenia prezydentów Richarda Nixona i Geralda Forda, która kładła – jego zdaniem – nadmierny nacisk na kontrolę zbrojeń, nie doceniając kwestii praw człowieka, co prowadziło do ustępstw wobec ZSRR.

Jako współzałożyciel tzw. Komisji Trójkątnej, organizacji polityków i biznesmenów pragnących zacieśnienia sojuszu USA, Europy i Japonii, Brzezinski zaprosił do niej ówczesnego gubernatora Georgii Jimmy'ego Cartera. Kiedy Carter został prezydentem, mianował go swym doradcą ds. bezpieczeństwa narodo-

wego. Na nowym stanowisku Brzezinski położył nacisk na kluczową rolę „trzeciego koszyka”, praw człowieka w Akcie Końcowym Helsińskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Wzmocniło to opozycję w ZSRR i krajach Europy Wschodniej. Forsując ten kurs, Brzezinski musiał przezwyciężyć opór sekretarza stanu Cyrusa Vance'a, który opowiadał się za ustępstwami wobec Moskwy, aby ułatwić rozmowy o redukcji broni strategicznej (SALT).

Po sowieckiej inwazji w Afganistanie, Brzezinski zorganizował pomoc dla afgańskich mudżahedinów. Kosztem 3 miliardów dolarów CIA, współpracując z wywiadem Pakistanu, dostarczyła im m.in. pociski rakietowe Stinger, którymi mogli zestrzeliwać sowieckie helikoptery. Zimą 1980 r. z inicjatywy Brzezińskiego ustępujący z urzędu Carter zmobilizował przywódców Europy Zachodniej oraz Papieża Jana Pawła II, aby wystąpili w obronie Polski, zagrożonej interwencją ZSRR. W listach przestrzegli oni Moskwę przed tym krokiem uprzedzając, że położy to kres odprężeniu w Europie. Po odejściu z rządu w 1981 r. Brzezinski pozostał wpływowym ekspertem ds. polityki zagranicznej USA. Szczególnie angażował się w sprawy polityki wobec ZSRR i bloku wschodniego. Profesor mocno wspierał przyjęcie Polski do NATO, współpracując na tym polu z Polonią amerykańską. W rozmowach z korespondentami w Waszyngtonie nie stronił od wypowiedzi i rad w sprawach polskiej polityki wewnętrznej.

Wiceprezydent USA Mike Pence oddał hołd zmarłemu Zbigniewowi Brzezińskiemu: *„Był wielkim człowiekiem i, co ważniejsze, był dobrym człowiekiem”* – powiedział Pence.

Pogrzeb Zbigniewa Brzezińskiego odbył się 9 czerwca 2017 roku w Waszyngtonie.

Na ostatnim pożegnaniu Brzezińskiego pojawiło się wiele znanych osobistości. Pożegnać Brzezińskiego przybyli były Prezydent USA Jimmy Carter, Madeleine Albright, Susane Rice. Z Polski na pogrzeb przybył Minister Spraw Zagranicznych Witold Waszczykowski i Krzysztof Szczerski z kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy. Polski Prezydent w specjalnej księdze kondolencyjnej wyłożonej w Belwederze tak wspominał Zbigniewa Brzezińskiego: *„Zapamiętamy go jako skutecznego polityka, dyplomatę i doradcę, błyskotliwego intelektualistę i wspaniałego, mądrego i prawego człowieka”*.

Wykorzystano materiały z Internetu

ZMARŁ KARDYNAŁ LUBOMYR HUZAR

Wieloletni zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, kard. Lubomyr HUZAR, zmarł 31 maja o 18.30 czasu kijowskiego po ciężkiej chorobie. 85-letni duchowny stanowił jeden z największych autorytetów moralnych w swoim kraju.

Kard. Lubomyr Huzar urodził się w 1933 roku we Lwowie, ale pod koniec wojny wraz z rodzicami uciekającymi przed nadciągającą Armią Czerwoną, przez Austrię, udał się do Stanów Zjednoczonych. Tam ukończył seminarium duchowne i w roku 1958 przyjął święcenia kapłańskie w obrządku wschodnim. W 1972 roku w Rzymie obronił doktorat i wkrótce wstąpił do klasztoru studytów w Grottaferrata. Na Ukrainę powrócił w 1993 roku, odgrywając istotną rolę w odradzaniu się zdelegalizowanego w czasach radzieckich Kościoła grekokatolickiego. W 1996 roku został biskupem, a w 2001 roku obrano go arcybiskupem większym, a tym samym głową Kościoła grekokatolickiego na Ukrainie. Tego samego roku Jan Paweł II mianował Lubomyra Huzara kardynałem.

Tak kard. Huzara wspomina przewodniczący Rzymskokatolickiego Episkopatu Ukrainy, abp Mieczysław Mokrzycki: *„Zawsze, szczególnie do mnie osobiście, odnosił się po ojcowsku, z taką wielką życzliwością i gracją. Pozostawił po sobie ślad wielkiego pasterza, który odnawiał tutaj struktury Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, a jednocześnie starał się być blisko Kościoła łacińskiego”*.

Abp Józef Michalik, były przewodniczący Episkopatu Polski, nawiązał do podpisanego w 2005 roku wraz z kard. Huzarem „Listu biskupów grekokatolickich Ukrainy i rzymskokatolickich Polski z okazji aktu wzajemnego przebaczenia i pojednania”.

„Księdza kard. Huzara poznałem jako człowieka bardzo otwartego i zainteresowanego jednością, kontaktem z Kościołem w Polsce, z pojednaniem. Bardzo się napracował w tej mierze jako promotor i współorganizator licznych spotkań, także dokumentów, które udało się razem dopracować” – zauważył abp Michalik.

Natomiast abp Jan Martyniak, były metropolita przemysko-warszawski Kościoła grekokatolickiego, jako najważniejsze cechy kard. Huzara wymienia: pokorę, bogate życie duchowe i pracowitość.

„To był człowiek otwarty na ekumenizm, na wszystkie ruchy kościelne, dostrzegał, że one są potrzebne, tym bardziej na Ukrainie. Tam nie było jakiegось wyniosłości u niego. Każdy miał dostęp do niego, każdego wysłuchał,



miął swoje zdanie, ale z każdym umiał rozmawiać” – powiedział abp Martyniak.

Papież Franciszek zapewnił o swojej modlitwie za duszę zmarłego kard. Lubomyra Huzara, byłego zwierzchnika ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego. W telegramie kondolencyjnym nazywa go gorliwym pasterzem. *„Łączę się w duchu z wiernymi wspólnoty diecezjalnej, w której sprawował on pasterską posługę, gorliwie zabiegając o odrodzenie Kościoła grekokatolickiego na Ukrainie. Wspominam jego niezłomną wierność Chrystusowi pośród niedostatków i prześladowań Kościoła, a także jego skuteczną działalność apostolską na rzecz grekokatolików pochodzących z rodzin siłą wydalonych z zachodniej Ukrainy”* – napisał Ojciec Święty.

„Odszedł wielki pasterz, tak ważny dla Kościoła grekokatolickiego i rzymskokatolickiego w Polsce i na Ukrainie. Niestrudzony orędownik pojednania polsko-ukraińskiego” – napisał metropolita poznański, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki w liście kondolencyjnym po śmierci kard. Lubomyra Huzara. Kondolencje zostały skierowane do zwierzchnika Kościoła katolickiego obrządku bizantyjsko-ukraińskiego abpa Światosława Szewczuka.

KAI

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Informacja nt. V Jubileuszowego Kongresu Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego

W dniu 13 marca 2017 r. odbył się w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi w Warszawie V Jubileuszowy Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego (KEPRS) pod Honorowym Patronatem Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi Krzysztofa Jurgieła oraz Marszałków Województw. Organizatorem ww. Kongresu było Stowarzyszenie Eksporterów Polskich (SEP).

Tematem V Jubileuszowego Kongresu były zagadnienia związane z urzeczywistnianiem zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw sektora rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

V Jubileuszowy Kongres prowadził Mieczysław Twaróg Prezes Zarządu SEP, a wzięło w nim udział 150 osób, w tym 120 eksporterów z branży rolno-spożywczej.

W V Jubileuszowym Kongresie wzięli udział m.in.: Przewodniczący Senackiej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi Senator Jerzy Chróścikowski, Podsekretarz Stanu Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi dr Ryszard Zarudski oraz przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, nauki, ministerstw: rozwoju i finansów, rolnictwa i spraw zagranicznych, Banku Gospodarstwa Krajowego i urzędów marszałkowskich oraz dziennikarze z prasy, radia i telewizji.

Na początku obrad V Jubileuszowego KEPRS zostały przedstawione perspektywy rozwoju eksportu rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Następnie Wiceminister dr Ryszard Zarudski wręczył Odznaki Honorowe „Zasłużony dla Rolnictwa”.

W następnym punkcie V Jubileuszowego KEPRS Prezes Zarządu SEP Mieczysław Twaróg wręczył Medale Honorowe „Zasłużony dla Eksportu” oraz Medal Wybitny Eksporter Roku 2016.

Głównymi dziedzinami wystąpień na V Jubileuszowym KEPRS były zagadnienia zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw sektora rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Należy podkreślić, że podczas V Jubileuszowego Kongresu dokonano obiektywnej i konstruktywnej



oceny eksportu rolno-spożywczego, która obejmowała: działania mające na celu dalszy rozwój polskiego eksportu rolno-spożywczego; wykorzystanie funduszy unijnych będących szansą rozwoju polskiego eksportu rolno-spożywczego; działalność promocyjną na rzecz wzrostu polskiego eksportu rolno-spożywczego.

Podkreślono, że tematyka V Jubileuszowego Kongresu wyszła naprzeciw zainteresowaniu eksporterów uczestniczących w obradach, którzy również pozytywnie odnieśli się do kierunków zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw sektora rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. W tym zakresie priorytetowymi zadaniami będzie: wykorzystanie instrumentów na rzecz wsparcia polskiego eksportu rolno-spożywczego; implementacja funduszy unijnych na rzecz polskiego eksportu rolno-spożywczego; koncentracja sił i środków promocyjnych na rzecz rozwoju polskiego eksportu rolno-spożywczego; wzmocnienie kadrowe Ambasad RP w krajach o priorytetowym i perspektywicznym rozwoju polskiego eksportu rolno-spożywczego.

W czasie V Jubileuszowego Kongresu zwrócono uwagę na potrzebę kontynuowania aktywnej działalności informacyjno-promocyjnej na rynkach zagranicznych, a zwłaszcza dalekowschodnich, afrykańskich i bałkańskich.

Podkreślono także znaczącą rolę informacji i publicystyki ekonomicznej w mediach, a więc w prasie, radiu i telewizji oraz konstruktywną współpracę z mediami, której sprzyja Korpus Promotorów Eksportu Polskiego.

W czasie V Jubileuszowego Kongresu podkreślono potrzebę urzeczywistniania strategii zagranicznej ekspansji podmiotów gospodarczych. Perspektywy tej ekspansji określają trzy czynniki: potencjał, popyt i podaż. Tym dysponujemy. Ażeby sprostać rosnącej konkurencji wykorzystywać trzeba nadal ceny i w coraz większym mierze – innowacyjność oraz jakość produktową.

Uczestnicy V Jubileuszowego Kongresu odnieśli się z aprobatą do działalności SEP w okresie 15 lat i jego współpracy ze środowiskiem eksporterów.

Stanowisko V Jubileuszowego KEPRS w sprawie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw przemysłu rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju

SEP wspierać będzie działania przedsiębiorców, organów rządowych i samorządowych na rzecz wzrostu eksportu rolno-spożywczego stanowiącego istotną siłę napędową rozwoju polskiego rolnictwa. Działania te będą kompatybilne z zagraniczną ekspansją przedsiębiorstw przemysłu rolno-spożywczego w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Wychodząc naprzeciw potrzebom realnego sektora eksporterów przemysłu rolno-spożywczego – V Jubileuszowy KEPRS zwraca uwagę na potrzebę dalszego usprawniania warunków działania firm branży rolno-spożywczej produkujących na eksport poprzez m.in. aplikację funduszy unijnych w latach 2014–2020. W tym zakresie istotną rolę odegra usprawnienie rozwiązań systemowych na rzecz optymalnego wzrostu eksportu rolno-spożywczego oraz kształtowania pozytywnego jego wizerunku na rynkach zagranicznych.

V Jubileuszowy KEPRS widzi konieczność nadania priorytetowych działań w zakresie proeksportowego rozwoju sektora rolno-spożywczego w ramach długofalowej perspektywy rozwoju polskiej gospodarki. W tym celu winny być stosowane instrumenty na rzecz wspierania rozwoju eksportu. Chodzi o: wykorzystanie funduszy unijnych na rzecz rozwoju eksportu rolno-spożywczego; koncentrację sił i środków promocyjnych eksportu żywności na perspektywicznych rynkach zagranicznych; wzmocnienie instrumentów wsparcia rozwoju eksportu rolno-spożywczego.

V Jubileuszowy KEPRS wskazał na dalsze: wzmocnienie działań dyplomacji ekonomicznej, w tym zwłaszcza m.in. w krajach wschodnich w celu złagodzenia lub wycofania embarga na eksport polskich produktów żywnościowych; zaktywizowanie współpracy z partnerami zagranicznymi w celu zwiększenia eksportu do: Królestwa Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Iranu, Chin, Tajwanu, Indii, Japonii, Wietnamu, Algierii, Egiptu, Republiki Południowej Afryki, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Białorusi, Kazachstanu, Indonezji, Malezji, Tajlandii, Kuwejt, Egiptu, Maroka, Brazylii, Argentyny, Meksyku, Chile, Korei Płd., Singapuru i Kuby; ukierunkowanie działań na otwieranie i poszerzanie dostępu do rynków wybranych jako priorytetowe, które leżą w sferze potencjalnego zainteresowania polskich producentów żywności (Zadania te winny być wspierane w trakcie

działań pod hasłem „Polska Smakuje”.); skoncentrowanie sił i środków na najważniejszych zagranicznych imprezach targowych i wystawienniczych oraz w misjach gospodarczych i towarzyszących im spotkaniach biznesowych, a także promocji polskiej żywności w oparciu o polskie marki produktowe; umożliwianie przedsiębiorcom większej obecności na rynkach o dużym potencjalnie importowym (Tam, gdzie polska żywność jest nieobecna lub występuje w niewielkim zakresie. Chodzi przede wszystkim o kraje azjatyckie: Indie, Wietnam, Japonia, Iran czy Tajwan.); kontynuowanie działań ARR na rynkach, które są już dobrze znane polskim eksporterom: Chiny z Hongkongiem, Algieria, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Niemcy, Białoruś (Kierunki te nadal wymagają wsparcia promocyjnego i utrwalania pozytywnego wizerunku polskiej żywności.); ułatwienia dostępu eksporterom do usług bankowych, w tym zwłaszcza kredytowych i gwarancyjnych; rozwijanie aktywnych form współpracy branżowej i międzyregionalnej z zagranicą, w tym z krajami wschodnimi; pogłębienie działań informacyjnych oraz współpracy pomiędzy mediami krajowymi i polonijnymi w zakresie promocji oraz współpracy gospodarczej Polski z zagranicznymi rynkami priorytetowymi i perspektywicznymi.

V Jubileuszowy KEPRS uważa, że sprostanie wyzwaniom w zakresie wzrostu polskiego eksportu rolno-spożywczego przyczyni się do rozwoju całej gospodarki. Na utrzymanie tego postępu będą miały wpływ korzystne zjawiska zachodzące w polskim eksporcie. Poprawa ta, wzmocniona działaniami promocyjnymi poprzez koncentrację sił i środków, przyczyni się do dalszego pogłębienia tendencji utrzymania wzrostu eksportu rolno-spożywczego stanowiącego siłę napędową rozwoju polskiego rolnictwa.

V Jubileuszowy KEPRS mając na uwadze potrzebę optymalnego wzrostu eksportu rolno-spożywczego deklaruje współdziałanie SEP z bankami, przedsiębiorcami, instytucjami, organami rządowymi i samorządowymi w celu wykorzystania potencjalnych możliwości gospodarczych i kadrowych, a także zaplecza naukowo-badawczego na rzecz przyspieszenia tempa proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju polskiego rolnictwa.

Warszawa, 13 marca 2017 r.

500. ROCZNICA REFORMACJI W EUROPIE

Twórcą Reformacji, pomyślanej jako ruch odrodzenia moralnego w łonie katolicyzmu, był niemiecki ksiądz Marcin Luter (1483–1546), którego nauki jednak zostały ogłoszone przez Stolicę Apostolską za herezję. Cóż to jednak jest herezja? Zgodnie ze źródłosłowem greckim nic innego jak „osobne zdanie”, „*verbum separatum*”, brak zgody z tym, co jest ogólnie przyjęte. I nic innego. W chrześcijaństwie herezje występowały już w IV wieku, szczególnie zaś się nasiliły w okresie XI–XIV. Nosicielami ich – czyli ówczesnymi dysydentami – byli m.in. arianie, donatyści, albigensi, lollardowie, katarzy. Każda herezja zawierała w zasadzie trzy podstawowe tezy: 1. Nakaz życia według Ewangelii dla wszystkich; 2. Krytykę moralności zdemoralizowanego kleru; 3. Sokratejski postulat uzdrowienia moralnego poprzez krzewienie oświaty. Wszystkie herezje podkreślały wielką wartość takich chrześcijańskich norm etycznych, jak uczciwość, skromność, brak chciwości, pracowitość, współczucie, pokój. Socjalnym impulsem czy przesłanką do powstawania herezji mogła być, z jednej strony, okoliczność, iż bogactwo i monopol absolutnej władzy demoralizowały kler, co budziło powszechną odrazę ludności do Kościoła, a z drugiej strony, mogły to być próby zamaskowanego atakowania Kościoła jako instytucji przez jego wrogów pod pozorem jego rzekomej naprawy i reformy.

W 1075 roku Papież Grzegorz VII podpisał i opublikował tekst pod tytułem „*Dictatus Papi*”, w którym kategorycznie odrzucił wszelkie i czyjekolwiek próby pouczenia i „poprawiania” Kościoła, który określił jako jedyną instytucję bezpośrednio stworzoną przez Boga, a więc znajdującą się z definicji poza i ponad wszelką krytykę. Cała władza nad światem ma tedy należeć wyłącznie do Kościoła, książęta muszą całować nogę papieża, gdy przybywają do Rzymu, a krytyka nawet kogokolwiek spośród ludzi Kościoła, np. za niemoralne postępowanie, stanowi grzech śmiertelny i musi być karana śmiercią przez spalenie na stosie. Aby poniżający ceremoniał całowania nogi papieskiej nieco złagodzić, na bucie umieszczono wizerunek krzyża, był to więc jakoby rytuał oddawania czci symbolowi Męki Pańskiej, który jednak mało kogo mógł wprowadzić w błąd. No bo jak można było poniżyć krzyż, umieszczając go na papieskich kapciach? (Gdy jeden z papieży zaproponował Iwanowi IV Groźnemu, że ochrzci Moskwę, ten odpisał, że jego kraj od dawna jest chrześci-

jański i nosi krzyż na sercu, podczas gdy „*ty zaś masz go na nodze*” – jako namiestnik Szatana na ziemi.) Zakazano też – pod groźbą kary śmierci – czytania „*Pisma Świętego*” przez osoby niepowołane, czyli świeckie, a zapoznavanie się z nim mogło odbywać się wyłącznie za pośrednictwem kościelnych interpretatorów, czyli osób duchownych. Ten nakaz został widocznie uwarunkowany przez dwie okoliczności, mianowicie, że w „*Starym Testamencie*” aż się roi od scen i opisów przerażających swym obrzydliwym amoralizmem i okrucieństwem, a z drugiej strony faktem, że kler katolicki żył praktycznie zupełnie inaczej niż to wynikałoby z ducha i litery „*Nowego Testamentu*”. Wśród kardynałów zaś i biskupów znaczną część stanowili cyniczni bezbożnicy, a nie osoby wierzące. Po „owocach” zresztą było widać, kim są. Nakazano więc „trzodzić” szczerne zamknięcie oczu i ust, co na dłuższą metę było nie do utrzymania, ponieważ Bóg w swej miłości obdarzył każdą osobę ludzką własnym rozumem i nakazał robić z niego użytek. Żaden Kościół czy partia nie mogą nikogo w tym obowiązku wyręczyć, na co w XX wieku wskazał Karol Wojtyła: „*Istotą osoby jest zdolność do autonomicznego życia wewnętrznego, a życie wewnętrzne to życie duchowe. Koncentruje się ono wokół prawdy i dobra*”. Wartość i godność osoby są ponadczasowe. Nikt nie może nikogo w tej godności zastąpić czy wyręczyć. Osoba stanowi byt autonomiczny i wolny. „*Nikt inny nie może za mnie myśleć czy chcieć. Nikt nie może podstawiać swojego aktu woli za mój*”. Trzeba było jednak około tysiąca lat, aby ludzie Kościoła to zrozumieli. Stąd w międzyczasie rozmaite powstawały „herezje”, „protesty”, „ruchy reformatorskie”, a nawet bunty i rewolty antykościelne. Najdonioślejszym zaś w skutkach był „protest” Marcina Lutra (1483–1546). (Zaznaczmy w tym miejscu, że gdyby Kościół katolicki nie potrafił się zdecydowanie bronić przed rozmaitymi, często perfidnymi sugestiami „reform”, pochodzącymi nieraz z zewnątrz, od wrogów Kościoła, a raz po raz czynił to, czego żądają od niego głosiciele rzekomego „postępu”, dawno przestałby być zdolny do pełnienia swej zbawiennej misji, co więcej, już by nie istniał i pamięć by o nim zanikła. Palił więc na stosach morderców, dzieciobójców, pederastów, aborcyjne pielęgniarki, lesbijki, prostytutki, złodziei, ojcobójców, świętokradców i „heretyków”, pełniąc przez wiele wieków niewdzięczną rolę „sanitariusza” Europy, oczysz-

czającego ziemię z brudów moralnych i odpadów genetycznych.)

Historycy podkreślają, że Marcin Luter wywodził się z przeciętnej rodziny chłopskiej. Rodzice jego byli ponoć fanatycznymi aż do zabobonności katolikami, sam on zaś był pilny, wnikliwy, pracowity, odważny, żądny wiedzy, a przy tym także nader pobożny. Chodził do szkół w Eisleben, Eisenach i Magdeburgu, studiował na uniwersytecie w Erfurcie. Stronił od pokus codzienności, żył natomiast intensywnym życiem wewnętrznym, „diabeł kusiciel” bowiem „*zdawał się przemawiać przez usta każdego kolegi zachęcającego do wesolej popijawy i przez zalotne spojrzenie każdej młodej dziewczyny*”... Jak głosi legenda, ponoć został pewnego letniego popołudnia zaskoczony w drodze, w miejscu odludnym, przez szalejącą burzę. Ogarnięty tedy uczuciem mistycznego lęku i czci dla nadziemskiej potęgi „sił wyższych” miał wówczas sobie zaprzysiąc, iż poświęci swe życie służbie Bożej, zostanie mnichem, a ta decyzja młodego studenta okazała się brzemenna w skutki dla Europy, a nawet całej ludzkości.

Wstępuje więc młodzian, ku wściekłości ojca, do zakonu Augustianów. Wykonuje tam najgorsze posługi, często z workiem żebraczym chodzący po mieście i prosi o jałmużnę. Później otrzymuje święcenia kapłańskie i doktorat z teologii; odwiedza Rzym. I tu, podobnie jak w rodzinnych Niemczech, boleśnie razi go zepsucie i zeświecczenie duchowieństwa, pogoń za blichtrzem władzy, pieniędzy, rozkoszy cielesnych. Gdy celebrował ze szczerem namaszczeniem Mszę świętą w jednym z rzymskich kościołów, pewien Włoch ubrany w sutannę szepnął mu do ucha po łacinie: „*Prędzej niedźwiedziu! Jak długo to ma jeszcze trwać? Zanim ty jedną, ja bym już siedem mszy załatwił*”... Wiele podobnych przeżyć w postaci gorzkiego osadu nawarstwiało się na dnie serca tego gorliwego katolika. Lecz nadszedł moment przełomu...

31 października 1517 roku na drzwiach kościoła zamkowego pod wezwaniem św. Pawła w Wittenberdze Marcin Luter przybił gwoździem swe słynne 95 tez w sprawie odpustów („*Disputatio pro declaratione virtutis indulgentiarum*”). Był to punkt przełomowy nie tylko w karierze młodego zakonnika, lecz też w dziejach Europy i całego chrześcijańskiego świata.

I chociaż pierwotnie – co nie ulega raczej wątpliwości – celem tego wystąpienia była chęć ukrócenia oszukańczych machinacji kleru przy sprzedaży odpustów, tzw. indulgencji, w czym celował zwłaszcza pewien dominikanin Johann Tetzel, chodziło jednak i o rzeczy



Marcin Luter

bardziej fundamentalne. A mimo to wystąpienie młodego buntownika zostało początkowo zlekceważone (śmiano się w Rzymie: „*jakiś pijany Niemiec z Wittenbergi wydał tezy po łacinie*”). Luter jednak nadal atakował. Niejedna z jego tez była powtórzeniem nauk Jana Husa, wielkiego słowiańskiego reformatora, który już wcześniej spalony został na stosie. Luter znalazł się w o tyle lepszej sytuacji, że książęta niemieccy byli poróżnieni nie tylko między sobą, lecz także z papiestwem, które samo było nie lada potęgą feudalną. Na dodatek od dawna trwała „przepychanka” między cesarzem niemieckim a papieżem, z których każdy dążył do dominacji kosztem innego. Były więc Niemcy idealnym terenem do siewu zaczętego przez Marcina Lutra, którego nauki miały zresztą charakter przeważnie polityczno-socjalny, wynikały z realnych procesów, sprzeczności, konfliktów społecznych.

Nie sposób pomijać milczeniem pewnych pozytywnych aspektów w protestantyzmie, bo chociaż na pierwszy rzut oka kopie kruszone były niby to o zagadnienia oderwane, teologiczne, faktycznie chodziło o zasady, na których miało być organizowane życie zbiorowe i osobnicze ludzi. Luter burzył średniowieczny układ społeczny, zwiastował nadejście nowego. I tak

np. w Tezach inaczej niż ówczesna tradycja katolicka ujmuje on pojęcie pokuty, „uwewnętrznia” ją niejako. Pokuta według niego polegałaby na ciągłej wewnętrznej skrusze grzesznika. Tylko bowiem stałe nastawienie umysłu w kierunku uznania własnej grzeszności i bezradności zapewnia przebaczenie u Boga. *„Protestantyzm jednak, obalivszy wiele barier wzniesionych z takich trudem przez Kościół, natychmiast zaczął odczuwać destrukcyjne i schizmatyczne efekty indywidualnego objawienia. Kiedy tylko zniszczone zostały bariery dogmatyczne, a rytuał stracił autorytet i skuteczność, człowiek stanął wobec wewnętrznego doświadczenia pozbawiony ochrony i przewodnictwa dogmatu i kultu, które są niezrównaną kwintesencją zarówno chrześcijańskiego, jak i pogańskiego doświadczenia religijnego. Protestantyzm zagubił w gruncie rzeczy wszystkie subtelniejsze odcienie dogmatu – mszę, spowiedź, większą część liturgii oraz koncepcję kapłana jako przedstawiciela wiernych”* (Carl Gustav Jung, *„Psychologia a religia”*). Była to jakby utrata stanu pierwotnej niewinności.

„Na długo jednak przed reformacją – powiada słusznie Max Stirner – sofistyczne «kłótnie» były tak powszechne, że papież, jak i większość ludzi uznali początkowo wystąpienie Lutera za zwykłą kłótnię pomiędzy mnichami”. Skutkiem powstania luteranizmu był fakt, jak to określa Max Stirner, że *„odtąd serca stały się zdecydowanie bardziej niechrześcijańskie”, że „również z serca zrzucano ciężki balast chrześcijańskości”*.

„Można powiedzieć, że protestantyzm był znacznie bardziej nietolerancyjny, dużo bardziej opresyjny niż religia katolicka w krajach, w których ją zastąpił. Później natomiast sam katolicyzm, pod wpływem wydanej mu wojny, stał się mniej tolerancyjny, mniej pobłażliwy, bardziej agresywny. W końcu, za czasów Leona X i przed Lutrem, panowała w Rzymie wolność wyrażania myśli, której brakowało w krajach protestanckich, a następnie również w krajach katolickich” (Vilfredo Pareto, *„Uczucia i działania”*).

Jest to prawdziwe stwierdzenie, ale przez wielu krytyków Kościoła katolickiego kwestionowane. Katolicyzmowi zarzuca się m.in. „zbrodnie” inkwizycji, choć przecież w sumie ofiarami „polowań na czarownice” padło w całej Europie w ciągu kilku wieków – jak ustalili naukowcy niemieccy w 2002 roku – od 60 do 80 tysięcy osób: prostytutek, pederastów, lesbijek, aborcyjnych położnych, Żydów profanujących świętości chrześcijańskie, znachorów, dziwaków, złodziei, włóczęgów, bandytów (z tego ponad 25 tysięcy w krajach germanojęzycznych). Kobiety stanowiły przeciętnie

około 60 procent palonych na stosach, resztę – mężczyźni i hermafrodyty.

Jeśli chodzi o zagadnienia duchowe, to Fr. Nietzsche pisał w *„Woli mocy”*: *„Przez reformację jednostka dąży do wolności; «każdy swoim własnym kapłanem» jest także tylko pewną formułą libertynizmu. Zaprawdę, dość było jednego słowa – «wolność ewangeliczna» – i wszystkie instynkty, które miały powód do pozostawiania w ukryciu, rzuciły się jak psy dzikie, najbrutalniejsze potrzeby nabrały od razu śmiałości być sobą, wszystko wydało się usprawiedliwionym... Strzeżono się pojąć, jaką to wolność istotnie miano na myśli, zamykano przed sobą oczy... Ale że zakrywano oczy, a wargi zwilżano pełnymi marzycielskiego zapału mowami, to nie przeszkadzało bynajmniej, że ręce chwyciły, gdzie było coś do chwycenia, że brzuch stał się bogiem «wolnej ewangelii», że wszystkie pożądliwości z zemsty i zawiści płynące zaspakajały się w niesytej wściekłości”*...

Co świątlejsi i obdarzeni poczuciem odpowiedzialności ludzie rozumieli, że temu rozkładowi trzeba stać tamę.

Luter podkreślił indywidualną odpowiedzialność jednostki w procesie zbawienia, uważał, że handel odpustami jest zabójczy dla rzesz wiernych, gdyż umacnia je tylko w przekonaniu, że przebaczenie grzechów można osiągnąć automatycznie – dzięki indulgencjom, kupić je za pieniądze, zamiast zasłużyć na życie wieczne w procesie żmudnej pracy wewnętrznej nad oczyszczeniem swej duszy i życia z brudu moralnego.

Zakwestionował też młody reformator rolę kleru wyższego i papieża, podał w wątpliwość nadmierne uprawnienia duchowieństwa. W wielu punktach drastycznie zaprzeczył praktykom katolickim. Tak punkty 14 i 15 jego *„Tez”* głoszą:

– *„Niedoskonłość zdrowia duchowego (czyli miłości) umierającego niesie ze sobą ogromny lęk i to tym większy, im mniejsza była ta miłość.*

– *Ten lęk i udręka są już same dostateczną karą czyśćcową, ponieważ graniczą z udręką desperacji”*...

Rozwijając biblijną myśl o tym, że występki już sam w sobie jest karą dla grzesznika, pozbawia go bowiem spokoju, „zdrowia duchowego”, Luter idzie dalej i przenosi czyścić z zaświatów do duszy żyjącego jeszcze człowieka, udręczonego własnym upadkiem. W ten sposób ostatecznie błędne okazywało się mniemanie katolików o doniosłej roli spowiedzi i Kościoła, jako instytucji rzekomo mającej moc odpuszczania grzechów, w życiu ludzi...



Drzwi kościoła zamkowego Schlosskirche, na których Marcin Luter miał przybić swoje tezy

Nie ulega wątpliwości, że powodem dysputy, którą wszczął Luter było, jak sam twierdził, „gorące pragnienie oświeślenia prawdy”. Cóż, kiedy nauki jego pozabawiliby (w razie zwycięstwa) kler katolicki krocich dochodów ze sprzedaży listów odpustowych. Buntownik z Wittenbergi wprost bowiem pisze: „*Kto daje jałmużnę ubogiemu lub użyczy czegoś potrzebującemu, lepiej czyni, niż gdyby kupował sobie odpusty*” (teza 43); „*Przez uczynki miłosierdzia człowiek staje się lepszy, przez odpusty natomiast nie*”... (teza 44). I dalej: „*jeśli ktoś widząc ubogiego mija go i idzie kupić odpust, nie odpust papieski zyskuje, lecz gniew Boży ściąga na siebie*” (teza 45). Szanując jeszcze instytucję papieństwa pisał Luter: „*Pouczyć należy chrześcijan, że gdyby papież znał metody ściągnięcia pieniędzy stosowane przez tych głosicieli odpustów, wolałby, żeby Bazylika św. Piotra w proch się rozsypała, niż by miał ją budować za cenę skóry, mięsa i kości swoich owiec*” (teza 50).

Nauki te, rzecz jasna, wywołały oburzenie zarówno ze strony bogatych grzeszników, którzy nieraz na wiele lat naprzód kupowali sobie rzekome odpuszczenie najohydniejszych grzechów, jak i ze strony pasożytniczego kleru, pogrążonego w nieróbstwie i przepychu. Ani jedni, ani drudzy nie chcieli już przyjmować do wiadomości słów Jezusa (którymi Luter kończy swe tezy): „*Raczej przez wiele utrapień i udręk niż przez spokojne i bezpieczne życie wejdą do królestwa niebieskiego*”.

Rozpętała się więc ostra nagonka na byłego „brata” Augustianów.

Radykalizm antypapieski w poglądach Lutra z biegiem czasu się wzmacniał. Reformator odrzucił jako bez-



Luter palący bullę papieską

sensowne tak fundamentalne tradycje katolickie, jak spowiedź wiernych i celibat księży, a nawet doszedł do wniosku, że cały Kościół jako instytucja jest niepotrzebny... O co tu konkretnie chodziło? Jak wiadomo, podstawowa funkcja Kościoła katolickiego polega na jego pośrednictwie między człowiekiem a Bogiem. Kościół, kapłani organizują kontakty (msze, sakramenty) między śmiertelnikami a Absolutem, pomagają ludziom w poznaniu (homilie, nauczanie), sprawują kontrolę moralną (spowiedź). Luter zaś, oburzony zepsuciem panującym w ówczesnym katolicyzmie, doszedł w końcu do wniosku, że Kościół jako instytucja jest w ogóle zbędny. Bóg bowiem, jego zdaniem, przemawia do duszy każdego człowieka bezpośrednio, jako głos serca.

A więc wystarczy człowiekowi głęboko wierzyć, słuchać głosu swego sumienia i czytać „Biblię” (przypomnijmy, że Papież Grzegorz VII czytania „Pisma Świętego” zakazywał, a nieposłusznych palono na stosach!), aby być dobrym chrześcijaninem. „*Nie może być – pisał Luter – lepszych przykazań niż to, że każdy w postępowaniu ze swym bliźnim winien pamiętać o tych zasadach: «Nie czyńcie innym, co wam niemiło» i «Kochaj bliźniego jak samego siebie».* Jeśli to będzie wykonane, to wszystko inne samo się ułoży. Nie będzie potrzeba żadnego kodeksu prawa ani sądów, ani procesów; wszystko po prostu i po cichu będzie się działo zgodnie z prawem, gdyż każdego człowieka poprowadzi jego serce i jego sumienie”.

Reformator zdawał jednak sobie sprawę z tego, że nie brak na ziemi ludzi nie kierujących się ani sercem, ani sumieniem. Co zalecał czynić w tej sytuacji? „*Wiedziecie – pisał – że mało jest chrześcijan prawdziwych na ziemi. Dlatego też trzeba światu twardych i surowych rządów cywilnych, aby tenże świat nie zdziczał, aby pokój nie zniknął... Niech nikt nie myśli, że światem można rządzić bez krwi. Miecz cywilny będzie i musi być czerwony i krwawy*”. (Słowa te, którym nie sposób odmówić mądrości, stoją w rażącej sprzeczności ze współczesną idiotyczną doktryną jurydyczną, która pozwala zbrodniarzom mordować bezbronnych i niewinnych ludzi, a potencjalnym i realnym ofiarom odmawia prawa do samoobrony w postaci kary śmierci dla szczególnie nikczemnych morderców.)

Państwo musi utrzymywać moralność chrześcijańską i żadna inna instytucja (w tym też Kościół) nie ma prawa ingerować w to, co czyni państwo, którego wola jest wyrazem intencji siły wyższej. A jeśli władza jest niemoralna i niesprawiedliwa? – Luter wierzył – w tym przejawiała się tragiczna w skutkach jego naiwność – że

władca zawsze będzie bogobojny, będzie słuchał swego „serca i sumienia”...

Dążenie do ubóstwienia państwa zyskało ze strony zwolenników absolutyzmu uznanie; większość książąt niemieckich bardzo szybko stanęła po stronie Lutra w jego zmaganiach z Rzymem. Jednostka ludzka zaś, wyrwana spod jednego jarzma, wtłoczona została pod inne. Miejsce czyścica zajęła szubienica oraz miecz „czerwony i krwawy”. I tu stykamy się z jedną z wielu wewnętrznych sprzeczności luteranizmu. – Powstał on jako ideologia sprawiedliwości, z biegiem czasu jednak stał się, jak to często bywa, ideologią apologetyczną, ochraniającą istniejące *status quo*. Jest ten fakt, jak się wydaje, znakiem pewnej ogólniejszej tendencji. Każda nowa ideologia rodzi się i ubiera w piórka wolnościowe. (Tylko pod tym warunkiem może ośwładać umysłami ludzkimi i stać się siłą materialną.) Lecz trwa to nierzadko tylko do chwili, aż stanie się ona ideologią panującą, opierającą się na realnych strukturach społecznych. Po tym akcie jedynym bodaj jej celem jest zachowanie istniejącego stanu rzeczy. Nawet dawne hasła wolnościowe otrzymują taką wykładnię, iż ztracają swój pierwotny bezpośredni sens; stają się pustym dźwiękiem lub wręcz ideologią ucisku. Nie uniknęło tego losu i chrześcijaństwo na różnych etapach swego rozwoju. Powstałe jako „*wielki ruch rewolucyjny*” (patrz: F. Engels, „*Księga objawienia*”), gdy stało się ideologią panującą, tj. ideologią panujących, często nadużywane było w celu uświęcenia niesprawiedliwości i uwiecznienia niedoli ludzkiej. Nie negując szeregu pozytywnych elementów w ruchu protestanckim, nie można jednocześnie przymykać oczu na niuanse skrajnie antydemokratyczne tkwiące w tej ideowej formacji.

Już po kilku latach działalności znaleźli się u Lutra (chciani i niechciani) kontynuatorzy, uczniowie, rywale (zły przykład jest zaraźliwy – Melanchton, Kalwin, Müntzer, Zwingli i in.). Sam zaś protestantyzm niebawem rozpadł się na kilka odłamów, nieraz wrogich, nawzajem się zwalczających. W Niemczech, nie bez wpływu luteranizmu, wybuchła wojna chłopska skierowana przeciw książętom. Ku rozpaczy Lutra z reformy zaczęła się robić rewolucja, a on sam został uwikłany w politykę. Imię jego jest na ustach chłopów równających z ziemią zamki książęce, klasztory i kościoły.

Luter jednak przestraszył się rewolucji. „*Nie chciałem, – powiedział wówczas – aby o Ewangelię walczono gwałtem i rozlewem krwi*”. I to można zrozumieć. Lecz mija niewiele czasu, a Luter rzuca przeciwko chłopskim

powstańcom Tomasza Müntzera słowa niezwykle gwałtowne: „*Kto tylko może, winien ich bić, dusić i dźgać, skrycie i jawnie, tak jak zabić się musi psa wściekłego*”... Władza legalna, nawet jeśli jest dokuczliwa, zawsze jest lepsza niż chaotyczne poczynania zbuntowanego motłochu, a posłuszeństwo ma wyższość nad krnąbrnością. Idea ta, którą trudno uznać za demokratyczną, przewija się w wielu wypowiedziach Lutra i stała się rzeczywiście bodaj jedną z najbardziej typowych dla tzw. „*ducha niemieckiego*”. (Konia z rzędem temu, kto potrafi pogodzić powyższą ideę Lutra z jego np. myślą: „*Naszym bliźnim jest każdy człowiek, a w szczególności ten, który potrzebuje pomocy*”!)

Przeciwiństwa te, niestety, znalazły też odbicie w życiu praktycznym. Ofiarami protestanckiej inkwizycji padły wkrótce tysiące ludzi, w tym jednostki tak wielkiego formatu, jak Miguel Serwet (odkrywca krwioobiegu, wielki badacz przyrody), Tomasz Moore (autor „*Utopii*”, wielki filozof, święty Kościoła katolickiego) i in. Obyczaje wprowadzone przez nową konfesję wcale nie były lepsze od dawnych. Pisarz duński Thorkild Hansen notuje: „*Szczególną cechą zwyczajów i praw oowych czasów były częste procesy czarownic, które pojawiły się w Danii po wprowadzeniu reformacji... Główną osobą tych scen był wykonawca kary, czyli jak go się zwykle nazywa – kat. Był nim z reguły Niemiec. Za swoją pracę dostawał od miasta stałe wynagrodzenie, ale ponieważ zakres tych czynności, z natury rzeczy, nie mógł być z góry dokładnie określony, uzupełniano go w ten sposób, że dodatkowo otrzymywał on za każde swoje urzędowe działanie specjalną zapłatę według cennika: «Za każdego, komu odciąć głowę – dwa talary... Za czarownicę, którą spalić – cztery talary» itd. Obok tych sum kat miewał w wielu przypadkach wcale niezły dodatkowy dochód ze sprzedaży czaszki i palców skazanego. Czaszkę kupował aptekarz, kruszył ją i zarabiał bardzo dużo na wyprodukowanym z niej proszku, który był jakoby skutecznym lekiem na epilepsję. Natomiast palce kupowały przeważnie kobiety, choć musiało to odbywać się po kryjomu. Był to bardzo cenny towar. Niewiasta, która przesunęła odrąbanym palcem przestępcy między udami, mogła być pewna, że rozbudzi w mężczyźnie miłosne zapęty. Była to znana sprawa*”... Aż się wierzyć nie chce, że to się działo w „kulturalnej i cywilizowanej” Danii zaledwie 300 lat temu, gdy protestantyzm stał się tam religią państwową.

Zło tkwiące w „nowym”, czatujące za pięknymi hasłami wolności i sprawiedliwości, nie zawsze jednak było zauważalne w początkowym stadium ruchu. Na-

tomiasz tęsknota do odnowy moralnej, obrzydzenie do ówczesnych praktykami kurii rzymskiej były tak silne, że reformacja w ciągu liczonych dziesięcioleci zakorzeniła się na ogromnych polaciach całej nieomal Europy, od Tamizy po Dniepr. Znaczną w tym rolę odegrał m.in. fakt, że Luter i jego następcy wzbogacili liturgię o wspaniałą hymnologię. Wierni, zgromadzeni w świątyni, wspólnie odśpiewywali pieśni religijne, (którym nieco później J.S. Bach nadał tak piękną oprawę muzyczną). Sprzyjało to popularyzacji treści nowych nauk, łączyło wiernych wewnętrzną więzią psychologiczną przez jednoczesne oddziaływanie czynników intelektualnych, estetycznych i moralnych.

Przyszła reformacja i na ziemi Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy, zyskując tu zarówno możnych opiekunów, jak i tysiące gorliwych wyznawców. Nie zabrakło na naszych ziemiach również wybitnych teoretyków protestantyzmu. Tworzyli tu swe dzieła Andrzej Frycz Modrzewski („*Sylwus*”), Piotr z Goniądz („*O ponurzeniu chrystyjańskim*”), Szymon Budny („*O urządzeniu miecza używającym*”), Grzegorz Paweł z Brzezina („*Przeciwko «Zdaniam o wojnie»*”).

Rozkwitła też filozoficzno-religijna poezja tego nurtu, szczycąca się takimi imionami jak Marcin Czechowicz, Tomasz Sokołowicz, Stanisław i Gabriel Lubienieccy, Jan Andrzej, Zbigniew i Stanisław Morsztynowie, Erazm Otwinowski, Olbrycht Karmanowski. Był też protestantem, arianinem, Wacław Potocki, jeden z najpłodniejszych poetów polskich, autor ponad 300 tysięcy wierszy, w większości nacechowanych głębokim namysłem filozoficznym i niebanalnymi spostrzeżeniami moralno-psychologicznymi.

Wielkie były też zasługi arian (Braci Polskich) w rozwoju oświaty. Dzieła swe pisali ci poeci i uczeni w języku polskim, uważając łacinę za przeżytek średniowiecza. To ariański uczony Statorius był autorem pierwszej „*Gramatyki języka polskiego*” (1568 r.). Słynęły szeroko akademie i drukarnie w Rakowie, skąd literatura niekatolicka rozchodziła się po całej Europie. Traktaty pisane po polsku przez Wiszowatego, Moskorzewskiego, Przypkowskiego, Gosławskiego czytały cały ówczesny cywilizowany świat. Świetne szkoły innowiercze działały w Iwii, Nieświeżu, Nowogródku, Łosku, Białej Podlaskiej. Uczyły się w nich przeważnie dzieci zwykłych obywateli, gdyż arianie nie pobierali opłaty za naukę; głoszenie prawdy uważali za obowiązek wobec Boga i ludzi.

Nikt tak jak arianie nie dbał o wykształcenie i równouprawnienie kobiet. To z ich grona wyszła pierwsza polska poetka Katarzyna Morsztynówna (zamężna Wacławowa Potocka), która była też kaznodziejką i duszpasterką.

Pożałowania godny jest fakt, że przyrwy fanatyzmu katolickiego uniemożliwił później dalszy rozwój kultury różnowierczej i wprowadził do polemiki publicznej elementy prostackiej demagogii i wulgarnego szczucia adwersarzy. Pewien jezuita np. doszedł (zastanawiając nad kłopotliwym faktem, dlaczego to sędziowie protestanci – w przeciwieństwie do katolickich – nie biorą łapówek) do „genialnego” wniosku: katolicy biorą do łapy, ponieważ szatan ich kusi i chce sprowadzić na manowce, a protestantów nie rusza, ponieważ i tak ma ich w swojej mocy. Ale dlaczego w takim razie inkwizycja paliła na stosach „heretyków”, przecież ich też – rozumując *per analogiam* – „szatan kusił”. Należałoby więc ich (jako ofiary usiłowań szatańskich) podziwiać, kochać i nagradzać (zresztą także w myśl ewangelicznego nakazu „*kochajcie nieprzyjaciół wasze*”), a nie smażyć żywcem niby jakieś ryby...

Znakomity filozof-encyklopedysta Paul H. Holbach (1723–1789) pisał: „*Jedynie oszustwo lęka się dyskusji; jedynie tyrania obawia się rozumności; jedynie rząd bez zasad i słusznych poglądów karze błąd i czyni próżne wysiłki, aby skrzepować wolność myśli. Zniewolenie ludów przynosi pożytek jedynie władcom, którzy nie mają talentów ani cnót koniecznych do dobrego rządzenia*”.

Jednym z dodatknych skutków zapoczątkowanej przez Marcina Lutra reformacji było zainicjowanie bezprecedensowej fali otwartych dyskusji i polemik na tematy teologiczne, filozoficzne, moralne, polityczne. Monopol Kościoła katolickiego na wolność słowa mówionego i drukowanego został raz i na zawsze zniesiony. Rozkwitło mnóstwo rozmaitych szkół i szkółek filozoficznych, ostro nawzajem się zwalczających. Drukowano ogromną ilość broszur i książek w językach nowożytnych – martwa łacina złym byłaby pośrednikiem między uczonymi a ludem, do którego zwracali się i który chcieli dla swego punktu widzenia pozyskać zarówno protestanci, jak też katolicy polemici. Kultury narodowe zyskiwały na tym ogromnie...

Minęło kilka lat od pierwszego publicznego wystąpienia z tezami doktora teologii z Wittenbergi, a myśl dysydencka rozkrzewiła się także w dawnym Wilnie. I tu rozgorzały płomienne spory i dyskusje. Współczesny

znawca kultury dawnej Rzeczypospolitej Janusz Tazbir zaznacza, że pod tym względem jednak państwo polsko-litewsko-ruskie doby demokracji szlacheckiej różniło się dość zasadniczo od Europy Zachodniej. *„We Francji, Niderlandach czy Niemczech walka o swobodę wiary torowała bowiem drogę późniejszemu rozwojowi praw obywatelskich. W Rzeczypospolitej szlacheckiej natomiast już istniejąca demokracja parlamentarna stwarzała skuteczny puklerz, chroniący zwolenników reformacji. Występując na synodach różnowierczych szlachta czerpała całymi garściami z doświadczeń sejmikowych. Wolność propagandy wyznaniowej była ściśle związana z ogólną swobodą druku i słowa”*, która tu od dawna istniała.

2 czerwca 1599 roku odbyła się w Wilnie jedna z najgłośniejszych „dysput”, tj. publicznych dyskusji katolików z innowiercami. Ze strony katolickiej wystąpił „sławny pogromca socyan” – profesor Wszechnicy Wileńskiej Marcin Śmiglecki; ze strony dysydentów – kilku duchownych ewangelickich. Na zamku „jegomość pana wojewody wileńskiego” stawiało się wielu dygnitarzy z całej Litwy, Rusi i Polski, było sześciu wojewodów, pięciu książąt, „a ludzi rozmaitych około trzech albo czterech tysięcy”. Ustalono m.in. pięć zasad, którymi musieli się kierować dyskutanci, aby nie zbaczać z właściwego toru rozmowy. *„Niech będą odjęte przedmowy – zalecano – akklamacje, kazania i wszelakie długie mowy, ale raczej krótkim argumentem rzecz zawiązać, co służy do pojęcia i zbudowania”*. Adwersarze mieli też *„directe (prosto) przeciw podanym artykułom mówić, a nie o innych rzeczach”*... Mimo tych rygorystycznych przepisów, a i rzeczywiście nader wysokiej kultury prowadzenia dyskusji z obu stron, trwała polemika aż sześć godzin. Na tym się zresztą nie skończyło, bo po wygaśnięciu głównej dyskusji, (która, jak to w takich wypadkach bywa, nikogo bodaj do niczego nie przekonała) chcieli jeszcze studenci uniwersytetu stanąć w szranki z dysydentami, życząc *„dysputować z nimi przed miastem”*. Dopiero Jerzy Radziwiłł, wojewoda brzeski, uwolnił ideologów innowierstwa ze szponów rozpłomienionej żarem dyskusji (i podszczuwaniem jezuitów) młodzieży akademickiej. Mógł to uczynić jednak tylko dlatego, że miał do dyspozycji i bezpośrednio wykorzystywał... *„huf strzelców swych ku wyprowadzeniu braci...”*

Nieraz bezwzględnie zwalczały się nawzajem także poszczególne odłamy miejscowych protestantów. W 1595 roku na słynnym Synodzie Toruńskim wystąpili kalwini Abramowicz, Popowski, Brzeziński przeciwko



Luter przed Kajetanem

ariańskim „herezjom” Czechowicza i Budnego, twierdząc, że *„szatan nasiał kłólu w zborze wileńskim, obalając naukę o prawdziwym Bogu”*. Jednocześnie nalegał na wysłaniu do króla poselstwa z prośbą o *„zasłanianie nas od prześladowań i samowolności ludzi wyuzdanych”*, *„cudzoziemców i przybyszów”*, tj. jezuitów.

Do pierwszych i najgorętszych wyznawców reformacji na Litwie należeli profesorowie Stanisław Rapagelonis, Jerzy Zabłocki i Abraham Kulwiec. Ten ostatni był uczniem Erazma z Rotterdamu, został też jednym z pierwszych profesorów założonego w 1544 roku uniwersytetu w Królewcu.

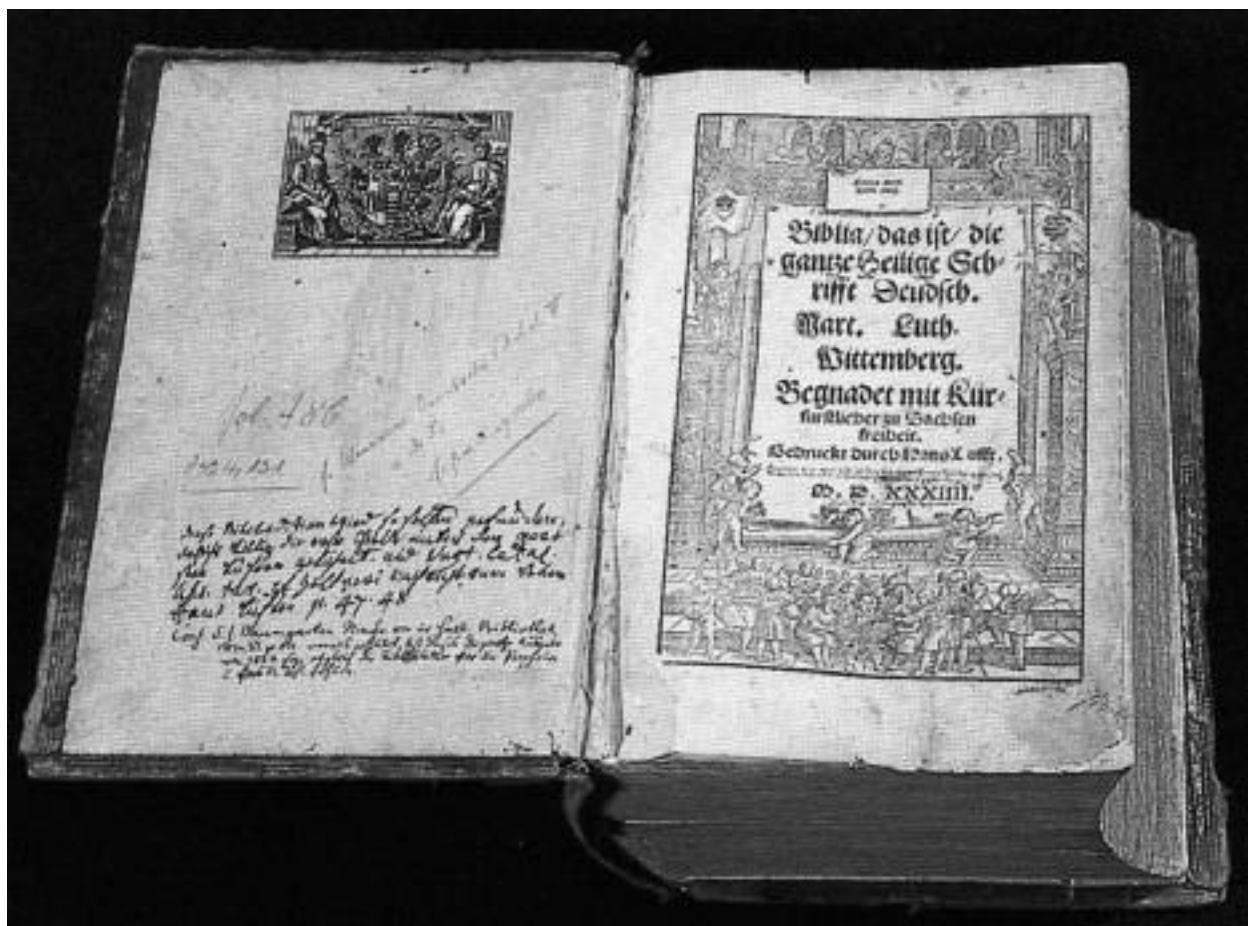
Obecność innowierstwa jest niepokojąca już przez samą jego możliwość. Z nieuchronnością bowiem ponownie stawia osobę i zbiorowość przed fundamentalnymi zagadnieniami egzystencji ludzkiej: Skąd przyszliśmy? Gdzie jesteśmy? Dokąd idziemy? Co, u licha, to wszystko w ogóle znaczy – świat, człowiek, Bóg?... O ile w ogóle coś istnieje, a nie tylko wydaje się istnieć?.. Budzi też pełne rozpacz przeżycie, że jednak nic nie wiadomo... Ta zaś egzystencjalna niepewność jest stanem nieznośnym. Aby go zniwelować, próbuje się nie raz likwidować fizycznie inaczej-wierzących i myślących, co prowadzić może do skutków pożądanых (szczególnie jeśli sądzący przejmują na własność mienie i wpływy osądzanych)...

Niech się nikomu nie wydaje, że były to takie sobie niewinne przelewki z ówczesnymi dysputami ideologicznymi. Temperatura intelektualna tych spięć była tak wysoka, że niektórzy nerwowo nie wytrzymywali, jak np. wilnianin Michał Gongid, który w wyniku niekończących się polemik *„wpadł w szaleństwo jawne, za ludźmi, a osobliwie w samych domach, nie tylko na ulicach, biegał, jakby kogo zabić chciał”*... Gdy mu odrobinę „przeszło”, znów zaczął dyskutować i agitować...

W ciągu długiego okresu walka między protestantyzmem a katolicyzmem w Rzeczypospolitej nieco różniła się od takowej w innych krajach Europy. Nie cechował jej tu tak zacięty dogmatyzm. I tak np. nowo narodzony fanatyzm luterński, bezwzględnie dążący do „oczyszczenia” życia społecznego z wszelkiego zła moralnego, zrodził m.in. falę krwawego antysemityzmu. Tysiące Żydów (którym zarzucano rzeczywiste i wyimaginowane grzechy, wśród których najczęściej wymieniano lichwiarstwo, okradanie kościołów i mordy rytualne) zabito, setki tysięcy zaś musiały uciekać z Niemiec, Austrii, Czech. Dokąd? – Ano właśnie do Polski i Litwy, w których wyznawcom Mojżesza nie tylko zagwarantowano ustawodawczo i praktycznie bezpieczeństwo, lecz też nadano wiele praw i przywilejów włącznie z prawem do własnego niezależnego sejmiku i samorządu. Fakt w ogóle bez precedensu. Przejawiło się w nim naturalne i zrozumiałe skądinąd poszanowanie ludzkiej godności, inności i odrębności przybyszów...

Władze i obywatele Rzeczypospolitej skutecznie też opierali się naciskom Rzymu, nalegającego na zaostrezenie walki z przeciwnikami katolicyzmu. Senatorzy polscy jeszcze w 1643 roku takimi słowami wyrazili swą kulturę polityczną w liście do Papieża Urbana VIII: „*Niechaj się chętni kto chce krwawymi zwycięstwami i przywróceniem religii przez mordy i rzezie. My sądzimy, że pobożność naszych królów skuteczniejsza jest niż oręż; i tego jedynie miecza dla nawrócenia heretyków używamy*”.

„Złoty wiek” pluralizmu ideologicznego miał się jednak ku końcowi. Aby zapobiec tumultom ulicznym i ewentualnemu przelewowi krwi, Zygmunt III Waza w 1622 roku zabronił przeciwnikom katolicyzmu dalszej publicznej polemiki, lecz kwestia wyznawania tych czy innych przekonań pozostawała sprawą prywatną obywateli. Węzeł gordyjski został przecięty, przynajmniej w płaszczyźnie prawnej, i co najwyżej do połowy. Przez kilka dziesięcioleci istniały jeszcze znaczne elementy pluralizmu ideologicznego, ale i one pod wpływem dramatycznych wydarzeń politycznych oraz agresywności ideologicznej jezuitów musiały zanikać.



Biblia Lutra

Do rozruchów na tle religijnym dochodziło najczęściej w okresach osłabienia władzy państwowej i niepewnej sytuacji politycznej kraju. Typowe są zajścia, do jakich doszło w czasie bezkrólewia w roku 1587, po śmierci Stefana Batorego, który wcześniejsze podobne wybryki tępił z całą surowością: „*W święto Wniebowstąpienia kończono w kościele pojezuickim w Krakowie 40-godzinne nabożeństwo. Istniał zwyczaj, że w czasie nabożeństwa podnoszono na cześć Chrystusa pod samo sklepienie obraz albo żywego człowieka, na pognębienie zaś szatana z wieży kościoła lalkę, znacznej wielkości, wyobrażającą «łotra». Gdy tylko taka lalka spadła na ziemię, tłum rozumiejąc pod tym symbolem «heretyków» rzucił się na ich świątynie, cmentarze, bił, kaleczył, a nawet mordował «kacermistrzów» protestanckich.*

Podobnie się stało po nabożeństwie w roku 1587. Po strąceniu manekina, ktoś krzyknął: «na zbory» – a tłum składający się z uczniów i «pospólstwa», zaraz posunął się pod zbór. Drągami wyważono drzwi, wszystko wewnątrz porąbano, a książki, naczynia, pieniądze wyrzucono na ulicę. Urządzono nawet widowisko z rozpruwaniem pierzyn i puszczaniem pierza na wiatr na Rynku. Drzwi, ławy, ambony i inne sprzęty spalono. Na drugi dzień wewnątrz zboru podłożono ogień, a po spaleniu drewnianych konstrukcji pozostały gołe mury zboru, podobne do pieca wapiennego”. I kto się jeszcze poważny mówił o rzekomej polskiej tolerancji? Napady uchodziły bezkarnie, choć na sejmikach szlacheckich odezwały się protesty zagrożonej w swym poczuciu bezpieczeństwa szlachty. Wszczęte śledztwo w tym, jak i w innych przypadkach umorzono. Panujący wówczas król Zygmunt III Waza, zwany królem jezuitów, nie wykazywał gorliwości w obronie prześladowanych innowierców.

Tłum i inspiratorzy czuli się zatem dość bezkarnie. W 1591 roku, po zrzuceniu z wieży kościelnej słomianego „łotra” napady na protestantów i niszczenie ich dobra trwały kilka dni. Spustoszone cmentarze ewangelickie, porozbijano pomniki i rozkopano groby. Trupy okradano z kosztowności. Profanowano nie tylko groby i ciała „odstępców”-mieszczan czy biedoty. Znieważono także zwłoki wojewody Myszkowskiego, stawiając je do góry nogami.

Prześladowani i zastraszeni w ten sposób innowiercy usiłowali szukać obrony. W Wilnie, gdzie również doszło do pogromów, zawiązała się konfederacja, której celem była obrona praw wyznawców Kościołów niekatolickich. Zachowały się akta tej konfederacji, a w nich skargi na doznawane gwałty: „*Zburzono wielką liczbę*

kościółów naszych, zborów i domów modlitwy, a gwałtem owym towarzyszyły rabunki, rozlew krwi, morderstwa i wszelkie okrucieństwa; a wszystko to wykonywano z niesłychaną radością i bez litości tak nad żywymi, jak i nad umarłymi...

Duchowieństwo nasze: proboszcze, kapelani, nauczyciele i kaznodzieje, prześladowane jest za swe przywiązanie do naszego wyznania i bywa przedmiotem zniewag, potwarzy i napaści we własnych swoich domach, z których ich wyrzucają, zabierając ich mienie. Pozbawiają ich spadków, chwytają na gościńcach i w miastach należących do dóbr koronnych, trzymają w ścisłym więzieniu, biją, mordują i topią...

Napadają na nas gwałtownie w kazaniach swych, wskazując rozmaite sposoby zniszczenia nas, a lud podżegają przeciwko nam obietnicą błogosławieństwa”.

Ruch innowierczy schodził zatem z areny polskich dziejów – pod naciskiem katolickiego bolszewizmu – i zanikał w kulturze polskiej, bynajmniej nie na zasadzie automatycznych i bezkonfliktowych procesów światopoglądowych. Okolicznościom polityczno-historycznym (wojny z państwami o dominujących niekatolickich wyznaniach) towarzyszyła antyheretycka zawzięta kampania, choć – jak już to powiedziano we wstępie – tylko w części tak krwawa, jak w zachodniej Europie.

W Wilnie, w roku 1682, doszło do agresji przeciw ewangelikom, gdy wojewoda Pac, ulegając namowom jezuitów, pozwolił zdjąć krzyż ze zboru ewangelickiego, jako niegodnego tego godła. Młodzież akademicka, zmobilizowana do tej akcji przez jezuitów, tak gorliwie wywiązała się z zadania, że cały zbór, a także domy, w których mieszkali duchowni ewangeliccy, legły w gruzach. Księgi liturgiczne spalono.

Na tym nie koniec. Nad ewangelikami pastwiono się nieludzko. Wrzucono do ognia nie tylko książki, lecz i dziecko jakiegoś innowiercy. Sprofanowano cmentarz ewangelicki. Wydobyte zwłoki rozwydrzony tłum układał jedne na drugich, wołając: „*Crescite et multiplicamini*” („Wzrastajcie i mnożcie się”).

12 stycznia 1650 roku w Warszawie powstał następujący tekst: „*Jan Kazimierz, z łaski Bożej król Polski, Wielkie Xiążę Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflantskie, Smoleńskie, Czerniechowskie y też Szwedzkie, Godzkie, Wandalskie dziedziczny król. Oznajmujemy tym listem przywilejem naszym teraz y na potomne czasy, iż zjednoczenie narodów cnych Polskiego y Litewskiego Ruskiego, w tej Rzeczypospolitey, którą Pan Bóg chciał mieć antemurale wszystkiego chrześcijaństwa,*

jest naywiększe firmamentum y dla tegoż Divi nostri prae-
decessores nayjaśnieysi Królowie Polscy przestrzegali tego,
aby do tych cnych narodów zawsze zostawała zgoda y mi-
łość nierozzerwana, a siły wspólne ich przeciwko nieprzyja-
cielowi Krzyża Świętego zachowane y obracane byli, dla
tego y świętej pamięci Nayjaśnieyszy Władysław Czwarty,
król jego mość pan brat nasz, na szczęśliwey elektii swo-
jej, bacząc być naród cny religii Ruskiej względem uniey
rozdwójoney, świątobliwie usiłował zgodzić y zjednoczyć
go z sobą, aby Rzecz pospolita żadnego nie miała przez to
zatrudnienia. Toż y my szczęśliwie nastąpiwszy na pań-
stwo przez wolne głosy wolney elekty od Pana Boga nam
powierzone przedsiębiorąc, staraliśmy się o to, abyśmy
wnętrzne zamieszanie y krwie rozlanie, które Pan Bóg
dopuścił tempore interregni zagasiwszy, pokóy święty po-
zyskać mogli y Rzecz pospolitą uspokoić, [...] powagą
naszą królewską wojsko nasze Zaporoskie do wierne-
go poddaństwa przywrócone [...], a naród Ruski wszystek
duchownego y świeckiego, szlacheckiego y pospolitego stanu
przy prawach y wolnościach dawnych zachowując, obie-
caliśmy [...] w ich religiey Greckiey ucontentować. [...] Prez-
biterowie też popi ruscy niebędące w uniey, aby przy
wolnościach stanu duchownego zostawali y żadnemi po-
winnościami, podatkami y robociznami nigdzie nie byli
onerowani, ale według praw y przywilejów incorporatio-
num w swoim poszanowaniu zostawali”... („Akty izda-
wajemyje Wilenskoju Archeograficzskoju Komissijeju”,
t. 33, s. 372-375).

2 marca 1657 roku Wincenty Korwin-Gosiewski,
podskarbi i hetman W. Ks. L., zaniepokojony konflik-
tami na tle religijnym – wystosował specjalny uniwer-
sał, w którym domagał się od wszystkich, „aby libertas
religionis, według starożytnych Rzeczy pospolitey zwycza-
jów wcale zachowana y w niczym daley naruszana nie
była”. Przestrzegał przed wtrącaniem się do dysyden-
ckich nabożeństw, obrażaniem dysydentów i groził san-
kcjami prawnymi tym, którzy się do tradycji i prawa
nie zastosują („Akty izdawajemyje...”, t. 34, s. 100). Akt
ten spowodowany został mnożącymi się incydentami
nietolerancji i konfliktami na tle religijnym, burzącymi
pokój obywatelski.

4 grudnia 1680 roku studenci Brzeskiego Kolegium
Jezuickiego zeznali przed sądem, że zbici zostali przez
Żydów miejscowych, którzy „w rynku zasadzkę uczyni-
wszy, poczęli bić, łapać, szarpać, jako jacy zbóycy z ki-
jami, dragami y różnem orężem do boju należącym,
tumult i hałas uczynili, nie mało paniąt dzieci szlache-
kich poprzestraszali, gdzie przed niemi uchodząc w tym

tumulcie wielkie szkody ponieśli, czapki pozbijali, suknie
na onych poszarpali, xięgi należyte do szkół pogubili...

Pana Jędrzeja Marciszewskiego, inspektora (wychowawcę) syna jegomości pana Bielikowicza, stolnika rze-
czyckiego, ni o czym nie wiedzącego y ni w czym nie-
winnego, w rynku złapawszy jako złoczyńcę jakiego thukli,
szarpali, po rynku włócząc za włosy jako się im podobało
targali, nogami deptali, oczy popodbijali y nie mało na
ciele razów kijami bitych, sinych, spuchłych pozadawali.
Na ostatek tym się nie kontentując do smrodliwego sklepu
z naygrawaniem się na kark do prywatnego więzienia
swego wtrącili, tamże trzydzieści czerwonych złotych przy
onym będące, zabrali. Po tym tegoż pomienionego pana
Marciszewskiego do inszego sklepu, daleko bardziej
smrodliwszego y zimnego, wrzucili y przez niemały czas
w więzieniu trzymając, wziąwszy z onego więzienia do
synagogi swej wprowadziwszy, słowami nie pocziwemi
lżyli, pięściami stursali, z wiary świętej katolickiey wy-
smiewiska czynili” etc. etc. („Akty izdawajemyje...”,
t. 29, s. 108-110).

Co prawda sprawa okazała się nie tak prosta, bo
Żydzi z kolei oskarżyli studentów Kaspra Głembic-
kiego, Adama Mrozowicza, Józefa Maleckiego, Grze-
gorza Horoszkowicza, Andrzeja Marciszewskiego o
zamordowanie Żyda Jakuba Nachimowicza, tak, iż w
sumie sąd brzeski nie mógł nic wyjaśnić. Chodzi jed-
nak o to, że przynajmniej do utwierdzenia sprawiedli-
wości, – choć niezbyt skutecznie – ale dążono.

Tradycje tolerancji światopoglądowej i politycznej
były w Rzeczypospolitej – jak to zwykle się pisze –
dawne i chlubne. To one właśnie do pewnego stopnia
korzystnie wyróżniały Polskę i Litwę spośród innych
państw nawet w okresach najtrudniejszych. Nigdy nie
doszło tu do ludobójstwa czy masowych mordów na
tle różnicy przekonań. Różnorodność w jedności długo
uważano za ostoję wspólnej ojczyzny.

Demokracja szlachecka była trudnym, niebezpiecz-
nym, niekiedy mało skutecznym sposobem sprawowa-
nia władzy. Rodziła ona niemało niedorzecznosci,
błędów, wypaczeń. Pozwalała jednak unikać wielu
zbrodni. Wiadomo przecież, że (przy wszystkich swych
słabych stronach) jest demokracja najbardziej ludzkim
sposobem rządzenia.

W wieku XVI pewien hreczkosiej rzucił monarsze
publicznie w twarz następujące słowa, skrzętnie zanoto-
wane przez kroniki: „Chowaj w całości nasze prawa, a bę-

dziesz nam miłościwym królem. Jeśli nie – będziesz tylko Stefanem Batorym, jak ja Jakubem Niemojewskim". Z pewnością pan Niemojewski był pijany, a straż przyboczna króla nic nie warta, lecz stało się to symbolem „polskiej tolerancji”, jeśli nie głupoty.

W Rzeczypospolitej około 12-20 procent ludności korzystało w pełni z praw obywatelskich (dla porównania: w ówczesnej Anglii – 4 procent, we Francji – 1 procent, w Rosji – 0,085 procent). Żaden despota nie potrafił tu stawiać czoła energicznej, oświeconej i wyrobionej politycznie masie szlacheckiej, która przekonana była, że moralność ma prymat nad polityką, osobiste zasługi i wartość – nad piastowanym urzędem i że żadna władza nie powinna wskazywać człowiekowi, co ten powinien myśleć, czuć, w co wierzyć.

Niepodległe charaktery były rękojmnią niepodległości i godności państwa. W XVI-XVII stuleciu kwitło w Rzeczypospolitej bujne życie umysłowe, rozwijała się filozofia, poezja, literatura polityczna. W sferze społeczno-ekonomicznej również panowały różnorodność i liberalizm. I chociaż formalnie był to kraj katolicki, nikomu bodaj nie miano tu za złe, jeśli poglądy jego różniły się od tych, którym hołdowali władcy.

Lecz, niestety, nic nie jest wieczne pod słońcem. Szczególnie zaś, jeśli chodzi o sprawy ludzkie. Nadeszła epoka zmierzchu i dla chlubnych polsko-litewskich tradycji tolerancji i pluralizmu. Wynikało to z realiów sytuacji międzynarodowej...

W roku 1658 wydano ustawę o wypędzeniu różnowierców z Rzeczypospolitej. Akt ten motywowano tym, iż liczni protestanci – co nie było sprzeczne z prawdą – współpracowali z najjeźdźcami podczas dopiero co zakończonej wojny szwedzko-polskiej. Tak więc głównym motywem tej represyjnej sankcji

była zdrada interesów państwa i narodu, a nie przekonania jako takie. Doszło jednak do rozruchów i prześladowań na większą skalę.

Znany filozof Bronisław Trentowski (protestant zresztą i zdeklarowany przeciwnik katolicyzmu) w sposób na pewno przejawiony, ale mimo to nie pozbawiony rzeczowości opisuje ówczesne Wilno: „*Studenci wileńscy czatują szczególnie na księży ewangelickich po ulicach, ukrywając się za domami, a złapawszy którego z nich biją go prawie na śmierć, obdzierając z sukni, pędzą nago biczami po mieście, wrzucają wreszcie w Wilię z mostu. Sceny takie odbywają się wśród dnia i niemal ustawicznie... Radziwiłłowie protestanczy, nie widząc innego środka ku obronie uciśnionych, muszą trzymać milicję nadzorną w Wilnie i tak powściągać żaków szkolnych od*



Popiersie Marcina Lutra



Marcin Luter na niemieckim znaczku pocztowym

zgrozy. Lecz ledwie że wojsko choć na chwilę miasto opuści, rozpoczynają się nowe okropności. Kościół kalwiński stać musi bez okien, bo skoro je sprawi, wybiją ją natychmiast studenci. Ze studentami łączy się gmin zazwyczaj. O, ileż razy Kościół kalwiński w Wilnie zrabowano! Chwymano dysydentów przejeżdżających po gościńcach, kатовano ich, obdzierano z pieniędzy, zegarków i sukni. Nawet grobom nie przepuszczano. Ciało pani Goszczylińskiej wygrzebano z ziemi i kołem przebito. Zwłoki Bonara wydobyto i rozszarpano”. Tak było w Wilnie już za Zygmunta III! A wówczas jezuita mieli w swoich szkołach 10 tysięcy chłopców.

Kościół kalwiński wypędzony został poza granice Wilna. Żaden dysydent „nie mógł pokazać się w mieście, inaczej ubiliby go studenci”. Michał Pac, wojewoda wileński, przyzwala w roku 1682 na bardzo szpetną akcję. Notuje tenże Trentowski: „Studenci jezuicy zbierają się przed wschodem słońca, oblegają smętarz kalwiński, mordują kto im w ręce wpadnie, burzą zbór, rozkopują groby i pastwią się nad kacerskimi zwłokami. Michał Trzebicki, pastor, i osoby do jego grona należące, roztworzyli katakomby murowane, a zatrzaskawszy wyjście, wyrzucili trupów z trumien i położyli się w ich miejscu, aby tym ostatecznym środkiem życie swe ocalić”.

„Brak tolerancji religijnej jest wszędzie i zawsze znakiem barbarzyństwa”, konstatuje z oburzeniem filozof. Nawet magnaci, w znacznej części przedtem protestanci, spieszenie nawracają się na katolicyzm, tak

straszny wydaje się im zakamieniały fanatyzm akademickiej młodzieży. Oddają też masowo swe dzieci do szkół jezuickich, gdyż od dobrej lub złej woli tych ludzi w czarnych sutannach zależało, czy syn zrobi karierę, czy będzie musiał marnieć w czterech ścianach rodzinnego domu do końca życia. Ofiarowano ogromne pieniądze na rozwój szkolnictwa jezuickiego. Księżna Puzynina, kasztelanowa mściławska, np. sprzedaje swój klucz dóbr pacanowskich i daje jezuitom 600 tysięcy złotych polskich na wymurowanie obserwatorium astronomicznego w Wilnie. Nawet królowie nie wąż się na konsekwentną i twardą postawę wobec na wszystko zdecydowanych mas.

Już zaznaczyliśmy, że ten brak tolerancji częściowo daje się wytłumaczyć poprzednią kolaboracją protestantów z najeźdźcą szwedzkim. „Strach przed ościennym wrogiem to najtrwalszy węzeł zgody” (Liwiusz). Po rozprawieniu się ze Szwedami postanowiono, używając wszystkich dostępnych środków, ujednolicić także duchowe oblicze społeczeństwa, by zapobiec ponownym zdradom na szerszą skalę. Zresztą na innych terenach Rzeczypospolitej sytuacja była bardziej spokojna. To właśnie Wilno wykazało wówczas nadmiar wojowniczego zacietrzewienia i dążności do światopoglądowej i moralno-politycznej spójności.

Szykany skierowane przeciwko dysydentom szkodliwie odbiły się na klimacie ogólnospołecznym i kulturze narodowej. Wielu znakomitych intelektualistów musiało wraz z rodzinami uchodzić do niemieckich państw protestanckich. Tam mniej lub bardziej szybko asymilowali się z miejscową ludnością na podstawie wspólnoty religii. Ich potomkowie wnosili nie raz istotny wkład do skarbnicy kultury niemieckiej, że przypomnimy tu tylko parę imion znanych intelektualistów, którzy szczylic się swym polskim pochodzeniem i ród swój wiedli przypuszczalnie od wychodźców z Rzeczypospolitej. Są to G.W. Leibniz (1646–1716), wielki matematyk i filozof, pochodzący prawdopodobnie z rodu Lubienieckich oraz F. Nietzsche (1844–1900), znany poeta, filozof i, nie od rzeczy mówiąc, bezkompromisowy krytyk chrześcijaństwa, który twierdził, że jest potomkiem polskiej rodziny Nickich.

Badacz protestantyzmu polskiego Marek Wajsbłum pisał o wygnanych z ojczyzny w 1658 roku arianach, iż była to grupa, która „żywotne pierwiastki reformacji polskiej zachowała, by ostatnim odblaskiem szlacheckiej «egzekucji praw» rozpalic w Europie Zachodniej pożar egzekucji praw człowieka myślącego”.

Dr Jan CIECHANOWICZ

KOLEJNE WZNOWIENIE POPULARNEGO HERBARZA

„KSIĘGA HERBOWA BIAŁEJ, CZARNEJ, CZERWONEJ I ZIELONEJ RUSI, INFLANT, LITWY, MOSKWY, POLSKI, UKRAINY I ŻMUDZI” (str. 500, wydanie trzecie, zmienione i poszerzone) – to tytuł jednej z najbardziej interesujących książek ostatnich lat. We wstępie do tej, w krótkim okresie po raz trzeci wznawianej edycji jej autor, dr Jan CIECHANOWICZ, ukazuje genezę elit społecznych na ziemiach, których nazwy zasygnalizowano w nazwie opracowania. Tutaj też umieszcza podrozdziały:

„O rasach”,
 „O symbolach”,
 „O selekcji społecznej i eugenicie”,
 „O Słowianach”,

w których podejmuje polemikę z narzucanymi przez tzw. „poprawność polityczną” banalnymi poglądami na „demokrację”, „równość”, na zagadnienia narodowe i rasowe, na kwestie higieny rozrodu, doboru genetycznego, kary śmierci itp., nawiązując bezpośrednio do tradycyjnych doktryn arystokratycznych Hellady, Judei, Romy, Francji, Anglii...

Rozdział pierwszy pt. „Spis szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego, Ruskiego i Żomojskiego oraz Królestwa Polskiego z uwzględnieniem ziem ościennych” zawiera ponad 9 000 nazwisk szlacheckich oraz podaje nazwy przysługujących odnośnym rodzinom herbów. Znajdziemy tu także m.in. jedyne w literaturze powszech-

nej zupełne, oparte na źródłach archiwalnych rozległe opracowanie dziejów rodu Teodora Dostojewskiego, najpoczytniejszego pisarza wszechczasów, oraz takich rodzin, jak m.in. Lewiccy, Kulczyccy.

Tytuły rozdziałów ikonograficznych, przedstawiających około 3 000 kolorowych i czarno-białych ilustracji, brzmią kolejno, jak następuje:

1. „Runy narodów aryjskich”.
2. „Solarno-kosmiczna symbolika aryjsko-słowiańska”.
3. „Herby szlachty litewskiej i polskiej wywodzące się ze znaków runicznych”.
4. „Herby rodowe studentów z Litwy historycznej i Polski w auli Uniwersytetu Padeńskiego we Włoszech (wiek XIV-XVIII)”.
5. „Historia WKL w numizmatyce”.
6. „Herby szlachty ukraińskiej według W. Narbuta”.
7. „Herby szlacheckie z krużganka zamku w Baranowie Sandomierskim”.
8. „Herby szlachty WKL według polskich grafików komputerowych”.
9. „Herby dygnitarzy WKL według białoruskich artystów malarzy”.
10. „Szlachta Inflant”.
11. „Oryginalne wizerunki archiwalne herbów szlachty WKL i Korony Polskiej malowane odręcznie z XVIII-XIX w.”.
12. „Herby szlachty rosyjskiej pochodzącej z Litwy historycznej i Polski (wybór)”.
13. „Motywy heraldyczno-genealogiczne w filatelistyce i numizmatyce”.

Książka wzbudziła duże zainteresowanie miłośników dawnej kultury polskiej, białoruskiej, ukraińskiej, litewskiej, rosyjskiej, jak też ogólnoeuropejskiej i powszechnej, a jej pierwsze dwie edycje błyskawicznie zniknęły z półek księgarskich.

Cena książki na terenie Polski 120+20 zł
 Kontakt z autorem: tel.: (0048) 608 53 12 66
 E-mail: ciechanowicz.jan@gmail.com

Autor „Księgi Herbowej...” dr Jan Ciechanowicz



POLSKIE DZIEJE KIJOWA (cz. II)

Proponujemy Czytelnikom „Krynicy” II część książki Pana Mariana Kałuskiego pt. „Polskie dzieje Kijowa”, którą PT Autor (od 1964 roku mieszkający w Australii) uprzejmie zgodził się udostępnić Polakom Ukrainy. Redakcja wyraża Mu za to serdeczną wdzięczność.

Ekskursy do królestwa Pani Historii są zawsze bardzo niebezpieczne, bowiem trudno w nich zachować obiektywizm. Dlatego ile osób, tyle spojrzeń na Przeszość.

Zachęcamy Państwa do lektury książki Pana Mariana Kałuskiego, przypominając, że jest to spojrzenie z drugiej półkuli naszego globu...

Redakcja

Mitem głoszonym przez współczesnych Ukraińców jest to, że Kozaczyzna była obrońcą prawosławia. Tak, była, ale na swój sposób. Najlepiej ilustruje to następujący fakt: kiedy w grudniu 1648 roku hetman kozacki Bohdan Chmielnicki wjechał triumfalnie do Kijowa, przebywający akurat w mieście prawosławny patriarcha jerozolimski dał mu ślub z przebywającą wtedy w Czechryniu panią Czaplicką. Patriarcha posłał jej w darze (do Czechrynia) *„trzy świece, które same się zapalają, i mleko Najświętszej Panny”*. Zakonnik, oddawca owych nadprzyrodzonych darów, doznał niemiłej przygody. Pierworodny syn hetmana (Chmielnickiego), Tymoteusz, *„spoił duchownego gorzałką i opalił śpiącemu brodę”*. Była to jednak igraszka w porównaniu z innym grzechami kozackimi wobec Cerkwii prawosławnej.

Cerkiew prawosławna bała się więc Kozaków, bo o ich zbrodniach – *„nieprawdopodobnym okrucieństwie”* (Paweł Jasienica), także dokonywanym na Cerkwi, było głośno na całej Ukrainie. I dlatego nie chciała ich rządów na Ukrainie, a tym bardziej rosyjskich i ich patriarchy. Dlatego także metropolita kijowski Sylwester Kossów myślał o ugodzie wewnątrz granic Rzeczypospolitej. Chciał, by Kijów należał nadal do Polski. Po zawarciu 18 stycznia 1654 roku ugody perejesławskiej pomiędzy Chmielnickim i pełnomocnikiem cara Wasylem Buturlinem, na mocy której Ukraina została poddana władzy cara Rosji, metropolita Kossów złożył oficjalny protest przeciwko postanowieniom tej ugody i odmówił (dwukrotnie) złożenia przysięgi poddańczej carowi Rosji. Nie asystował również przy ceremonii przysięgi złożonej przez Kozaków. Jego stanowisko w tej sprawie sprawiło, że wielu duchownych kijowskich także odmówiło składania przysięgi carowi. Faktem historycznym jest również i to, że Kijów bardzo przeżywał

oderwanie od Polski i tęsknił za polskimi czasami, co potwierdza fakt pielęgnowania kultury i języka polskiego w stolicy Ukrainy aż do końca XVIII w., a miejskie prawo magdeburskie z czasów polskich i na wzór polskich miast utracił Kijów dopiero w 1835 roku.

Po włączeniu lewobrzeżnej Ukrainy do Rosji, Kijów został najpierw kozacko-rosyjskim miastem, a potem dużo bardziej rosyjskim niż ukraińskim. Na początku XX w. w Kijowie Rosjanie stanowili 55% a Ukraińcy 12% ludności miasta. Poza tym Rosjanie dominowali we wszystkich dziedzinach życia Kijowa, szczególnie na polu oświatowym, religijnym i kulturalnym. Jednak pomimo przyłączenia Kijowa do Rosji w 1654 roku i braku Polaków w mieście do końca XVIII w., język polski zachował swój uprzywilejowany status na przeszło sto lat. Rozmawiano po polsku, uczono języka polskiego, wydawano książki w języku polskim. Po wielkim zwycięstwie cara Piotra Wielkiego nad wojskami szwedzkimi pod Połtawą (Ukraina) w 1709 roku, przybyłego do Kijowa cara Piotra Wielkiego w Soborze Sofijskim przywitano mową w trzech językach: łacińskim, ruskim i polskim. Jednak wpływy polskie stopniowo malały na rzecz języka i kultury rosyjskiej. Co więcej, ukraińsko-rosyjski Kijów stawał się pionierem w akcji oczerniania i szkalowania Polski i Polaków, a tym samym siania wśród Ukraińców i Rosjan nienawiści do Polski i Polaków. Działalność tę zapoczątkował pseudo-historyczny paszkwil na Polskę i Polaków zatytułowany *„Historia Rusów”*. Jego autorem był biskup prawosławny oraz od 1747 roku profesor i w 1752 roku rektor Akademii Mohylańskiej w Kijowie Jerzy Konisski – Grigorij Osipowicz Konisski (1717–1795). Wydając go po rosyjsku w 1846 roku wydawca pominął nazwisko jego autora. Ten głośny swego czasu złośliwy pamflet polityczny, gdyż pisany jadem antypolskiej nie-

nawiści, rozjątrzył stosunki między Polakami a Rosjanami i Ukraińcami. Wywarł on wpływ przeciwpolski m.in. na Puszkina, Rylejewa, Gogola, Czernyszewa, Kostomarowa, Szewczenkę i tysiące innych Rosjan i Ukraińców. Dopiero w 1913 roku polski historyk związany z Kijowem Ludwik Janowski wydał w Krakowie gruntownie opracowane studium pt. „O tak zwanej «Historii Rusów»”, w którym obalił treść tego skrajnie polakożerczego pamfletu, który nie ulega wątpliwości, że był spreczny z nauką Pana Jezusa o miłości bliźniego, a przez to bardzo zaszkodził współzyciu polsko-ukraińskiemu. To biskup Jerzy Konisski, a przez niego podległe mu duchowieństwo prawosławne, w 1768 roku przyczynił się do wybuchu koliszczyzny, czyli buntu ruskich chłopów i hajdamaków na ziemiach ukraińskich Rzeczypospolitej przeciw Polakom i Żydom, podczas którego zamordowano 100-200 tys. ludzi; miejscowych bandytów wspierali masowo Kozacy przybyli z rosyjskiej Ukrainy. Ich bojowym zawołaniem było: „*Lach (Polak), żyd i sobaka – wjira jidnaka*”, które jest żywe po dziś dzień wśród wielu tysięcy Ukraińców. Tymczasem w 1993 roku Cerkiew prawosławna ogłosiła Jerzego Konisskiego swoim świętym!

Zabór polskich ziem ukraińskich przez Rosję w wyniku II (1793 r.) i III (1795 r.) rozbioru Polski spowodował odrodzenie polskości w Kijowie. Bowiem na polskich ziemiach ukraińskich włączonych do Rosji mieszkało kilkaset tysięcy Polaków. W 1797 roku carat utworzył z polskiego województwa kijowskiego gubernię kijowską, do której włączył przygraniczny Kijów i utworzył z miasta centrum administracyjne tej guberni. Z kolei w 1832 roku władze rosyjskie utworzyły generalne gubernatorstwo kijowskie, w skład którego weszły gubernie kijowska, wołyńska i podolska, w których przed I wojną światową mieszkało ok. 1 miliona Polaków. A trzeba przy tym pamiętać, że większość tamtejszych Polaków należała do klasy średniej i wyższej, duży odsetek Polaków stanowili ziemianie. W 1812 roku w guberni kijowskiej mieszkało 43 000 polskiej szlachty i tylko 1000 rosyjskiej. Jeszcze w 1860 roku 90% majątków ziemskich w tych trzech guberniach należało do Polaków, a pomimo wielkich konfiskat polskich majątków przez Rosjan po 1863 roku, w 1914 roku ciągle 50% majątków było w rękach polskich, jak również większość cukrowni ukraińskich. Polacy stanowili bardzo duży odsetek ludzi wolnych zawodów (lekarze, ad-



Uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie. Fot. z końca XIX w.

wokaci, inżynierowie itd.). Wielu z nich osiedlało się w Kijowie i do 1863 roku był on z języka miastem pół polskim (Jędrzej Giertych). Tym samym Kijów stał się głównym ośrodkiem polskim także dla Polaków z byłych polskich ziem ukraińskich. Pod koniec XIX w. Kijów zaczął przyciągać Polaków także do swych zakładów przemysłowych (inżynierowie, technicy, architekci, kadra administracyjna, trochę robotników). W 1863 roku ludność Kijowa wynosiła 68 400 osób, z czego 8000 stanowili Polacy. W 1897 roku ludność miasta wzrosła do 247 700 osób, w tym było już 16 700 Polaków. Dzielnicy Lipki zamieszkiwała niemal wytycznie arystokracja polska wraz z rosyjską (tutaj znajdowały się pałacyki Potockich i Branickich). W latach 1897–1909 liczba Polaków wzrosła do 44 409, tj. ponad 10% ogółu mieszkańców. Wśród Polaków na stałe mieszkających w Kijowie było wówczas m.in. 6000 ziemian i około 1200 kupców. Przed samą I wojną światową, a więc w 1914 roku mieszkało w Kijowie 50 000 Polaków, a podczas wojny ich liczba wzrosła do 80–100 tysięcy osób przez napływ uchodźców wojennych z Królestwa Polskiego i Galicji. Odsetek Polaków w Kijowie wzrósł wówczas do prawie 20% mieszkańców miasta. Tym samym Kijów należał do jednych z największych skupisk polskiej ludności miejskiej nie tylko na Kresach i w Polsce, ale także w Europie. Jak pisze Leszek Podhorodecki w swych „Dziejach Kijowa” (Warszawa 1982): *„Tworzyli oni elitę społeczną i intelektualną w mieście, podobnie jak i na całej Ukrainie, gdzie w 1911 r. przeszło połowę inteligencji stanowili Polacy”*. A Sławomir Koper dodaje: *„Nasi rodacy wnosili do życia kulturalnego miasta... tak wiele, że praktycznie każdy człowiek o ambicjach towarzyskich i kulturalnych musiał znać język polski (dzięki temu znany rosyjski pisarz i dramaturg Michał Bułhakow poznał i docenił naszą literaturę)”*.

Napływ Polaków do Kijowa oznaczał ponowne pojawienie się katolików w mieście. Do utworzonej przez carat guberni kijowskiej włączono duże obszary polskich ziem ukraińskich, na których było kilkadziesiąt kościołów i klasztorów katolickich, które do 1798 roku należały do diecezji kijowskiej (nazwa pozostała do rozbiorów Polski, siedzibą biskupa był wtedy Żytomierz). Diecezję tę carat zlikwidował w tymże roku i kościoły na terenie guberni kijowskiej włączył do polskiego katolickiego arcybiskupstwa-metropolii mohylewskiej (Mohylew na dzisiejszej Białorusi), w której tworzyły archidiaconat kijowski. Po zawartym przez Rosję z Watykanem w 1847 roku konkordacie, gubernia kijowska

została włączona do katolickiej diecezji łuckiej (Łuck na Wołyniu), składającej się odtąd i do 1925 roku z guberni wołyńskiej i kijowskiej, a od 1866 roku także podolskiej, po zniesieniu przez carat diecezji kamienieckiej.

Wobec dużego napływu katolików do Kijowa, car Paweł I wydał pozwolenie na zbudowanie w mieście – na Peczersku – kościoła katolickiego pw. Zwiastowania Najśw. Maryi Panny – pierwszego od czasów rebelii Chmielnickiego. Zbudowano go w latach 1798–99 i przekazano przybyłym do miasta polskim dominikanom. W 1817 roku Polacy zbudowali nowy, obszerniejszy i murowany kościół pw. św. Aleksandra, którego fundatorami byli Poniatowscy; parafia ta w 1913 roku liczyła aż 20 300 wiernych. W latach 1899–1906 polscy katolicy wybudowali kolejny kościół – parafialny pw. św. Mikołaja. W 1913 roku rozpoczęto budowę trzeciego kościoła katolickiego – pw. św. Józefa, w pobliżu miejsca, gdzie w XIII w. stał pierwszy w Kijowie kościół polskich dominikanów; budowę przerwał wybuch wojny. Publiczne kaplice katolickie były w: Uniwersytecie Kijowskim, Pierwszym Gimnazjum, Korpusie Kadetów, Instytucie Szlacheckich Panien, w szpitalu na Łukjanowce i na Cmentarzu Bajkowym. W 1798 roku Kijów odzyskał dawne polskie prawa miejskie i tego samego roku przeniesiono tutaj z Dubna na Wołyniu Kontrakty (zjazdy gospodarczo-handlowo-bankowe trwające od 15 stycznia do 1 lutego każdego roku) szlachty polskiej guberni ukraińskich, które, przeżywając tu największy rozkwit do połowy XIX w., ożywiały gospodarczo Kijów i jednocześnie były ważnym wydarzeniem w życiu polskiej ludności Kijowa i guberni ukraińskich. Zjeżdżali się na nie także polscy literaci (m.in. J. I. Kraszewski, H. Rzewuski, A. Groza, M. Grabowski, K. Drzewiecki, K. Podwysocki, G. Olizar, M. Jezierski, A. Przeździecki) i współpracownicy z tych terenów polskiego „Tygodnika Petersburskiego” i wileńskiego „Athenaeum” oraz wszyscy prawie przedstawiciele życia umysłowego w trzech guberniach polskiej Ukrainy. Szlachta urządziła podczas Kontraktów także wielkie ucztę huczne bale oraz koncerty, na których w różnym czasie występowały m.in. takie sławy, jak: Karol Lipiński, Apolinary i Antoni Kątsy, Emil Młynarski, Artur Rubinstein (1911 r.). W Kijowie bardzo wpływowe było polskie środowisko ziemiańskie, szczególnie przed 1863 rokiem, któremu przewodzili: Teodor Jacewski, Jan Modzelewski, Kajetan Świejkowski, hr. Mieczysław Potocki, Aniela i Cecylia Radziwiłłowe. Wielu przedstawicieli polskiej arystokracji

miało w Kijowie swoje pałacyki. Na byłych polskich ziemiach ukraińskich w urzędach wszystkich szczebli pracowało bardzo dużo Polaków i w powszechnym użyciu był język polski. Rosja carska nie dbała o oświatę. W Kijowie otwarto pierwszą szkołę dopiero w 1789 roku. Car Aleksander I w 1803 roku oddał w ręce polskie całe szkolnictwo w guberniach ukraińskich i do 1813 roku zostało tu założonych 150 szkół polskich – z językiem polskim jako wykładowym, w tym 2 w Kijowie: szkoła podstawowa w 1806 i w 1812 roku gimnazjum (pierwsze w mieście!), założone przez Tadeusza Czackiego, który wygłosił mowę na jego otwarcie 30 stycznia 1812 roku. Szkoła miała elitarny charakter i zasłynęła z wysokiego poziomu nauczania; w 1828 roku miała 119 uczniów. W 1838 roku powstała w Kijowie szkoła dla dziewcząt z polskich rodzin szlacheckich (200 uczennic). Dlatego historyk amerykański M.F. Hamm („Kiev. A Portrait, 1800–1917”, 1993) zauważa, że to Polacy byli pionierami oświaty w Kijowie i guberniach ukraińskich. Założony w latach 1833–1834 Uniwersytet Kijowski powstał na bazie (biblioteka, zbiory naukowe, profesorowie) polskiego słynnego Liceum Krzemienieckiego (Krzemieniec na Wołyniu, do 1945 w Polsce) i w pierwszych latach swej historii zatrudniał 23 wykładowców-Polaków, którzy stanowili 18% kadry profesorskiej uczelni. W roku akademickim 1838/1839 Polacy stanowili 62,5% ogółu studentów, a w 1862/1863 – 48,3%; w 1855 roku studiowało na uniwersytecie 413 katolików (Polaków) i tylko 366 prawosławnych.

Polacy założyli w Kijowie 1818 roku pierwszy łóż masonską – „Jedność Słowiańska”. Zawodowe teatry polskie występowały w Kijowie już od 1803 roku. W latach 1847-49 ukazywało się w Kijowie pierwsze pismo polskie – „Gwiazda” pod redakcją Jakuba Jurkiewicza; a więc kilkadziesiąt lat wcześniej od pierwszego ukraińskiego pisma wydawanego w tym mieście. Do końca XIX w. ukazywało się w Kijowie 12 czasopism polskich. Była tu polska drukarnia, w której została wydana m.in. dwutomowa cenna praca o koniach i ich hodowli Spirydiona Ostaszewskiego „Miłośnik koni” (Kijów 1852). W 1858 roku Leon Idzikowski założył w Kijowie pierwszą i zarazem dużą polską księgarnię wydawniczą, która wydawała książki największych pisarzy polskich. Można śmiało powiedzieć, że na początku XIX w. w Kijowie rządzą Polacy: wówczas jednocześnie gubernatorem kijowskim był Myszkowski, prezesem sądu Proskura, wizytatorem szkół Czacki. Potem wielu Polaków zajmowało także wyso-

kie urzędy w mieście, jak np. H. Kisielewski, który przez kilka lat do 1831 roku był wójtem kijowskim. W latach 1860-63 prezydentem Kijowa był Polak – Józef Zawadzki, twórca giełdy kijowskiej. Zapewne polski lub polskiego pochodzenia (na co wskazuje jego imię) archeolog-amator Konrad Łochwicki (dostępne mi źródła rosyjskie i ukraińskie milczą o jego pochodzeniu, co jest bardzo wymowne) odkrył zakopane w połowie XVIII w. ruiny kijowskiej Złotej Bramy – bramy miejskiej z czasów księcia Jarosława Mądrego (XI w.). Rosyjski Kijów do 1863 roku był dużo bardziej polski niż ukraiński. Józef Ignacy Kraszewski tak opisywał swoją podróż do ówczesnego Kijowa (2 poł. XIX w.): *„Na ulicach... polski język słyhać co chwila; we wszystkich magazynach, sklepach, hotelach, restauracjach...; księgarnie polskie są tu ogromne; teatr, choć przyjechał w środku lata, interesy robił dobre; firm polskich mnóstwo...; dzięki pracy i roztropności, dzięki zamożności i solidarności, stanowią żywił poważny”*.

Polacy nie pogodzili się z utratą niepodległości i w latach 1830-31 i 1863-64 wybuchały polskie powstania narodowe na ziemiach polskich okupowanych przez Rosję, w tym także w polskich guberniach ukraińskich.

Po wybuchu Powstania Listopadowego w 1830 roku Polacy w Kijowie szykowali się do wzięcia w nim udziału. Podczas zjazdu kontraktowego szlachty polskiej w Kijowie w styczniu i lutym 1831 roku został nawet opracowany plan wywołania powstania w Kijowie. Rosjanie przewidując taką możliwość zrobili wszystko, aby do tego nie dopuścić, patrolując ulice i rewidując domy podejrzanych osób, z których bardzo



Kościół p.w. św. Aleksandra w Kijowie. Fot. z końca XIX w.

wielu przewencyjnie aresztowano. Także specjalny oddział milicji kontrolował przyległy do Kijowa teren i sprawdzał wszystkie osoby opuszczające i przybywające do Kijowa. Pomimo tego szereg polskich gimnazjalistów z Kijowa przyłączyło się do oddziałów powstańczych (M.F. Hamm).

Po zdławieniu Powstania Listopadowego 1830-31 władze carskie zastosowały ostre represje wobec całego społeczeństwa polskiego. Skonfiskowały kilka tysięcy polskich majątków na Kresach i wysiedlono w głąb Rosji tysiące rodzin polskich. Około 65% rodzin polskiej drobnej szlachty zostało przepisanych do klasy włościańskiej (obróceni w chłopów, ale nie byli objęci pańszczyzną i poddaństwem – tzw. jednodworcy), co z biegiem lat również doprowadziło do ukrainizacji i rusyfikacji wielu tysięcy Polaków. Zamknięto większość klasztorów katolickich; w Kijowie w 1831 roku skasowano klasztor i konwikt polskich dominikanów. Kijów w 1834 roku utracił prawo miejskie z czasów polskich i w 1840 roku w miejsce prawa polskiego wprowadzono prawo rosyjskie. Zamknięto, m.in. w Kijowie, wszystkie szkoły polskie i bardzo ograniczono dostęp Polaków do urzędów, sądownictwa i szkolnictwa.

Wszystkie te represje carskie nie złamały jednak ducha narodowego Polaków, w tym także w Kijowie. Już w 1835/36 z inicjatywy Piotra Borowskiego powstała na Uniwersytecie Kijowskim pierwsza polska tajna organizacja studencka, wydająca nawet ręcznie przepisywaną gazetkę „Przyjaciół Prawdy”. Pracę konspiracyjną w Kijowie ożywiła działalność na Kresach Szymona Konarskiego. Wśród członków założonego przez niego w 1837 roku Związku Ludu Polskiego byli studenci i Polacy z Kijowa, którym przewodził Władysław Gordon. Była wśród nich także grupka propolskich Ukraińców. Niestety, to najprawdopodobniej jeden z nich w 1838 roku zadenuncjował organizację



Kijów, ulica Kreszczatik. Fot. z końca XIX w.

kijowską. Policja carska aresztowała w Kijowie 115 osób, w tym 34 studentów. I ten cios nie załamał Polaków. Już w 1841 roku studenci polscy znowu konspirowali.

W latach 1846-48 z inicjatywy studenta Uniwersytetu Kijowskiego Zygmunta Miłkowskiego powstała nowa organizacja spiskowa o charakterze narodowo-wyzwoleńczym. Doszło wtedy do nowego zbliżenia młodzieży polskiej i ukraińskiej. Głównie pod wpływem polskich idei narodowych powstało wówczas w środowisku ukraińskim Bractwo Cyryla i Metodego. Po stłumieniu europejskiej Wiosny Ludów, w czym brało udział także wojsko rosyjskie (Węgry), zatriumfował carski despotyzm i terror. Nastąpiło załamanie polskiej działalności konspiracyjnej także w Kijowie. Ale nie na długo. Już w latach 1856-58 polscy studenci ponownie podnieśli głowę, zatęsknili za wolną Polską. Nastąpiło to w wyniku osłabienia władzy carskiej po przegranej wojnie krymskiej 1853-56 i na fali liberalizacji, która zaczęła obejmować imperium rosyjskie. Z inicjatywy Narcyza Jankowskiego w 1857 roku studenci polscy Uniwersytetu Kijowskiego założyli konspiracyjną organizację Związek Trojnicki. Jej nazwa nawiązywała do 3 krain historycznych polskich ziem ukraińskich: Wołynia, Podola i Kijowszczyzny. Organizacja głosiła odbudowę państwa polskiego w granicach z 1772 roku. Realizację tej idei widzieli poprzez pozyskanie dla niej chłopów ukraińskich, co mogło nastąpić przez przeprowadzenie uwłaszczenia chłopów. Władze carskie dowiedziawszy się o tym i dążąc do tego, aby chłopci ukraińscy nie zbratali się z Polakami, 13 marca 1861 roku zniosły poddaństwo i uwłaszczyły chłopów w całej Rosji, czym rozładowały także nastroje rewolucyjne wśród chłopstwa. Działacze Związku, studenci kijowscy Tomasz Burzyński i Gustaw Wasilewski przywieźli z Warszawy czcionki polskie, a studenci Ludwik Bernstein i Szymon Domański zorganizowali tajną drukarnię Związku w prawosławnej (!) kijowskiej Ławrze Peczerskiej, w której wydano kilka jego publikacji oraz jedyny numer organu Związku „Odrodzenie” z datą 15 stycznia 1862 roku. Do czołowych działaczy tego ruchu należeli: Leon Głowacki i Włodzimierz Miłowicz oraz Włodzimierz Antonowicz i Stefan Bobrowski. Związek Trojnicki współpracował z Kołem Oficerskim Zygmunta Sierakowskiego w Petersburgu i brał udział w przygotowaniach do wybuchu Powstania Styczniowego 1863-64. W latach 1862-63 członkowie Związku weszli przeważnie w

skład organizacji narodowej kierowanej przez Komitet Centralny Narodowy czerwonych.

Związek Trojnicki brał udział w przygotowaniach do wybuchu nowego powstania narodowego na ziemiach polskich okupowanych przez Rosję, bowiem w Polsce – na wszystkich jej historycznych ziemiach, a więc także ukraińskich, od 1859 roku trwało wrzenie rewolucyjne. Od czerwca 1860 roku Warszawa jest widownią manifestacji i starć z carską żandarmerią i kozakami. Podczas manifestacji na Placu Zamkowym 27 lutego 1861 roku wojsko rosyjskie strzela do demonstrantów, zabijając 5 osób. We wszystkich kościołach polskich odbywają się patriotyczne nabożeństwa żałobne. Także w polskim kościele św. Aleksandra w Kijowie w marcu 1861 roku; w kijowskim nabożeństwie brały udział rodziny zabitych demonstrantów w Warszawie. W kościele tym odprawiono także w tymże roku Mszę św. żałobną za duszę Joachima Lelewela, wielkiego historyka i działacza polskiej emigracji politycznej, zmarłego w Paryżu 29 maja 1861 roku. Także manifestacje polskie nie ominęły Kijowa; największa odbyła się 9 października 1861 roku na Kreszczatiku, podczas której żandarmeria carska aresztowała 60 studentów. Najczęściej demonstracje polskie miały miejsce na ulicy Kościelnej przy kościele św. Aleksandra. Polscy działacze niepodległościowi w Kijowie współpracowali ściśle z ośrodkami warszawskim i petersburskim; do powstałego w 1861 roku pierwszego tajnego Komitetu Miejskiego w Warszawie weszło dwóch kijowian: Leon Głowacki i Julian Wereszczyński. Na początku 1861 roku Stefan Bobrowski założył Komitet Kijowski, zwany też Centralnym Komitetem na Rusi lub Zarządem Rusi, którym kierowali Izidor Kopernicki, Aleksander Jabłonowski, Antoni Chamiec, Edmund Różycki i Antoni Juriewicz. Włodzimierz Milowicz w latach 1862–63 był łącznikiem między Centralnym Komitetem Narodowym, a polskimi placówkami niepodległościowymi za granicą, w krajach Zachodniej Europy. Przeszkolenie wojskowe przeszło 3550 młodych Polaków z Kijowa i guberni ukraińskich, a 6000 wzięło udział w powstaniu; 90% było narodowości polskiej, pozostali głównie Ukraińcami. Historycy są zgodni co do tego, że polski Kijów odegrał dużą rolę w przedpowstaniowym ruchu narodowo-niepodległościowym (Agaton Giller, Jan Tabiś). Z kolei amerykański historyk Michael F. Hamm („Kiev. A Portrait, 1800–1917”, Princeton University Press 1993) pisze, że spośród wszystkich mieszkańców Kijowa do 1863 roku tylko Polacy byli wyzwaniem dla władz carskich i tylko

sprawa polska dominowała w ówczesnym życiu politycznym miasta.

23 stycznia 1863 roku wybuchło nowe polskie powstanie narodowe. Wspomniany wyżej kijowianin Włodzimierz Milewicz w 1863 roku znalazł się w składzie powstańczego Rządu Narodowego. Natomiast wspomniany również wyżej Stefan Bobrowski, działający w Kijowie w latach 1860–62, był faktycznym kierownikiem Powstania Styczniowego od pierwszego dnia wybuchu powstania do swojej śmierci w kwietniu 1863 roku.

Jan Tabiś w pracy „Polacy na Uniwersytecie Kijowskim 1834–1863” (Kraków 1974) pisze, że „Z kijowskiego ośrodka polskiej młodzieży akademickiej wyszło wielu organizatorów i uczestników Powstania Styczniowego”. W Kijowie w 1863 roku wydawano dwa nielegalne pisma powstańcze: „Ukrainiec” i „Walka. Organ Wydziału Wykonawczego (polskiego) Rządu Narodowego dla ziem ruskich”. Werbunkiem i ekwipowaniem oddziałów zajmował się Komitet Kijowski. Wiosną 1863 roku pierwszy 300-osobowy oddział powstańczy pod wodzą Władysława Borowskiego wyszedł z Kijowa do boju w nocy z 8 na 9 maja, zaraz potem drugi, dowodzony przez Władysława Rudnickiego, do którego dołączył 100-osobowy oddział kawalerski Romualda Olszańskiego, i trzeci oddział liczący 150 ludzi (bardzo słabo uzbrojony). Trudno im było walczyć z regularnym, dobrze wyszkolonym, jeszcze lepiej uzbrojonym no i znacznie liczniejszym wojskiem rosyjskim. Twierdza kijowska na Peczersku zapełniła się wziętymi do niewoli polskimi powstańcami; więziono w niej 1336 powstańców, z tego 1200 w podziemiach baszty Północnej (więzieni tu byli m.in. Jan Paderewski – ojciec pianisty i polityka Ignacego i Bolesław Iwaszkiewicz – ojciec pisarza Jarosława); wśród aresztowanych było 400 studentów Uniwersytetu Kijowskiego. Szereg z nich rozstrzelano przy twierdzy, większość zesłano na katorgę na Sybir.

Władze carskie znowu postanowiły ukarać za powstanie całe społeczeństwo polskie. Z guberni ukraińskich i z samego Kijowa całą masę Polaków zesłano na Sybir, skonfiskowano Polakom setki majątków ziemskich, nałożono specjalny podatek, który z samych guberni ukraińskich przyniósł skarbowi państwa 4,1 miliona ówczesnych rubli (to była bardzo wielka suma pieniędzy), we wszystkich miejscach publicznych zabroniono Polakom używać języka polskiego, obowiązywał zakaz wydawania polskich czasopism, książek i dawania występów teatralnych w języku polskim, Po-

lacy nie mogli nabywać dóbr ziemskich, pozamykano resztę klasztorów katolickich i tym razem wiele kościołów, pozbawiając wiernych opieki duszpasterskiej (sieć parafialna na ziemiach ukraińskich nie była gęsta). Jak bardzo represje carskie uderzyły Polaków w Kijowie – ilu ich zostało zesłanych na Sybir, poświadcza m.in. to, że w latach 1863–1874 ludność Kijowa podwoiła się – z 68,3 tys. do 127 tys., podczas gdy ilość Polaków w mieście nie uległa zmianie (ok. 8 tys. w 1863 i 7863 w 1874 roku; podczas tego ostatniego spisu 96,4% podało się za katolików, 2,6% za prawosławnych, 0,86% za protestantów i 0,18% za żydów; podobny skład religijny Polaków wykazał spis z 1897 roku). Rozpoczął się okres brutalnego rusyfikowania dawnych ziem ukraińskich Rzeczypospolitej, co jednocześnie uderzało bardzo skutecznie w rodzący się w wielkim bólu ukraiński ruch narodowy.

Jednak i wówczas Polacy w Kijowie, a szczególnie studenci uniwersytetu nie poddawali się terrorowi carskiemu. Mikołaj Wisznicki w swoich wspomnieniach z II Gimnazjum Kijowskiego, do którego uczęszczał w latach 1886–89, pisze, że także Polacy-katolicy musieli obowiązkowo uczęszczać na prawosławne nabożeństwa odprawiane w gimnazjalnej kaplicy, „*śpiewać gremialnie i obowiązkowo hymn państwowy «Boże caria chrani...» oraz inną jeszcze wiernopoddaniczą pieśń zaczynającą się od słów: «Sławsia, sławsia nasz ruskij car’, Bogom nam danyj car’ gosudar’...»*”. Kilku z nas bliżej żytych Polaków, śpiewając tę pieśń o dość skocznym rytmie, zastępowaliśmy słowa: «sławsia, sławsia» innymi, bardzo podobnymi w brzmieniu, ale zgoła wypranymi z jakiegokolwiek szacunku dla cara-gosudara («szczajsia, szczajsia»). W ogólnym hałasie śpiewu uchodziło to niepostrzeżenie, my zaś cieszyliśmy się serdecznie” („Pamiętnik kijowski” t. 4, Londyn 1980).



Kijów, most na Dnieprze. W dali – Pечepcka Лавpa. Fot. z końca XIX w.

Na Uniwersytecie Kijowskim już w latach 70. XIX w. powstało nielegalne Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, w 1884 roku Korporacja Studentów Polaków, której przewodził Stanisław Narutowicz, brat pierwszego prezydenta odrodzonej Polski Gabriela Narutowicza (1922 r.), która w 1890 roku miała 25 kółek po 10 członków, czyli 250 członków. Studenci polscy brali udział w trwających w 1884 roku zaburzeniach na Uniwersytecie Kijowskim, w wyniku których uczelnia była zamknięta przez pół roku. W 1884–1885 ukazywało się w Kijowie nielegalne pismo polskie „Jutrzenka”. Ok. 1880 roku powstało w Kijowie tajne polskie Towarzystwo Oświaty Ludowej. W pałacyku znanego wielkiego przemysłowca-cukrownika kijowskiego Piotra Zdanowskiego w 1904 roku odbył się tajny zjazd oświatowy z udziałem 600 osób (!) z całej Ukrainy, na którym powołano kolejną organizację oświatową – Oświata Narodowa na Rusi. W 1903 roku powstała w Kijowie tajna polska organizacja społeczno-oświatowa „Zrzeszenie”, która działała do 1917 roku. W tym samym roku powstało w Kijowie Rzymsko-Katolickie Towarzystwo Dobroczynne, które w okresie I wojny światowej prowadziło wielką i owocną działalność charytatywną. Mieszkający lub studiujący w Kijowie polscy sympatycy socjalizmu nawiązali kontakt z socjalistami w Warszawie i próbowali założyć w Kijowie grupę „Proletariatu” Ludwika Waryńskiego, a po aresztowaniu przybyłego w tym celu z Warszawy Ludwika Janowicza, nawiązali współpracę z socjalistami polskimi w Paryżu. W 1890 roku lewicowi studenci uniwersytetu założyli Związek Polskiej Młodzieży Socjalistycznej, który w 1894 roku rozbił się na dwie orientacje: Polską Partię Socjalistyczną (PPS), której przewodził Jordan Pereświat-Sołtan, i znacznie mniejszą Socjal-Demokrację Królestwa Polskiego i Litwy. Bibułę PPS przywoził z Wilna do Kijowa Józef Piłsudski. Po wykryciu przez policję carską tajnej drukarni Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) w Łodzi w nocy z 21 na 22 lutego 1900 roku (aresztowano wówczas Józefa Piłsudskiego), w której drukowano organ prasowy PPS „Robotnik”, Stanisław Wojciechowski (prezydent Polski w latach 1922–26) zakupił w Anglii nową maszynę drukarską i umieścił ją w Kijowie. Redakcję pisma organizowali Aleksander Sulkiewicz i Jan Rutkiewicz, a redaktorem naczelnym został Feliks Perl. W Kijowie wydano numery 38 i 39 w nakładzie 1800 egzemplarzy. „Robotnika” drukowano tu do stycznia 1903 roku (nr 48), następnie redakcja została przeniesiona do Rygi. Po wykryciu przez żandarmerię 29 listopada

1908 roku drukarni „Robotnika” w Warszawie, drukarnię przeniesiono z tymczasowego miejsca w Wawrze ponownie do Kijowa. Zorganizował ją jesienią 1909 roku przy ulicy Dmytrowskiej Stanisław Siedlecki. Przetrwała nad Dnieprem do końca 1910 roku. W Kijowie „Robotnik” był wydawany i redagowany przez Bolesława Jędrzejewskiego i Witolda Jodko-Narkiewicza. Każdy numer przedrukowywany był regularnie w Krakowie. Od 1906 roku działała w Kijowie także Polska Partia Socjalistyczna – Frakcja Rewolucyjna. Wcześniej, bo w latach 90. XIX w., zawiązała się w Kijowie silna grupa młodzieży narodowej, będącej pod wpływem Zygmunta Miłkowskiego, która w 1897 roku utworzyła Ligę Polską (do powołanego przez nią tajnego stowarzyszenia „Polonia” zapisało się 200 studentów polskich z uniwersytetu i politechniki), a po 1905 roku Narodową Demokrację. To ona była najsilniejszą partią polityczną wśród Polaków w Kijowie i po rewolucji 1905 roku założyła najdłużej wydawane i cieszące się największym poparciem społeczeństwa pismo codzienne „Dziennik Kijowski” (1906-20). W 1900 roku powstała nielegalna endecka organizacja studencka Polonia (250 członków) i działała również wspomniana wyżej radykalna organizacja akademicka „Korporacja”. Powstałe później organizacje akademickie Filarecja (prez. Henryk Józewski) i po rozłamie w Filarecji w 1915 roku Unia Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej miały orientację Józefa Piłsudskiego. Były również dwie bardzo liczne tajne organizacje uczniów gimnazjalnych o celach samokształceniowych, organizujące naukę języka, literatury i historii polskiej z bogatymi bibliotekami: endecka Kijowska Korporacja Uczniów Polaków i lewicujący Związek Polskiej Postępowej Młodzieży Szkolnej.

W ramach represji po Powstaniu Styczniowym 1863 carat ograniczył również dostęp Polaków na Uniwersytet Kijowski: zgodnie z ukazem carskim Polacy nie mogli stanowić więcej niż 20% ogółu studentów Uniwersytetu Kijowskiego. W roku akademickim 1878/79 wśród 805 studentów było już tylko 136 Polaków (to była ich najmniejsza liczba). Jednak już w 1895 roku było około 500 Polaków wśród 2313 studentów i w 1910 roku około 1000 Polaków wśród 5107 studentów. Ogółem w latach 1838–1917 z Uniwersytetu Kijowskiego wyszło około 20 000 specjalistów: matematyków, fizyków, przyrodników, historyków, filologów, prawników i lekarzy. Wśród tych 20 000 absolwentów Uniwersytetu Kijowskiego było z pewnością nie mniej niż 3250-3500 Polaków. Z Uni-



Kijów, Złote Wrota. Fot. z końca XIX w.

wersytetu Kijowskiego wyszło 58 naukowców Polaków, wśród nich naukowcy o światowej sławie, jak np. chemik Bogdan Szyszkowski (1873–1931) – twórca równania opisującego zależność między napięciem powierzchniowym a stężeniem roztworu, które zostało nazwane jego imieniem, czy Czesław Białobrzeski (1878-1953), fizyk o światowym uznaniu.

Uniwersytet Kijowski nie był jedyną wyższą uczelnią w carskim Kijowie, a tym samym nie jedyną wyższą uczelnią w tym mieście, w której studiowali Polacy. Drugą największą wyższą uczelnią w Kijowie była Politechnika, która została założona 31 sierpnia 1898 roku. Liczba jej studentów szybko wzrastała: z 360 w 1898 roku do 1147 w 1901 roku i 2277 w 1917 roku. Do 1917 roku Politechnikę Kijowską ukończyło 2815 studentów, wśród których było nie mniej jak 400-500 Polaków.

Niektórzy polscy naukowcy, spoza grona pierwszych profesorów Uniwersytetu Kijowskiego, zostali wykładowcami Uniwersytetu Kijowskiego i Politechniki Kijowskiej; podczas I wojny światowej wśród pracowników naukowych wyższych uczelni Kijowa było 30 Polaków. Polka Izabela Abramowiczówna ukończyła w 1912 roku studia matematyczne na Uniwersytecie Kijowskim i otrzymała jako pierwsza kobieta na Wydziale Fizyko-Matematycznym dyplom I stopnia. Na uczelniach tych działały nielegalne polskie organizacje młodzieżowe. Wielu studentów i absolwentów Uniwersytetu Kijowskiego odegrało dużą rolę w życiu odrodzonego w listopadzie 1918 roku państwa polskiego, o czym piszemy oddzielnie. A obok nich także setki innych Polaków, których życie było związane z Kijowem do 1920 roku.

CDN

ROK 2017 – ROKIEM LUDWIKA ZAMENHOFA

Marzyć. Mimo wszystko...

Eliezer Lewi (onże Łazarz, onże Ludoviko Lazaro, onże Ludwik) Zamenhof vel Samenhof jest przez źródła niemieckie określany jako „*polnischer Augenarzt*”, a przez angielskie i amerykańskie jako „*polish oculist*”, który zyskał sławę powszechną tym, że wynalazł międzynarodowy „język nadziei”, który miałby zastąpić – w jego marzeniu – języki narodowe, wejść w użycie powszechne i w ten sposób połączyć całą ludzkość we wspólnotę braterstwa, mówiącą „jednym głosem”...

Chłopiec przyszedł na świat się 15 grudnia 1859 roku w Białymstoku, zmarł w Warszawie 14 kwietnia 1917 roku, czyli przed stu laty. Był synem Marka, Żyda ze Szczekocina, oraz Rozalii z domu Sofer. Miał 10 rodzeństwa. W domu posługiwano się językiem jidysz oraz rosyjskim i polskim; dokładnie tak, jak na ulicach prowincjonalnego Białegostoku, w którym 70% ludności stanowili Żydzi, 5% – Niemcy, było trochę Polaków, Rosjan, Białorusinów, Tatarów i Cyganów. Rzecz tedy naturalna, że na tle różnic językowych dochodziło nieraz na targowisku, w sklepie czy na ulicy do nieporozumień i zadrażeń, a mały Eliezer był ich

świadkiem i bardzo się tymi konfliktami przejmował. Jeszcze w dzieciństwie uznał, jak wyznawał później, iż „*różność języków jest główną przyczyną konfliktów między ludźmi*”. Z czego logicznie wynikało, że aby ludzi pogodzić, należy nauczyć ich jednego wspólnego języka. Początkowo chłopak myślał, że musi to być łacina, lecz gdy zrozumiał, iż nauczanie się tego, co prawda niezwykle wzniosłego i pięknego, lecz i nie mniej trudnego języka będzie ponad siły zwykłych zjadaczy chleba, wybrał inną drogę.

Mając lat paręnaście napisał więc dramat „*Wieża Babel, czyli tragedia białostocka w pięciu aktach*” i nie tracąc czasu zaczął tworzyć słownictwo dla nowego języka – międzynarodowego! W latach 1869–1873 uczył się w gimnazjum m.in. języka rosyjskiego, niemieckiego, łacińskiego, greckiego, francuskiego. Miał doskonałą pamięć i był rozmiłowany w lekturach. Jak wielu ówczesnych żydowskich młodzieńców rychło stał się entuzjastą i wytrawnym znawcą wielkiej kultury niemieckiej i nieraz powoływał się na znane sentencje Johanna Wolfganga von Goethe o językach:

UCHWAŁA SEJMU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ z dnia 7 kwietnia 2017 r.

w sprawie uczczenia pamięci Ludwika Zamenhofa w 100. rocznicę śmierci

W dniu 14 kwietnia 2017 r. przypada 100. rocznica śmierci Ludwika Zamenhofa, twórcy międzynarodowego języka esperanto.

Ludwik Zamenhof urodził się, dorastał i wychowywał w środowisku wielonarodowościowej społeczności Białegostoku, które stało się dla niego inspiracją do stworzenia języka ponadnarodowego. Uważał, że ludzi dzieli przede wszystkim bariera językowa, która wywołuje konflikty i nieporozumienia. Wierzył, że idea esperanta zjednoczy nie tylko esperantystów, ale stanie się siłą jednoczącą wszystkich ludzi. Ostateczna wersja esperanta, znana w dzisiejszej formie, została przez niego ukończona w 1885 r. Wraz ze wzrostem popularności języka esperanto Ludwik Zamenhof jako jego twórca zrzekł się wszelkich należnych mu praw, oddając esperanto na użytek całej ludzkości. W dowód uznania za wkład w powstanie ponadnarodowego języka i jego popularyzacji na świecie Ludwik Zamenhof w 1905 r. w Paryżu został odznaczony Orderem Legii Honorowej, a w 1913 r. wysunięto jego kandydaturę do Nagrody Nobla. Zmarł 14 kwietnia 1917 r.

W 2014 r. decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego język esperanto został wpisany na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego.

W 100. rocznicę śmierci Ludwika Zamenhofa Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wspomina jego postać i wyraża uznanie dla jego zasług i osiągnięć.

Marszałek Sejmu: M. Kuchciński



Ludwik Zamenhof w 1908 r.



Ludwik Zamenhof w 1879 r.

„*Wer fremde Sprachen nicht kennt, weiss nichts von seiner eigenen*”. – „*Kto nie zna języków obcych, nie wie nic o własnym*”...

„*Wie viele Sprachen du kennst, sooftmal bist du Mensch*”. – „*Ile języków znasz, po tylekroć jesteś człowiekiem*”...

Z pewnością też podzielał zdanie, jakże wówczas popularnego w środowiskach żydowskich, Karola Marksa, iż „*eine fremde Sprache ist eine Waffe im Kampfe des Lebens*” – „*język obcy jest bronią w życiowej walce*”...

A gdy w jednym z czasopism młody człowiek przeczytał artykuł o wcześniejszych próbach naukowców i literatów, zmierzających do stworzenia sztucznego języka, który mógłby służyć jako środek komunikacji międzynarodowej, idea ta dogłębnie go zafascynowała, tak, iż cały wolny czas poświęcił próbom tworzenia nowego słownictwa. Już w 1878 roku, mając lat 18, opracował pierwszą wersję owej uniwersalnej mowy, a czwartą – w 1885 roku.

Sprawa jednak nie była prosta ani łatwa. Ojciec chłopca bowiem obawiał się, że pasja syna to jakaś chorobliwa obsesja czy mania, w najlepszym razie dziwactwo. I gdy wyprawił syna na studia medyczne do Uniwersytetu Moskiewskiego, podczas jego nieobecności najzwyczajniej w świecie wszystkie notatki i rę-

kopisy Łazarza spalił w piecu. Może uczynił to po przeczytaniu w „*Próbach*” de Montaigne’a następującego wywodu:

„*W żadnej rzeczy człowiek nie umie się zatrzymać w punkcie swoich potrzeb. Z rozkoszy, bogactwa, władzy chwytą więcej, niż może ogarnąć; chciwość jego niezdolna jest do miary. Uważam, iż tak samo jest w chciwości wiedzy. Zakreśla sobie w tej potrzebie o wiele więcej, niż zdoła poradzić i o wiele więcej, niż mu jest potrzebne, rozciągając pożytek wiedzy tak daleko, jak sięga jej treść. «Jak we wszystkim, tak i w nauce chorujemy na niepowściągliwość» (Seneka). Tacyt ma słuszność, gdy chwali matkę Agrykoli, iż umiała powściągnąć w synu zbyt gwałtowne łakomstwo wiedzy... Nie trzeba zgola nauki, aby żyć wedle naszych potrzeb... Wszystka nasza uczoność, która sięga poza naturalną, jest mniej więcej próżna i zbyteczna*”.

Także i ojciec Ludwika Zamenhofs uważał, iż wystarczy, by syn poznał tajniki sztuki Eskulapa, aby mógł zabezpieczyć sobie godziwą egzystencję. I miał rację. Ale pełna pasji osobowość syna w swych twórczych ambicjach daleko wykraczała poza granice zwykłego rozsądku. Toteż młodzienc nie dał za wygraną. Pomysłnie ukończył studia, został lekarzem oftalmologiem, leczyl chore oczy (w Grodnie, potem w Warszawie) wielu ludziom, Żydom i gojom, a w wolnym czasie ponownie poświęcał się pracom nad urzeczywistnieniem swego „dziwaczego” marzenia, które, nawiasem mówiąc, nie tylko przez jego ojca, ale i przez wiele osób obcych, było uważane za dziwaczne.

Warto może w tym miejscu zaznaczyć, iż studia rozpoczął w Moskwie, gdzie przebywał w latach 1879–1881, lecz po zamordowaniu w 1881 roku przez polskich i żydowskich bojówkarzy liberalnego cesarza Aleksandra II, z powodu narastania fali żydofobii i polonofobii w społeczeństwie rosyjskim wrócił do Warszawy i tu kontynuował studia na uniwersytecie, odbywając praktykę okulistyczną (1886 r.) w Wiedniu. Po studiach zatrudnił się jako okulista, lecz wciąż głowił się nad projektem własnego międzynarodowego języka.

I dzieło powoli ruszyło z miejsca. W międzyczasie doktor Zamenhof założył rodzinę. Jego żona Klara Silbernik (Zilbernik) pochodziła z Kowna na Litwie, gdzie jej ojciec posiadał niedużą wytwórnię mydła. I to właśnie teść nie tylko ze zrozumieniem potraktował marzenia i prace męża swej córki, ale także sfinansował pierwsze edycje gramatyki tego sztucznego języka. Zresztą posag panny Klary w całości został „zmarnowany” na realizację tego „fantazyjnego” projektu. W

1887 roku w Warszawie ukazała się pierwsza edycja podręcznika nowego języka, początkowo w wersji rosyjskiej, następnie – angielskiej, francuskiej, niemieckiej i polskiej: *„Lingvo internacia. Anauparolo kaj plena lernolibro”* podpisanego przez „*Doctoro Esperanto*”.

I stał się niemal cud. Wpływowe w zakresie dziennikarstwa, nauki, polityki, oświaty środowiska żydowskie w Europie i Ameryce (wciąż narażone na ekscesy antysemityzmu i naciski asymilacyjne) w lot pochwyliły pomysł Ludwika Zamenhofs i nadały mu wagę powszechną. Pierwszy klub esperanto i pismo *„La Esperantisto”* powstał w niemieckiej Norymberdze, następnie rozmnożyły się one jak grzyby po deszczu po całym kontynencie. A w 1905 roku odbył się we francuskim mieście Boulogne-sur-Mer pierwszy Światowy Kongres Esperanto, na którym przemówienie inauguracyjne wygłosił sam Zamenhof, który zresztą w drodze przez Paryż otrzymał Order Legii Honorowej. Później te kongresy odbywały się regularnie i to pod patronatem odnośnych rządów europejskich (z wyjątkiem Rosji) i amerykańskich. W 1909 roku powstał i działa nieprzerwanie do dziś Międzynarodowy Katolicki Związek Esperantystów – Internacia Katolika Unuigo Esperantista, a język ten jest jedynym sztucznym językiem oficjalnym Stolicy Apostolskiej, w którym można odprawiać msze w świątyniach katolickich. Także polski Kościół Starokatolicki Mariawitów oraz wyznania

protestanckie chętnie używają esperanto w swej działalności duszpasterskiej.

Aby dokładniej zrozumieć znaczenie tych spraw, warto przedsięwziąć krótki ekskurs w dziedzinę filozofii i psychologii języka. Chodzi bowiem o to, że każdy wysoko rozwinięty język etniczny nie tylko odróżnia ludzi od zwierząt i od innych ludzi, ale stanowi także potężny czynnik rozwoju danej kultury i cywilizacji. Przyrodnik niemiecki Karl Vogt pisał:

„Nieograniczona zdolność kształcenia się rodu ludzkiego i postęp wzmagającej się cywilizacji w zasadzie zależą od możliwości, jaką posiadają ludzie, wyrażania swych myśli za pomocą mowy. W ten sposób myśli owe stają się własnością wszystkich, podczas gdy u zwierząt, nawet w wypadku, gdyby się wytwarzały, pozostawałyby własnością jednego osobnika, znikają wraz z jego śmiercią i skutkiem tego nie miałyby żadnego wpływu na rozwój gatunku”.

Komunikacja językowa i praca to dwa czynniki postępu rodzaju ludzkiego.

Każdy język, jego słownictwo i składnia, stanowi swoiste zwierciadło odbijające rzeczywistość w ten właśnie a nie inny sposób. Co więcej, każdy język to niejako zamaskowana interpretacja rzeczywistości i filozofia życia. Stąd tak trudno bywa tłumaczyć dzieła literackie, teologiczne czy filozoficzne z jednego języka na drugi, a tłumaczenie np. z angielskiego czy urdu na



Dom przy ul. Zielnej 6 w Białymstoku, w którym w 1859 urodził się Ludwik Zamenhof

polski z zasady musi być nie tylko tłumaczeniem, lecz i wykładnią, a nawet wariacją na określony temat. A to tym bardziej, iż może być tak, że rzeczywistość, odbijająca się w ludzkich językach, w ogóle nie ma nic wspólnego z rzeczywistością prawdziwą, której nie można odzwierciedlić w ludzkim umyśle, ani opisać ludzkim językiem. Rzeczywistości zaś, tkwiące *implicit*e w językach ludzkości, mogą okazać się po prostu rzeczywistościami urojonymi, wirtualnymi. Ale wiedzieć tego nie możemy i skazani jesteśmy na posługiwanie się językami naturalnymi, których się uczymy od społeczności, w których przychodzimy na świat i w których przebiega nasze życie.

William Graham Sumner w dziele *„Naturalne sposoby postępowania w gromadzie”* zauważał:

„Język jest wytworem naturalnych sposobów postępowania w gromadzie, obrazującym ich działanie w wielu istotnych szczegółach. Język jest wytworem konieczności porozumienia się niezbędnego we wszelkiej wspólnie podejmowanej pracy, związanej z wszelkimi potrzebami życiowymi. Jest on zjawiskiem społecznym. Był niezbędny podczas prowadzenia wojny, polowania i wytwarzania, gdy tylko przedsięwzięcia te zaczęto podejmować wspólnie. Każda grupa wytworzyła swój własny język, który utrzymywał ją w zwartości i oddzielał od innych. [...] Każde słowo łączy się ze zdarzeniami, które je zrodziły, a jego początki giną w głębi czasu. [...] Języki izolujące, aglutynacyjne, alternacyjne i fleksyjne dają się uszeregować w ciągi wedle właściwej im i wpajanej przez nie poprawności logicznej i wygody w użyciu. Języki semickie w sposób oczywisty uczą innej logiki aniżeli języki indoeuropejskie”.

Jeśli wierzyć „Biblii” (*„Genesis”*, XI, 1), w zamierchłej przeszłości ludzkość posługiwała się jednym wspólnym językiem. *„Erat antem terra labii unius et sermonum eorundem”*. – *„A Ziemia była jednego języka y teyże mowy”*, jak tłumaczy to zdanie Jakub Wujek. Dopiero później postanowił Bóg języki pomieszać, a ludzi spod nieukończzonej wieży Babel *„rozproszył z onego miejsca po wszystkich ziemiach”*. Co więcej, bardzo liczne teorie lingwistyczne twierdzą, iż tym pierwotnym językiem całej ludzkości był sanskryt, sakralny język Indii, różne zaś mowy powstały na skutek rozsiedlenia się ludzi po różnych miejscach i zapomnienia o pierwotnej wersji prajęzyka. Istotnie, dialekty niekiedy rozwijają się z pospolitych błędów, a nawet wad wymowy. William Dwigg Whitney uważał, iż w ogóle wszelkie lokalne narzecza, będące nieraz zaczątkami nowych języków, w swoim początku są błędami mowy. *„Świadczą one o wpływie wywieranym przez tę ogromną*

liczebnie większość mówiących, która nie podejmuje wystarczających wysiłków, by mówić poprawnie i której błędy stają się ostatecznie obowiązującą w języku zasadą”. Wystarczy np. spojrzeć na współczesne języki romańskie czy germańskie, by dostrzec, że są one niczym innym, jak mieszaniną zdewastowanej łaciny, greki i jakichś lokalnych narzeczy, często trudnych do zdefiniowania.

Naród i język nie są tożsame. Obecnie jest na świecie ponad osiem tysięcy języków naturalnych, w tym siedemset znaczących (reszta szybko zanika), lecz znacznie mniej narodów. Języki nie są „równouprawnione”. Wśród 55 krajów afrykańskich 33 używają jako państwowego języka francuskiego, 19 – angielskiego, 10 – arabskiego, 5 – portugalskiego (w niektórych po dwa z nich pełnią funkcję oficjalnego). W bardzo niewielu państwach obok tych „cywilizowanych” języków ogłoszono za urzędową także jakąś lokalną gwarę. Po prostu prawie wszystkie z lokalnych dialektów afrykańskich są „nietechnologiczne”, nie odpowiadają obecnemu poziomowi rozwoju światowej kultury, nauki, cywilizacji, produkcji i nie da się w nich adekwatnie opisać rzeczywistości socjalnej XXI wieku.

Zresztą ta rzeczywistość wymaga dziś znajomości co najmniej kilku języków obcych prócz ojczystego. Ale to nie jest sprawa prosta, ponieważ poważne uzdolnienia językowe są dość rzadkie. Za najwybitniejszego poliglotę wszechczasów uchodzi Nowozelandczyk Harold Williams (1876–1928), dziennikarz i redaktor, który samodzielnie opanował i biegle posługiwał się 58 językami. Rosjanin Jurij Sołomachin znał 38 języków. Polak Karol Wojtyła czytał i mówił w 24 językach. W 1990 roku konkurs Poliglota Europy wygrał Szkot Deric Harning znający 22 języki. Są to jednak wyjątki równie rzadkie, jak wybitne uzdolnienia muzyczne czy matematyczne.

Powracając do języków sztucznych zaznaczymy, że wynalazcami, „konstruktorami” takowych byli m.in. wybitni uczeni i filozofowie Isaac Newton, Gottfried Wilhelm Leibniz, Rene Descartes. A jednak najślawniejszym i naprawdę żywym językiem sztucznym pozostało tylko esperanto (nazwa od łacińskiego wyrazu *„sperare”* – *hoffen*, to *hope*, żywić nadzieję), wynalezione przez polsko-żydowskiego okulistę Ludwika Zamenhofa. Słownik Webstera o tym języku notuje: *„an artificial international language based as far as possible on words common to the chief European languages”* albo *„based on the Latin roots common to the Romance lan-*

guages". Prawda jest nieco inna. Fachowcy uważają, że esperanto jest językiem o mieszanym typie analityczno-aglutynacyjnym z nielicznymi elementami fleksji. Zamenhof oparł swój wiekopomny wynalazek na słownictwie i gramatyce języków nie tylko romańskich, jak francuski, hiszpański, włoski, ale też germańskich, jak niemiecki i angielski, słowiańskich – rosyjski, polski, białoruski, a także litewski. Słownictwo liczy grubo ponad 100 000 wyrazów i nadaje się do sporządzania tekstów literackich, naukowych, filozoficznych i innych. Podstawę gramatyki stanowi 16 bezwyjątkowych reguł, co znacznie ułatwia opanowanie tego języka w dość krótkim czasie.

Jest to język żywy, którym posługuje się w skali globalnej około 12 milionów osób w 118 krajach, zrzeszonych w Światowym Związku Esperantystów, a niektórzy entuzjaści nawet podają go w ankietach jako język ojczysty. Jest to niewątpliwie środek komunikacji elit intelektualnych, naukowców, dziennikarzy, profesorów, lekarzy, prawników, inżynierów, studentów. Nie przypadkiem miłośnikami esperanto byli liczni laureaci Nagrody Nobla, jak Jaroslav Heyrovsky, Albert Einstein, Reinhard Selten. Funkcjonuje również esperantologia, jako dział lingwistyki poświęcony temu językowi. Istnieje rozległa literatura oryginalna i tłumaczeniowa: pełny zbiór utworów Teodora Dostojewskiego, Lwa Tołstoja, Williama Szekspira, Emila Zoli, Szalom Alejchema, Izaaka Babla i innych klasyków literatury europejskiej. Cała plejada pisarzy i poetów na całym świecie tworzy wyłącznie w tym języku. Ukazuje się ponad 100 periodyków, a na szeregu uniwersytetów działają katedry tego języka.

Esperanto było surowo zakazane w III Rzeszy Niemieckiej jako domniemany wytwór „żydowskiej rabulistyki”, służący realizacji syjonistycznego panowania nad światem. Także w Związku Sowieckim w latach 30. XX w. esperantystów albo wystrzelano, albo zagłodzono w Gułagu, ale tym razem pod zarzutem bycia agentami międzynarodowego imperializmu i kosmopolityzmu. W całym okresie istnienia ZSRR oficjalnie obowiązywała w tym kraju teza, że przyszłym językiem całej ludzkości będzie rosyjski, a to dlatego, że w tym języku tworzył swe genialne dzieła Włodzimierz Lenin i cała plejada znakomitych pisarzy. Dopiero od lat 60. XX w. datuje się odrodzenie tego ongiś masowego ruchu inteligencji na tamtym terenie. Niezbyt chętnie patrzono na esperanto także w tradycyjnie imperialistycznej i wyniosłej Anglii oraz w afiliowanej przy niej Ameryce Północnej.

Absurdalność zarówno niemieckich, jak i rosyjskich zarzutów pod adresem ruchu esperanto była ewidentna, bo przecie Ludwik Zamenhof postulował „*odrzucenie raz i na zawsze hegemonii jednego narodu nad innymi*”. Występował otwarcie przeciwko imperializmowi językowemu „wielkich” narodów, potężnych pod względem gospodarczym i militarnym, licznym, narzucającym światu nie tylko swą wolę, ale i swój język. A przecież to właśnie Niemcy, Rosjanie, Anglicy i Amerykanie nie tylko poważnie uważali siebie za mających do spełnienia jakąś szczególną misję w dziejach ludzkości, ale naprawdę dążyli do panowania nad światem, także kulturowo i językowo. Stąd ich niechęć i wrogość do liberalnego wynalazku Doktora Esperanto.

Ludwikowi Zamenhofowi przyświecała szlachetna idea stworzenia uniwersalnego języka dla całej ludzkości: neutralnego (nie budzącego nacjonalistycznych animozji), logicznego, łatwego w użyciu, pokonującego bariery między narodami. W 1906 roku ogłosił on swą doktrynę „homaranizmu”, postulującą zupełne zjednoczenie wszystkich narodów na kuli ziemskiej, wprowadzenie wspólnego języka, jedynej synkretycznej religii, ustawodawstwa i systemu oświaty. Taki cel miał odtąd przyświecać całemu ruchowi esperantystów. Być może tę koncepcję można traktować jako jedną z pierwszych prób globalizacji, zjednoczenia wszystkich ludów na czele z „narodem wybranym”, najbardziej światowym i światłym, zamieszkującym całą kulę ziemską, najbardziej predysponowanym do odegrania roli przodownika i lidera ludzkości.

W 1904 roku Zamenhof opracował i wydał dzieło „*Fundamenta krestomatio*”, esperancką antologię przetłumaczonych przez siebie tekstów literackich z języka polskiego, rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego. Później zaś osobiście przełożył na swój język międzynarodowy „*Stary Testament*”, „*Pana Tadeusza*”, „*Doktora Fausta*”, „*Wojnę i pokój*”, niemało innych utworów literackich. I wciąż przez wiele lat doskonalił swój wynalazek. Dokonał wyczynu naprawdę tytanicznego, jak zresztą i przystało na geniusza z prawdziwego zdarzenia. Został laureatem szeregu nagród i wyróżnień, kawalerem m.in. hiszpańskiego Orderu Izabeli Katolickiej (paradoksalnie owa monarchini, twórczyni olbrzymiego imperium globalnego była też nieubłaganą prześladowczynią Żydów!). W 1913 roku kandydaturę Zamenhofa zgłoszono do literackiej Nagrody Nobla.

Rzadkie wolne od pracy zawodowej w charakterze okulisty i od twórczej pracy nad kształtowaniem języka międzynarodowego chwile poświęcał pan Ludwik filatelistyce, był bowiem zapalonym kolekcjonerem znaczków pocztowych – typowe hobby inteligenckie, któremu oddawał się m.in. noblista Albert Einstein (jak zaznaczyliśmy, miłośnik i znawca języka esperanto), czy prezydent A.D. Roosevelt.

Na marginesie warto przypomnieć, iż znaczek pocztowy, podobnie jak wiele innych wytworów cywilizacji europejskiej, narodził się w Wielkiej Brytanii. W 1837 roku dość wysokiej rangi urzędnik pocztowy, a przedtem wiejski nauczyciel – Rowland Hill, wpadł na pomysł, że za list powinna płacić nie osoba korespondencję otrzymująca (i nieraz z odbioru listu rezygnująca, narażająca tym samym pocztę na straty czasu i środków), lecz osoba przesyłkę nadająca. Znakiem zaś świadczącym, że usługa pocztowa została z góry opłacona, stał się prostokątny skrawek papieru z nadrukiem „*postage paid*”, naklejany na kopertę. Rowland Hill ogłosił tedy na łamach gazety „*Times*” konkurs na projekt znaczka pocztowego. W 1840 roku zaś rozpoczęto jego druk – według projektu grafika Henry Courbilda – przedstawiający portret królowej Wiktorii, skopionowany z medalu Williama Wyana. „*Penny Black*” – „*Czarny Penny*”, tak nazwano ten znaczek wykonany w tym właśnie kolorze. Odtąd opłata świadczeń pocztowych została radykalnie uproszczona i ułatwiona, a Rowlanda Hilla po pewnym czasie awansowano do stanowiska poczmistrza generalnego Korony Brytyjskiej, nadając mu Order Łaźni, nagrodę pieniężną w wysokości 20 000 szylingów oraz tytuł szlachecki baroneta.

Znakomity wynalazek nie tylko ułatwił pracę poczty i życie obywateli, ale też dał różnym państwom możliwość dyskretnego propagowania swej kultury, tradycji, historii, osiągnięć cywilizacyjnych; z czego skwapliwie skorzystały, ogólnie rzecz biorąc, wszystkie kraje świata. W 1842 roku sprzedano pierwsze znaczki pocztowe Stanów Zjednoczonych, w 1843 roku – Szwajcarii, w 1849 roku – Niemiec. Pierwsze znaczki różnych krajów kosztują obecnie fortunę, setki tysięcy, a nawet miliony dolarów. Bardzo drogie bywają też znaczki wydawane w małych nakładach lub wycofane z użycia, np. ze względu na jakiś błąd drukarski. Obecnie filatelistykę uprawia na świecie około 30 000 000 osób, przeważnie zresztą mających poważne wykształcenie i wyrobione potrzeby kulturalne, wśród których niemało wybitnych intelektualistów, pisarzy, profeso-

rów, polityków, lekarzy, inżynierów, przemysłowców, a również osób koronowanych i noblistów. Do projektowania znaczków pocztowych bywają angażowani najzdolniejsi graficy, rytownicy i artyści malarze, toteż te małe miniaturki stanowią często prawdziwe dzieła sztuki. Są też artyści, poświęcający niemal cały swój wysiłek twórczy filatelistyce, jako swoistej dziedzinie kultury estetycznej.

Kolekcjonowanie znaczków pocztowych to nie tylko wspaniały sposób na spokojne i sensowne spędzanie czasu wolnego, lecz także sympatyczna, niewymuszona metoda samokształcenia. Ze znaczków bowiem można się wiele dowiedzieć o różnych krajach, ich wybitnych postaciach historycznych, tradycjach, architekturze, literaturze, malarstwie, przyrodzie.

Nic tedy dziwnego, że Eliezer Lewi Zamenhof od dzieciństwa aż do końca życia był zapalonym filatelistą, a w ciągu XX stulecia ponad 50 krajów wydawało znaczki i bloczki pocztowe z jego podobizną. Gdyby dowiedział się o tym za życia, na pewno by się bardzo ucieszył.

Zmarł wielki humanista 14 kwietnia 1917 roku i został pochowany na cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie. Pożegnalną mowę nad grobem zmarłego wygłosił kaznodzieja Wielkiej Synagogi na Tłomackiem, rabin Samuel Poznański, kończąc ją słowami: „*Przyjdzie chwila, że cała Polska Ziemia zrozumie, jaką promienną sławę dał ten wielki syn swojej Ojczyźnie*”. I nie pomylił się.

Mimo wielu stron tragicznych esperanto trwa. A przecie już nie istnieje w Białymstoku żydowska dzielnica Schulhof, w której Ludwik Zamenhof przyszedł na świat i spędził pierwsze lata życia. W czerwcu 1941 roku Niemcy spalili w tutejszej synagodze 2000 Żydów. Wówczas zginął również najwybitniejszy propagator esperanto, białostoczanin Jakub Szapiro. I w ogóle – mówiąc słowami Antoniego Słonimskiego:

„*Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą, Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem*”.

Wszystko padło ofiarą niewyobrażalnego barbarzyństwa niemieckiego.

A jednak to, co dobre, nie ginie. Od 1908 roku istnieje nieprzerwanie Światowy Związek Esperantystów (od 1954 roku członek UNESCO) oraz Międzynarodowa Akademia Esperanto w San Marino, Międzynarodowa Liga Nauczycieli Esperantystów, także organizacje prawników, lekarzy, inżynierów, prowadzące owocną działalność naukową, badawczą, informacyjną,



Grób Ludwika Zamenhofs na cmentarzu przy ulicy Okopowej w Warszawie

kulturotwórczą. W esperanto regularnie emitują audycje radiowe rozgłośnie Chin, Watykanu, Czech, Australii, Kuby, Brazylii. Biblioteka „Internacia Esperanto-Muzeo” w Wiedniu przechowuje i udostępnia czytelnikom 36 000 książek w 500 językach sztucznych, najwięcej w esperanto. Na cześć Zamenhofs nazwano jedną z planetoid Układu Słonecznego jego nazwiskiem, a drugą – „Esperanto”. Tysiące ulic, parków i innych obiektów miejskich na całym świecie także noszą to miano.

38. sesja Konferencji Generalnej UNESCO w listopadzie 2015 roku postanowiła, że rok 2017 będzie na całym świecie obchodzony jako Rok Ludwika Zamenhofs, a to z powodu setnej rocznicy śmierci tego słynnego intelektualisty, uczonego i marzyciela. Stało się to okazją do przypomnienia całemu światu o – jakże nadal aktualnym! – marzeniu i dorobku tego niezwykłego człowieka.

Dr Jan CIECHANOWICZ

Józef Kurtyka
(1929–2007)

WSPOMNIENIA SYBIRAKA (deportowanego do ZSRR w okresie od 10 lutego 1940 do 15 czerwca 1946 r.)

Pamiętnej soboty 10 lutego 1940 r. z naszego gospodarstwa wywieziono wszystkich:

1. Kurtykę Annę (lat 80) – mamę taty;
2. Zygmunta – tatę, ur. w 1901 r.;
3. Agatę – mamę – ur. w 1911 r.;
4. Józefa – mnie – ur. w 1929 r.;
5. Zofię – siostrę – ur. w 1930 r.;
6. Czesławę – siostrę – ur. w 1931 r.;
7. Ryszarda – brata – ur. w 1933 r.;
8. Mariana – brata – ur. w 1934 r.;
9. Danutę – siostrę – ur. w 1939 r.

Przez tych 6 lat i 5 miesięcy przebywaliśmy w następujących miejscowościach:

1. Czarnuszka – Siużwa, obłast' Mołotow (Perm) – od III 1940 do IX 1941 r.;
2. Szościna, też obłast' mołotowska – od IX 1941 do II 1942 r.;
3. Jum, jw. – od II 1942 do VI 1942 r.;
4. Kanamowa, jw. – od VI 1942 do XI 1943 r.;
5. Wierchińwa, jw. – od XI 1943 do IV 1944 r.;
6. Frunze, obl. saratowska – od V 1944 do III 1946 r.

Do Polski wróciliśmy w czerwcu 1946 r. i zamieszkaliśmy we Wrocławiu na Psim Polu.

Byłem najstarszym synem w rodzinie. Rodzice posiadali gospodarstwo 8-hektarowe na Podolu, w pow. Brzeżany, woj. tarnopolskie.

Po I wojnie światowej moi dziadkowie z rodzinami z województwa krakowskiego przyjechali na Podole. Z rozparcelowanych majątków ziemskich zakupili ziemię, pobudowali budynki, które przywieźli spod Tarnowa (Wierchosławice, Trzydniaki, Miechowice). Na ziemiach poparcelacyjnych powstawały kolonie. Natomiast miejscowi (Polacy, Rusini) zamieszkiwali w

wioskach o zwartej zabudowie. Były też wioski zamieszkałe tylko przez Ukraińców-Rusinów.

Pamiętam, jak latem 1939 r. tato spełnił naszą prośbę i pierwszy raz przejechaliśmy się pociągiem z Kozowy do Krzywego. W inną niedzielę z siostrą Zosią poszliśmy do babci (mamy mamy). Do cioci Hani przyszedł jej kolega zza Zbójnickiego Lasu, przyniósł śliwki, których smak długo pamiętałem; jedliśmy je po raz pierwszy.

W tym okresie coraz częstszym tematem wśród dorosłych były sprawy związane ze zbliżającym się zagrożeniem – wojną. Ukraińcy nie kryli się z przeprowadzaniem różnych ćwiczeń wojskowych. Policja wcale w tym im nie przeszkadzała, mówiła, że nie trzeba ich drażnić. Młodzież polska zorganizowana w organizacji „Strzelca” też się ćwiczyła.

Pogoda jesienią 1939 r. była piękna, słoneczna. Przy takiej pogodzie sprzęt zboża przebiegał bardzo sprawnie. Pomagali nam miejscowi ludzie. Pracowali za tzw. dziesiąty snop.

Atmosfera polityczna była bardzo napięta. Ukraińcy stawali się coraz mniej przychylni Polakom.

Pod koniec sierpnia rozpoczęła się mobilizacja niektórych roczników do wojska. Tata wyciągnął ze schowka karabin (pozostałość po I wojnie światowej), przeczyścił go i wcale się nie krępował z jego posiadania. Mnie bardzo ten karabin intrygował. Toteż jednego popołudnia wyniosłem go za stodołę i wystrzeliłem, za co nie obeszło się bez lania.

W niedzielne popołudnia przychodzili do nas sąsiedzi, znajomi, aby podyskutować o napiętej sytuacji i posłuchać radia (na słuchawki).

Rozpoczęła się akcja zbierania darów wspomagających wojsko. Ludzie dawali, co tylko mogli, często najwartościowsze rodzinne rzeczy. Moi rodzice dali dorosłego buhaja.

1 września nadeszła najgorsza wiadomość:

Wojna!

Z tego powodu opóźniono o kilka dni rozpoczęcie zajęć szkolnych. Z Tarnopola przyjechał stryj Felek wraz z żoną i synem Staszkiem. Zamieszkali w pokoju z babcią (mamą taty).

Do moich obowiązków po powrocie ze szkoły należało pasienie krów na łąkach koło lasów położonych przy rzece Koropiec. Dzieci ostrzegano, aby w żadnym przypadku nie podnosiły znalezionych zabawek, smakołyków, gdyż mogą to być pułapki z materiałem wybuchowym lub trującym.

Od zachodu na horyzoncie często było widać chmury dymów z bombardowanych przez Niemców rafinerii w Borysławiu, Samborze i w Drohobycz. Eskadry niemieckich samolotów latały bardzo wysoko, niestety, pociski artylerii przeciwlotniczej rozrywały się poniżej pułapu ich lotu. Widzieliśmy jak polski samolot w starciu z niemieckim został trafiony i spadł na pola za Zbójnickim Lasem. Ale pilot uratował się.

W miarę upływu wojennych dni Ukraińcy stawali się coraz bardziej agresywni. Nie tylko nie kryli się z ćwiczeniami wojskowymi, ale wręcz afiszowali się, chodząc pod nosem policji z bronią.

Tata dostał kartę mobilizacyjną. Przed pójściem na wojnę ukryliśmy niektóre bardziej wartościowe rzeczy (karabin, narzędzia stolarskie, centryfugę, zboże itp.). Stryj Felek postanowił wyjechać na zachód, w rodzinne strony do Ostrowia (koło Tarnowa).

Ukraińcy coraz częściej napadali na Polaków (męczyli, palili, mordowali). We wsi Stomorojów zamordowali dwóch młodych Polaków Pytlaków w wieku ok. 20 i 25 lat. Po kilku dniach rodzina odnalazła ich mogiłę. Ciała były tak zmasakrowane, że trudno było ich rozpoznać.

W nocy w sąsiedniej wsi Szczepanów nie udało się odeprzeć ataku Ukraińców. Cała wioska została spalona. Do rana słychać było krzyki ludzi wrzucanych do ognia.

Baliśmy się spać w domu, spaliśmy na wozie z końmi stale zaprzęgniętymi i w każdej chwili gotowymi do ucieczki do Kozowy. Niekiedy spaliśmy u ludzi, których Ukraińcy nie darzyli nienawiścią, bo liczyliśmy na to, że na nich nie napadną.



Po jednej z takich nocy opowiadałem mamie sen, że paliła nam się krowa Wiśnia. Była najwartościowsza, najbardziej wydajna. Mama ze smutkiem odparła, że chyba już długo u nas nie pobędzie. I stało się. W dzień przyszło kilku Ukraińców, zabrali największą świnie i najlepszą krowę, właśnie Wiśnię.

Po kilku dniach nastąpiła demobilizacja, tata wracając od sąsiadów dowiedział się, że naszej Wiśni już nie mamy, natomiast świnia uratowała się, bo niedaleko domu wyskoczyła im z wozu, a oni po nią już nie wrócili. Toteż odzyskaliśmy ją i wkrótce poszła na przerób.

W obawie przed napaścią Ukraińców mężczyźni nocą na skraju wioski grupami pełnili dyżury z bronią.

Po wyjeździe stryjka Felka na kwaterę przydzielono nam rodzinę Kuźniaków – wysiedlonych z innych terenów. Ich dwunastoletniego syna Ukraińcy kilka dni wcześniej tak pobili, że z ranami w głowie przeleżał parę dni w polu. Gdy go znaleźli, to w ranach były już robaki.

Innym razem ktoś przyniósł wiadomość, że Ukraińcy dzisiejszej nocy szykują się spalić naszą kolonię. Na tę wieść wszyscy mieszkańcy kolonii, położonej od strony Kalnego (wioski zamieszkałej przez Ukraińców), ze wszelkim dobytkiem schronili się w gospodarstwie Dydy. Było to gospodarstwo z dużym murowanym domem, otoczone dużym ogrodem i sadem. Ludzie nocowali we wszystkich izbach, w stodole, piwnicy. Oczywiście bez mężczyzn, którzy wyposażeni w broń i różne ostre narzędzia dyżurowali na skraju wioski. Ukraińcy nie odważyli się zaatakować.

Po kilkunastu dniach wojny widzieliśmy, jak Wojsko Polskie, cofając się przed Niemcami, różnymi drogami podążało na południe do Rumunii. Niestety, nie

mogli spokojnie wycofywać się. Dochodziły do nas wiadomości, że Ukraińcy, napadając na nich, nie tylko rabowali im broń i sprzęt, ale ich bestialsko mordowali.

Po 17 września wkroczyły wojska rosyjskie, jechały pociągami na zachód w stronę Kalnego. Kilka dni później przy tych samych torach znaleziono kartkę z napisem: „*Wiozą nas na wschód – podpisał Klaka*”. Był to syn mieszkańca naszej wioski, oficer Wojska Polskiego. Więcej wiadomości od niego nie było. Później dowiedzieliśmy się, że Klaka zginął w Katyniu.

Po wkroczeniu wojsk rosyjskich Ukraińcy nie byli już tak agresywni, nie podpalali, nie mordowali. W gminie Kozowa oni decydowali, co i kiedy zabrać Polakom. Zabierali dobytek (konie, krowy, świnie). Do niektórych gospodarstw polskich wprowadzali swoje rodziny, zmuszając Polaków do ścieśniania się w jednej izbie.

Mijały trzy miesiące, jak Polakami rządzą Rusini i do tego trzeba było się przyzwyczaić. Nadszedł 6 grudnia, w szkole zorganizowano „Mikołaja”. Wzięły w tej uroczystości udział siostry Zosia i Czesia oraz ja. Upominkami były przeważnie słodycze.

Również święta Bożego Narodzenia upłynęły w przygnębieniu i niepewności. Dorośli politykując zastanawiali się, dlaczego Anglia i Francja nie przyszły Polsce z pomocą.

Był rok 1940, zima bardzo śnieżna i mroźna. Byłem z tego bardzo zadowolony, bo mogłem pojeździć na nartach, które dostałem od wujka Ludwika. Często jeździłem na nich do szkoły, co powodowało zazdrość kolegów. One też przyczyniły się do tego, że 9 lutego (był

to piątek) pobiliśmy się z kolegą Staszkiem Zającem. Odgrażał się, że następnego dnia przy pomocy kuzyńców sprawi mi takie lanie, że popamiętam. Toteż bardzo bałem się tej soboty 10 lutego pójść do szkoły.

10 lutego – deportacja

Zima śnieżna i mroźna, na dworze ciemno, wcześniej rano słychać na kolonii szczekanie psów, głośnie rozmowy, nawoływania, krzyki. Niebawem stukają i do naszych drzwi. Weszli rusczy żołnierze i Ukraińcy. Mówią abyśmy się ubierali, rewidują mężczyzn, przeprowadzają rewizję w mieszkaniu, szukają broni. Odczytują ukaz Wierchownego Sowietu, że nas przesiedlają. Zawiozą nas na stację kolejową do Krzywego. Możemy zabrać odzież i trochę jedzenia. Tam gdzie zajedziemy będziemy mieć wszystko, co potrzeba. A mogliśmy zabrać niewiele, gdyż na sanie oprócz babci i sześciorga dzieci niewiele już się zmieściło. Do ostatniego pokoju, w którym mieszkali Kuźniakowie, nie wolno nam było wejść. Byliśmy bez chleba, gdyż chleb czekał zaczyniony w dzieży. Tato zaprzęgnął konie do sań, w których ulokowano nas, wziął pościel, trochę ubrań i naczyń oraz żywność i kury, których kilka mama zdążyła zabić. Zabrałem też kilka szkolnych książek. Chciałem zabrać narty, ale Ukrainiec wyrwał mi je i rzucił w śnieg; żal mi ich było.

Po drodze dołączamy do transportu sąsiadów z naszej kolonii. Wywożą wszystkich, tj. dwie rodziny Jurków, rodzinę Torchaków, Boryczków, stryja Leona, naszą rodzinę, dwie rodziny Głowackich i rodzinę Kanarskich. Wiozą nas na stację kolejową do Krzywego.

Stacja obstawiona jest przez wojsko rosyjskie, wszystkich ładują do wagonów towarowych. W wagonach, aby pomieścić jak najwięcej ludzi, wewnątrz po obu bokach porobiono półki – prycze. Wyprostować można się było tylko na środku wagonu, między drzwiami. Na środku stał piec żelazny i wycięta była dziura w podłodze do załatwiania się. Po załadunku wagony z zewnątrz zamknięto. Okna były okratowane, obite blachą ponacinaną w poziome szpary, przez które widoczny był



kilkumetrowej szerokości pas ziemi przy torach. Przez te szpary do wagonu przedostawało się nie tylko światło, ale i chłód.

Od zawiadowcy stacji tata dowiedział się, że powiozą nas do stacji kolejowej Mendelejewo. Niestety, nikt nie wiedział, gdzie ta stacja się znajduje.

Od razu odczuwało się brak żywności, a zwłaszcza mleka dla dzieci. Z powodu zimna i ciemności dzieci przebywały przeważnie pod pierzynami. Następnego dnia zezwolono, aby z każdego wagonu wyszła jedna osoba z wiadrami po wodę. Roli tej podjął się tata, zamierzając przy okazji postarać się o mleko i chleb. Do wieczora tata nie wrócił.

W nocy transport ruszył w drogę. Zostaliśmy sami bez taty. Na szczęście dla nas w wagonie była rodzina mamy (siostry i bracia), brat taty Leon z rodziną i brat mamy Staszek z rodziną. Było też rodzeństwo Torchaków (6 osób), z których dwoje najstarszych (Władek i Stefka) przy najbliższej okazji uciekło, pozostawiając czwórkę rodzeństwa, z których najstarsza Julka miała 15 lat, a najmłodsza Zosia – 10 lat. W wagonie mieściło się ok. 60 osób.

Po drodze do Lwowa dołączono następne wagony, kompletowano transport. Bieglejsi w geografii uważali, że we Lwowie powinno się wyjaśnić, dokąd nas wiozą. Jeśli na wschód, to najprawdopodobniej do Rosji, czyli na Sybir, a jeśli na zachód, to za San pod okupację niemiecką.

Po paru godzinach jazdy ktoś przez szparę w oknie odczytał nazwę stacji Kamionka Strumiłowa, a więc jedziemy na północ, czyli trasa nadal nie jasna.

W następnych dniach odczytywano stacje najmniej oczekiwane: Sarny, Kowel. A więc, niestety, wiozą nas na wschód. Przeładowano nas do ruskich wagonów szerokotorowych w Łucku.

Z czasem szpary w blaszanych zasłonach okien powiększono i po otwarciu kłapy można było odczytywać mijające stacje. Niektórzy zaczęli je zapisywać, mówili, że mogą się przydać do drogi powrotnej. Wujek Ludwik przywiązywał szczególną wagę do tego, aby zapis był dokładny. W miarę upływu czasu podróży spotykaliśmy coraz mniej miejscowości, a coraz więcej lasów. Po kilkunastu dniach odczytaliśmy stację Gorki, przejechaliśmy zamarzniętą i pokrytą lodem i śniegiem Wołgę. Jeszcze parę dni jazdy i po nocnym postoju odczytaliśmy na niewielkim budynku stacji już słyszany wyraz „Mendelejewo”. A więc naczelnik stacji początkowej w Krzywem mówił prawdę, tylko że nikt nie wiedział gdzie jest ta stacja.



Otwierają wagony, każą nam wysiadać, mroz dotąd niespotykany – około minus 40 stopni, stacja obstawiona wojskiem.

Mimo odczuwanego dramatu zadowoleni jesteśmy, że nie wiozą już nas dalej: ani na północ, ani na wschód. Dorosłych ładują na odkryte ciężarowe samochody. Dzieciom i starszym osobom każą wsiadać do autobusów. Ogrzewane ropą powodowały wewnątrz okropny swąd spalin, które u większości podróżnych wywoływały bóle głowy i wymioty. Dokąd nas wiozą nie wiemy, zwłaszcza, że między sobą rozmawiają w języku komi, zupełnie dla nas niezrozumiałym.

Niestety oddalamy się od ojczystego kraju, bo cały czas jedziemy w kierunku północnym, przez Kudymkar do Jurły. Ujechaliśmy już ok. 150 km. W Jurle zatrzymujemy się na nocleg. Dostajemy pierwszą od początku podróży zupę, którą trudno jeść drewnianymi łyżkami (okrągłe) – zupa zamiast do ust wylewa się bokami. Już nas nie pilnują, gdyż wiedzą, że stąd nie łatwo uciec. Dalsza podróż odbywa się saniami w śniegu o ponadmetrowej grubości.

Skończył się luty, w podróży jesteśmy już 3 tygodnie. Pierwsze dni marca, dzień coraz dłuższy, a wiosny wcale nie widać. Na nocleg zatrzymujemy się w domach kołchoźników, a w dzień dalej w drogę, już nie przez wioski, tylko przez las, gdzie nie widać śladu ludzkiej obecności. Grupa wiezionych Polaków liczy ok. 90 rodzin, tj. ok. 300 osób.

Pod wieczór 2 marca transport rozdziela się. Nas dowieźli nad rzekę, gdzie na polanie stoją dwa puste baraki, a miejscowość nazywa się:

Czarnuszka

Jak okiem sięgnąć – wszędzie tylko las. Daleko od wiosek, gdzie produkuje się żywność, uprawia zboże, ziemniaki, warzywa. Jakżeż inne warunki życia zaofiarował nam los! Trzeba dostosować się do nich.



W walce z zimnem las, a w nim drzewa, okazał się jednak pewnego rodzaju dobrodziejstwem. Czarnuszka położona jest 5 km od Siużwy, gdzie mieści się piekarnia, sklep, pracuje komendant i lekarka. Z Siużwy do najbliższej wioski Galeśniki jest 26 km. W Siużwie najważniejszą osobą był komendant Zotin. On i lekarka Kapa przysłani tu zostali za karę. Z miejscowych byli jeszcze brygadzysta, piekarz i kucharka.

Wokół Siużwy pobudowane były w różnych kierunkach, w odległości 5-10 km, baraki. Przed naszym przyjazdem służyły one miejscowym kolchoźnikom, którzy pracowali przy wyrębie i wywózce drewna z lasu. W okresie wiosennym drewno to spławiano rzeką Siużwą do Kosy, a następnie do Kamy.

Najważniejszym zadaniem Polaków było z jak najmniejszym uszczerbkiem przystosować rodziny do nowych warunków.

Barak, w którym nas ulokowano, składał się z jednej dużej i dwóch małych izb. Na środku dużej izby stał żelazny piec, który służył do gotowania i do ogrzewania baraku. Dobrze, że drzewa do spalania w piecu nie brakowało, chociaż ścinanie wysokich świerków przez dzieci było pewnym ryzykiem. Raz ścięty świerk nie upadł w pożądanym kierunku, padając zaczął się obracać. Stałem w głębokim śniegu i nie mogłem odskoczyć. Nic mi się jednak nie stało, gdyż świerk wgniół mi tylko nogi w głęboki śnieg.

W baraku mieszkaliśmy z:

- wujkiem Staszkiem z rodziną – 9 osób
- wujkiem Julkiem z rodziną – 5 osób
- wujkiem Władkiem z rodziną – 7 osób

- wujkiem Ludwikiem z ciotkami Hanią i Gienią oraz babcią – 4 osoby
- stryjem Leonem z rodziną – 6 osób
- rodziną Paterów – 4 osoby
- nasza rodzina liczyła – 8 osób.

Razem na powierzchni ok. 60 m kw. zamieszkiwało nas ok. 45 osób.

Cały pierwszy dzień 3 marca przeznaczony był na urządzanie się, tj. ustalanie miejsc, kątów, gdzie która rodzina rozlokuje się. Mężczyźni przygotowywali drewno do palenia w piecyku.

Powiadomiono nas, że następnego dnia, 4 marca, wszyscy zdolni do pracy winni zgłosić się do komendanta na Siużwie. Z naszej rodziny nie poszedł nikt (babcia 80 lat, mama w ciąży i sześcioro dzieci, spośród których ja najstarszy – 11 lat). Największą naszą nadzieją i jedynym oparciem na przetrwanie byli wujek Ludwik i ciocia Hania. Powrót z Siużwy był bardzo oczekiwany, gdyż nie byliśmy pewni gdzie dokładnie jesteśmy i jaki czeka nas los.

Wiadomość, jaką przynieśli dorośli, okazała się przygnębiająca. Komendant oznajmił, że znajdujemy się na terenie Komi-Permiackiej Autonomicznej Republiki w rejonie Jurła w obwodzie mołotowskim. Taki jest adres, na który możemy otrzymywać korespondencję i paczki. Każdy zdolny do pracy winien pracować przede wszystkim w lesie przy wyrębie i obróbce drewna. Każdy pracujący za znormowaną pracę otrzymywać będzie zapłatę. Im większą normę będzie wykonywał, tym więcej będzie zarabiał. Za zarobione pieniądze będzie można w sklepie zakupić na kartki chleb – pracujący 500 g, niepracujący 200 g. Na kartki można będzie kupić cukier lub cukierki, gdy będą. Bez kartek zaś – sól, zapalki, naftę i mydło, też jeżeli będą. Z nastaniem cieplejszych dni przystąpi się do budowy baraków. Wówczas wszyscy z oddalonych od Siużwy baraków będą mogli zamieszkać na Siużwie.

Następnie komendant oznajmił, że zamieszkałe na Siużwie dzieci będą chodzić do szkoły. Z Siużwy nie wolno bez zezwolenia nigdzie oddalać się. Polski już nie ma i w rodzinne strony już nigdy nie powrócimy. Że prędzej nam wyrosną włosy na dłoni, niż doczekamy się Polski.

Mimo tak przygnębiających wiadomości nikt nie tracił nadziei, że nadejdzie czas, gdy opuścimy lasy i powrócimy do Ojczyzny.

Pocieszające było to, że mogliśmy pisać listy w rodzinne strony, donieść krewnym, dokąd nas wywieziono i że można przysyłać paczki i pieniądze. Li-

czyliśmy na to, że może nie wszystkich wywieźli, że może tata się odnajdzie, gdyż w nim była nadzieja na nasze przetrwanie i ocalenie. Tak zaczęły się nasze szare dni na Czarnuszcze. Słońce świeciło coraz wyżej, a dni były coraz dłuższe.

Od kołchoźników, pracujących końmi przy wywoźce drewna z lasu, za różne przywiezione z Polski rzeczy (ubrania, pościel), można było kupić mąkę, chleb, kaszę, ziemniaki.

Nadeszły Święta Wielkanocne. Różniły się od innych dni tym, że można było więcej zjeść z zaoszczędzonego wcześniej chleba. Niektórym udało się kupić od kołchoźników symbol świąteczny – jajko.

Dla nas, w porównaniu z innymi, los nie był najłaskawszy, o tacie nie mieliśmy żadnych wiadomości, a najmłodsza siostra Danusia z niedożywienia marniała w oczach.

Niedziela wielkanocna upłynęła wśród najbliższej rodziny na modlitwach i rozważaniach, co i jak robić, aby jak najdłużej przetrwać. Wieczorem ok. 21-ej, gdy dzieci już leżały w łóżkach, wśród dorosłych powstało zamieszanie. Za oknami pokrytymi lodem widać było brzask – jaśniało coraz mocniej, jak gdyby słońce wschodziło. Każdy naprędcie odział się, w co miał pod ręką, aby wyjść z baraku i zobaczyć, gdyż prawdopodobnie gdzieś w pobliżu pali się las.

Na niebie pojawiała się coraz większa łuna, wyglądało jak gdyby przesuwające się pasma chmur paliły się, wystrzeliwując w górę i na boki języki i snopy ognia. Zatrwożone babcie pozapały świeczki i śpiewały pieśni. Z sąsiedniego niedużego baraku mężczyzna w sile wieku, wystraszony, posługujący się mową na wpół ruską, mówił, że to znak, iż zbliża się koniec świata. Na to któryś z mężczyzn odpowiedział, że to oznacza zupełnie co innego, gdyż jest to znak, że nadchodzi kara na tych, którzy nie wiadomo skąd mają tyle mundurów i obuwia Wojska Polskiego. Podejrzewano ich, że zrabowali te rzeczy wojsku, które po klęsce wrześniowej uchodziło przez Zaleszczyki do Rumunii. Wreszcie ktoś ze światlejszych zjawisko to ocenił, że nie ma się czego bać, bo jest to tylko zorza polarna. Po ok. 2 godzinach zorza zaczęła wygasać. Ludzie porozchodzili się do swoich kątów. Doznane wrażenie nie pozwalało zasnąć. Jeszcze przez dłuższy czas barak wypełniała dyskusja dotycząca oglądanego zjawiska.

Nadszedł kwiecień, dni były już znacznie dłuższe, a radość stawała się coraz większa, gdyż zaczęły napływać listy z nieistniejącej na mapach Polski. Z nich dowiedzieliśmy się, że z kolonii Józefówka wywieziono

prawie wszystkich. Tylko nielicznych (kilka rodzin) nie wiadomo dlaczego pozostawiono.

Z naszej rodziny ze strony taty wywieziono wszystkich, wszystkich z rodziny mamy, pozostała tylko ciocia Mania, która wyszła za mąż za Polaka, którego rodzina od bardzo dawna zamieszkiwała w starej Józefówce. Z listu od cioci Mani dowiedzieliśmy się, że taty od dnia naszego wywozu ani w Józefówce, ani w okolicy nikt nie widział. Ktoś widział, jak Ukraińcy prowadzili go do Kozowy, skąd transport też pojechał, ale nie wiadomo dokąd.

Z Polski oprócz listów zaczęły przychodzić paczki, a w nich mąka, kasza, cukier. Paczki otrzymywaliśmy dzięki cioci Mani. Natomiast tu, na Siuźwie, pracujący przekonali się, że za dzień ciężkiej pracy w lesie można zarobić niewiele ponad rubla, podczas gdy 1 kg chleba kosztował 1 rubla.

W kwietniu, podczas porodu, umarła moja chrzestna Julia wraz z niemowlęciem. Wujek Staszek pozostał z pięciorgiem małych dzieci w wieku od 2 do 12 lat, spośród których w tym i w następnym roku umarła jeszcze czwórka najmłodszych.

Jakież przynębiające były te pogrzeby! Z nieheblowanych desek zbite skrzynki, a w nich zwłoki tych, którzy w normalnych warunkach mogliby żyć długo, cieszyć się zdrowiem i swoimi bliskimi. Na skrawku dziewiczego lasu namiastka cmentarza, grupka smutnych, zatroskanych uczestników pogrzebu, szepty modlitwy, szloch bliskich po swoich ukochanych, piekące łzy i paraliżujący ból, że muszą tu pozostawić tych, których zabiła ludzka nienawiść. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że po latach nikt tych grobów nie odnajdzie, bo





las jak lawina zatrze ich ślad. Ale nam trzeba wracać do tych nędznych baraków i żyć dalej dla innych i w miarę możliwości ratować siebie i pozostałych przy życiu.

W maju słońce grzało już mocno (oczywiście w dzień, gdyż noce były bardzo chłodne, ale bez przymrozków), oznaki wiosny były coraz wyraźniejsze, śnieg szybko topniał, wszędzie było pełno wody. W lesie, gdzie występowała wieczna zmarzlina, woda nie spływała, czekała aż wyparuje. Przez kilka dni droga na Siużwę była nie do przejścia. Pracujący, nie mogąc przerwać pracy, nie przychodzili na noc na Czarnuszkę. Te trudne warunki powodowały, że Polacy, budujący baraki na Siużwie, dawali z siebie wszystko, aby jak najszybciej je ukończyć i umożliwić pozostałym wydostać się z tych odludnych baraków.

Do mnie i moich rówieśników od początku pobytu na Czarnuszcze należało przynoszenie z lasu drewna i chodzenie na Siużwę po zakupy, przede wszystkim po chleb, który był na kartki. Chleba nie można było kupić ani za dzień poprzedni, ani też na dzień następny. Chodząc po zakupy niemal stale wracałem z przemoczonymi i zmarzniętymi nogami.

Z upływem czasu szybko wokół baraków i nad rzeką zazieleniła się trawa, a na brzozech powyrastały liście. Odkryliśmy, że ponacinana brzoza „płacze” wydzielając słodki sok, który dla dzieci stał się namiastką mleka i herbaty. W lesie pojawiły się grzyby, nazywano

je smardzami, choć miały inny kształt, niepodobne były do naszych kapeluszo-watych. Szukać ich trzeba było pod igliwem i pod liśćmi we mchu. Nie było ich dużo, ale bardzo smakowały. A więc codzienne moje obowiązki powiększyły się o zbieranie grzybów i soku brzoazowego.

Raz podczas zbierania grzybów nieopodal przy drodze do Siużwy usłyszeliśmy, jak pod kimś ciężkim trzaskają gałązki. Na nasze zwoływanie się usłyszeliśmy nieznamy nam pomruk. Zebrałiśmy się w grupkę i z przerażeniem zrozumieliśmy, że jest to niedźwiedź. Uciekaliśmy co sił, aby jak najszybciej

znaleźć się w baraku. Po chwili zobaczyliśmy, że na skraju lasu ukazał się niedźwiedź. Myśleliśmy, że niedźwiedź będzie usiłował wejść do baraku, ale misio powoli, spokojnie okrążył polanę, przepłynął rzekę i poszedł w las.

Po stopnieniu śniegów woda szybko opadała, wzniesienia obsychały i zaczęły się zielenić, a w czystej wodzie rzeki ukazały się ryby różnego gatunku i wielkości. Przed chłopcami postawiło to dodatkowe zadanie. Trzeba było przygotować się do łowienia ryb. O łowieniu sieciami nie było mowy, gdyż ich nie było; pozostały wędkę, które robiono z igieł i nici. Na przynętę używano różnego rodzaju robactwa, łącznie z dżdżownicami, których w tych okolicach nie brakowało.

Z nastaniem ciepłych dni nadeszła też, niestety, trudna do zniesienia dolegliwość. Większość obszarów tajgi w zakolu Kamy to tereny zalesione, podmokłe, bagniste, idealne dla rozwoju komarów i muszek (meszek). Najbardziej dokuczliwe były w nocy i aby się przed nimi bronić wznoszono nad łózkami namioty z płótna. Wprawdzie bardzo duszno było pod nimi spać, ale pozwalało to znacznie ograniczyć ich kąsanie. Spałem z wujkiem Ludwikiem na pryczy przez niego zrobionej. Nasz namiot wydawał się bardzo szczelny, ale i tak muszki potrafiły różnymi sobie znanymi sposobami wkraść się, aby dostać się do skóry ofiary. Naj-

bardziej od ukąszeń cierpiały dzieci i staruszki. Mimo że noce stawały się coraz krótsze, to nasi mali gnębiciele nie pozwalali nam dospać do rana. Często wstawało się z obrzękami i swędzącymi bąblami na ciele, a szczególnie na twarzy.

W najdłuższym dniu słońce wschodziło ok. 3.00, a zachodziło ok. 21.00. W pogodną noc brzask trwał od zachodu do wschodu słońca. Często wcześniej rano biegliśmy nad rzekę łowić ryby.

Wędkowanie nie wymagało wielkiej wiedzy z tego zakresu. W czystej wodzie wystarczyło wypatrzeć większą rybę, pomału wkładać wędkę do wody tak, aby ryby nie spłoszyć, podsuwając jej przynętę pod pyszczek. Ryba po zjedzeniu przynęty z haczykiem odpływała, wówczas wystarczyło wędkę poderwać i ryba, jeśli nie zdążyła się odhaczyć, to spadała z wędki na brzegu. Tak ryby, jak i grzyby stawały się coraz ważniejszym składnikiem naszego pożywienia.

Pomimo bardziej urozmaiconego jedzenia stan zdrowia, zwłaszcza najmłodszych dzieci i staruszków,



stawał się z każdym dniem coraz gorszy. Wycieńczone organizmy nie mogły obronić się przed różnymi infekcjami. Najbardziej panoszyły się choroby przewodu pokarmowego i przeziębienia. Biegunki, czerwonka, koklusz, zapalenia płuc zaczęły zabierać najbliższych.

W czerwcu przyszedł list od cioci Mani, a z nim list od taty. Dowiedzieliśmy się, że jest nad Jenisiejem w obwodzie krasnojarskim. Ciocia wysłała tacie również list od nas. Teraz czas jeszcze bardziej nam się dłużył. Oczekiwanie na wiadomość od taty nie pozwalała spokojnie spać.

Brzozy przestały już płakać, skończył się słodki sok, który niejednemu przedłużał wegetację.

Niestety, Danusia zmarła, pochowaliśmy ją w trumience zrobionej z nieheblowanych desek na cmentarzu założonym przez Polaków za rzeką Siużwą, przy drodze do Galeśnik. Łudą nazywano tę górkę zarosniętą starszym drzewostanem. Stąd, chociaż o parę kilometrów, było bliżej do utęsknionej Ojczyzny. Z czasem grobów przybywało. Mimo że z upływem dni posiłki wzbogacane były o grzyby, jagody, ryby, to jednak starsi ludzie i dzieci umierali, a myśmy każdą wolną chwilę wykorzystywali na zbieranie i robienie zapasów z leśnych darów.

Przyszła też wiadomość od taty, który pisał, że stara się o zezwolenie na wyjazd i przyjazd do nas. Napisała też ciocia Mania, że Frania zachorowała i musiała się przeprowadzić do Anielci, ziemię Frani uprawia sąsiad. Oczywiście wiadomość rozszyfrowaliśmy, że chodzi o zajęcie Francji przez Niemcy.

W czerwcu młodych mężczyzn i kobiety wysłano do naprawy drogi pomiędzy Siużwą a Galeśnikami (26 km). Przy robotach oddalonych ponad 10 km (od poniedziałku do soboty) pracujący nie przychodzili do domu, tylko nocowali w lesie w prowizorycznych niby szałasach zrobionych z gałęzi. Po paru dniach ciocia Hania skaleczyła sobie siekierą rękę. Oczywiście brygadzysta uznał, że było to celowe skaleczenie. Następnie zachorował wujek Ludwik na nogi tak mocno, że w ogóle nie mógł chodzić. Z Czarnuszki na Siużwę zawieziono go na koniu, następnie do szpitala do Jurły, w którym leczyli go aż do września. Po powrocie ze szpitala przepracował kilkanaście dni, po czym zachorował na zapalenie płuc i znowu nie było mowy, aby mógł pomagać rodzinie, musiał się długo kurować.

Siuźwa

Szczęściu nie było granic, nareszcie chwila radości, gdy wrócił tata. Przywiózł nam suchary, cukierki i orzechy cedrowe, bardzo smaczne.

Ponieważ znał się na robotach ciesielskich, z miejsca zatrudniono go do wykańczania baraków. Najwięcej pracował jako tracz, razem z Krasnowskim przerynali kłocę świerkowe na deski.

Baraki na Siuźwie prezentowały się okazale. Przez środek od szczytu do szczytu przechodził korytarz, po jego stronach mieściły się izby. Każda była dla dwóch rodzin, miała dwa wejścia, między którymi stał wymurowany piec z oddzielnym paleniskiem dla każdej rodziny.

Do nowych baraków przeprowadziliśmy się pod koniec sierpnia. Zamieszkaliśmy w izbie razem z babcią (mamy i taty), wujkiem Ludwikiem, ciociami Hanią i Gienią.

Kończyły się wakacje, dzieci musiały iść do szkoły i to do rosyjskiej, co nie napawało nas radością. A ponadto straciliśmy swój bezcenny wolny czas, który dotąd wykorzystywaliśmy nie tylko na zabawy, ale przede wszystkim na pomaganie rodzicom w zbieraniu grzybów, jagód oraz w łowieniu ryb. Często złowione ryby zanosilem kucharkom do stołówki, a one w zamian dawały mi trochę zupy, którą przynosiłem do domu. Mama dolewała do niej wody, trochę grzybów, zagęszczała mąką i dzięki temu starczało jej dla całej rodziny.

Udawało nam się też, dzięki odpowiednim manipulacjom z kartkami, w drugiej połowie każdego miesiąca zakupywać chleba więcej o 900 g (zamiast 1900 g – 2800 g), a to było dla nas naprawdę dużo. Z tego naszego pomysłu skorzystało więcej rodzin, a dzieci mogły w miarę zmniejszyć odczucie głodu.



W domu mama dbała o to, aby równo dzielić każdy posiłek między członków rodziny. Toteż w tym względzie był zastrzony rygor. Wracając ze sklepu z zakupionym chlebem nie wolno mi było zjeść ani kawałka. W domu na skonstruowanej przeze mnie wadze chleb został sprawiedliwie rozważony i wszyscy otrzymywali równe porcje. Myślę, że dzięki temu mogliśmy przeżyć ten trudny okres na Siuźwie.

W rodzinach, gdzie nie było takich zasad, duża część członków rodziny wymarła z niedożywienia. Np. u wujka Staszka, gdzie panowało prawo mocniejszego, po półtora roku z 9-osobowej rodziny pozostało tylko dwoje – wujek z synem Tadkiem.

Głód był naszym największym wrogiem i dla niektórych nie do zniesienia. Babcia za kawałek chleba oddała ostatnie prześcieradło. Była to duża strata, bo następnego nie było ani gdzie, ani za co kupić. Raz Marian pochwalił się, że Rysiek podczołgał się do ogródka Rosjanki i przez ogrodzenie wygrzebał kijem dwa ziemniaki, które upiekli i po kryjomu zjedli.

A z kraju przychodziły przygnębiające wiadomości. Micio (Niemcy) bardzo dobrze żyje z Rózią (Rosją). Frania (Francja) nadal choruje i nie garnie się do pracy, a Aniela (Anglia) sama niewiele może, pomimo że pomaga jej Amelia (Ameryka).

Letnia pogoda szybko przeminęła. Ustąpiły ataki komarów i muszek. Z niedużymi zapasami suszonych grzybów i jagód oczekiwaliśmy nadejścia zimy. Po większych opadach śniegu do Siuźwy zaczęli przyjeżdżać kołchoźnicy, u których można było nabyć coś do zjedzenia (ziemniaki, jajka, cebulę, twaróg).

Mama po urodzeniu Stasia podjęła pracę jako sprzątaczką w izbie przyjęć lekarki Kapy. Pewnego dość chłodnego jesienno-go dnia na Siuźwie powstała sensacja – lekarka Kapa otruła się. Komendant na tę wiadomość zareagował błyskawicznie. Wyznaczył spośród kołchoźników furmana, który parą koni powiózł Kapę do szpitala w Jurle, oddalonej o ok. 60 km. Kapa celowo przedawkowała jakieś lekarstwa. A powodem był fakt, że do sklepu przywieźli jedno palto, które spodobało się lekarce i żonie komendanta. Kapa dowiedziała się, że palto nie zostanie, postanowiła więc ostro zaprotestować i otruć się. W szpitalu Kapę odratowano i gdy po paru tygodniach wróciła, palto zabrano komendantowej i odsprzedano lekarce.

Nie była to osoba życzliwa wobec Polaków i niechętnie dawała zwolnienia lekarskie nawet takim, którzy z wycieńczenia ślaniali się na nogach. Spotkało to wysokiego ok. 50-letniego Pacułę, który bardzo słaby

poszedł do Kapy powiedzieć, że nie ma siły pracować. Lecz ta, nie stwierdziwszy gorączki, pokrzyczała na niego, że symuluje. Następnego dnia Pacuła zmarł.

Zima z 1940 na 41 r. dla ludzi pracujących w lesie okazała się bardzo ciężka. Słabo ubrani, niedożywieni, wycieńczeni łatwo przeziębiali się, a zapalenia, gruźlica, czerwotka, tyfus – dopełniały reszty. Tzw. kurza ślepota nie omijała prawie nikogo, przede wszystkim pracujących. Po zmroku to nawet przy świecącym łuczywie, świeczce czy lampie nic nie można było zobaczyć.

W długie mroźne wieczory wolny czas spędzałem z kolegami. Różne marzenia i pomysły przychodziły nam do głowy. Pamiętam jak patrząc na mapy rozważaliśmy taką możliwość, że gdy dorośniemy, zrobimy narty i przez zamrożone rzeki, pola i lasy spod Uralu wyruszymy na zachód, by przedostać się do Finlandii albo do Szwecji, tj. do krajów, w których ludzie są wolni.

Nart nie zrobiliśmy, ale łyżwy drewniane robiliśmy. Dla mnie okazały się one bardzo przydatne, bo służyły do ślizgania i do robienia zakupów. Niemal codziennie pod koniec pracy sklepu chleba brakowało. Po otwarciu sklepu walka o miejsce w kolejce była duża, kto był wyższy i mocniejszy, to zajmował lepsze miejsce przy ladzie. Ci, dla których chleba zabrakło, choćby byli pierwsi przy ladzie następnego dnia, to za dzień poprzedni chleba jednak nie dostali, bo bez niego przeżyli.

W rodzinie Tarchałów zdecydowali się na rozdzielenie rodzeństwa. Dwie najmłodsze Zosię i Gienię oddano do domu dziecka. Pozostali z nami starsi: Staszek i Julka.

Z upływem czasu liczba Polaków na Siuźwie malała. Nadzieja na powrót wprawdzie nie wygasła, ale u niektórych rodzin przychodziły okresy zwątpienia i załamania, zwłaszcza gdy trzeba było odprowadzić na cmentarz na Łudzie kogoś bliskiego.

Dla podniesienia nastroju uciekano się do różnych sposobów wróżb. Najciekawsze z nich było wywoływanie duchów. W tym celu wieczorem w izbie mogły przebywać tylko dorosłe kobiety, które, siedząc przy



stole z rękami opartymi o jego krawędź, pytały się duchów, np. za ile tygodni lub miesięcy wyjedziemy do Polski. Gdy duch zechciał odpowiedzieć, wówczas któraś krawędź stołu unosiła się odpowiednią ilość razy.

Przez zimę należało nagromadzić odpowiednią ilość mąki potrzebnej do pieczenia chleba również w okresie wiosennych roztopów. Na wiosnę zdarzały się sytuacje, że brakowało mąki, wówczas trzeba było ją dowozić w ten sposób, że kładło się worek mąki na grzbiet wołu i prowadząc go przez las pomiędzy grzęzawiskami i zastoiskami wodnymi przywoziło się trochę mąki.

Wiosną 1941 r. oczekiwaliśmy z lepszym przygotowaniem, bo z ziemniaków zakupionych od kołchoźników powykrawaliśmy oczka, podsuszyliśmy je i z nastaniem cieplejszych dni posadziliśmy. Sadzono również cebulę. U niektórych był to trudny wybór, bo czy zjeść wszystko, czy pozostawić część do posadzenia.

Na wiosnę mama zachorowała na czerwone. Dla chorych przeznaczono nieduży barak położony nad rzeką Siuźwą.

W ciepłe słoneczne popołudnie niedzielne właśnie znad tej rzeki dochodził rozpaczliwy ryk. Brygadzysta orzekł, że to ryk łosia. Na takie wydarzenie mężczyźni zareagowali szybko. Uzbrojeni w różne narzędzia (siekiery, bosaki itp.) pobiegli w tym kierunku. Przewodził im brygadzysta uzbrojony w strzelbę. Okazało się, że łosia przy wodopoju dopadł niedźwiedź i tak go pokiereszował, że ten już nie wstał, tymczasem niedźwiedź, gdy usłyszał krzyki mężczyzn, przepłynął przez rzekę i poszedł w las.



Przez jakiś czas w stołówce dla pracujących podawali zupę z wkładką mięsa z łosia. Tymczasem brygadzysta nabrał ochoty na upolowanie tego niedźwiedzia. W tym celu na miejscu walki z łosiem pozostawił resztki zwierzęcia. Na specjalnie zrobionym stanowisku przez kilka dni i nocy czekał na niedźwiedzia, lecz ten nie przyszedł. Zrezygnował, więc z czatów, ale gdy następnego dnia rano poszedł nad rzekę, przekonał się, że niedźwiedź był i pobierał resztki. Niedługo jednak cieszył się wolnością, bo po kilkunastu dniach misiowi zachciało się miodu, wszedł na drzewo i po zrzućeniu barci z drzewa, schodząc w dół, wlaź w sidła i powiesił się za tylne łapy. I w takiej to pozycji dopadli go myśliwi.

Czerwcowe dni stawały się coraz cieplejsze i w niedzielę polskie dziewczęta ubierały się w jak najładniejsze sukienki, a miejscowe Permiaczki starały się im dorównać i ubierały się w zakupione od naszych ubrania. Często były to koszule, których tam nie znano.

W czerwcu nadeszła też wiadomość o napaści Niemiec na ZSRR. W pierwszym odruchu wydarzenie to w naszym środowisku nie napawało smutkiem, lecz odwrotnie – Polacy chyba nigdy dotąd nie śpiewali tak wesoło jak tego dnia. Chociaż zdawaliśmy sobie sprawę, że sytuacja nasza z każdym dniem może być coraz trudniejsza. Toteż coraz częściej zaczęło brakować chleba, soli, nafty, zapalek.

A sklepowy usprawniał sobie pracę w ten sposób, że gdy przywieźli towar, to najpierw sprzedawał np. chleb, a w następnej kolejności np. naftę, potem pa-

pierosy, sól lub cukier. Po każdy rodzaj towaru trzeba było stać oddzielnie w kolejce. W takiej sytuacji niewielkie były szanse, aby z dostarczonych do sklepu towarów można było wszystkiego po trochu kupić. Braki w zaopatrzeniu tłumaczono koniecznością zaopatrzenia przede wszystkim frontu.

Na przełomie lipca i sierpnia oznajmiono nam niewiarygodną, chociaż bardzo oczekiwaną wiadomość, że Polacy są wolni, mogą opuścić lasy i iść, dokąd zechcą. Niestety, do Polski wracać nie można, bo cały

nasz kraj okupują Niemcy. A więc twierdzenie komendanta Zotina, że już nigdy stąd nie wyjdziemy, nie sprawdziło się. Po paru dniach komendanta z Siużwy zabrali.

Pod dowództwem generała Andersa organizowano Armię Polską, która werbowwała ochotników. Wśród Polaków było ich bardzo dużo. Spośród najbliższych poszli wujek Władysław Kozuch i Tekla Głowacka.

Wszyscy Polacy na Siużwie przygotowali się do wyjścia z lasu. Zdawali sobie sprawę z tego, że trzeba to uczynić jak najszybciej przed nadejściem zimy.

Ktoś policzył, że na Siużwie od marca 1940 do sierpnia 41 r. z przywiezionych ok. 300 osób przy życiu pozostało ok. 150 osób. Pozostałe ok. 150 osób zmarło.

Od dłuższego już czasu mama dawała do zjedzenia nieco mniejsze porcje chleba. Wygospodarowaną część suszono, aby podczas podróży do Polski było czym się posilać. Suszyło się też jagody i grzyby.

Zmniejszone racjeienne chleba uzupełniało się rybami, grzybami, jagodami i zupą wymienianą u kucharek za różne dary lasu. Dlatego każdą wolną chwilę przeznaczaliśmy na gromadzenie jak największych zapasów. Podczas zbierania w lesie zdarzały się przypadki, że niektórzy, chodząc po lesie błędzili, i nie wracali na noc do baraków. Wówczas zbierali się sąsiedzi, szli w las krzycząc i nasłuchując, najczęściej odnajdywali zabłąkanego.

Mamie też się przydarzyło nieszczęście. Po pracy poszła na grzyby i gdy do wieczora nie wróciła, szukaliśmy jej do nocy, lecz bez rezultatu. Nad ranem przy-

sza sama. Mówiła, że przez chwilę słyszała nasze wołania, ale nie mogła zorientować się, z jakiego kierunku głos dochodzi.

Pójście do lasu na grzyby naszej 81-letniej babci zakończyło się niestety tragicznie. Nikomu nic nie mówiąc przed wieczorem poszła nazbierać grzybów. Poszukiwania do późnego wieczoru nie dały rezultatu. Rano w poszukiwaniu brała udział duża ilość ludzi, lecz też bez rezultatu. Dopiero około południa jakiś grzybiarz znalazł ją skuloną pod krzaczkiem, zmarzniętą, nie mogącą nic powiedzieć. Przyniesiona do baraku po kilku dniach zmarła.

Aby nazbierać więcej jagód, trzeba było iść w głąb lasu często kilka kilometrów. Wówczas organizowało się wyprawy grup po kilkoro dzieci. Moja orientacja w lesie była doskonała i nie przytrafiło mi się, abym zabłądził i dlatego wszyscy chcieli chodzić ze mną. Czasami wychodziliśmy po południu, nocowaliśmy w niezamieszkałym baraku, a rano wyruszaliśmy na jagody, a było ich sporo, toteż z takiej wyprawy przynosiło się do domu kilkanaście litrów jagód.

Spaliśmy na podłodze i aby chronić się przed pluskami miejsca do spania okrażało się sznurkiem nasączonym naftą, ale i tak pluskwy dostawały się na teren chroniony. Wychodziły ze szpar w podłodze albo spadały z sufitu. Moja krew widocznie im nie smakowała, bo mnie rzadko kąsały, ale siostrę Zosię bardzo polubiły i po takim noclegu wstawała z masą bąbli. Natomiast muszkom i komarom smakował każdy.

Lato 1941 r. zbliżało się ku końcowi, nadchodził dzień wymarszu. Trzeba było się śpieszyć, bo zbliżał się okres chłodów i słotnych dni. Na przełomie sierpnia i września każdego dnia Siużwę opuszczało kilka rodzin. Większość rodzin szła drogą na południe przez Jurę i Kudymkar. Tą drogą wieziono nas tutaj w lutym 1940 r. Byli też tacy, którzy kierowali się na południowy zachód do „Kirkraju”, tj. obłasti kirowskiej. Uważali, że ten kierunek do Ojczyzny będzie krótszy.

Niektóre rodziny z małymi dziećmi nie były w stanie przejść drogę 26 km do wsi Naleśniki w ciągu jed-

nego dnia. W tym celu w połowie drogi pobudowano prowizoryczny szałas, gdzie nocleg był cieplejszy i dawał schronienie przed deszczem. Wujek Julek podczas noclegu w tym szałasie przysnął, ognisko przygasło. Zbudził ich hałas, dorzucony szybko chrust do ognia wznicił płomień, a zwierzę oddaliło się. Nie wiadomo, co to było za zwierzę.

Przyszła nareszcie kolej na nasz wymarsz. Podniecenie i zniecierpliwienie udzielało się wszystkim. Cieszyliśmy się, że zobaczymy zwierzęta domowe, będziemy mogli napić się mleka, zobaczyć jak rośnie zboże. Będąc bliżej pól uprawnych będzie można do syta najść się chleba, ziemniaków. Marzyły nam się ziemniaki pokrojone na plasterki i upieczone na płycie piecyka. Niestety, o smaku jabłek czy innych owoców można było sobie tylko pomarzyć.

Rodzice do podróży przygotowali nas starannie, każdy przydzielony miał do niesienia jakiś tobolek. Zdecydowano, że przede wszystkim należy zabrać wszystkie zrobione zapasy żywności, a zostawić zbędniejsze naczynia czy pościel, po które będzie można wrócić. Planowaliśmy na zimę zatrzymać się w jakimś kołchozie, by pracując zarabiać na chleb, a z wiosną iść bliżej Polski.

Pogodę podczas podróży mieliśmy dobrą, przed wieczorem następnego dnia doszliśmy do pierwszej wioski Naleśniki, kołchozu z ok. 10 zagród. Życzliwi ludzie słuchali naszych opowiadań, dla nich z dalekiego świata, jak kiedyś żyło nam się w Polsce. Nie wierzyli, gdy mówiliśmy, że w sklepach wszystko można było kupić. Mówili, że to jest niemożliwe, bo gdy towar





przywiozą, to ludzie zaraz towar wykupią i dalej w sklepie nic nie będzie. Pomiędzy sobą rozmawiali w języku dla nas zupełnie niezrozumiałym. Był to język komi-permiacki. Mogliśmy się z nimi porozumiewać tylko w języku rosyjskim.

Mieszkania ich były zupełnie inne niż te znane nam do tej pory. Wszystkie domy zbudowane z okrągłych bali poutykanych mchem. Dachy kryte deskami jak na Siuźwie. Każdy dom – to jedno mieszkanie. Izba umownie podzielona na cztery części. Od wejścia nad jedną czwartą izby, na wysokości niewiele ponad półtora metra, pobudowana była półka, tzw. połąć, która służyła całej rodzinie do spania. Obok 1/4 powierzchni zajmował piec wysokością równy z połącią. Na piecu tradycyjnie zarezerwowane było miejsce do spania dla starszaków. Na piec i połąć wchodziło się po drabinie. Pod piecem nieduża wnęka jako piwniczka. Piec z dużym paleniskiem służył do pieczenia chleba i codziennego gotowania, a w zimie również do ogrzewania izby. Pieca kuchennego w naszym stylu nie spotykało się. Od przodu pod piecem przy podłodze zagrodzone miejsce przeznaczone było dla kur, które z nastaniem mrozu przenosiło się do izby. U kołchoźników, którzy mieli krowy, przy piecu musiało znaleźć się miejsce dla nowonarodzonego cielaka, aby w pierwszych dniach po narodzeniu, podczas dużych mrozów, nie zamarzł w obórce.

Wchodząc do izby trzeba było uważać i przy drzwiach nie prostować się, by nie nabić sobie guza. W tej sytuacji każdy, kto przychodził do domu i nie był proszony dalej musiał stać pod połącią z pochyloną głową.

Następna 1/4 izby naprzeciwko drzwi i połąci to miejsce ogólne, gdzie w rogu stał stół, a za nim przy ścianach ławki, nad nimi półka z ikonami, obok półki

dwa małe okienka. Następna 1/4 izby naprzeciwko pieca przeznaczona była do przygotowywania i przechowywania posiłków. W domu oprócz małych narożnych okienek były dwa większe okna, jedno przy końcu połąci, a drugie naprzeciwko pieca.

Po przenocowaniu wśród kołchoźników na wymarzonej wolności trzeciego dnia poszliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się dopiero we wsi:

Szościna

Tu przyszła prawie cała nasza rodzina:

1. Babcia (mama mamy) – chora;
2. Ciocia Hania, Gienia i wujek Ludwik;
3. Wujek Staszek z synem Tadeuszem;
4. Rodzeństwo Torchałowicz: Staszek i Julka (młodsze rodzeństwo Gienia i Zosia zabrane zostały z Siużwy do domów dziecka; gdzie obecnie się znajdują – nie wiadomo).

W Szościnnie tata, mama i ja pracowaliśmy przy spręcie żyta. Za każdym razem w drodze powrotnej przynosiliśmy do domu trochę kłosek lub ziarenek. Jakaż to była radość, gdy ze zmieszanych na młynku do kawy ziarenek upiekliśmy placki! Przed zakończeniem zniw rozpoczęto również wykopki ziemniaków.

Większość mężczyzn miejscowych wcielono do wojska, dlatego w kołchozie liczyła się każda para rąk do pracy. Z tego powodu łaskawiej patrzono na naszą liczną wielodzietną rodzinę.

Za wykonaną pracę zapisywano „trudodni”, za które po zakończeniu roku obrachunkowego płacono zbożem i ziemniakami. *Predsiedatiel* – szef kołchozu umożliwił nam zaliczkowo pobieranie zboża, ziemniaków i mleka. Liczyliśmy, że po zbiorach i rozrachunku dostaniemy jeszcze zboża, które przyda nam się w dalszej podróży. Słotna jesień i dość wczesne przymrozki z opadami śniegu spowodowały, że nie wszystko żyto i ziemniaki zebrano. *Predsiedatiel* nie zgodził się, aby kołchoźnicy mogli spod śniegu dla siebie wykopać zmarznięte ziemniaki i pozbiierać kłosek żyta.

Po ustaniu prac polowych rodzice zdecydowali, że należałoby przynieść resztę rzeczy z Siużwy. Mama i ja wyruszyliśmy 25 września 1941 r. Podróż do Siużwy

zajęła nam trzy dni. Na Siuźwie zastaliśmy jeszcze kilka rodzin polskich. Taty brat Leon nie zdecydował się na wymarsz, może dlatego, że po śmierci żony został sam z małymi córkami.

Następnego, czwartego dnia rano wybraliśmy się w drogę powrotną. Szło się bardzo ciężko, bo padał mokry śnieg. Pamiętam, że pragnienie podczas drogi gasiłem pijąc wodę z kałuż. Po tygodniu byliśmy z powrotem. Podczas naszej nieobecności w nocy 26 września 1941 r. przyjechało NKWD i zabrało tatę, wujków Staszka i Ludwika i dwóch Misiaszków. Po dwóch dniach zwolnili ich. 26 września zmarła też babcia na czerwone, a w okolicy nie było ani lekarza, ani lekarstw. Pochowaliśmy ją na cmentarzu w sąsiedniej wsi Puznówka.

W tym okresie dużo Polaków wybierało się do wojska organizowanego przez gen. Sikorskiego. Z tej okazji zamierzał również skorzystać wujek Ludwik, lecz na prośbę siostr, aby nas nie zostawiał, do armii Andersa nie poszedł.

Raz podczas sprzątania mama zauważyła, że brak ślubnych obrączek rodziców. Wyjaśniło się, że brat Ry-

siek zamienił dwie złote obrączki na dwie brukwie. Niestety, obrączek nie udało się odzyskać.

Zima 1941/42 r. zapowiadała się trudna. Na początku 1942 r. oznajmiono nam, że zboża pobraliśmy i przejedliśmy więcej niż zarobiliśmy i z tego powodu wstrzymuje się dalsze zaliczkowanie. W takiej sytuacji nie pozostawało nic innego jak opuścić kołchoz i szukać innej pracy. Po paru dniach poszukiwań tata wrócił z wiadomością, że stolarzy potrzebują w miejscowości:

Jum

A więc dalsza przeprowadzka. Gdy przyszliśmy na uzgodnioną przez tatę kwaterę, okazało się, że już mieszkają w niej inni Polacy.

Było bardzo ciasno, bo zamieszkało cztery rodziny w jednej izbie:

1. Rodzina Permiaków – 3 osoby;
2. Rodzina Misiaszków – 4 osoby;
3. Rodzina Torchałów – 2 osoby;
4. Nasza rodzina – 8 osób.

Tata rozpoczął pracę w stolarni, a mama zajęła się domem. Sytuacja materialna w rodzinie poprawiła się



przez to, że wujek Ludwik i ciocia Hania oraz Misiaszkowie zostali zatrudnieni w młynie. Tam mogli zaspokoić głód, jedząc mąkę oraz ziarno, które prażyli na płycie piecyka. I chociaż nie wolno było niczego wynosić, to czasem przynieśli w kieszeni trochę ziarna, czasem surowego, czasem prażonego. Ziarno surowe mieliliśmy na młynku do kawy i mama przyrządzała nam z tej mąki coś do zjedzenia.

Ja, korzystając z narzędzi taty, robiłem wiadra i taborety. Po zrobieniu kilku sztuk szliśmy z siostrą Zosią do sąsiednich kołchozów i sprzedawaliśmy je. Niekiedy trwało to kilka dni, a nawet tydzień. W zamian dostawaliśmy żywność, ale przeważnie chleb. Ludzie dawali tyle, ile uważali. Raz dostaliśmy w butelce mleko, którego niestety nie donieśliśmy do domu, gdyż mróz był tak duży, że mimo iż schowaliśmy butelki jak najbliżej ciała, to i tak nam zamarzło, rozsadziło butelki i ku naszej rozpaczy mleko się wylało.

Święta Wielkanocne w 1942 r. były nieco lepsze niż w poprzednim 1940 i 41 r., bo można było najeść się do syta chleba i ziemniaków, nawet było mięso i ciasto. Mięsem mama podzieliła się z pozostałymi domownikami. Wszyscy dziwili się, skąd mamy to mięso. Okazało się, że obok stolarni, w której pracował tata, był skład zamrożonych zwierząt (świnie, cielaki), które nie wytrzymały wielkich mrozów. Przywożono je również z innych kołchozów. Magazynier tego osobliwego składu mięsnego upłynniał okazalsze sztuki na własną rękę. Tata nabył u niego kilkunastokilogramowego prosiaka, pod warunkiem jednak, że z umówionego miejsca trzeba było w nocy zabrać towar, tak, aby nikt nie widział. Jak na złość noc była wyjątkowo widna i

bezchmurna, księżyc był w pełni i na białym śniegu widoczność była doskonała. Razem z tatą poszliśmy po zdobycz. Na miejscu okazało się, że w tym dziele nie byliśmy odosobnieni. Magazynier jednak okazał się solidny. Na każdego czekała wybrana wcześniej sztuka w umówionym miejscu. Z prosiakiem zmarzniętym na kość bez przeszkód wróciliśmy do domu.

Tymczasem przygotowania do świąt u rodzeństwa Torchałów przebiegały ze zgrzytami. Ktoś wypił jajka, a do skorupki naciągnął wody, zaklejając dziurki ciastem. Okazało się, że zrobił to brat Julki Staszek i to właśnie jego podejrzewaliśmy.

Wraz z nastaniem wiosny nastroje były coraz lepsze. Ciepło stwarzało nadzieję na możliwość dalszej wędrówki do Ojczyzny, do której było jeszcze bardzo daleko. Nadzieja ta jednak dodawała sił.

Doczekaliśmy się materialnej pomocy. UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy – *przyp. red.*) wspomagała rodziny polskie w żywność, odzież i obuwie. Od tej pory sytuacja Polaków była znacznie lepsza niż miejscowych ludzi, którym do przygotowania posiłków służyły często skrzyp i odpady pozostające przy oczyszczaniu zboża; były to przeważnie różnego rodzaju nasiona chwastów.

Wiosną 1942 r. z Jumu wyruszyliśmy dalej na południe. Przez Jurlę i Kudymkar dotarliśmy do kołchozu:

Kanamowa

Kołchoz ten cieszył się wyższą od sąsiednich zapłatą za trudo-dzień. Zamieszkaliśmy w domu z wdową kołchoznicą, której syn był na wojnie.

Ponieważ nie dysponowaliśmy żadnymi zapasami żywności, przewodniczący kołchozu zdecydował dawać nam zboże w formie zaliczki, którą potrącał nam na koniec roku obrachunkowego.

Dowiedzieliśmy się, że punkt rozdzielczy UNRRA mieści się w Kudymkarze i tam trzeba zgłaszać się po pomoc. Po naradzie rodzinnej w sobotę po pracy wybraliśmy się z tatą do Kudymkaru, 24 km. Na miejsce



dotarliśmy późnym wieczorem. Na szczęście był tam wujek Julek i u niego przenocowaliśmy. Rano z nadzieją poszliśmy do punktu, a tam powiedziano nam, że aby dostać pomoc dla całej rodziny, musimy dostarczyć z kołchozu zaświadczenie, ile osób liczy nasza rodzina. Bo bez niego możemy dostać pomoc tylko dla dwóch osób, tj. dla taty i dla mnie. Mimo zmęczenia wybrałem się sam do kołchozu po zaświadczenie. Tata został u wujka.

Pamiętam jak marzyłem o butach z cholewami, bo chciałem się nimi pochwalić przed miejscowymi chłopcami. Oni nigdy takich butów nie widzieli. Nosiło się w tych stronach tylko łapcie z łyka, a zamożniejsi nosili walonki.

Zaświadczenie otrzymałem i znów wyruszyłem do Kudymkaru, dokąd przybyłem przed wieczorem. Wśród otrzymanych darów była odzież, ubrania, bielezna, swetry oraz mąka, mleko w proszku i skondensowane, konserwy itp. Natychmiast wyruszyliśmy do domu, bo w poniedziałek trzeba było iść do pracy.

W domu radość była nie do opisania, wszystko co przynieśliśmy było bardzo potrzebne rodzinie. Byliśmy przecież wygłodzeni i obdarci, i oto mamy trochę normalnego życia. Ja byłem jednak niepokieszony, bo butów z cholewami nie dostałem. Dary z UNRRA podbudowały naszą psychikę i byliśmy również bardzo szczęśliwi z tego powodu, że są na świecie ludzie, którzy nie zapomnieli o nas, Polakach, wypędzonych z rodzinnych stron.

Nadzieja na powrót do domu ożyła i postanowiliśmy zrobić wszystko, by iść coraz dalej na południowy zachód. Radość i nadzieja trwały jednak krótko. W sierpniu 1942 r. oznajmiono nam, że cofają nam wszystkie przywileje, nie wolno nam nigdzie iść bez zezwolenia i być może będziemy musieli wracać z powrotem do lasu. Był to dla nas wielki szok. Nie wyobrażaliśmy sobie, jak byśmy mogli żyć na tym odludziu. Powodem tego tak nieprzychylnego wobec nas stanowiska było wyprowadzenie przez gen. Andersa polskiego wojska poza granice ZSRR do Iraku. Zostaliśmy jednak na miejscu, bowiem niemal wszyscy zdrowi mężczyźni z kołchozu poszli na wojnę, młodzież



skierowano do fabryk wywiezionych z terenów przyfrontowych za Ural, by tam pracowała dla potrzeb frontu. W takiej sytuacji w kołchozie liczyła się każda para rąk zdolnych do pracy i dlatego pozostawiono nas w Kanamowie.

Przewodniczącym kołchozu był 30-letni inwalida wojenny Iwan Mechaniszyn, a zadaniem kołchozu była przede wszystkim produkcja żywności dla wojska. Po żniwach podczas omłotów z kołchozu każdego dnia zabierali wszystko wymłócone zboże. Ale przy okazji młocki i my korzystaliśmy ze zbiorów. Prawie codziennie przy zbiorach zboża, bądź przy młócce, przynosiło się do domu w kieszeniach trochę zboża lub kłosów.

Pracowaliśmy ciężko i chociaż ostatnio zabrano nam nadzieję na powrót do kraju, wszyscy jednak wierzyliśmy mocno, że kiedyś do niego wrócimy i nie traciliśmy nadziei. Praca w kołchozie była bardzo trudna, bo nie było maszyn ani narzędzi, prawie wszystko robiło się ręcznie bądź prymitywnymi narzędziami. Kobiety ścinały trawę czymś w rodzaju kosy w pozycji pochylonej, było to bardzo męczące. Mieli również normalne kosy, jak u nas, ale nieoprawione. Tata podrabiał do tych kos kosiaki, żeby można było kosić tak, jak w Polsce. Wszyscy przyjęli to z ogromnym zadowoleniem i podziwem, i chętnie uczyli się nimi kosić i trawę, i zboże. Praca stała się lżejsza i szybsza, i nawet z Kudymkaru przyjeżdżały władze, żeby zobaczyć ten postęp w usprawnieniu prac polowych. Zarobki przy żniwach były niezłe, dzienna norma wynosiła 5 arów (ściąć i związać). Tata z mamą w ciągu dnia sprząтали zboże z 50 arów. Tata kosił, a mama podbierała i wiązała w snopy. Nasze zasoby spożywcze trochę się poprawiły i nikt nie chodził głodny, co było dla nas

najważniejsze. W kołchozie poza pracą w polu wykonywaliśmy wszystkie prace w gospodarstwie.

Na wiosnę każdemu młodemu chłopakowi i niektórym dziewczynom przydzielono do pracy konia, którym trzeba było się opiekować przez całą dobę. W dzień pracowało się koniem, a w nocy trzeba było go paść, przeważnie w lesie. Wówczas brało się cieplejszą odzież i jakąś derkę, i spało się albo w stogu siana, albo u starszej rodziny, zwanej „niezależną”, która podczas masowej kolektywizacji odmówiła wstąpienia do kołchozu i w roku 30. nakazano im opuścić wioskę. Toteż pobudowali chatkę na skraju lasu i tam żyli. Utrzymywali się wykonując różny sprzęt domowy z drewna, jak: wiadra, taborety, ławki, stołki, nosidła, łapcie, walonki, swetry, rękawice itp. Sprzedawali to ludziom na wsi lub zamieniali na produkty rolne. Często przyjmowali nas na nocleg bardzo chętnie i nigdy nie żądali zapłaty.

We wrześniu przymrozki i opady śniegu często uniemożliwiały prace w polu. Wówczas wykonywano inne prace, jak: młocka, wożenie drewna z lasu, wożenie siana ze stogów, wożenie wymłóconego zboża do magazynów gminy, a następnie do stacji kolejowej do Mendelejewa. Dni stawały się coraz krótsze, a zima 1942/43 rozpoczęła się wyjątkowo wcześniej.

W kołchozie kończyło się pracę ok. godz. 16.00, bo było już ciemno i wracaliśmy do domu, gdzie zjadało się obiadokolację i każdy mógł się zająć własnymi sprawami. Od zapadnięcia zmroku mieliśmy dyżury przy świeceniu łuczywem, bo nafty do lamp nie było. Często jednak wieczorem wymykałem się z domu i siedłem do kolegów.

Przy każdym prawie domu w ogródkach były pobudowane banie. Dziś powiedziałbym, że ta prymitywna sauna zastępowała domownikom łazienkę. Wytwarzana w nich para usuwała brud nawet bez mydła. Miejscowi chodzili do niej wykąpać się przynajmniej raz w tygodniu. Kiedy domownicy po kąpieli opuszczali banię, wówczas młodzież zbierała się w ciepłym pomieszczeniu, żeby sobie porozmawiać, podzielić się wrażeniami i trochę rozerwać. Była to jedyna rozrywka, jaką mogliśmy tam mieć podczas długich jesiennych i zimowych wieczorów.

Smutek nas jednak nie opuszczał, nadzieja na polepszenie losu malała. Sytuacja żywienia stawała się coraz gorsza, bo wszystko, co wyhodowano w kołchozie szło na front. Do tego zaczęli wracać z frontu okaleczeni ludzie, czasami bez rąk, bez nóg. Powiadomienia o śmierci najbliższych i znajomych były na-

gminne. Miejscowa ludność była przytłoczona tymi wiadomościami i zrozpaczona.

Front przesunął się w głąb Rosji. Niemcy zbliżali się do Wołgi. Cały kraj pracował dla frontu, z kołchozu zabierano wszystko, co się urodziło i wyrosło (zboże, ziemniaki, mleko, jajka itp.). Ludzie robili dla wojska skarpety, rękawice, swetry.

W kołchozie już we wrześniu wydzielono grupę ludzi do młocki zboża, tzw. targonką, napędzaną kieratem konnym. Popędzanie koni w kieracie przypadło cioci Gieni i mnie. Tata wpuszczał zboże do maszyny, inni odbierali słomę, odgarniali ziarno, młynkowali je i odstawiali do magazynów gminnych. Dla mieszkańców kołchozu nie zostawiano nic. Klęska głodowa znowu zbliżała się do nas. Przy omłotach zawsze był wyznaczony zaufany człowiek, który pilnował, aby wszystko wymłócone zboże trafiało do magazynu. Nie było jednak przypadku, aby pracujący przy młocce nie przynieśli do domu przynajmniej garstki ziarna.

W tym celu kobiety nosiły szerokie i długie spodnice, w które wszywały wąski woreczek. Mieściło się w nim do 1 kg zboża. Toteż z powodu tego woreczka, który mieścił się między nogami, z pracy wracały powoli i dostojnie.

Poza młocką do obowiązków dorosłych należało wożenie podwodami konnymi zboża do stacji Mendelejewa. Wymagało to dobrego przygotowania koni i sani. Odległość 100 km pokonywało się ją w tamtą stronę z ładunkiem w 3 dni, a na powrót starczało 2 dni. Oczywiście, 5 dni wystarczyło wówczas, gdy była dobra pogoda, a konie były w dobrej kondycji. Zwykle organizowało się konwój z 8-10 sań.

W pierwszych dniach stycznia 1943 r. nic nie wskazywało na to, że tydzień może być za krótki, by wrócić do domu. Po załadowaniu sań workami z owsem i ujechaniu kilkunastu kilometrów doświadczyliśmy pogorszenia się pogody. Wprawdzie mróz zelżał, ale nasiliły się opady śniegu. Wiatr i zamiecie nie pozwalały dziennie ujechać więcej niż 20-25 km. Już na drugi dzień konie zaczęły słabnąć, nawet z górki nie można było skłonić ich do biegu, a pod dłuższą górkę odpoczywały kilka razy, zanim wspięły się na wierzchołek. Dopiero na piąty dzień po południu dojechaliśmy na stację i przed wieczorem przekazaliśmy zboże. Magazynierzy postarali się worki wytrześć tak dokładnie, aby w workach pozostało jak najmniej ziarenek. Przed wyruszeniem w drogę powrotną tacie udało się zamieścić koszulę na bochenek chleba, który w powrotnej

drodze bardzo się przydał, bo nic już nie mieliśmy do jedzenia.

Przed wieczorem piątego dnia, a więc z dwudniowym opóźnieniem, wyruszyliśmy w drogę powrotną. Byliśmy zmęczeni nie mniej niż konie i pomimo że ciągnęły już puste sanie, posuwały się wolno krok za krokiem. Furmani, aby ulżyć koniom, większość drogi pokonywali pieszo, brnąc w śniegu obok sani lub za saniami.

Na 6-ty dzień śnieg przestał padać, niebo rozpogodziło się, a temperatura zaczęła szybko spadać. Siódmego dnia rano było już 40 stopni mrozu.

Z noclegami wiozących zboże na ogół nie było kłopotu. W upatrzonej wiosce kierownik grupy szedł do przewodniczącego kołchozu, a ten wyznaczał kwatery na nocleg.

Konie z saniami stawiało się na podwórku w zagrodzie bez zadaszenia, a ludzie odpoczywali w domach. Spało się na podłodze bez większego rozbierania się. Od gospodarzy można było dostać tylko wrzątek. Poprzynosiliśmy do izby worki po zbożu, aby wyszukać resztki ziaren do zjedzenia, ale niestety nie było tego za wiele. Taki posiłek nie każdemu posłużył i dla wielu okazał się niestrawny. Wystąpiły wymioty i temperatura, a do domu pozostało jeszcze dwa dni drogi. Na ostatnim postoju ok. 30 km od domu tata nie pozostał na noc, wziął moją Duńkę, która nie całkiem opadła z sił i ruszył w drogę do domu. Rano wyruszyliśmy z nim. Około południa spotkaliśmy się z furmanką z naszego kołchozu, która przywiozła siano dla koni, a dla nas chleb. Mimo zmęczenia i siarczystego mrozu humor nam się poprawił.

Po krótkim postoju na popas koni wyruszyliśmy, aby pokonać ostatni odcinek 20 km drogi. Mama nie mogła się nas doczekać, wyszła naprzeciw z chlebem i gorącą herbatą.

Po przyjeździe do kołchozu końmi zajęli się inni, a my pośpieszyliśmy do domu, aby jak najszybciej położyć się wyspać. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że mróz spadł do ok. minus 50 stopni.

Podczas dużych mrozów, aby nie przemrozić nóg, zakładano większe łapcie, a stopy owijano kilkoma warstwami materiału. Na siebie zakładano kilka warstw ubrania, a na głowę papachę zawiązywaną pod brodą. Zdarzały się też przypadki, że w czasie podróży podbiegał jakiś spryciarz, ściągał komuś czapkę i uciekał. Gdy się było tak opatulonym, to trudno było go dogonić i czapkę odebrać. Taka przykra przygoda spotkała kuzyna Tadka już na drugi dzień podróży. Przez

następne dni drogi głowę musiał owijać szalikiem i innymi szmatami.

Do stałego wyposażenia furmana należał dłuższy pasek lub sznurek zakończony haczykiem. Gdy podczas siedzenia na saniach zaczęło dokuczać zimno, wówczas dla rozgrzewki zahaczało się sznurek o bok konia i najczęściej z góry biegło się obok niego.

Był rok 1943. Zima była wyjątkowo sroga. Przyjęto zasadę, że gdy temperatura spadała poniżej 45 stopni, można było nie iść do pracy, jednak nigdy tego nie respektowano, gdyż nie mieliśmy termometru i najczęściej dowiedzieliśmy się dopiero wieczorem od *predsedatiela*, ile stopni mrozu było naprawdę.

Podczas dużych mrozów powietrze było spokojne, a niebo bezchmurne. W takie poranki widok nad kołchozem był fantastyczny. Dymy wychodzące z kominów tworzyły nad domami proste słupy, aby następnie wysoko utworzyć niby kapelusz, lub zaginając się w którymś kierunku – jak gdyby łuki.

Niekiedy poranek witany był wystrzałami, to jest wyciskaniem przez mróz oszroniałych kowalskich gwoździ z drewnianego dachu. Na wiosnę trzeba było te gwoździe uzupełniać.

Zarówno kołchoźnicy, jak i my z wyżywieniem radziliśmy sobie w różny sposób, np. do mąki przy pieczeniu chleba dodawano różne dodatki, aby zwiększyć jego objętość. Za dodatki takie służył zmielony pośląd i nasiona różnych chwastów, które pozostawały po młynkowaniu zboża. Na wiosnę pierwszym wyrosłym z ziemi owocem był skrzyp, z którego piekło się coś w rodzaju pierogów i pomimo, że mama dodawała do nich różne przyprawy, nie było to smaczne, jeść jednak musieliśmy, żeby przetrwać.

Poza tubylcami Permiakami w kołchozie zamieszkiwało kilka rodzin Polaków oraz leningradczyków. Były to tylko kobiety z dziećmi. One to opowiadały okropne historie o froncie i sytuacji w Leningradzie. Pomimo że pierwszy raz spotykały się z pracami na wsi, to chętnie angażowały się do różnych robót, też tak jak my pragnęły po prostu przeżyć.

Wszystkim w całej tej wspólnocie współzycie układało się przyjaźnie, a gościnność mieszkańców była naprawdę duża. Powszechnym napojem Permiaków był kwas chlebowy zwany bragą. Tym napojem częstowano nas zawsze, gdy się weszło do ich domu. Latem idąc w pole zabierali oni w pojemniku zrobionym z kory brzozonej tę bragę i gasili nią pragnienie.

W wolnych chwilach podczas rozmów sąsiedzkich niemal żelaznym tematem był chleb, jedzenie, głód, sy-

tość itp. Kobiety podczas przerw w pracy zajmowały się iskaniem głów sąsiadek i swoich bliskich. Jedna drugiej czesała, przegarniała jej włosy i nawet, gdy nic w nich nie znalazła, to był wyraz wzajemnej pomocy i życzliwości. Żadnych środków czystości nie mieliśmy.

Zajęciem chłopców było wypatrywanie i pilnowanie gniazd ptasich (wron, srok) i czuwanie, aby wybrać pisklęta przed ich wylotem. To było jedyne mięso w tych warunkach, na jakie mogliśmy sobie pozwolić. Permiacy byli od nas o tyle w lepszej sytuacji, że hodowali kury i mogli hodować krowę. Po oddaniu wyznaczonego limitu mleka i jaj dla państwa zawsze trochę pozostało dla nich. Czasem i nam coś się od nich dostało, ale problem był w tym, że nie mieliśmy czym płacić, bo w kołchozie pieniędzy się nie zarabiał. Zarówno w Kanamowie, jak i w sąsiednich wioskach nie było za wiele łąk i pastwisk, toteż bydło kołchożne i kołchoźników oraz młode konie, które jeszcze nie pracowały, pasły się w lesie. W tym celu wioska i las ogrodzone były od pól. Las i wioskę łączyła ogrodzona droga. Po rannym udoju wszystkie krowy wpędzało się na wieś, po czym same szły do lasu.

Wejście do lasu zamykały wrota pociągane żurawiem. Pod wieczór krowy same gromadziły się przy wrotach i czekały, aby je ktoś wypuścił.

Pewnego razu już w dzień krowy same wróciły do wsi. Okazało się, że słup, na którym wsparte było ramię żurawia, zbutwiało i złamał się. Żuraw więc przestał je zamykać. Wyznaczono tatę, aby go naprawił. Wkopanie jednak nowego słupa nie było takie proste, bowiem ziemia była zamarznięta już na głębokości ok. 0,5 m, a był to lipiec. Tata przez dwa dni rozpałał na dnie dolka ognisko, aby roztopić warstwę po warstwie i odpowiednio głęboko zakopać słup.

Z uwagi na surowy klimat, długie, mroźne i śnieżne zimy uprawiano tu tylko zboże jare (żyto, owies), ziemniaki, cebulę i brukiew. Plony nie były wysokie, bo co



mogło urosnąć zasiane w maju, a zbierane na przełomie sierpnia i września. Zima rozpoczynała się na przełomie września i października, a śnieg topniał na przełomie kwietnia i maja.

Transport zimą polnymi drogami nie należał do łatwych, zwłaszcza gdy na takiej drodze spotykały się dwie furmanki. Wówczas dogadywano się: kto miał lżejszy ładunek i sprawniejszego konia, ten zjeżdżał z drogi. Odbywało się to w ten sposób, że w odpowiedniej odległości odczepiało się konia od sań. Koń, idąc po drodze, liną ściągał sanie z drogi na bok. Następnie obok drogi udeptywało się śnieg, aby przygotować utwardzone stanowisko, na które wprowadzało się konia. Gdy koń i sanie były na poboczu, wówczas drugie sanie drogą przejeżdżały dalej. Następnie pierwszy koń wyskakiwał na drogę, ściągał za pomocą liny z pobocza sanie na drogę, zaprzęgało się go i można było jechać dalej.

Konia zaprzęgano do wozów i sań przy pomocy wygiętej z drzewa tzw. *dugi*, doczepianej do dyszli skózanymi pasami. Gdy duga była większa, to często zaprzęg nie był możliwy, bo pasy były za krótkie. Często tak bywało, gdyż skóra ta nadawała się do wplatania w łapcie. Rzecz warta była zachodu, gdyż łapcie bez wplecionej skóry wystarczały na dwa, trzy tygodnie, a z wplecioną skórą nosiło się i dwa miesiące. Biedny był ten, u kogo *predsiedatiel* zobaczył łapcie poplecione skórą. Wiadomo było, że pochodzi ona z obciętych rzeźmieni od uprzęży.

W sąsiednim kołchozie Kazarina mieszkali: wujek Staszek z synem Tadkiem, wujek Ludwik, ciocia Hania i Gienia. Na wiosnę 1943 r. wujkowi Staszekowi przydarzyła się przykra przygoda. Kazano mu siał owies. Gdy szedł po pracy do domu, zabrał ze sobą parę garści owsa. Podpatrzył to *predsiedatiel* i wujka zamknęli. Siedział do żniw w Kudymkarze. Podczas żniw przywieźli go do Wierchsiużwy na rozprawę i udało mu się uciec. Przez Kanamowę i lasy przeszedł do obłasci kirowskiej. Gdy tam go zatrzymali, udało mu się wytłumaczyć, bo miejscowa Permiaczka poświadczyła, że to nie jest żaden szpieg, tylko Polak, którego spotkała na Siużwie.

Druga połowa 1943 r. była dla nas łaskawsza, a to za sprawą Związku Patriotów Polskich, dzięki któremu zrównano nasz status z miejscową ludnością. Nie straszono już nas odwiezieniem do lasu, a wizja powrotu do Ojczyzny znów stała się bardziej realna. Natomiast nasza sytuacja materialna w Kanamowie pod koniec 1943 r. stała się znów trudniejsza, bo po żniwach w

kołchozie nie pozostawiono nic z żywności. Nasze prywatne zapasy były prawie żadne, a i kołchoz nie miał czym nas zaliczkować. Trzeba było szukać innego kołchozu.

Udało się, bo tata znalazł pracę w sowchozie oddalonym o kilkanaście kilometrów od Kanamowy.

Wierchińwa

Tu za pracę płacono nie dniówkami a rublami, za które można było w sklepie kupić przydziałowy chleb. W sowchozie była wolna praca kowala. Tata, pomimo że nigdy tym się nie trudził, podjął się tej roli. Początkowo najbardziej bał się robienia podków i podkuwania koni, gdyż nigdy tego nie robił. Z czasem jednak nabrał wprawy i nie zdarzyło mu się, aby po podkuciu koń kulał.

Z Wierchińwy Gienię, Tadka i mnie wyznaczono do wożenia zboża do Mendelejewa. Byliśmy już starsi i bardziej doświadczeni w tej pracy, toteż nie przytrafiły nam się jakieś przykre niespodzianki.

Zima 1943/44 r. nie była zbyt sroga. Na początku 1944 r. otrzymaliśmy wiadomość, że Polacy będą mogli wyjechać w bardziej łagodne pod względem klimatycznym tereny Związku Radzieckiego.

W kwietniu wyznaczono punkt zborny w Berażnikach nad Kamą, skąd statkiem popłynęliśmy do Mołotowa (obecnie Perm). Tu, po kilku dniach koczowania pod gołym niebem, w porcie nad Kamą załadowano nas na większy statek, by Kamą popłynąć do Wołgi i dalej na południe.

Wołga to potężna rzeka, szczególnie wiosną, gdy spływają do niej wody z topniejących śniegów ze znacznych obszarów europejskiej Rosji. Niekiedy odległość między brzegami była tak duża, że ledwo widać było brzeg.

Po dwóch tygodniach od wypłynięcia statek zatrzymał się w Kujbyszewie, gdzie wyładowano część Polaków, reszta, w tym także i my, popłynęła dalej na południe. Wyładowano nas w Marksie – miasteczku powiatowym położonym na lewym brzegu Wołgi w obłości saratowskiej.

Tu już czekały na nas podwozy. Dla nas młodych było to bardzo atrakcyjne, gdyż pojazdy ciągnięte były nie tylko przez konie, ale również przez woły i wielbłądy. Szczególnie wielbłądy, te egzotyczne zwierzęta były obiektem naszego zainteresowania. Wydawały nam się bardzo wielkie i o tej porze nie były jeszcze całkiem oskubane z zimowej wełny, mało ruchliwe, z dwoma garbami i ciągle przeżuujące trawę żołądkową.

Toteż gdy dowiedzieliśmy się, że z wielbłądziej wełny można robić wspaniałe swetry, rękawice i skarpety, zaczęliśmy je oskubywać. Jednemu z oskubujących przydarzyła się niezwykła przygoda. Podczas oskubywania nie zdążył odskoczyć, wielbłąd opluł go zawartością ze żwacza. Mimo starannego mycia się przez pewien czas nie mógł uwolnić się od tych kwaśnych zapachów.

Jeszcze przed południem furmanki ruszyły na wschód. Przez cały czas podróży okolice były równinne, bez drzew, jedynie poprzecinane wąwozami, którymi woda z Wołgi w formie cofki sięgała kilkanaście kilometrów w step. Po przebyciu ok. 35 km w maju 1944 r. przyjechaliśmy do miejscowości:

Frunze

Tu czekały na nas warunki mieszkaniowe nieporównywalnie lepsze od poprzednich. Każda rodzina otrzymała do dyspozycji domek, w którym był pokój i kuchnia, sień i przybudówka lub komórka na opał.

Okolice – to nadwołżańskie stepy, czarnoziem grubości do kilku metrów, bardzo urodzajny. Wioska Frunze – to ok. 30 domów, częściowo zamieszkała przez kilka rodzin Kazachów, Rosjan i jedną rodzinę żydowską (sklepowa). Polaków rozlokowano w niezamieszkałych domach. Większość wiosek w stepach nadwołżańskich w obłości saratowskiej poprzednio zamieszkiwali osadnicy niemieccy. W miarę zbliżania się frontu do Wołgi wszystkich Niemców wywieziono na wschód, na Sybir.

Gospodarka rolna w stepach nadwołżańskich przez Niemców zorganizowana była na zasadzie sowchozu, a więc za pracę płacono gotówką, a nie trudo-dniami.

Z naszej rodziny do pracy chodzili tata, mama i ja, a miałem już wówczas 15 lat. Nareszcie mieliśmy za co kupować chleb. Brak lasów nie stwarzał już możliwości nzbierania jagód czy grzybów, a z braku rzeki i ryb nie można było nałowić. Zosia, Czesia, Rysiek i Marian obarczeni zostali obowiązkiem zbierania w stepie burzanu, którym ogrzewało się mieszkanie i paliło pod kuchnią. Przez lato musiały tego tyle nzbierać, aby starczyło do wiosny. Toteż każde dziecko, które mogło przynieść choć pęczek burzanu, uczestniczyło w gromadzeniu opału.

Zajęcie to było może nie tyle uciążliwe, co niebezpieczne, bo w burzanie wilki miały liczne legowiska. W niecały tydzień po przyjeździe w te strony prawie cała wieś miała okazję spotkania się z wilkami. Po południu od strony sąsiedniej wsi II oddziału usłyszeliśmy

beczenie cieląt. Miejscowi od razu zorientowali się, że cielęta zostały zaatakowane przez wilki.

Większość mieszkańców, którzy w tym czasie byli we wsi, pobiegła w tym kierunku. Na czele biegli mężczyźni, trzymając w rękach różne narzędzia. Na przodzie biegł Nowak ze strzelbą swojej roboty przywiezioną z tajgi. Za nimi biegliśmy my. Na skraj wioski wyszły również odważniejsze kobiety. Okazało się, że około pół kilometra od wsi pasły się cielęta, które oddzieliły się od stada krów i wilk upatrzył sobie najładniejsze cielę, które było własnością sklepowej. Szarpał je za pośladki i nogi. Zaatakowane cielęta, zamiast uciekać do wioski, biegały w koło i becząły. A tymczasem gdy wilk zauważył krzyczących ludzi, zatrzymał się, ale tylko na chwilę i nie dając za wygraną dopadł jeszcze swą zdobycz z boku, rozrywając pyskiem podbrzusze. Cielak padł, a pozostałe wcale nie uciekały. Wilk widząc, że mężczyźni są blisko, odbiegł z zakrwawionym pyskiem w stronę kukurydzy, gdzie spokojnie czekał na niego drugi drapieżnik. Widocznie żał im było niedosłej zdobyczy, bo wcale nie śpiesząc się weszły w kukurydzę. Cielaka trzeba było dobić i zajął się tym tata.

Nagabywany przez sąsiadów Nowak, dlaczego nie strzelał do wilka, odpowiedział, że jednym strzałem mógłby go tylko rozdrażnić, a gdyby ranny wilk zaatakował go, to nie było szans na ucieczkę, bo do wioski daleko, a drzew w stepie nie ma.

Przez dwa lata pobytu na Frunze Nowak tylko raz użył swej strzelby, ale bez rezultatu. Podczas sianokosów przydzielono mu pilnowanie w nocy odległego o kilka kilometrów od wsi kombajnu. Opowiadał, że w nocy wilki zbliżyły się do niego, wtedy strzelił w ich

stronę. Rano zobaczyliśmy w tym miejscu zdeptaną i pokrwawioną trawę, lecz po wilku nie było śladu.

Koszenie trawy kombajnem zbożowym S-6 po zdjęciu płócien odbywało się dość sprawnie, bo ścięta trawa od razu spadała na ściernisko. Mnie przydzielono pracę w stacji traktorowej w roli pomocnika traktorzysty-kombajnisty. Ponieważ interesowały mnie sprawy techniczne, uważałem tę pracę za wyróżnienie. Po ścięciu trawy suszyło się ją, a raczej tylko grabiło. Robiłem to ze Staszkiem Krajakiem. W stepowym żarze było to zajęcie dość uciążliwe, zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt, a pola ciągnęły się po kilka kilometrów. Na takich dłużyznach w ciągu dnia można było przejechać kilka lub kilkanaście okrążeń. Ochładzaliśmy się w ten sposób, że na końcach pól, a niekiedy i po środku stały beczki z wodą, którą dolewano do ciągników pracujących obok. Wchodziliśmy w ubrani do beczki, a następnie siadało się na grabiarkę i w drogę do drugiego końca pola, aby znów zamoczyć się w beczce i napoić konie.

Raz podczas pory obiadowej Staszek oddalił się w zarośla burzanu. Po chwili usłyszałem jego krzyk. Podbiegłem, aby zobaczyć, co mu się przydarzyło. Okazało się, że parę dni wcześniej znalazł gniazdo dropia i założył na niego sidła, w które drop się złapał, i gdy chciał go zabrać, dostał skrzydłem w nogę tak boleśnie, że nie mógł się ruszyć.

Podjechałem grabiarką, ułożyłem Staszka na sianie i przywiozłem do wioski. Po tej przygodzie Staszek nie mógł pracować przez kilka dni. Jeszcze tego samego dnia pojechałem na miejsce spotkania z dropiem, ale po ptaku nie było śladu, zerwał sidła i odleciał.

Mimo że lato w stepach nadwołżańskich jest suche i upalne, coraz bardziej zaczęły mi dokuczać stawy rąk i nóg. Bolały tak mocno, że kroku nie mogłem zrobić, a nogi bardzo popuchły. Na leczenie skierowano mnie do szpitala do Marksa. Przyznać muszę, że pobyt w szpitalu był dla mnie odpoczynkiem. Nie kazali nic robić tylko leżeć, mogłem więc nareszcie wypaść się do woli.

Po kilkunastu dniach bóle w stawach ustępowały. A żeby zeszła opuchlizna, ograniczono mi płyny do połowy porcji. W zimie te



ograniczenia nie byłyby może tak dokuczliwe, ale w upalne lato pragnienie było ogromne, nie opuszczało mnie ani w dzień, ani w nocy. Z tego powodu starałem się, aby jak najszybciej wypisać się ze szpitala. Ponadto zdawałem sobie sprawę z tego, że to pyszne ciasto, które mama mi przysyłała, powstawało kosztem wyrzeczeń pozostałych domowników.

W lecie w stepach deszcze padały bardzo rzadko, zwłaszcza podczas żniw, a mimo to plony pszenicy były dość dobre. Wystarczyło pole zaorać, zabronować, zasiać pszenicę ozimą i bez pielęgnacji i nawożenia spokój był do żniw.

Od kombajnu zboże odwoziło się wozami wyposażonymi w skrzynie na plac wyrównanej i ubitej ziemi koło magazynów. Jeśli kombajn był sprawny, to ani na chwilę nie wolno było wstrzymać pracy. Zboże na wozy ładowało się w ruchu. Zdarzały się przypadki, że furmanki nie zdążyły przyjechać. Wówczas to zbiornik opróżniało się, wysypując zboże w ściernę, następnie zbierało się je w nocy lub gdy kombajn stanął z powodu awarii. Takie postępowanie uzasadnione było tym, że przewodniczącego sowchozu rozliczali z powierzchni skoszonego zboża, a nie z ilości sprzątniętego i zgromadzonego ziarna.

Na klepisku przy magazynach kobiety formowały pryzmy pszenicy, równocześnie oczyszczały je i przesuwały. Czasem na pryzmę padał deszcz, wówczas wierzchnia warstwa pryzmy porosła i zazieleniła się. Zgarniało się wtedy zielony kozuch na bok, a pryzmę dalej szuflowało.

Wysuszone zboże składowało się w magazynach, które stały obok. Były to drewniane komory o podstawie ok. 7x7 m i tyleż wysokości. Podłoga w magazynach umieszczona była pół metra nad ziemią. Kiedyś dzieci, bawiąc się koło magazynów, odkryły niebezpieczeństwa w podłodze, przez które usypywało się ziarno. Wówczas dyskretnie biegały jak mrówki na trasie magazyn – dom, do czasu aż ktoś z władz sowchozu nie zauważył tego i nie załatał szpary.

Nad sprawnym przebiegiem prac czuwali: przewodniczący, brygadzysta i magazynier sowchozu. W dzień nikt nie odważył się uszczknąć czegoś dla siebie z majątku sowchozowego, ale wieczorem, pod osłoną zmroku i ciemności, liczni starali się, jak mogli, w sposób sobie tylko wiadomy zdobyć coś dla domu.

Jednego przedwieczoru przewodniczący ponaglał nas, by zakończyć pracę, bo musi jechać z brygadzystą na ważną naradę do sielsowietu, to jest gminy. Wiadomość ta szybko dotarła do wsi. Zanim przyjechałem

do magazynów przez wieś, w skrzyni pozostało pszenicy tylko na dzień. W ruch wprowadzone zostały naczynia domowe (wiadra, garnki, miednice itp.). Zdobyć była bezcenna.

Zakończenia zbioru zbóż najbardziej oczekiwały dzieci, ponieważ następnym etapem prac polowych było koszenie słonecznika. Była to doskonała okazja do podreperowania naszej ubogiej spiżarni.

Podczas wakacji zajęciem dzieci były nocne wypady na plantacje dyni i arbuzów, które często oddalone były od wioski o kilka kilometrów. W okresie dojrzewania plantacje te były pilnowane i dlatego noc była najlepszą porą na wyprawę po nie.

Podchodzić do plantacji trzeba było nie drogą, lecz z przeciwnej strony. Dla niektórych dzieci było to zajęcie dość uciążliwe, bo często trzeba było zrobić kilka kilometrów, żeby coś przynieść. Pewnego wieczoru, gdy wybraliśmy się po lucernę dla królików, wystraszyły nas wilki. Było to już późną jesienią i być może dlatego przenosiły się bliżej wioski. Respekt przed wilkami miał każdy, chociaż nie zdarzyło się, aby zaatakowały człowieka. Natomiast wśród zwierząt domowych wyrządzały znaczne szkody.

Parę rodzin Kazachów mieszkało w chutorze kilka kilometrów od Frunze. Każda rodzina mieszkała w oddzielnej ziemiance, dość obszernej, o wymiarach ok. 8x8 m. Do ich izby wchodziło się po schodach w dół. Na środku izby stał piec, wysoki do sufitu, na którym opierała się konstrukcja dachu. Wokół pieca były ławki i przejście dookoła. Pod ścianami stało podwyższenie, coś w rodzaju pryczy, która służyła do siedzenia i do spania. Nie było żadnych mebli i okna umieszczone były pod sufitem. Nieodłączne wyposażenie każdego mieszkania kazachskiego stanowiły czajniki. Każda osoba dysponowała swoim czajnikiem. Służyły im do podmywania się przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Nas uważali za ludzi nie przywiązujących wagi do podstawowych zasad higieny osobistej.

Na Frunze brygadzystą był Kazach Kabusz, który zamieszkiwał z rodziną też w domku poniemieckim, podobnym do naszego. W takim domu korzystali już z krzeseł, stołu, ławek, naczyń, ale z czajników nie rezygnowali, zwłaszcza starsi.

Kazachowie na chutorze prowadzili sowchozową fermę owiec. W dzień pasał je pastuch na koniu ze strzelbą. Stado, czując zagrożenie wilków, trzymało się blisko konia.

Pewnego razu w porze obiadowej wilki, nie wyczuwając obecności człowieka ani psa, przeskoczyły ogro-

dzenie i zrobiły wielki popłoch w stadzie. Kazach, gdy usłyszał bek i tumult owiec, zrozumiał co się dzieje, ale nie było mowy, aby ustrzelić wilka, gdyż kurz przysłaniał wszystko. Wystrzelił w górę i zauważył, że wilki przeskoczyły wysokie ogrodzenie. Dosiadł konia i pojechał za nimi, ale wilki miały przewagę w czasie i zdążyły uciec. Pozostała po nich tylko poszarpana skóra z owcy. Przyniósł tę poszarpaną skórę do kantoru, aby rozliczyć się ze sztuk w stadzie.

Na Frunze do zaprzęgu używano konie, woły i wielbłądy. Podczas popasu wielbłądy trzymały się bliżej wsi pojedynczo, chociaż nie było przypadku, aby wilki odważyły się je zaatakować. Natomiast woły i konie chyba wyczuwały zagrożenie, bo pasły się razem w stadzie.

Raz w letnie popołudnie ze stepów dochodził tętent galopujących koni. Okazało się, że wilki podeszły do pasącego się stada, a konie wypłoszone co sił w nogach uciekały do wsi. Zdziwienie było wielkie, gdy okazało się, że do wsi pierwszy przybiegł wół Sobol, stary, jeszcze poniemiecki, bardzo silny, radził sobie z ciężarem, któremu para koni ledwo dawała radę. Jednakże nikt nigdy nie widział, aby kiedykolwiek przyspieszył kroku, nie mówiąc już o biegu. Biedaczysko tak się tą ucieczką zmordował, że ze trzy dni leżał nie podnosząc się. Dzieci miały z nim zajęcie, bo nosiły mu trawę, siano i wodę.

Innym razem wilki dopadły konia, nogi i skórę tak mu poszarpały, że konia trzeba było dobić. Było to w nocy, podejrzewano, że dopadły go leżącego.

Na Frunze dla całej wioski była tylko jedna studnia, z której nabierano wodę. Była bardzo głęboka, toteż nie było możliwe, aby wodą z tak głębokiej studni poić zwierzęta. Jednak gdy do studni podeszedł wielbłąd i napotkał kogoś z pełnymi wiadrami, to nie pozwolił odejść od studni, aż nie wypił 5-6 wiader wody. Inventarz sowchozowy poilo się na drugim oddziale raz dziennie, gdzie wodę pompował wiatrak. Taki codzienny przemarsz stada kusił wilki, jednak nigdy nie odważyły się je zaatakować. Zdarzały się też sytuacje, gdy któraś z krów wyczuła wilka, wówczas zaczynała porykiwać i na taki sygnał cielecia tłoczyły się do stada, a byki, których było kilka w stadzie, biegały dookoła stada, wypatrując i jednocześnie odstraszać wilki.

Zimą wilki podchodziły do samych zagród, toteż liczebność psów w wiosce została przez zimę zdziesiątkowana. Pewnego ranka z drugiego oddziału szła kobieta z piskiem na naszą fermę bydła. Na niezamieszkałym chutorze podeszły ją wilki, kobieta zdą-

żyła po drabinie wyjść na stryszek, ale pieska wilki rozerwały na jej oczach.

Nowak niedaleko swego domu założył potrzask, do którego wpadł wilk; niestety został po nim tylko kawałek nogi. Po paru miesiącach od tego wydarzenia stryj Leon ok. 15 km od Frunze spotkał tego wilka bez nogi.

Nadeszła nareszcie wiosna 1945 r. Wyznaczono mnie do wożenia różnych towarów, najwięcej to z Marksa do sowchozu i do *sielsowietu*. Pojechałem wołami, aby przywieźć mąkę z Marksa do piekarni, która mieściła się w *sielsowiecie*. Z innych sowchozów po mąkę przyjechali furmankami konnymi, a tylko ja jeden powoziłem wołami. Po załadowaniu mąki pierwszy wyruszyłem w drogę powrotną. Po przejechaniu około 10 km zapadł zmierzch. Dopędziły mnie też podwody konne. Przez parę kilometrów udawało mi się z wielkim wysiłkiem nie odstawać od nich. Niestety, po przejechaniu jeszcze kilku kilometrów, woły coraz bardziej odstawały i niebawem zauważyłem, że furmanek w ogóle nie słyszał, a nam towarzyszą wilki. Woły, wyczuwając je, zaczęły prychać, parskać, przystawać, a od strony wilków dochodziło popiskiwanie i pomrukiwanie. Nachodziły mnie straszne myśli, że to koniec z nami, że pewno nie dojadę, gdyż do przebycia pozostało jeszcze ponad 15 km. Kierownik transportu, doświadczony Kazach, domyślił się, że mogę być w opałach i zdecydował, że wszyscy zaczekali na mnie. Dalszą drogę do piekarni przejechaliśmy razem, ja swoimi wołami włókłem się na końcu.

Po dojechaniu na miejsce i rozładowaniu mąki wszyscy z furmankami konnymi rozjechali się na kwatery. Moje woły były jednak tak bardzo zmęczone, że nie było siły, by je zmusić do powstania. Do rana pozostało jeszcze parę godzin, położyłem się więc w piekarni na workach, aby się przespać. Odpoczynek na workach po tej męczącej podróży parę godzin wcześniej wydawał mi się nieosiągalnym marzeniem. Po zgaszeniu światła po piekarni zaczęły harcować szczury. Nie bałem się, a ich piski i chroboty wydawały mi się nawet czymś bardzo przyjemnym w porównaniu z wilczymi. Zasnąłem natychmiast, zbudził mnie piekarz, który przyszedł rano do pracy.

Często do moich obowiązków należało przywożenie z Marksa paliwa do ciągników. Jeździliśmy we dwoje z kazachską dziewczyną Polą. W podróż wyruszyliśmy w porze obiadowej, aby przed nocą być na miejscu. Nocowaliśmy u jej kazachskiej rodziny, a rano pobieraliśmy paliwo do trzech 200-litrowych beczek. Z ła-

dunkiem wracaliśmy do Poli rodziny, z każdej beczki odlewaliśmy po kilka litrów paliwa, po czym wyruszyliśmy w drogę powrotną. Podczas drogi w upalny dzień paliwo nagrzewając się tak powiększało objętość, że wypełniało beczki po sam korek. Podczas rozliczania się braków nie było, gdyż beczki były pełne.

Raz podczas podróży po paliwo wołami na drodze napotkaliśmy wilki. Nic szczególnego w tym by nie było, gdyż takie spotkania nieraz nam się zdarzały. Ale tym razem wilki stały na drodze obkopanej po obu stronach rowami. Wilki z naszego widoku nic sobie nie robiły. Woły, wyczuwając je, stanęły, zaczęły porykiwać, grzebać nogami, a objechać je nie można było, bo przejeżdżając przez rów beczki, które leżały na dwóch podłużnych dragach, mogłyby pospadać.

Pola jeszcze przed spotkaniem z wilkami usiadła na wiązce siana w tyle wozu i ze złożonymi na piersiach rękami odprawiała jakąś modlitwę. Nawet w tak groźnej sytuacji jak spotkanie z wilkami nie byłem w stanie przerwać jej modlitwę i pomóc odstraszyć wilki. Metalowym kluczem do ustawiania beczek do góry korkami zacząłem walić w puste beczki. Wilki zareagowały, podniosły głowy, powoli zeszły z drogi i zatrzymały się w burzanie kilkadziesiąt metrów od drogi. Woły nieufnie ruszyły do przodu. Po ujechaniu jednak kawałka drogi wilki znów się pokazały z prawej strony. Na szczęście po lewej stronie drogi rów był płytki, więc polem okrążyłem je i pojechaliśmy dalej.

Powozienie wołami zaprzęgniętymi w jarzmo nie było trudne, bo reagowały tylko na bat i wyrazy „cob cebe” – do przodu i „trrr” – stój. Aby skrócić w lewo, popędzało się prawego woła, który przyspieszając zachodził drogę lewemu i na odwrót.

W maju 1945 r. przydarzyła nam się przykra przygoda. Wołga niosąca wezbrane wody z topniejących na północy Rosji śniegów podniosła się znacznie i woda wpływała wąwozami po kilkanaście kilometrów w głąb stepów. Na drodze do Marksa przejazd w bród koło miejscowości Baku był niemożliwy. Uruchomiono więc dla przeprawy przez rzekę prom przymocowany na linie.

W drodze powrotnej przekraczając rzekę z dużym ładunkiem wjechaliśmy na prom. Po przepłynięciu kilkunastu metrów przód promu pod końmi zaczął tonąć. Prom się pochylał, a konie wyczuwając, że wóz spycha je do wody instynktownie cofały wóz do tyłu, co spowodowało, że tył promu pod zwiększonym ciężarem też się zanurzał. Przewoźnik starsuszek chwycił za linę, do której uciepiony był prom, i zaczął krzyczeć, wzywając pomocy. Pola i ja trzymaliśmy koła za szprychy, nie pozwalając, aby wóz wraz z końmi stoczył się z promu do wody. Uratowaliśmy wóz i konie, ponieważ wyprzągłem konie, gdy woda już sięgała nam powyżej pasa. Wszedłem do wody przed końmi, a one poszły za mną. Prom pozbawiony obciążenia końmi powoli wynurzył się.



Konie, niestety, wróciły z powrotem na brzeg, skąd rozpoczęliśmy przeprawę. Cofnęliśmy się do brzegu, na linie przywiązaliśmy konie do promu. Nie było to łatwe, ponieważ konie w żaden sposób wejść do wody nie chciały. Wreszcie udało się i dopłynęliśmy do drugiego brzegu. Na promie zaprząłem konie do wozu i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po paru dniach wysłano nas po paliwo, trzeba było jechać aż 40 km, tym razem w kierunku południowo-wschodnim. W drodze powrotnej należało przejechać przez rzekę w bród. Miejscowi kołchoźnicy zapewniali nas, że woda jest płytka i śmiało można przejechać. Zjechać jednak musieliśmy z dość stromego brzegu i gdy wóz zanurzył się w wodzie, ugrzązł w mulistym podłożu, a dalej woda była tak głęboka, że konie nie sięgały nogami dna. Na wozie znajdowały się 4 beczki paliwa, w zaprzęgu zaś były 3 konie. Na dwa konie zaprzęgnięte z prawej strony dyszla napierał bystry nurt wody, spychając je na dyszel. Zdążyliśmy odczepić dwa konie zewnętrzne, a środkowa klacz, dociskana koniem z prawej strony, dostała się pod dyszel, zaczęła się szarpać i tak naprężyła postronki, że w żaden sposób nie można było jej odczepić. Pola pobiegła po pomoc do wsi, zanim jednak kołchoźnicy przybiegli, klacz utopiła się. Kołchoźnicy pomogli nam uporać się z tym, wyciągnęli wóz i konia, a w dalszą drogę ruszyliśmy w dwa konie i pozostałą po trzecim uprzężą.

Do Frunze przyjechaliśmy późno w nocy. Na drugi dzień rano poszliśmy do przewodniczącego sowchozu wytłumaczyć się z zajścia. Krzyczał na nas okropnie, pękiem kluczy rzucił o stół tak, że rozsypały się po całym kantorze i na tym ruganie się zakończyło.

Może dlatego obszedł się z nami dość łagodnie, że kilka dni wcześniej zakończyła się wojna, a ponadto może dlatego, że brygadzysta był krewnym Poli.

Sytuacja Polaków w latach 1945 i 46 za sprawą Związku Patriotów Polskich stała się korzystniejsza, traktowano nas na równi z miejscowymi, a to wiele dla nas znaczyło. W lecie 1945 r. tata przeziębził się i zachorował na zapalenie płuc, leżał w szpitalu w Marksie, gdzie tak bardzo schudł, że po powrocie do domu ważył niewiele ponad 40 kg. Zwrócił się do przewodniczącego, aby dla poprawy zdrowia przydzielił mu tłuszcz. Wypisano przydział na 50 g masła na tydzień. Nie było to dużo, ale dobre i tyle, gdyż taki przydział masła był kiedyś tylko marzeniem.

Mimo że mieliśmy obywatelstwo polskie, w zimie 1945 r. braliśmy udział w głosowaniu podczas wyboru radnych do rad narodowych. W tym celu przewodni-

czący wyznaczył podwozy z sań, sprawdził listę i w dwóch grupach pojechaliśmy do sielsowietu głosować. Udział sowchozu Frunze w głosowaniu był 100-procentowy i wszyscy kandydaci otrzymali 100% poparcia.

W 1944 r. dla dzieci polskich zorganizowano 4-klasową szkołę w języku polskim. Po 4 latach przerwy było to bardzo wiele. W okresie zimowym ukończyłem tę szkołę. Nauczycielami byli Polacy: ojciec z córką – państwo Tesalscy.

Rok 1945 był dla nas pomyślniejszy, a my wierzyliśmy i mieliśmy nadzieję, że niebawem nadejdzie czas powrotu do Ojczyzny. Miejscowe władze twierdziły jednak, że nigdzie nie będzie nam tak dobrze, jak tutaj w stepach, i że możemy się uważać za stałych mieszkańców, a osadnicy niemieccy, którzy tu kiedyś mieszkali, nigdy już tu nie powrócą. Nie przyjmowaliśmy tego do wiadomości, bo wiedzieliśmy, gdzie jest nasze miejsce na ziemi.

Lato upływało mi na podróżach do Marksa i z powrotem, a rytm pracy był jednakowy. Marzyliśmy o warzywach i owocach. Nareszcie spełniło się nasze oczekiwanie: będąc w Marksie zdobyłem kilka jabłek. Jakaż była nasza radość, gdy po 5 latach przypomnieliśmy sobie ich smak.

W sierpniu 1945 r. nadeszła upragniona wiadomość: Polacy, jeżeli chcą, mogą się starać o zezwolenie wyjazdu do Polski. Dorośli muszą udowodnić swoją polskość jakimś dokumentem z Polski, w którym byłoby nazwisko i imię. Oczywiście tata na swoje miał sporo dokumentów, ale mama nie miała nic. W związku z tym musieli w gminie wziąć ślub. Sprawę tę załatwił w gminie tata sam.

Ponadto każdy, kto chciał wyjechać do Polski, musiał osobiście napisać podanie. Wszyscy więc napisaliśmy takie podania, nie pomyśleliśmy jednak o najmłodszym bracie (niemowlęciu) i ktoś na drugim oddziale, dokąd podania były zanesione, dopatrzył się tego. Brakujące podanie następnego dnia wcześniej rano niosłem do sąsiedniej wioski, skąd mieli je zawieźć do Marksa. Uszedłem zaledwie z pół kilometra, usłyszałem pomruki wilków. W burzanie zobaczyłem dwa wilki. Przestraszyłem się okropnie i zacząłem uciekać, co sił w nogach, krzycząc tak, że słyszano mnie na fermie oddalonej około 1 km od drogi. Do wioski nie mogłem wracać, gdyż z tamtej strony były właśnie wilki. Biegłem więc w stronę fermy trzody chlewnej oddalonej ok. 1 km. Dobiegłem ledwie żywy. Doszedłem do wniosku, że chyba nie były głodne i dlatego nie biegły za mną.

Nadeszła zima 1946 r. Dłużyło się okropnie, a tęsknota za domem była coraz większa. Pracowaliśmy nadal w sowchozie, jeżdżąc po towar do Marksa. Raz Poli i mnie przypadło zawieźć ciężarną kobietę do szpitala. Była nią sklepowa. Ujechaliśmy z 10 km, gdy sklepowa dostała bóle. Byliśmy przerażeni, przecież byliśmy jeszcze dziećmi. Do najbliższej wioski Baku było z 5 km. Pola zajęła się kobietą, a ja popędzałem konie, żeby jak najszybciej dojechać do wioski. Miejscowe kobiety zajęły się rodzącą i dziecko przyszło na świat. Zdecydowali jednak, że trzeba ją zawieźć do szpitala. Później dowiedzieliśmy się, że dziecko jednak zmarło, a kobieta powróciła do domu dopiero po miesiącu.

Polacy w tym czasie przygotowywali się do powrotu do kraju. W marcu podczas roztopów wyruszyliśmy w upragnioną podróż do Polski. Do Marksa wieziono nas wozami konnymi i przyczepami ciągnikowymi. Tu na dalszą drogę czekaliśmy dwa tygodnie. Nareszcie samochodami przewieziono nas do Engelsa. Miasto leży na lewym brzegu Wołgi naprzeciw Saratowa. W Engelsie czas upływał w oczekiwaniu na zwożenie ludzi z różnych okolic i kompletowaniu składu transportu. Daty załadunku co kilka dni przesuwaliśmy się.

Wreszcie podstawiono wagony, powołano kierownika transportu i jego zastępców. Komendantem został Żyd. Później okazało się, że to nie brak wagonów był przyczyną kilkunastodniowego oczekiwania na transport, a zwożenie ludzi, przeważnie Żydów z najodleglejszych stron. Doliczono się, że w transporcie było około 300 Polaków i ponad 1000 Żydów. Od początku wyczuwaliśmy, że komendant i jego zastępcy nie byli obiektywni w stosunku do nas. Do wagonów załadowali się pierwsi, wybierając lepsze, mniej zdezelowane. Apropozycja odbywała się według list grupowych, na których też byli pierwsi. Toteż nieraz dla nas czegoś zabrakło.

Po paru dniach załadunku wreszcie transport został skompletowany. Zdecydowano, że przed podróżą wszyscy powinni być wykąpani. Po kąpieli uważaliśmy, że lokomotywa wreszcie szarpnie wagony i pojedziemy, ale niestety. Podczas przeglądu higienicznego okazało się, że u kogoś znaleźli wszy. Po takim nieprzyjemnym odkryciu z powrotem wszyscy musieli poddać się kąpieli.

Przed wieczorem pociąg ruszył, mostem przez Wołgę dojechaliśmy do Saratowa. Podczas tej krótkiej podróży zauważyliśmy, że nasz wagon jest tak mocno zniszczony, że górą kołysz się na boki po kilkanaście

centymetrów. Jednakże byliśmy szczęśliwi, że wiezie nas do domu. Pociąg nie jechał zbyt szybko, gdyż podstawowym paliwem lokomotywy było drewno. W sytuacji zaś, gdy zapas opału się kończył, transport zatrzymywał się w lesie i kto mógł szedł pomagać w gromadzeniu opału. Przynieśliśmy też do wagonu parę żerdzi, którymi popodpieraliśmy po przekątnej wagon, co znacznie poprawiło nasze samopoczucie podczas jazdy. Był już maj i słońce przygrzewało coraz mocniej, dlatego drzwi po lewej stronie wagonu prawie przez cały dzień były otwarte, by można było podziwiać okolicę.

Wjechaliśmy wreszcie na tereny okupowane dawniej przez Niemców. Nie widząc frontu można było się przekonać, jak ogromnych zniszczeń dokonała wojna i to wszędzie, tak w miastach, jak i na wsiach. W tym przygnębiającym krajobrazie pociesającym widokiem było to, że po obu stronach torów przechodzących przez lasy i zagajniki leżały cielska lokomotyw i wagonów transportów niemieckich, wysadzanych przez partyzantów radzieckich.

Zdarzały się przypadki, że podczas postoju ktoś nie zdążył powrócić przed wyruszeniem transportu. Przed Kijowem mnie i kilku kolegom też się to przytrafiło. Zagapiliśmy się na bazarze i gdy usłyszeliśmy gwizd lokomotywy, byliśmy za daleko, aby zdążyć i pociąg odjechał. Jednak służby kolejowe pomagały bardzo i już tego samego dnia wieczorem byliśmy wśród swoich.

Pod koniec maja wjechaliśmy na ziemię polskie. Tu nastąpiła zmiana sytuacji. Z uwagi na przeważającą w transporcie liczbę ludzi narodowości żydowskiej przywitanie nie było sympatyczne. Zdarzały się przypadki, że wagony były obrzucane kamieniami.

Po paru dniach dotarliśmy do Wrocławia-Psiego Pola i tu znów przykre zaskoczenie. Do wagonów podjeżdżały samochody i zgodnie z kolejnością list zabierali najpierw ludzi narodowości żydowskiej. Porozwożono ich do wcześniej przygotowanych poniemieckich kwater i domów. Natomiast nas rozlokowano po szkołach i innych lokalach i kazano szukać domów lub gospodarstw rolnych na własną rękę.

W końcu, po dwóch tygodniach oczekiwania, Państwowy Urząd Repatriacyjny przeniósł nas do Konina, gdzie na wiosnę 1947 r. przydzielono nam gospodarstwo poniemieckie. Grunty marne, piaszczyste, a dom to właściwie jak lepianka, ale po takich przejściach był dla nas luksusem.

Najważniejsze, że skończyła się nasza tułaczka...

NAUCZYCIELE NA KRESACH WSCHODNICH

TADEUSZ WANTUCH

Na dawnych Kresach Rzeczypospolitej pracowali ci, których przodkowie zamieszkiwali tam od wieków oraz osoby, które były oddelegowane na stanowiska i wykonywały powierzoną im pracę. Byli to m.in. sędziowie, nauczyciele, urzędnicy i oficerowie Wojska Polskiego. Przyjeżdżali ze swymi rodzinami, a ich dzieci stawiały tu swoje pierwsze kroki, na zawsze zapamiętując niezwykle piękno krajobrazu lat dziecińczych, do których często wracali, wspominając swoje młode lata.



Tadeusz WANTUCH urodził się 10 lipca 1913 roku w Tuchowie koło Tarnowa – był synem Leona i Walerii Pater. Jego ojciec – Leon Wantuch był żołnierzem armii gen. Hallera. Dzieciństwo i młode lata spędził Tadeusz w domu rodzinnym na Przedmieściu Górnym w Tuchowie – ich rodzina zamieszkiwała pod numerem 340; tutaj też wychowywał się z czworgiem swego rodzeństwa.

Edukację rozpoczął Tadeusz w szkole ludowej w Tuchowie w 1919 roku, a potem kontynuował ją w Szkole Powszechnej im. K. Brodzińskiego w Tarnowie. Następnie uczęszczał do miejscowego gimnazjum,

które zakończył egzaminem dojrzałości w 1928 r. Wtedy też postanowił kształcić się dalej, zdał egzamin wstępny i został przyjęty do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. Jędrzeja Śniadeckiego w Tarnowie (założonego w 1897 r.).

Do seminarium uczęszczał przez pięć lat i zakończył naukę otrzymując Dyplom na Nauczyciela Szkół Powszechnych wydany w dniu 14 czerwca 1933 roku, który uprawniał do nauczania w publicznych i prywatnych szkołach powszechnych. Tu należy dodać, że tarnowskie seminarium było uczelnią na wysokim poziomie i wzorowało się na najlepszych uniwersytetach Krakowa i Lwowa. Dodatkowo Tadeusz Wantuch uczęszczał na kurs ogrodnictwa, który ukończył w dniu 5 maja 1931 roku, co potwierdza dokument wydany przez Towarzystwo Ogrodnicze w Tarnowie.

Wkrótce w jego życiu prywatnym także zaszły zmiany, w dniu 9 maja 1934 roku Tadeusz Wantuch ożenił się z Barbarą du Laurans z majątku Kozłów w Bistuszowej koło Tuchowa – tutaj razem zamieszkali.

24 marca 1935 roku na świat przychodzi ich pierwsze dziecko – syn Wiesław, a rok później rodzi się ich córka – Halina.

W 1937 roku Tadeusz Wantuch już jako dyplomowany nauczyciel otrzymał posadę kierownika szkoły na Wołyniu w powiecie krzemienieckim. Tam wyjechał, aby rozpocząć nauczanie w kilku małych wioskach: Kołosowa, Przemorówka i Szpikołosy, zaś do Krzemieńca jeździł na konferencje.

Na Wołyniu Tadeusz Wantuch nauczał dzieci nie tylko polskie, ale także z rodzin ukraińskich. Potem do swego męża Tadeusza przyjechała żona Barbara du Laurans Wantuchowa z dwójką małych dzieci. W Krzemieńcu przeżyli spokojne lata i tutaj w 1939 r. na świat przyszła ich kolejna córka – Barbara.

Ojciec i dziadkowie zawsze bardzo ciepło i serdecznie wspominali ten okres swego życia, spędzony na ziemi krzemienieckiej, aż do wybuchu wojny. Pięknie



Tadeusz Wantuch ze swymi uczniami w Krzemieńcu pod figurą Matki Bożej Raszewskiej (zburzonej w latach 70. XX w.). W tle zamek i Góra Bony

położony Krzemieniec, z górującymi nad miastem ruinami zamku na szczycie Góry Bony, robił niezwykle wrażenie na wszystkich, którzy tu przyjeżdżali.

To urokliwe miasto znane było też ze słynnego Liceum Krzemienieckiego, nazywanego Atenami Wołyńskimi. Liceum założył tu w 1805 r. Tadeusz Czacki – było wspaniale wyposażone, z bogatym księgozbiorem pochodzącym z biblioteki króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Po Powstaniu Listopadowym w 1831 roku słynne liceum zostało zamknięte przez władze carskie, a reaktywowane dopiero dekretem naczelnika J. Piłsudskiego z 1920 r. Dodam, że z uwagi na wysoki poziom kształcenia ziemianie posyłali tu na naukę swe dzieci.

Jak wiadomo Krzemieniec znany jest także jako miejsce narodzin poety Juliusza Słowackiego, gdzie zachował się jego dworek rodzinny, co oczywiście przyciągało tu od dawna wielu turystów i letników. Przybywali w te okolice, aby wypocząć w ciszy i spokoju, a ciekawe położenie oraz urokliwa, stara zabudowa miasteczka tworzyły niezwykle klimat, rzadko spotykany w innych miejscowościach. Wszystko to dodatkowo było wzbogacone ciekawą mieszanką wyznawców różnych religii i różnej narodowości: Polaków, Rusinów, Żydów i Czechów – na tym terenie wszystkie te nacje zgodnie współżyły ze sobą, tworząc

swoisty tygiel narodowości i wspaniały klimat kresowych miasteczek. Tak było aż do wybuchu II wojny światowej, która wszystko zmieniała...

Mój ojciec wspominał, że mieszkali w wiosce pod Krzemieńcem, gdzie na dwadzieścia domów tylko cztery były zamieszkałe przez rodziny polskie, a resztę zamieszkiwały rodziny ukraińskie. Byli to dobrzy, serdeczni ludzie, a gdy któryś z miejscowych gospodarzy dokonał świnobicia, to zawsze dzielili się i częstowali nauczycieli. Ojciec zapamiętał także wspaniałe ukraińskie wesele, którego był świadkiem, zaś z kresowych specjalistów – niezwykle smak kiszonych ogórków z miodem. Zapamiętał również swojego kolegę z dzieciństwa, z którym się bawił – był to Misza Krasnomowiec. Jego ojciec był właścicielem miejscowego młyna, ale po wkroczeniu Sowietów nie wiadomo co się z nimi stało...

Wiem także z przekazów, iż dziadkowie zaprzyjaźnili się bardzo z rodziną Tkaczyńskich – byli to aptekarze z Krzemieńca i często odwiedzali moich dziadków. Razem chodzili na górę zamkową i pod dworek Słowackiego. Im też udało się szczęśliwie opuścić Wołyń, a po wojnie osiedli w Opocznie, gdzie mój dziadek, Tadeusz Wantuch, ich odwiedził.

W dniu 1 września 1939 roku wybuchła wojna – Niemcy napadli na Polskę, a 17 września armia so-



Na zdjęciu z prawej strony stoi Tadeusz Wantuch, obok pop prawosławny ze swą rodziną. Szkoła w Przemorówce koło Krzemieńca 15.04.1938 r.

wiecka dokonała agresji zajmując wschodnie tereny II Rzeczypospolitej, także Wołyń. Sytuacja wówczas bardzo się pogorszyła, pojawiła się bieda i głód. Ojciec wspominał, że Sowieci zaczęli swe rządy od tego, iż zajęli miejscowy dwór, wypędzili stamtąd dziedzica i jego rodzinę, zaś do dworu zwołali mieszkańców wsi – w izbie częstowali wszystkich zebranych z jednej michy chlebem ze słoniną ogłaszając, że teraz wszystko będzie już wspólne...

Tadeusz Wantuch musiał teraz pracować jako nauczyciel pod okupacją sowiecką, a potem niemiecką. Doszło do tego, że zamienił swoje skrzypce za kawałek słoniny.

Pod okupacją sowiecką rodzina z trudem wegetowała przez kilka lat, a w połowie 1942 roku niemal cudem opuścili Wołyń, przed zagrożeniem ze strony nacjonalistów ukraińskich. Dziadkowie w pośpiechu opuszczali dom na Kresach, w którym pozostawili całe wyposażenie, w tym piękne antyki – stare meble, które przywieźli ze sobą z dworku w Kozłowie. Zabrali tylko to, co udało im się zmieścić w walizce: trochę ubrań, jedzenie na drogę i kilka pamiątkowych fotografii zrobionych na Wołyniu. Jedną z pamiątek jest stary, drewniany wieszak od garnituru, który kupił dziadek wraz z ubraniem, w sklepie przy ulicy Szerokiej z firmy: *Poznański sklep odzieży – Hieronim Janas – Krzemieniec – Szeroka 53*.

Według relacji mego ojca, tak wyglądał ich wyjazd z Wołynia:

Po kilku latach życia w warunkach sowieckiego terroru i mordów dokonywanych w czerwcu 1942 roku przez ukraińskich nacjonalistów z UPA i OUN, pewnej nocy uprzedzeni zostali o niebezpieczeństwie przez sąsiada Ukraińca. Pomógł im wyjechać i furmanką zawiózł do Równego na stację kolejową. Wtedy niemal cudem w ostatniej chwili uszli z życiem. Na stacji w Równem dzięki pomocy niemieckiego żołnierza, który dowodził wojskowym transportem kolejowym wracającym z frontu, zdołali wsiąść do tzw. budki hamulcowej znajdującej się na końcu wagonu. W ten sposób dojechali do Lwowa na dworzec główny. Jednak wtedy działy się tam dantejskie sceny – hitlerowcy okrutnie bili ludzi, a kobiety i dzieci przeraźliwie krzyczały. W tych dramatycznych okolicznościach na młode małżeństwo z trojgiem małych dzieci zwrócił uwagę niemiecki oficer, który zaczął wypytywać Tadeusza Wantucha, kim są, jak się tu znaleźli i dokąd jadą. Przede wszystkim pytał, co mu się stało w szyję, że jest tak przekrzywiony. Odpowiedział, że zrobił mu się na

karku czyrak. Wówczas oficer niemiecki nakazał swoim żołnierzom, żeby pilnowali jego żony Barbary i dzieci, aby im się żadna krzywda tu nie stała. Sam zaś zaprowadził Tadeusza Wantucha do punktu sanitarnego na dworcu, by lekarz usunął mu i wyczyścił narośl.

Po opatrzeniu przez lekarza oficer powrócił z Tadeuszem Wantuchem na peron i wtedy powiedział, że on także zostawił w domu żonę z trojgiem małych dzieci. Swoim żołnierzom nakazał, żeby jak tylko pociąg wjedzie na peron – weszli do wagonu i zajęli dla całej rodziny miejsce w przedziale. Potem pożegnał się i poszedł...

Dzięki temu udało im się wsiąść do pociągu i po wielu perypetiach dojechali ze Lwowa do Tarnowa, a stamtąd dotarli do Tuchowa i potem do Bistuszowej.

Ucieczka z Wołynia najpewniej uratowała Tadeusza Wantucha i jego rodzinę przed śmiercią z rąk ukraińskich nacjonalistów lub uchroniła przed zesłaniem w głąb ZSRR całej rodziny, co niestety często kończyło się tragicznie...

Ten opis ukazuje niezwykle postawy zwykłych ludzi, którzy w obliczu wszechogarniającej wrogości do innych potrafili zachować się bohatersko i sprawiedliwie. W warunkach wojennych wobec osób z obozu „wroga” była to postawa raczej rzadka i heroiczna.

Rodzina moich dziadków powróciła do swego domu w Bistuszowej. Byli o tyle w szczęśliwym położeniu, że mieli dokąd i do czego wracać. Ogromna większość uciekinierów z Kresów Wschodnich musiał zaczynać wszystko od nowa po wojnie.

Jednak w Generalnej Guberni pod okupacją niemiecką nie było lepiej i równie niebezpiecznie. W 1944 roku zostaje zamordowany przez tarnowskie gestapo Kazimierz Wantuch, żołnierz AK batalionu „Barbara”, którego wojna także zastała na Kresach, gdyż pracował w restauracji w Złoczowie pod Lwowem i potem stamtąd uciekł...

W Tuchowie pod okupacją niemiecką Tadeusz Wantuch musiał przymusowo pracować przy budowie okopów i początkowo nie mógł wykonywać zawodu nauczyciela. Według relacji świadka, do którego dotarłem, dziadek miał prowadzić tajne nauczanie w 1943 roku w Szkole Powszechnej w Brzozowej koło Gromnika. Uczył przedmiotów zakazanych przez okupanta, czyli języka polskiego, historii i geografii.

Po kilku latach doświadczania sowieckiej okupacji na Kresach Tadeusz Wantuch nie miał żadnych złudzeń, jaki los spotka Polskę, jeśli dostaniemy się w



Tadeusz Wantuch i syn Wiesiek. Krzemieniec ul. Szeroka, 1939 r.

strefę radzieckich wpływów, co później niestety się potwierdziło...

Po wojnie w 1945 roku nauczył już oficjalnie w Brzozowej koło Gromnika, a od 1946 roku Tadeusz Wantuch uczył i kierował szkołą w Zabłędzy koło Tuchowa przez okres 6 miesięcy. W tym czasie bardzo dobrze zapisał się w historii tej szkoły.

W tymże 1946 roku Tadeusz Wantuch został nauczycielem i kierownikiem Szkoły Powszechnej na Wołowej koło Tuchowa, która mieściła się jeszcze w starym, drewnianym budynku. Jako kierownik tej szkoły zabiegał o budowę nowego gmachu, aby dzieci mogły uczyć się w lepszych warunkach. Udało się to dopiero w roku 1964, kiedy to wybudowano nowy budynek szkoły. Ostatecznie jej budowę ukończono dwa lata później i otwarto jako tzw. „tysiąclatkę” (w ramach akcji „Tysiąc szkół na tysiąclecie” – *przyp. red.*).

Na początku lat siedemdziesiątych Tadeusz Wantuch podjął próbę nawiązania kontaktów ze szkołami z Wołynia na terenie ówczesnego ZSRR, w których uczył jeszcze przed wojną. Odezwał się jeden z tamtejszych nauczycieli, pisząc list piękną polszczyzną. Jak się okazało, był jego uczniem do 1939 roku, lecz gdy padła ze strony Tadeusza Wantucha propozycja odwiedzin i ewentualnej wymiany uczniów, to kontakt niestety się urwał. Uczeń dziadka zdążył jeszcze napisać, że u nich jest teraz niebezpiecznie...

Po wojnie Tadeusz Wantuch starał się również o odnowienie zabytkowego dworku na Kozłowie w Bistuszowej, który był własnością po przodkach jego żony Barbary du Laurans. Jednak ówczesne władze nie zgadzały się na to, zabraniając jakichkolwiek remontów i nie wyraziły też zgody na doprowadzenie do dworu elektryczności. Właściciele musieli jednak płacić kary skarbowe za to, że dwór jeszcze stoi, co w konsekwencji doprowadziło do jego rozbiórki w 1969 roku.

Dzięki staraniom Tadeusza Wantucha w kurii biskupiej w Tarnowie udało się w 1975 r. przepisać obszar Bistuszowej-Kozłowa z ryglickiej parafii do kościoła Najświętszej Maryi Panny w Tuchowie. Tu parafianie mieli znacznie bliżej.

Moi dziadkowie Tadeusz i Barbara Wantuchowie mieli trzynaścioro dzieci, które rozjechały się po całej Polsce od Tuchowa – aż po Gdańsk i Szczecin...

Tadeusz Wantuch nauczał w szkole na Wołowej jeszcze do lat 70. XX w. i jako długoletni nauczyciel był wychowawcą kilku pokoleń uczniów.



Zdjęcie z przedwojennego Krzemieńca. Z lewej strony: Tadeusz Wantuch.
Na odwrocie napis: „Koledze z czasów krzemienieckich – W. Rudnicki”

W 1973 roku przeszedł na emeryturę, do której władze komunistyczne nie zaliczyły mu okresu nauczania przed wojną na Kresach.

Osoby, które znały prywatnie mojego dziadka Tadeusza Wantucha, zapamiętały go jako człowieka z dużą klasą, eleganckiego, z przedwojennymi manierami, o pogodnym usposobieniu, wesołego i z dużym poczuciem humoru.

Dziadek w latach 80. XX w. podupadł znacznie na zdrowiu. Z powodu ciężkiej choroby był przykuty do łóżka i wówczas razem z babcią przeprowadził się do Tuchowa. Tutaj Tadeusz Wantuch zmarł w dniu 27 maja 1984 roku. Jego żona, Barbara du Laurans Wantuchowa, również zmarła w Tuchowie, w dniu 13 października 1993 roku. Oboje spoczywają na tuchowskim cmentarzu.

Tomasz WANTUCH

Powyższy tekst poświęcam pamięci mego Ojca w trzecią rocznicę jego śmierci. Ojciec bardzo pragnął jeszcze raz odwiedzić Kresy...

MOJA SŁUŻBA WOJSKOWA

Żołnierskie wspomnienia

Już na terytorium Polski najpierw trafiliśmy do 8. zapasowego pułku artyleryjskiego, który bazował pod Rzeszowem. Tu młodzi „nieostrzelani” żołnierze zapoznawali się z „bogiem wojny” – artylerią wszystkich kalibrów, wyrabiali pierwsze nawyki strzelania z armat. Stąd „kupcy” z całego I Frontu Ukraińskiego brali „żywy towar” dla uzupełnienia swoich pułków i dywizji artyleryjskich. Tu wojenne uzupełnienie pracowało błyskawicznie i już w piątym dniu byłem zakwalifikowany jako celowniczy działa do 563. artyleryjskiego pułku pościgowo-przeciwczołgowego rezerwy Dowództwa Naczelnego. Pułk ten przykrywał swoimi lufami dywizję piechoty na małym wiślańskim terenie działań bojowych i we wrześniu 1944 roku został dosłownie zmieciony wraz z piechotą do rzeki Wisły przez niemiecką armię czołgów. Ale ponieważ na przeciwnym brzegu pozostała technika samochodowa, sztab ze sztandarem i część uratowanych artylerzystów, zdecydowano, by odrodzić zdolność bojową pułku. Dlatego przyjechali „kupcy” po „siłę żywą”, a po drodze załadowali też nową technikę, niedawno przybyłą z dalekiego Uralu. Tą techniką były 76-milimetrowe działa (ZIS-5) wzorca 1942 roku, o zasięgu lotu pocisku 20 km i o ciężarze jedna tona, jeden cetnar i jeden pud (1116 kg).

Po przybyciu do Stalowej Woli, 20 km od Wisły, gdzie stał sztab pułku, jeszcze kilka tygodni praktykowaliśmy strzelanie z dział do ruchomych tarcz strzelniczych. A pewnej dżdżystej nocy zostaliśmy przerzuceni



Wrocław po wyzwoleniu

po moście pontonowym do Sandomierza i dalej na przyczółek sandomierski.

Brak słów, by opisać całą grozę i strach, gdy bardzo długa kolumna samochodów, z nadwoziami pełnymi skrzynek z nabojami, z działami na przyczepach, znalazła się na środku mostu pontonowego, po którym Niemcy rozpoczęli wściekły ostrzał. Zupełna ciemność, pod nogami most kołysze się pod ciężarem techniki, wszyscy gotowi jesteśmy skakać do wody w razie trafienia pocisku w ponton. Kolumna jedzie powoli, po omacku, po centymetrze, na nadkolach „studebeków” leżą żołnierze i przekazują komendy kierowcom: „w lewo”, „w prawo”. Dlaczego w kolumnie stanął samochód – nikt nie zamierza wyjaśniać, po prostu zrzucają go do wody zgromadzeni wokół żołnierze, by dać przejazd pozostałej kolumnie. Wszystkich przyciąga zbliżający się brzeg, twardy grunt pod nogami; liczni po prostu całują ziemię, swoją zbawicielkę, wstępując na nią. Tej grozy i strachu nie można w pełni opisać, trzeba to przeżyć, drżąc wszystkimi komórkami swego ciała.

Mówią, że na tamtym świecie jest straszny sąd. A mnie wydaje się, że jest on i na tym świecie, w podobnej sytuacji. Na tamten straszny sąd trafiają głównie sami grzesznicy, a na ten – wszyscy pod rząd, nawet niewinne dziecko bądź czysta dusza.

Gdy wyjechaliśmy na ląd, kierowcom puszczały nerwy. Na wzniesieniu przy twierdzy sandomierskiej cichną silniki dwóch samochodów. Zakłopotani kierowcy w żaden sposób nie mogą ruszyć z miejsca. Po włączeniu pierwszego biegu samochody same zjeżdżają do tyłu, działa stają w poprzek drogi, a od dołu podchodzą wciąż nowe i nowe pojazdy. Krzyki, łajanie, oficerowie jeden drugiemu pokazują lufy pistoletów, wszyscy się śpieszą, by opuścić miasto póki ciemno, bo rano będzie źle. Wszystko załatwiło się samo, szybko i prozaicznie, gdy doświadczeni kierowcy wyjechali swoimi samochodami na równe miejsce i pośpieszyli na pomoc zagubionym kolegom. Włączyli pierwszy bieg i przy pomocy kilku dziesiątek żołnierskich rąk samochody pomyślnie minęły stromiznę. Zaś rankiem żołnierze już rozładowywali komplety ładunków na linii ogniowej. A działonowi okopywali i maskowali swoje działa.

Tak dokładnie opisałem ten epizod, by pokazać, jakich sił i nerwów kosztował pobyt na froncie, nawet nie podczas boju. A co dopiero można powiedzieć, gdy na ciebie jedzie ciężki czołg albo bombardują dziesiątki samolotów, albo niemiecki sześciolufowy miotacz min, przezywany „iszakiem” (osłem), czeka w twoją stronę...

Skąd bierze się taka pogarda dla byłych frontowców ze strony licznych odszczepieńców, którzy poniżają honor i godność żołnierzy? Czyżby była potrzebna nowa wojna, by i oni poznali, czym ona pachnie? Ale odstąpiłem od opowiadania.

Prawie trzy miesiące nasze wojska stały w obronie na przyczółku sandomierskim, gromadząc technikę i amunicję. Dopiero 12 stycznia 1945 roku prawe skrzydło, a 14 stycznia lewe skrzydło I Frontu Ukraińskiego, pod dowództwem marszałka Związku Radzieckiego Iwana Stiepanowicza Koniewa, rozpoczęło natarcie. Przerwawszy obronę niemieckich wojsk nasza armia gwałtownie ruszyła naprzód, wyzwalała miasta i wsie Polski. Kielce, Kraków, Łódź, Opole i w końcu Wrocław – to niepełny wykaz miast wojewódzkich, które trzeba było wyzwalać.

Szczególnie twardym okazał się orzech „Festung Breslau”. To nie była wtedy Polska, lecz południowa część Niemiec – Dolny Śląsk. 12 lutego 1945 roku brałem udział w zamykaniu pierścienia wokół Breslau. Rozpoczął się prawie trzymiesięczny szturm tego miasta. Zostało tu okrążonych około 100 tysięcy niemieckich żołnierzy i oficerów. Wszystkie domy z piwnicznymi pomieszczeniami przekształcono w gniazda ogniowe, a zdobyć taki dom było praktycznie niemożliwe. Tylko zniszczywszy go pociskami lub poderwawszy fugasem można było zawładnąć kupą gruzu i rozbitych cegieł. Mieliśmy ogromne straty w ludziach i technice, a postawionego zadania nie mogliśmy wykonać do końca wojny. 2 maja 1945 roku został już zdobyty Berlin, a my wciąż prowadziliśmy boje, można rzec, w tyle, 300 km od Berlina.



Centrum Wrocławia w gruzach. 1945 r.



Ruiny Wrocławia. 1945 r.

Dopiero 6 maja 1945 roku, widząc beznadziejność oporu, okrążony garnizon miasta skapitulował. I w tym samym dniu, 6 maja 1945 roku, w kilka godzin do zawieszenia broni, wykonując rozkaz dowódcy, by znaleźć nowe stanowisko ogniowe dla dział, wpadłem na minę, która falą wybuchu podniosła mnie w powietrze i rzuciła na ziemię bez obydwu nóg. Nogi w butach pozostały na wojnie.

Do wieczora mój działon, podobnie jak cała trzecia bateria i cały pułk, wszedł do miasta. Dla nich wojna już się zakończyła, oni świętowali, jeżeli jeszcze nie zwycięstwo, to przynajmniej koniec ciężkiej pracy, po której należy się odpoczynek. Nie było wśród nich tylko mnie. A po dwóch dniach cała Armia Radziecka, cały naród radziecki, jak i liczne inne narody, które wyzwalałyśmy, świętowały dzień długo oczekiwanego Zwycięstwa.

Ja w tym czasie rzucałem się w nieprzytomnym stanie na granicy śmierci, spływawszy krwią, wciąż jeszcze nie wierząc, że oprzytomniałem w najstraszniejszym położeniu, którego bali się wszyscy frontowcy. Według niepisanych praw frontowych były trzy stany, dokładnie trzy rodzaje ran, o których nie chciało się nawet mówić, a tym bardziej żyć z nimi: pozostać bez obu rąk, nóg i oczu. Ciężka rana na głowie lub brzuchu liczyła się i tak jako śmiertelne. Bez rąk i nóg, jeśli nie było gangreny, ludzie, w większości przypadków, przeżywali. Ale kogo cieszyło takie nędzne życie? Być darmozjadem w rodzinie, w każdej chwili odczuwać swoją niedołążność, „niepełnocenność”? Męczyć siebie i swoich bliskich? Większość zdecydowanych i silnych chłopców wołała śmierć niż takie życie. I ja nie byłem wyjątkiem.

Jeszcze na miejscu zranienia, uświadomiwszy sobie swoje tragiczne położenie, odważam się na ostatni krok. Z trudem wydostaję spod szynelu malutki zdo-



Niemiecy parlamentariusze udają się na rozmowy z dowództwem radzieckim w celu poddania Wrocławia, 6 maja 1945

byczny pistolet, z takim samym trudem wkładałam nabój do lufy, jeszcze sekunda i wszystko się skończy. Ale w tym czasie przebiegający obok łącznościowiec wybija mi z ręki pistolet, on pada blisko, ale podnieść go już nie mam siły. Spływam krwią, spod kolan biją dwie fontanny, barwiąc majową trawę. Słoneczny poranek przekształcił się w pochmurny wieczór. Usłyszawszy ogromnej siły wybuch, do mnie przybiegli wszyscy chłopcy z oddziału. Rozciąwszy spodnie zaczęli zakładać uciski. Bandaże z indywidualnych opatrunków skręcali w powrósło, okręcali kilka razy nogę i, wyciągając łyżkę spod ochraniacza, skręcali nią węzeł tak długo, póki krew nie przestała się sączyć. Taką manipulację zrobili na obydwu nogach.

A w tym czasie dowódca plutonu starszy lejtnant Kudriawcew dał rozkaz podjechać samochodem, który ciągnął nasze działko; położyli mnie w skrzynię i na najwyższej szybkości powieźli do szpitala. Pamiętam jeszcze jego słowa, jak mówił towarzyszącym mi chłopcom: „nie jedźcie do pułkowego punktu medycznego, wieście go od razu do szpitala armijnego, tylko tam mogą ocalić mu życie”.

Tak nieoczekiwanie i tragicznie rozdzielił mnie los z przyjaciółmi-frontowcami. Nawet nie zdążyłem zapamiętać lub zapisać ich adresów. Dzień świętego Je-



Polscy i radzieccy żołnierze na ulicach Wrocławia. 1945 r.

rzeżo okazał się dla mnie dniem najbardziej mrocznym i nieszczęśliwym.

Początek szpitalnego życia

Znajdując się w szoku z powodu dużej utraty krwi, nie odczuwałem zbytniego bólu, tylko wydawało się, że do butów wlała się ciepła woda i nogi są bardzo mokre. Gdy mnie przywieźli do szpitala i otworzyli burty samochodu, zdążyłem jeszcze zobaczyć sznur wózków z rannymi żołnierzami, oczekującymi w kolejności na przegląd lekarski. Natomiast towarzyszącymi, nie zwlekając, położyli mnie na brezent czy koc i nie zwracając uwagi na protesty innych rannych, ponieśli prosto do oddziału chirurgicznego. Gdy położyli na stół, zapamiętałem jeszcze, że pod sufitem paliła się żarówka, ale dlaczegoś bardzo mała, nie większa niż owoc wiśni, ostatecznie śliwy. Co było dalej – nie pamiętam.

Obudziłem się na innym wąskim stole pod oknem i gwałtownie usiadłem. To co zobaczyłem rozwścieczyło mnie. Zamiast nóg na stole leżały dwie białe duże kukły i przy jednej mężczyźni w białych fartuchach zawiązywali ostatnie węzły. Zacząłem płakać, krzyczeć, rzucać w nich leżące obok mnie nożyce i noże, przeklinając ich ostatnimi słowami: „*Swołocze, ludorezy, konowaty, co zrobiliście ze mną, po co odcięliście nogi, dlaczego nie zostawiliście choć jednej, jak ja teraz będę żył na białym świecie?*” Od tyłu podskoczyli do mnie dwaj potężni mężczyźni, powalili na stół, rzemieniami związali ręce, a nogi i tak pozostawały nieposłuszne.

Po takim stresie duchowym może usnąłem, a może straciłem przytomność. Zbudziłem się już w sąsiednim pokoju na łóżku, ze związanymi rękami i nogami. Przy mnie siedziała pielęgniarka lub lekarka, trzymając igłę od strzykawki w żyłę ręki. Do igły szła cienka rurka z dużego szklanego słoika, stojącego do góry dnem na wysokim trójnogu. Jak później powiedziała mi pielęgniarka, w tym słoiku znajdowała się ciecz Pietrowa – zastępująca krew. Utratę mojej krwi uzupełniano tą cieczą.

Jak długo ja tu przeleżałem – nie pamiętam, lecz nie mniej niż dwa-trzy dni. Zapamiętałem pierwszy opatrunek, który robili na drugi dzień. Był straszny ból. W ciągu doby bandaże, przesiąknięte krwią, przyschły do ran, należałoby je czymś ciepłym rozmoczyć, ale niańczyć się z tym tu nie chciano. Na noszach przeniesiono mnie do gabinetu opatrunkowego, położono na stół, dwaj mężczyźni trzymali za ręce i głowę, a lekarz oddzierał przyklejone i wyschnięte bandaże. Z powodu piekielnego bólu ja nie tyle krzyczałem, co

wrzeszczałem jak zwierzę. Wydawało się, że wraz z bandażami wyrywają ze mnie kawałki ciała. Jeśli wczoraj operację robiono pod narkozą, to dziś opatrunek – na sucho. Nie było w tym czasie zapewne dość środków uśmierzających i ranni cierpieli straszne bóle.

Po kilku dni byłem już w szpitalu miasteczka Leśnica, które znajduje się 15 km od centrum Wrocławia. Zapamiętałem trzypiętrowy budynek, którego ściany z frontowej strony były pokryte dziką winoroślą czy jakimiś lianami. Zakwaterowano mnie na parterze, a w sali leżało nas 20 osób. Większość rannych stanowili ludzie średniego wieku. Rany były różne, a takie jak ja, nawet gorsze, miał jeszcze jeden Uzbek. On jakimś sposobem wpadł pod pociąg, długo leżał bez pomocy, w rezultacie powstała gangrena. Obie nogi amputowano mu w całości; podobny był do kaczana, tylko z rękami. Och, jak on krzyczał, biedny, gdy budził się po kolejnej porcji morfiny i środka nasennego! Wszyscy byliśmy w ciężkim stanie, wszystkich męczyły straszne bóle, ale hamowaliśmy się, jak mogliśmy. Z każdym dniem rany po trochu zabliźniały się, ból zmniejszał

się, i każdy myślał o sobie, o swoim miejscu w dalszym życiu. Starsi na głos rozmyślali, co potrafią robić bez nogi lub bez ręki w domu, w gospodarstwie, bo poprzednia praca już nie dla nich. Jakie plany ja mogłem budować, nie mając prawdziwej specjalności i własnej rodziny? Być darmozjadem w wielkiej rodzinie? Albo siedzieć na targowisku i prosić o jałmużnę? Nie, nie, takie życie nie dla mnie, nie dla mojego charakteru. Lepiej już śmierć niż takie życie. W mózgu wierciła się jedna myśl, jak odejść z takiego życia, by nie męczyć się samemu i nie męczyć innych wokół siebie. I przypadek nadarzył się niespodziewanie.

Wszyscy dobrze wiedzą, że w czasie snu człowiek nie czuje bólu, więc na noc wszystkim chorym siostra proponowała po tabletce środka nasennego. Otrzymywałem taką tabletkę i ja, ale dla mnie jednej było mało, a siostra nie chciała dać jeszcze jednej, tłumacząc, że będzie to niebezpieczne dla zdrowia. Słyszając takie odpowiedzi, liczni chorzy rezygnowali z tabletek. Zacząłem prosić tych chorych, by brali tabletki i oddawali mnie. „Wy przecież widzicie, że ja nocami nie śpię z bólu,



Cmentarz żołnierzy radzieckich w Sandomierzu

że jedna tabletka nic dla mnie nie znaczy". Na następny wieczór wszyscy zadeklarowali chęć polepszenia snu za pomocą tego środka. Mając 12 tabletek przełknąłem je wszystkie naraz i... straciłem rozum. Do tej pory 10 dni leżałem w jednej pozycji na plecach, przy tym na gumowym kręgu, bo plecy przekształciły się w jedną ranę, a teraz spadłem z łóżka na podłogę i zacząłem pełzać. Stojący na drodze stół, wraz z pozostawionymi po posiłku talerzami, przewróciłem. Hałas padającego stołu i rozbitych talerzy zaniepokoił personel medyczny. Do sali wpadły siostry, salowe, wezwano dyżurnego lekarza. Wszyscy byli zdumieni, że ten ciężko chory człowiek zaczął chuliganic, mówić wulgarne słowa, przejawiać agresywność. Piana z ust, próby wymiotów świadczyły o tym, że chory zjadł lub napił się czegoś zabronionego. Zaczęto pytać moich sąsiadów przy łóżku i jeden z nich przyznał się, że oddawał mi swoje tabletki na sen. Być może podwyższona porcja doprowadziła do takich skutków. Mnie szybko ewakuowano z sali do izolatki. Zaczęto intensywnie przeżywać żołądek, robić różne lewatywy.

Dwie doby byłem niepoczytalny, gadałem różne głupstwa, nie reagowałem na pytania i nie czułem bólu. Nie karmiono mnie, lecz tylko pojono herbatą i różnymi płynami. Podczas trzeciej doby zauważyłem, że bardzo opiekują się mną kobiety w białych fartuchach, a jedna stale siedzi w nogach na łóżku. Stopniowo odzyskiwałem świadomość, ale co było ze mną w poprzednich dniach – w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć. Dopiero wtedy, gdy lekarz zapytał, co właściwie ja wypilem kilka dni wcześniej, przypomniałem sobie o tabletkach i o tym, że w ten sposób chciałem odebrać sobie życie. Mocno zdenerwowawszy się, przez łzy powiedziałem mu, że nie widzę perspektywy w dalszym życiu, że mam w domu ośmioro braci i sióstr, młodszych ode mnie, i nie chcę być dla nich ciężarem. „*Nie trzeba było mnie ratować, ja i tak nie będę żył na tym świecie*". Zaczął mnie uspokajać, wymieniać różne specjalności, gdzie mogę wykorzystać swoje ręce i rozum. Ale ja rozumiałem jedno, że już przy tokarce do drewna lub metalu nie będę stał, a struga i fugownika nie zdołam pociągnąć. A o innych specjalnościach nie wiedziałem i o nich nie myślałem.



Pomnik wyzwolenia Wrocławia

W takich oto mękach, rozmyślaniach i przeżyciach upłynął maj – pierwsze tygodnie po zakończeniu wojny.

29 maja 1945 roku przewieziono mnie do szpitala w Legnicy. Byłem w nim tylko 10 dni, lecz zapamiętałem, bo tu mogłem już wstać na kolana i na kolanach obszedłem wszystkie sale, szukając swoich ziomków z obwodu winnickiego. Ale nie znalazłem. Pielęgniarką sali była Aida Agiszewa z Samarkandy Uzbeckiej SRR, weteran tego szpitala od dnia jego utworzenia w Taszkencie. Po śladach naszych kroczących wojsk przemieszczał się też szpital, przywracając zdrowie i siły rannych żołnierzy i oficerów, których duża część znowu wracała do walczącej armii. A ciężko rannych – bez rąk, nóg – kierowano w głębokie tyły, na Syberię, do Azji Środkowej, w celu doleczenia i powrotu do domu. Po każdej części tej kategorii rannych wypełniała miejscowe cmentarze. Umierali chłopcy nie tylko na wojnie, ale i po wojnie. Wycieńczenie, zarażenie krwi, niegojące się rany – było to przyczyną licznych przypadków śmierci we wszystkich szpitalach. Ten, w którym byłem, zapamiętałem jeszcze dlatego, że stąd, nawet podświadomie, zacząłem przygotowywać siebie do długiego i prawdziwego życia. Zniechęcenie i smutek przechodziły, a życie z każdym dniem brało górę.

Gdy na drugi dzień po przybyciu do szpitala położono mnie na stół przed oczami chirurga, on przede wszystkim poprosił, bym wyprostował nogi. Ale nogi w stawach kolanowych nie prostowały się, a dla mnie i tak było to wygodne, że są zgięte. W celu chronienia przed przypadkowym uderzeniem lub dotknięciem czegokolwiek swoje kikuty trzymałem pod sobą, zgięte w kolanach. Ale taki stan moich nóg nie podobał się chirurgowi. Powiedział, że jeżeli nie chcę lub nie mogę wyprostować nóg, to on zmuszony będzie podciąć pod kolanami ścięgna. Wtedy nogi wyprostują się, ale zginać się już nie będą, na całe życie pozostaną pałkami. I nawet, ubrawszy protezy, bez dwóch kul nie obejść się. A jeśli nogi będą się zginać w kolanach, można będzie chodzić z jedną laską. Zacząłem prosić chirurga, by nie podcinał ścięgien, a dał czas i stworzył możliwość, by popробować za pomocą masażu i wzmocnionego treningu przywrócić stan poprzedni.

Wróciwszy na łóżko zacząłem pracować nad stawami kolanowymi z taką intensywnością, że już po tygodniu wyginałem swoje kikuty na kilka centymetrów w drugą stronę kolana. Ale do otrzymania protez było jeszcze bardzo daleko. Właściwie ani ja, ani pracownicy medyczni ich nigdy nie widzieli, lecz tylko słyszeli, że

Niemcy robili takie urządzenia swoim inwalidom. Można było na nich nie tylko chodzić, ale i wykonywać proste prace. Żeby rozpocząć protezowanie, najpierw należało przygotować organy z urazem do zwiększonych nacisków. Trzeba było nie tylko zaleczyć rany, ale i schować je pod warstwę żywej skóry. A w tym celu należało znowu ciąć, podcinać, zaszywać, goić – znowu znosić nieprawdopodobne bóle i cierpienia. I nie pod naciskiem, lecz dobrowolnie szli ludzie na męki, na wielkie ryzyko. Wiele było wypadków, gdy serce nie wytrzymywało siły narkozy lub zwiększonej jej dozy. Ale chęć życia, pragnienie choć nieznacznie polepszyć swoją zdolność do pracy, być podobnym do normalnego człowieka, a nie gąsiora na dwóch kulach – brały górę. Ja, podwójnie beznogi, gdy zaczynałem pełzać – jak żaba, na tylnej części ciała, odpychając się rękami od podłogi – marzyłem o tym, by wstać choć na jedną nogę, nawet drewnianą, nawet z kulami. Nikt z chorych nie wiedział, jak w przyszłości będzie się odbywać protezowanie i jak te protezy wyglądają, ale skoro medycy poważnie zajmują się tymi problemami – była nadzieja.

Szpital w Legnicy był jak gdyby punktem przeładunkowym. Tu rannych sortowano według cech zewnętrznych. Chodzących, z lekkimi ranami, wysyłano do Związku Radzieckiego, a z ciężkimi ranami – rozdzielano po wielu szpitalach w licznych miastach Polski. Po 11 dniach mnie z grupą „dochodzących” załadowano do pociągu sanitarnego i ruszyliśmy w drogę na wschód. Wyjeżdżaliśmy z Dolnego Śląska, za który przelaliśmy morze krwi, zostawiając tu setki tysięcy mogił rodaków.

Miną lata, dziesięciolecia... Czy wspomną mieszkańcy tych ziem o nas, radzieckich wyzwoliciełach, którzy z takim trudem i z takimi ofiarami wywalczyli im wolność? Nie wiadomo...

Włodimir MIELNIK

Przekład fragmentu książki – Janusz Fuksa

Autor w dalszej części wspomnień opisuje swoją drogę wiodącą przez szpitale: w Częstochowie, Bratysławie, Miskolcu, Szegedzie. W listopadzie 1945 r. wrócił do ojczyzny, do szpitala w Charkowie. Tu w końcu roku otrzymał dawno oczekiwane protezy. Wypisawszy się ze szpitala wraz z towarzyszącym mu innym ozdrowieńcem ruszył pociągiem w daleką podróż. 12 stycznia 1946 r. 19-letni inwalida wojenny zjawił się w domu rodzinnym we wsi pod Szargorodem obwodu winnickiego...

MÓJ PIERWSZY GRÓB

Z Włodzimierzem Mielnikiem rozmawia Janusz Fuksa

– *Mieszka Pan na Ukrainie, w obwodzie winnickim, ale wspomina Pan często Polskę i Wrocław. Kiedy ostatnio odwiedzał Pan nasze miasto?*

– Byłem kilka razy we Wrocławiu. W latach 60. i 70. XX w. zawsze byłem przyjmowany przez najwyższe władze miasta i województwa. Umożliwiano mi zwiedzanie Dolnego Śląska. Prasa wrocławska pisała o moim pobycie. Podczas ostatniego mojego pobytu we Wrocławiu przed dziesięcioma laty mogłem już liczyć tylko na najbliższych kolegów i przyjaciół. Niektórzy dawni znajomi wyraźnie nie mieli dla mnie czasu.

– *Skąd taka przemiana?*

– Ja nie potrafię tego logicznie wyjaśnić. Ale jest to na pewno skutek polskiej transformacji państwowej i zmiany ocen historycznych. Dlaczego to jednak dotyka mnie, żołnierza radzieckiego, który tak wiele oddał, by dziś Wrocław mógł być polski?

– *Niech Pan opowie, jak to było.*

– W maju 1945 r. byłem dwudziestoletnim młodzieńcem, który jako żołnierz Armii Radzieckiej walczył na południowych przedmieściach Wrocławia. Obsługiwałem wraz z kolegami działo, ostrzeliwując hitlerowców, którzy byli za nasypem kolejowym. Znajdowałem się nad rowem wypełnionym wodą. W pewnej chwili przeskoczyłem ten rów i... straciłem przytomność. Odzyskałem ją w szpitalu po kilku dniach. Bolały mnie nogi. Lekarz wyjaśnił, że nie mam już stóp, ponieważ oderwała je mina. Moje nogi w żołnierskich butach pochowano na miejscu, gdzie je straciłem. Tak więc mogę uważać, że część mnie leży we Wrocławiu.

– *Pana kolejne przyjazdy do Wrocławia miały więc na celu odwiedzenie swojego grobu, przepraszam, grobu nóg...*



Centrum Wrocławia

Szargorod



– Tak, rzeczywiście, jest to mój pierwszy grób. Przyjeżdżałem do Wrocławia jednak nie tylko w celu odwiedzenia tego miejsca. Zżyłem się z miastem, podziwiałem jego odbudowę. Byłem dumny z tego, że jego władze podejmują zwykłego radzieckiego żołnierza jak generała. W dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat po wojnie odwiedzałem miejsce wypadku na Wojszycach, rozmawiałem z panem Michałem Babuleńką – starym mieszkańcem domu stojącego obok rowu. Pokazywał mi dwie mogiły: „*W tej – są twoje nogi, a w tej drugiej obok leży niemiecki chłopiec, który zginął od odłamka pocisku wtedy, gdy miałeś wypadek. Chłopca pochował jego dziadek, twoje nogi też*”. Gospodarz obydwa kopczyki oznaczył krzyżykami.

– *Rozumiem teraz, dlaczego Pan uważa Wrocław za swoje drugie rodzinne miasto i dlaczego Pan wiele razy wracał do niego. Ale jak Pan osiągnął to, że dziś nie widać braku nóg?*

– Początkowo byłem zdany na wózek inwalidzki. Później dopasowano mi protezy, bo na szczęście pozostały mi własne kolana. Chodziłem podpierając się laską. Jeszcze później nauczyłem się obywać bez laski.

– *A dziś jakie jest życie weterana wojennego?*

– Mieszkam we wsi obok miasteczka Szargorod. Mam dom. Syn wybrał służbę wojskową, jest oficerem w Rosji, na Syberii. Tam też pracuje córka. Angażuję się w pracy społecznej na rzecz weteranów. Jestem przewodniczącym sekcji inwalidów Rejonowej Rady Weteranów, przewodniczę radzie weteranów mojej wsi. Pomagam komбатantom, jak mogę, choć mnie i żonie musi wystarczyć renta wojenna na poziomie 35 dolarów i emerytura żony (20 dolarów) oraz to, co wyrosnie w ogródku i sadzie. Przeżywam, że zdrowie nie

pozwała mi na odwiedzenie jeszcze raz mojego Wrocławia. Związałem się z Polską i Polakami, badam więc historię mojej okolicy i odkrywam coraz więcej więzi łączących nasze narody. Szargorod i jego okolice należały kiedyś do polskich magnatów. Hetman Jan Zamoyski otrzymał te dobra od króla Stefana Batorego. Zbudował tu zamek, który później był własnością Koniecpolskich, Lubomirskich, Potockich, Sosnowskich, a przed rewolucją należał do Julii Branickiej, która mieszkała w Białej Cerkwi. Magnaci polscy korzystali z pracy ukraińskich chłopów pańszczyźnianych, ale i bronili ich przed napadami Tatarów i Turków, którzy palili wsie, a ludzi brali w niewolę. Od dawna żyli w Szargorodzie obok siebie Ukraińcy, Polacy i Żydzi. Niemymi świadkami są: monastyr i sobór Mikołajowski z XVIII w., kościół katolicki z XVII w. i synagoga z XVI w., które zachowały się do dziś.

– *Życzę przede wszystkim zdrowia i zachowania w sobie przychylności dla Polaków, choć dziesięć lat temu nie przyjęli Pana z należytą godnością.*

– Gdy będzie Pan już we Wrocławiu, proszę znaleźć czas i odwiedzić miejsce mojego wypadku: na ulicy Pawiej, za domem nr 22 od strony ogrodu przy rowie z wodą są dwie mogiłki, jedna z nich – to moja mogiłka.

– *Byłem tam. Za domem nr 22 rozbudowuje się nowe osiedle domów. Jest rów z wodą, ale nie ma już ogrodu, nie ma już mogiłek. Upłynęło tyle lat... W domu, gdzie mieszkał Babuleńko, są teraz inni mieszkańcy. Nie słyszeli o tej tragedii wojennej.*

Rozmawiał
Janusz FUKSA

(Wywiad ukazał się we wrocławskiej GAZECIE POŁUDNIOWEJ w 2003 r.)

SKAŁAT – WCZORAJ I DZIŚ

Kwartalnik „Krynica”, który umacnia więzi między Polakami na Ukrainie i jest głosem docierającym do Rodaków we wszystkich zakątkach Polski i Kresów, jest moim ulubionym pismem, ulubionym pismem mojej rodziny, moich znajomych oraz mieszkańców mojego rodzinnego miasta Skałat. Właśnie dlatego postanowiłam opracować zgromadzoną poprzednio literaturę, wykorzystać zapisane w pamięci moich krewnych i starszych osób wspomnienia o atmosferze i realiach sprzed lat, aby właśnie na łamach „Krynicy” mogli o tym przeczytać wszyscy, którzy podobnie jak ja ukończyli tę ojczystą ziemię.

Z przeczytanych materiałów dokumenty dowiedziały się, że II wojna światowa spowodowała, iż mieszkańcy Skałatu rozproszyli się po świecie. W szczególności ów proces dotknął miejscowych Polaków, z których wielu zamieszkało w Polsce.

Czas nieubłaganie upływa. Ubywa świadków. Byłoby bardzo szkoda, gdyby minione czasy odeszły w niepamięć.

Jako dziecko bardzo wiele czasu spędzałam ze swoją Babcią. W jej opowiadaniach najbardziej interesowała

mnie historia, przeszłość, obyczaje i tradycje, legendy, wspomnienia rodzinnych spotkań przy świątecznym stole.

To właśnie Babcia jako pierwsza uczyła mnie ojczystego, polskiego języka, uczyła przywiązania do narodu polskiego. Później obie pisałyśmy listy do Polski, do siostry mojej Babci, która utorowała mi ścieżkę prowadzącą mnie do źródeł poznania moich korzeni, kultury, do zrozumienia mojej tożsamości.

Moja najukochańsza Ciocia Aniela zaszczerpiła we mnie wielką miłość do Polski, do jej literatury.

Podczas wojny Ciocia została wywieziona na Syberię. Tam wstąpiła do Wojska Polskiego. Była kierowcą. Przeszła długi szlak bojowy. Została nagrodzona wieloma odznaczeniami. Po zwycięstwie nad faszyzmem wróciła do domu, do Skałatu, a następnie – w ramach repatriacji – wyjechała do Polski.

Ten artykuł poświęcam mojej Cioci, która jest żywym świadkiem wydarzeń na Ziemi Skałackiej, a jej życie prawdziwym skarbem ze skrzyni „kresowych losów”.

Historia miasta Skałat

Miasto Skałat leży u stóp trzech skał w południowo-zachodnich Miodoborach.

Lokacja Skałatu jako miasta odbyło się na prawie magdeburskim. W jego herbie na srebrzystym tle błyszczą ośmioramienna niebieska gwiazda w złotym obramowaniu, które symbolizuje kolor dojrzałych łanów pszenicy.

W XVI wieku istniała tu wieś, której właściciele – Siemieńscy nadali w 1600 roku prawa miejskie.

W 1630 roku Krzysztof Wichrowski, miecznik halicki, zbudował tutaj zamek. Z czasem dobra skałackie wraz z zamkiem przeszły do rodziny Firlejów. Następnie właścicielami zamku byli Kalinowscy.

Od 1786 roku zamek należał do rodziny Tarłów, a od 1795 roku – do Scypionów.

W wieku XVII stał się własnością Poniatowskich.

Zamek, kilkakrotnie niszczone w drugiej połowie XVII wieku przez Kozaków i Turków, stał się ruiną. W XVIII wieku został przebudowany przez Marię z Wodzickich Scypionową i zamieniony na pałacową rezydencję. W takim stanie przetrwał do I wojny światowej. Po wojnie, w 1918 roku odbudowano jedynie jego baszty. Przetrwały one do dnia dzisiejszego.



Ciocia Aniela w wieku 85 lat. 31.05.2008 r.

W 1632 roku w Skałacie erygowano parafię rzymsko-katolicką.

Pierwszy kościół ufundowała Katarzyna z Szembeków Sieniawska w roku 1643. Prawdopodobnie był to kościółek drewniany.

Budowę nowego murowanego kościoła w stylu zbliżonym do baroku rozpoczęto w Skałacie w roku 1816.

Kościół został ukończony i konsekrowany w 1827 roku pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Boskiej.

Wielki pożar w roku 1898 zniszczył zarówno kościół, jak i większą część drewnianej zabudowy miasteczka.

W ciągu dwóch lat (1899–1901) w Skałacie wybudowano nowy kościół według projektu prof. Teodora Taluskiego, znanego architekta.

Nowym etapem rozwoju Skałatu było jego przyłączenie do Austrii w 1772 roku. Rozpoczął się okres gospodarczego rozwoju miasta, które w 1867 roku stało się siedzibą powiatu.

W 1897 roku otwarto linię kolejową Tarnopol-Grzymałów, która przechodziła przez Skałat. Otwierano fabryki tytoniu, gorzelnie, browary, cegielnie, młyny wodne i parowe.

W roku 1829 otwarto czteroklasową szkołę, a następnie sześcioklasową. Rozpoczęło swoją działalność gimnazjum realne, do którego uczęszczało 100 uczniów.

W mieście otwarto szpital z 40 łózkami.

W 1872 roku wzniesiono grekokatolicką cerkiew p.w. Przemienienia Pańskiego.

W roku 1909 dokonano kompleksowej naprawy wszystkich szat liturgicznych w kościele. Również kontynuowano prace związane z wykończeniem kościoła. W 1912 roku wnętrze kościoła zostało pomalowane przez Juliana Krupskiego. Nadto zakupiono dwa neogotyckie konfesjonały i dwie marmurowe krypty.



Kościół w Skałacie. Fot. z 1909 r.



Współczesny kościół p.w. św. Anny w Skałacie

W 1937 roku położono w kościele nową posadzkę z płyt marmurowych. Jak wspomina moja Ciocia Nela: „...Kościół był przepiękny. Sufit był jak niebo, w niebieskim kolorze i cały w gwiazdkach”. Do roku 1940 Ciocia śpiewała w kościelnym chórze, którym opiekował się ksiądz Józef Lisowski. Wikariuszem skałackim był Józef Anczarski.

Przed wojną Skałat liczył ponad 7 tysięcy mieszkańców. W mieście istniały cztery dzielnice, różniące się charakterem zabudowy i funkcją w jego życiu: Centrum, Księży Kąt, Mantiawa i Targowica.

Skałat był miastem typowo rolniczym, zamieszkałym niemal w równych częściach przez Polaków, Żydów i Ukraińców. W centrum znajdowały się ruiny zamku z czterema basztami, kościół i synagoga. Najważniejszym elementem architektonicznym był Rynek.

Przy trzech głównych ulicach: Piłsudskiego, 3 Maja i Mickiewicza mieściły się budynki administracji państwowej, miejskiej i użyteczności publicznej, szkoła, szpital, księgarnia, apteka oraz ważniejsze sklepy i punkty usługowe.

W mieście istniał także Dom Żołnierza, wojskowe obiekty szkoleniowe.

Baon „Skałat” cieszył się w mieście ogromnym poważaniem i szacunkiem. Należy także podkreślić znaczenie porannych pobudek i wieczornych apeli, sygnalizowanych przez trębacz, oraz zbiorowych żołnierskich śpiewów-modlitw: rano – „*Kiedy ranne wstają zorze...*”, a wieczorem – „*Wszystkie nasze dzienne sprawy...*”.

Ten śpiew rozpoczynał i kończył dzień pracy mieszkańców Skałat.

Tragedia Polaków Skałatu

Od stycznia 1940 roku i do grudnia 1962 roku Skałat był siedzibą rejonu.

Rok 1940 przyniósł Polakom – mieszkańcom Skałatu wiele rozterek i bólu. Powołano komisję do spraw wysiedlenia Polaków na Zachód. Ludzie byli zakłopotani, zdenerwowani. Nie wiedzieli co robić. Czy wyjeżdżać dobrowolnie, czy trwać do końca.

Według danych Stowarzyszenia „Memoriał” w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 r. wywieziono ze Skałatu na Syberię ogółem 1568 osób.

Moja Ciocia wraz z rodziną i sąsiadami została wywieziona ze stacji Skałat na Syberię w dniu 10 lutego 1940 roku.

Ze łzami w oczach wspomina dzisiaj tę straszną tragedię, która w sposób szczególny stała się udziałem Polaków na Kresach.

Kto przeczytał książkę Zbigniewa Domino „Syberia Polska” – powieść poświęconą Sybirakom, ten bez trudu odnajdzie w niej tamten ból i w głębokiej zadumie powtórzy: „Pamiętam w modlitwie”.

Tak właśnie, z różańcem w ręku zastałam dzisiaj moją krewną, panią Katarzynę, której wspomnienia wykorzystałam w niniejszej opowieści.

Niemal całe jej życie upłynęło w najpiękniejszym zakątku Podola – w miasteczku Skałat.

„Pamiętam, – opowiada pani Katarzyna – jak w każdą niedzielę razem z mamą chodziliśmy do kościoła. Pamiętam cudowne melodie grane na organach, które w 1944 roku zostały bardzo uszkodzone. Pamiętam radośnie ożywiony plac targowy obok kościoła w dniu odpustu, który przypadał na dzień św. Anny. Dzieci ze słodyczami owiniętymi w kolorowe papierki, a kupionymi przez rodziców, cieszyły się, biegały, zbierały białe stokrotki...”

Spełnione marzenie

Po wielu latach miasto rozbudowano i unowocześniono.

W centrum współczesnego Skałatu, dokładnie u zbiegu dwóch głównych ulic, nieco w głębi, w stronę Rynku, wzniesiono budynek Rady Narodowej. Na terenie dawnego Rynku zbudowano dom towarowy. Ze starego Skałatu pozostały jedynie baszty zamku i mury obronne. Na pamiątkę. Dla turystów...

Miasto zmieniło swój charakter i stało się ośrodkiem administracji państwowej.



Ks. Stanisław Mularz wręcza nowemu ministrantowi znaczek i legitymację.
Skałat, 1992 r.

Odbudowano szkołę, otwarto szkołę muzyczną w dawnym budynku żandarmerii.

...Jest jeszcze jeden powód, dla którego piszę ten tekst. Mianowicie dostałam ksero książki, nie całej książki. Tę książkę przekazuję z rąk do rąk. Udało mi się odnaleźć jej tytuł: „Pamiętnik z życia Skałatu”, 2001 rok.

W tej książce bardzo wzruszyły mnie słowa, które napisali dawni mieszkańcy Skałatu: „Po wielu latach trudno poznać miasto. Nie góruje już nad nim, jak dawniej, strzelista wieża kościoła...”.

Łzy popłynęły po mojej twarzy. Ale to były łzy radości. Zadzwoń! Ale do kogo? Kiedy napisano te słowa? Tak, kościół w Skałacie został wysadzony w powietrze w 1959 roku... Ale dzisiaj mamy zaszczyt zaprosić Was, którzyście pisali te słowa w książce, na Mszę świętą do naszego nowego kościoła oraz na filiżankę kawy. Do domu.

Niech słowa pochodzące z mojego wiersza będą tym zaproszeniem:

„Strzelista wieżę nowej świątyni
Już z innych wiosek pielgrzymów wita,

*Wspomnijcie, rodacy, minione lata,
Wracajcie, wracajcie znów do Skołata...*

26 lipca 1990 roku ks. Jan Olszański poświęcił tymczasową kaplicę św. Anny, urządzoną na plebanii w Skołacie. W 1994 roku rozpoczęto budowę nowego, neogotyckiego kościoła, wg projektu Serhija Jurczenki. Kamień węgielny poświęcił ks. bp Marcin Trofimiak w dniu 26 lipca 1996 roku.

Tak dzień poświęcenia kapliczki opisał w swoim dzienniczku stały czytelnik „Krynicy” Jerzy Kamiński:

„Na terenie przed kaplicą zebrali się setki, a może i cały tysiąc ludzi. Mszę świętą odprawił ksiądz z polski Jan Olszański. To była pierwsza wspólna modlitwa w Domie Bożym za ostatnie 45 lat.

Życie bez Boga na tej ziemi nie dało obfitych plonów.

Pierwszym proboszczem był ks. Stanisław Mularz z Polski. Od tego czasu zaczynają się regularne nabożeństwa w skałackiej kaplicy”.

26 lipca 2002 roku ks. bp Marian Buczek dokonał konsekracji nowego kościoła.

Dzięki naszym kapłanom (ks. Stanisław Mularz, ks. Bogusław Grędyś, ks. Roman Stanik, ks. Franciszek Pukajło, ks. Michał Murygin), dzięki ofiarodawcom z Polski, dzięki miejscowym wiernym udało się zbudować nowy kościół, który swoim stylem przypomina ten przedwojenny, pod wezwaniem św. Anny.

Ksiądz Stanisław przywiózł z Polski książeczki, modlitewniki, zeszyty do katechezy, Pismo Święte oraz inne materiały potrzebne do nauki religii. Po tylu latach zakazów znowu uwierzyliśmy w jutrzejszy dzień. Już oglądaliśmy świt tego dnia. Dnia powrotu do prawdziwych wartości...

O. Antonio Salas OSA (Madryt, 06.07.1992 r.) pisał:

„Czyż bowiem życie, jakim jest obdarzona istota ludzka, mogłoby nie współbrzmieć z «życiem», którym jest istota Boska? Relacja z Bogiem wyzwala człowieka i czyni go szczęśliwym, zgodnie z tym, co głosi nasza wiara”.

Od jesieni 1990 roku w Skołacie systematycznie prowadzona jest katechizacja dla dzieci i młodzieży.

W dniach 15-17. 03. 1991 roku w kaplicy odbyły się pierwsze od 45 lat rekolekcje parafialne.

20.04.1992 roku w Skołacie 40 osób przystąpiło do Sakramentu Bierzmowania.

18.09.1992 roku w czasie uroczystości z okazji święta św. Stanisława 15 chłopców przystąpiło do grona ministrantów.

Oprócz katechezy prowadzone są także lekcje języka polskiego dla dzieci. Język polski pozostaje w świątyni nadrzedną wartością naszej kultury.



Autorka artykułu Maria Rutowicz

W swoim wierszu napisałam:

*„Najpierw została zrobiona kaplica,
Witaliśmy z wielką radością kapłana.
On wszystkich uczył, jak małe dzieci,
Każdemu była książeczka dana,
Dzięki Ci księżo nasz, Stanisławie,
Za ciężką pracę, za mowę Ojczystą.
Pamiętaj, że zawsze na Ciebie czekamy,
Kiedy odprawisz nam Mszę uroczystą...”*

Nieustannie pamiętamy i radujemy się, że mamy w Niebie wielkiego orędownika spraw naszych Rodaków, tych radosnych i tych smutnych, świętego Jana Pawła II. O wstawiennictwo prosimy Go w naszych wspólnych modlitwach.

...Minęły lata. W tym czasie wiele się zmieniło i świat już nie jest taki sam. Zmieniły się granice, ustroje polityczne. Ale pozostała rzecz najważniejsza: nasze Polaków przywiązanie do tradycji, do wiary. Posałała wielka miłość do Ojczystej Ziemi...

Maria RUTOWICZ
Skołat

Jerzy Idzikowski

ZIEMIA MEGO OJCA

Wstęp do wspomnień J. Idzikowskiego

Z cyklu utworów stanowiących plon konkursu Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 1962 r. zamieszczamy dziś opowiadanie Jerzego Idzikowskiego, który opisuje życie rodziny Władysława

Idzikowskiego, właściciela księgarni i wydawnictwa polskiego w Kijowie, cenionego mecenasa kultury polskiej na Ukrainie. Utwór ten uzyskał wyróżnienie w konkursie.

Janusz FUKSA

Jestem z rodzicami w łożu Teatru Wielkiego w Kijowie. Na widowni młodzież szkół kijowskich. Dziewczęta w fartuszkach i mundurkach szkolnych, jest ich pełno w łożach i na balkonach. Śmieją się i coś szepczą, a my chłopcy oddzieleni od nich szukamy niespokojnie ich wzroku. Serce gorąco bije, bo tyle wrażeń i tyle czułych wzruszeń. Rodzice siedzą za nami w głębi mrocznej, zacisznej łoży. Jest nam tak dobrze i bezpiecznie. Na scenie opera Glinki „*Ruslan i Ludmiła*” – cudna baśń rosyjska Puszkina. Kurtyna idzie do góry. Z mroku mgieł wyłania się pole stepowe zasłane szkieletami i czaszkami, a po chwili olbrzymia, ponad wielkości człowieka głowa w hełmie, błyskająca wściekłymi oczyma. Bohaterski Ruslan staje do zwycięskiej walki z nią i śpiewa „*O pole, pole, kto cię usiał...*” Od sceny wieje groza i mrok, a nas ogarnia dreszcz i niepokój.

Tak czasem snują się te strzępy niezatartych wspomnień lat dziecięcych, tak jak to nasze kłębiące się obłokami niebo, wysłonecznione kijowskie niebo z obrazków Stanisławskiego. Budzą się wówczas cienie i poszumy znad Dniepru, jak porywy wiatru buszującego po tamtych lasach i polach, budzą się, wieją i zapadają w przeszłość, aby porwać się znów. Opowiadają one o przeszłości ziemi mojego Ojca, tak jak w poemacie symfonicznym Noskowskiego „*Step*”.

Ogród Kupiecki. Ileż to razy w tym ogrodzie rozbrzmiewał „*Step*” Noskowskiego, na wzgórzach wysokich nad Dnieprem. Naprawdę nie wiem, czy można na świecie znaleźć takie drugie miejsce, tak fantastycznie, pięknie stworzone dla słuchania muzyki. Muszla orkiestry na tle bujnej zieleni drzew, widownia pod gołym wygwieżdżonym niebem, zalany poświęcą księżycowej kijowskiej nocy. Z wysokiego brzegu widać ciemne zielone wzgórza, świeci krzyż pomnika świętego kniazia Włodzimierza, a niżej światelka przedmieścia Padołu. W dali migotliwą wstęgą wije się



Dniepr, a za rzeką bezkresna dal rozlewisk i lasów browarskich.

Na takiej niezwyklej estradzie, stworzonej nieokiełznanym rozmachem przyrody, nauczyliśmy się słuchać muzyki wielkich mistrzów, odczuwać budującą siłę piękna i wierzyć w głęboki sens życia. Wracaliśmy szczęśliwi górzystymi, tonącymi w zieleni ulicami Kijowa do naszych domów i naszych rodzin.

Tam czekała na nas w pokoju jadalnym gromada bliskich, ciepło domowego ogniska, promieniujące od lampy naftowej z zielonym lub mlecznym abażurem i szumiący pod parą lśniący miedzią samowar. Rozmowy i dyskusje toczyły się do późnej nocy. Z czasem lampę naftową zastąpiła nowa zdobycz postępu – elektrycz-

ność. Ze śmiercią lampy naftowej znikła szara godzina – nieodłączna towarzyszka romantyzmu.

Ojciec mój Władysław Idzikowski miał piękne sumiaste włosy zaczesane z lekka do góry – po polsku, tak jak nakazywała „*dawnych Polaków duma i szlachetność*”. Ukraińcy nosili włosy zaczesane do dołu. Był on od samego rana do późnego wieczora całkowicie pochłonięty pracą, którą kochał namiętnie, tak jak nauczyła go Matka. Matkę Ojciec uwielbiał serdecznie i gorąco. Był najlepszym synem, czym potwierdzał aksjomat życiowy, że wartościowi społecznie ludzie darzą szczególną miłością Matkę. Matka dała mu twardy kręgosłup ideowy, nakazany przez młodo zmarłego jej męża i ojca – założyciela księgarni w Kijowie. Być księgarzem, wydawcą, nakładcą muzycznym, prowadzić czytelną-bibliotekę, księgarnię wysyłkową na Ukrainie – to była praca, której się podjął i poświęcił młody wówczas księgarz. Z czasem przy księgarni powstało biuro koncertowe sprowadzające z całego świata wybitnych artystów na występy do Ukrainy, a nawet na terenie całego Imperium Rosyjskiego.

Firma „Leon Idzikowski”, założona w Kijowie w 1859 roku przez mego Dziada Leona, który pochodził z Krakowa, była w pojęciu mojego Ojca i jego Matki,

o rzadkim imieniu Hersylia, placówką służącą krzewieniu kultury na Ukrainie i dostarczającą społeczeństwu „*pod strzechę*” po miastach i wsiach słowo drukowane i wydawnictwa muzyczne.

Centrala księgarni mieściła się w wielkim parterowym budynku o dwóch wejściach od ulicy, dziesięciu oknach wystawowych, na Kreszczatiku pod nr 29, na wprost ulicy Prorezniej, zbiegającej z góry od Złotych Wrót. Pracowali w księgarni kolejno mój Dziad, Babcia i niestrudzony, ruchliwy jak żywe srebro Ojciec w otoczeniu swoich współpracowników i rzeszy przybywających klientów, przemierzając nieustannie dziesiątki pokoi tego morza książek i nut. Klienci bardzo cenili radę w doborze literatury książkowej i muzycznej, we wszystkich językach, której Ojciec chętnie udzielał każdemu. A znał Ojciec doskonale zainteresowania, a nawet stosunki i upodobania rodzinne każdego odbiorcy, na przykład z informacji współpracowników i z memoriałów, w których robiono zapisy literatury branej przez klienta do domu na kredyt lub „*do wyboru*”. Ojciec studiował je i utrzymywał w swej fenomenalnej księgarskiej pamięci.

Szesnaście lat miał Ojciec, kiedy rozpoczął swoją pracę w księgarni, a było to w roku 1880. Musiał po-



Witryny firmy „Leon Idzikowski”. Kijów, ul. Kreszczatik



Władysław Idzikowski – ojciec autora wspomnień

śpieszyć z pomocą swojej Matce, wyczerpanej i uginającej się pod ciężarem obowiązków wdowy po księgarzu-wydawcy. Po śmierci przedwcześnie zmarłego męża postanowiła ona dalej prowadzić ukochaną pracę rozpoczętą przez męża. A pozostawiony dorobek wydawniczy zawierał około stu tytułów dzieł polskich autorów tej miary co: Kraszewski, Sowiński, Grabowski, Pług, Prałat, Dobszewicz, Kowalski i inni. Ta młoda kobieta, borykając się z niezliczonymi kłopotami związanymi z prowadzeniem księgarni polskiej w Kijowie, narażona na prześladowania rządu carskiego po niedawnym powstaniu 1863 roku, obarczona ponadto wychowaniem dwóch córek, czekała z utęsknieniem na pomoc rosnącego syna. Ojciec musiał przerwać naukę w II Kijowskim Gimnazjum i stanąć do pracy księgarskiej obok swej Matki i kilku pozostałych pracowników. W tych to ciężkich warunkach niepospolity talent organizatorski i ujmująca postać młodego szesnastoletniego Władysława Idzikowskiego dźwignęła i poprowadziła do chwały upadającą placówkę. Społeczeństwo nad Dnieprem otrzymało księgarza i wydawcę na miarę wielkości ziemi kijowskiej. Młodzieńcy księgarz pozyskał swoim wrodzonym taktem, bystrością i rzetelnością pracy całe społeczeństwo Kijowa i Ukrainy oraz trudną do zdobycia przez Polaka tolerancję władz carskich.

Zobowiązania firmy w ciągu kilku lat zostały przez niego uregulowane, należało więc udać się za granicę dla ułożenia się z wydawcami obcymi. W drodze do Lipska, który był Mekką księgarstwa, i Paryża, ówczesnej stolicy świata kulturalnego, Ojciec odwiedził Kraków, z którego płynęła względnie wolna myśl polska i w którym przebywała siostra Leona Idzikowskiego. Po drodze te Ojciec powtarzał później w życiu niejednokrotnie, a zwłaszcza w latach, kiedy była wystawa międzynarodowa w Paryżu. I tam, we Francji, Ojciec pozyskał zaufanie wydawców dla swej księgarni w Kijowie. Książka francuska, stosunkowo najłatwiej strawna dla cenzury carskiej z uwagi na swój pozornie elitarny charakter, dla społeczeństwa naddnieprzańskiego stała się chlebem koniecznej stawy duchowej, krzepiącej i postępowej, zwłaszcza wówczas, kiedy książka polska była narażona na prześladowania.

Nielatwa i niebezpieczna była rola mego Ojca. Spadały na niego częste grzywny administracyjne za sprowadzanie literatury nielegalnej, zamykano za karę czytelnice i grożono więzieniem. Toteż ułożenie stosun-

ków z władzami carskimi było stałą troską i nie lada umiejętnością mego Ojca.

Zawsze podejrzliwy stosunek do Polaków był względnie najlepszy za rządów generała gubernatora i dowódcy Wojsk Okręgu Kijowskiego Michaiła Iwanowicza Dragomirowa. Należał on do ludzi o „szerokiej rosyjskiej duszy” i tolerancji nabytej na zamiłowaniu do kultury francuskiej. Był wielbicielem i znawcą historii Joanny D’Arc, o której napisał w języku rosyjskim rozprawę. Ojciec nie omieszkiał wykorzystać zamiłowania faktycznego władcy Ukrainy. I tak, w roku 1900 nakładem polskiej księgarni „Leon Idzikowski” w Kijowie ukazała się w języku polskim książka generała M. Dragomirowa „*Joanna D’Arc (Dziewica Orleańska)*”. Niezwykłe to jak na owe czasy skojarzenie: wydawca – polski, autor – generał carski, dzieło – o bohaterce francuskiej, walczącej o wolność i przepędzającej najeźdźców. Było to jedno ze świetnych posunięć taktycznych mego Ojca, które zyskało dla księgarni sympatię wszechmocnego generała gubernatora. Dobre stosunki z Dragomirowem uratowały mego Ojca z poważnej opresji.

Do Kijowa na zaproszenie biura koncertowego mego Ojca przybyła na występy artystyczne światowej sławy śpiewaczka Marcelina Sembrich-Kochańska. Sala kolumnowa Domu Kupieckiego była wypełniona, a wśród słuchaczy byli Polacy z Kijowa i prowincji. Śpiewaczka, bisując niejednokrotnie, ujęta patriotyzmem Polonii kijowskiej, zaśpiewała pomimo zakazu kilka pieśni w języku polskim. Następnego dnia Ojciec mój został wezwany do policmajstra Kijowa Nowickiego, który w sposób gwałtowny oświadczył, że nie pozwoli, póki jest na stanowisku, na propagandę polskości i że wyciągnie za ten występ ostre konsekwencje, dodając, że należy położyć kres działalności tego polskiego klubu rewolucyjnego. Ojciec oczekiwał z niepokojem nieprzyjemnych skutków.

Do księgarni ponownie zadzwoniła kancelaria policmajstra, wzywając ojca, aby był obecny w dziale książek francuskich i oczekiwał na przybycie generała gubernatora Dragomirowa. Generał przybył w towarzystwie asysty wojskowej i policyjnej. Policmajster stał w postawie służbowej, a generał wybierał literaturę francuską, prowadząc rozmowę w języku francuskim. Nerwowość i zmęczenie mego Ojca nie uszło uwadze Dragomirowa, który zapytał o powody i otrzymał wyjaśnienie o groźbach policmajstra. Wówczas to oświadczył Dragomirow na cały głos po rosyjsku: „*Policmajster jest znawcą spraw żandarmskich, natomiast w sprawach*

muzycznych jest «okrągłym» durniem». Policmajster kijowski odtąd nie zauważał uchybień i przewinień politycznych mego Ojca i firmy „Leon Idzikowski”.

Po wielu latach, w roku 1942, za czasów okupacji hitlerowskiej, w Warszawie przyszła do firmy „Leon Idzikowski” w Alejach Jerozolimskich 18 do Ojca dawna jego klientka kijowska. Przyszła zrozpaczona ze skargą na męża pijaka. Ojciec pocieszając ją powiedział, że Dragomirow twierdził: „*Pijak prześpi się, ale dureń nigdy*”. Uśmiechnąłem się, znając na pamięć wypowiedzi ojcowskie o Dragomirowie. Wówczas pocieszona kijowianka rzekła mi, że widocznie nie wiem, kto to był Dragomirow, skoro niemądrze się uśmiecham i opowiedziała historię, która przydarzyła się jej rodzinie z niezwykłym generałem.

Brat tej pani był studentem Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie. Rodzina znajdowała się w nędzy, bo ojciec ziemianin przegrał w karty majątek i palnął sobie w łeb. Nędza i słaby charakter brata-studenta pchnęły go na drogę tanich i nikczemnych zarobków szpicla policyjnego. Haniebne podanie studenta w tej sprawie wpadło w ręce Dragomirowa, który wezwał młodzieńca i oświadczył mu, że drze ten dokument hańby jego zacnej, znanej mu rodziny i daje mu posadę w innej instytucji. A na zakończenie złażał go porządnie. Taki to był niezwykły generał Dragomirow. „A

teraz jak wygląda pan ze swoim niemądrym uśmiechem?” – rzekła kijowianka do mnie. Byłem należycie zmyty.

Ten sam generał Dragomirow był znany z innej głośniejszej historii. Na Uniwersytecie Kijowskim wybuchł strajk. Studenci okupowali dniem i nocą gmach uniwersytetu, a rektor, senat i nawet policja byli bezradni i obawiali się większych rozruchów. Zwrócili się więc do Dragomirowa o użycie wojska dla usunięcia strajkującej młodzieży. Generał odmówił twierdząc, że to nie jest sprawa wojenna. Władze uniwersyteckie wówczas zwróciły się do Petersburga i uzyskały rozkaz użycia wojska dla usunięcia strajkującej młodzieży z uniwersytetu. Dragomirow wówczas, wykonując rozkaz, zgromadził pod uniwersytetem wojsko i do Petersburga wysłał telegram: „*Przygotowania wojenne ukończyłem, ale nieprzyjaciela nie widać...*” W ten sposób Dragomirow nie dopuścił do rozlewu krwi, pozyskał i uspokoił młodzież. Po Kijowie wiele lat później krążył wiersz o Dragomirowie i studentach.

Ale to był wyjątkowy generał gubernator, inni przeważnie byli ślepymi stupajkami carskiej tyranii.

Mieszkaliśmy w Kijowie przy Kreszczatiku nr 33. Był to dom położony w najruchliwszym punkcie miasta i szczególnie spolonizowany. Firma „Józef Fraget z Warszawy” miała od ulicy swój sklep z wyrobami ze srebra i platerami, na I piętrze nad nią mieściły się składy fabryki fortepianów „Józef Kerntopf i Syn”, również z Warszawy, a w podwórzu na lewo od bramy mieszkała nasza liczna rodzina Idzikowskich, zaś nad nami na drugim piętrze było mieszkanie rodziny Kerntopfów.

W tym domu u Kerntopfów w roku 1904 zatrzymał się Ignacy Jan Paderewski. Był on z tą rodziną od dziecięcych lat powiązany serdeczną przyjaźnią i wdzięcznością. Miałem wówczas 6 lat i moje pierwsze wrażenia o Paderewskim utrwaliły się mocno w dziecięcej pamięci. Któregoś ranka Matka budząc mnie powiedziała: „*Stuchaj, synku, gra Paderewski...*” Od sufitu nad naszym dziecięcym pokojem płynęły dźwięki muzyki. Paderewski ćwiczył na fortepianie. Później któregoś dnia Paderewski odwiedził naszą rodzinę. Posadził mnie i mojego młodszego brata Mariana na kolanach, delikatnie głaskał po główkach i coś do nas mówił. Widocznie uroczysty nastrój panujący wówczas w domu był tak silny, że udzielił się mnie i utrwalił w pamięci. Wówczas to moja urodziwa cioteczna siostra Czesława Jaszczewska – dorastająca panienka, uczennica Insty-



Nuty utworów fortepianowych Mykoły Łysenko
wydane przez firmę „Leon Idzikowski”

tutu dla Szlacheckich Panien w Kijowie – otrzymała od Paderewskiego książkę z wymowną dedykacją: „*Pani Czesławie Jaszczewskiej, aby nie zapomniała swej pięknej mowy ojczystej*”. Wiele lat później była ona dumna z tego podarunku, a my nie ukrywaliśmy swej zazdrości.

Paderewski był wówczas po raz ostatni w Kijowie z koncertami, które organizowała firma mego Ojca. Najwyższy autorytet i geniusz muzyczny Piotr Czajkowski nazywał Paderewskiego największym pianistą na świecie. Dla nas Polaków był on najjaśniejszym ambasadorem naszej ciemnionej przez zaborców Rzeczypospolitej. Jego koncerty w każdym kraju były dla nas źródłem otuchy i wiary niezłomnej, że „*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...*” i że on, Paderewski, syn tej ziemi (z Podola rodem) swoją muzyką, swoim Chopinem i mistrzowskim słowem o Polsce podbija serca ludzi na całej kuli ziemskiej. „*Geniusz przypadkiem grający na fortepianie*” – jak wyraził się o nim sławny kompozytor francuski Saint-Saëns (Camille Saint-Saëns, 1835–1921, wirtuoz fortepianowy, dyrygent, autor symfonii i koncertów fortepianowych, autor m.in. opery Samson i Dalila – *przyp. JF*) – był wówczas z nami Polakami w Kijowie. Była to wielka uroczystość narodowa i kulturalna. Ojciec mój, który należał do ludzi żarliwie wierzących w odrodzenie Polski i czynnie pracujących nad tym odrodzeniem, był na długo poکرzepiony świadomością, że firma i on wypełnili swój obowiązek wobec wielkiej sprawy i Ojczyzny.

Na Kreszczatiku pod nr 35 znajdował się drugi oddział firmy pod nazwą „Władysław Idzikowski”, w którym odbywała się przedsprzedaż biletów na koncerty organizowane przez biuro koncertowe mego Ojca. Kiedyś o zmroku, jadąc dorożką z moją Matką zauważyłem, że przed sklepem stoją, a niektórzy siedzą na przyniesionych krzeselkach, ludzie w szeregu. Matka wytłumaczyła mi wówczas, że to jest kolejka na koncert sławnego artysty, urządzany przez firmę, i że ci ludzie będą czekać całą noc na otwarcie sklepu i kas biletowych. Była to pierwsza kolejka, którą zobaczyłem w życiu.

Wkrótce przeprowadziliśmy się do domu mojej babci ze strony Matki, Marceliny Michałowskiej, mieszczącego się przy ul. Nestorowskiej – przecznicy drugiej wielkomiejskiej ulicy Fundulejowskiej. Ulica ta tonęła dosłownie w zieleni, a przed naszym domem pod nr 24 rosły dwie piękne brzozy w oparkanionym



Nuty intermezza W. Alettera
wydane przez firmę „Leon Idzikowski”

niskimi sztachetami ogródku. Jedna była płacząca, a druga wesoła, rozwiana. Za domem były dwa podwórze: jedno zwyczajne, a drugie „czarne”. Na tym „czarnym” podwórzu było pełno drobiu, zawsze hałaśliwego, świnek, były dwie krowy. Za małą oficynką znajdował się piękny wielki ogród owocowy i kwiatowy. W ogrodzie była niezwykła aleja bzów, które pozostawały po koncertach, organizowanych przez firmę. Bzy te przeważnie odsyłano do nas na Nestorowską po wyjeździe artyści i co ładniejsze wsadzano do ziemi w alei. Babcia Michałowska, niesłychanie pracowita, nie mówiąca nigdy o nikim złego słowa, trzymała całe to gospodarstwo mocną i sprawiedliwą ręką. Ona to nam mówiła, czyj bez rośnie w ogrodzie: Paderewskiego, Sembrich-Kochańskiej, Hofmana, Kubelika, Szalapina, Rachmaninowa, Wialcewej, Korolewicz-Wajdowej czy też innego artysty. W ten sposób rośliśmy i my dzieci w atmosferze wielkich tradycji firmy.

Pobyt Czajkowskiego w każdym kraju, a zwłaszcza w każdym mieście Imperium Rosyjskiego, był wydarzeniem na miarę uroczystości artystycznych i narodowych, a ludzie, którzy z nim się spotykali, należeli przeważnie do najwyższej inteligencji społeczeństwa. W Kijowie Ojciec towarzyszył Czajkowskiemu pod-



Nuty i teksty polskich pieśni patriotycznych
wydane przez firmę „Leon Idzikowski”

czas jego pobytu w mieście i m.in. udał się do Soboru św. Zofii celem wysłuchania wykonania przez chór tej najstarszej świątyni Kijowa mszy skomponowanej przez kompozytora. Opuszczając świątynię prawosławną Czajkowski zwrócił się do Ojca z propozycją udania się do kościoła św. Aleksandra i wysłuchania muzyki organów. Ta subtelna i wymowna delikatność uczuć Czajkowskiego, niezwykła jak na tamte czasy prześladowania katolicyzmu w Rosji, poruszyła do głębi Ojca. Czajkowski podkreślił swoją tolerancję i szacunek dla innowiercy-katolika. Kilka fotografii Czajkowskiego z dedykacjami dla mego Ojca pozostało w naszej rodzinie jako pamiątki. Przechowywane były z pietyzmem wśród wielu fotografii artystów zaprzyjaźnionych z Ojcem i firmą.

Ojciec często w sprawach firmy jeździł za granicę i przeważnie zawsze odwiedzał wraz z towarzyszącą mu jego Matką Kraków i rodzinę. Tam mieszkała siostra mego Dziada Leona Anna z Idzikowskich Dębska z licznyim potomstwem. Ojciec w Krakowie utrzymywał stosunki ze światem literackim, muzycznym, a nawet malarskim. Spotykał się z Wyspiańskim, Przybyszewskim, Rydlem, Władysławem Żeleńskim, Marianem Dubieckim, był bowiem wydawcą ich prac w Kijowie. Kraków był wówczas miejscem względnej wolności

polskiego społeczeństwa i miejscem, gdzie Polacy mogli posiadać i nosić symbole wielkości naszego narodu z Białym Orłem. Czekaliśmy w Kijowie z utęsknieniem na powrót Ojca i na te pamiątki, które nauczyliśmy się kochać i nosić na sercu. Ojciec nieraz jechał dalej na zachód, do Francji, o której często wspominał. Czekaliśmy więc z niecierpliwością na powrót Ojca i na jego ciężkie, skórzane walizy.

Czasy były historyczne, obfite w wydarzenia. W domu u nas dyskutowano gorąco nad klęską armii carskiej w wojnie z małą Japonią. A my, dzieci, słuchaliśmy i czuliśmy, że coś ważnego dzieje się w tym nieznanym jeszcze dla nas świecie, że ta siła carskiej armii, która zgniotła Polskę – to, co nas nauczono kochać – jest bita przez żółtych, małych Japończyków, których widzieliśmy w pismach ilustrowanych, francuskich i angielskich, jakie co dzień prawie Ojciec przynosił z księgarni.

Aż raz zimą w godzinach rannych moje dziecięce oczy ujrzały niezwykle widok przez okna naszego mieszkania. Ulicą Nestorowską po topniejącym śniegu jechało kilku kozaków objuczonych tobołami, a za nimi dorożka wyładowana belami sukna, przy czym za dorożką po błocie ciągnął się rozwijający się z beli materiał. Do drzwi naszego domu dzwonili jacyś ludzie i dopytywali się, czy nie mieszkają u nas Żydzi. W niektórych oknach kamienic naprzeciw zauważyliśmy wystawione obrazy święte. Starsi i nasza guwernantka Francuzka mówili o strajku, rewolucji, pogromach Żydów, manifestacjach studentów i robotników na ulicach miasta. Przez szczelnie opatrzone okna dolatywały odgłosy salw ulicznych, a nas trzymano w zamknięciu domowym. Była to rewolucja 1905 roku. Pamiętam, Ojciec i jego szwagier Czesław Jaszczejewski w obszer-nym lokalu firmy dawali schronienie gonionym Żydom.

Lekarze zalecili nam wyjazd nad Morze Czarne. Byliśmy więc tego lata na lotnisku w Lustdorfie pod Odesą. Ojciec, który przeważnie nie opuszczał swej pracy w firmie, po rewolucji, korzystając z osłabienia władzy carskiej i cenzury, podjął na wielką skalę wydawanie książek i nut muzyki polskiej w Kijowie. Ojciec przyjechał jednak tego lata do nas nad morze. Jak dziś pamiętam, siadaliśmy do łodzi rybackiej, aby przejechać się po morzu, które tego dnia mieniło się i grało srebrem wód w gorącym słońcu. Nagle zjawił się posłaniec z depeszą, wzywającą Ojca do natychmiastowego po-

wrotu do Kijowa. Zobaczyłem zatroskaną twarz Ojca i zdenerwowaną Matkę. Byłem zły, że nie będzie spaceru po morzu z kochanymi rodzicami i rodzeństwem i byłem zaniepokojony. My zostaliśmy nad morzem, a Ojciec wrócił do Kijowa.

W księgarni czekało ojca wielkie zmartwienie. Władze carskie przeprowadziły rewizję i zatrzymały wydany przez firmę nakład książki Mariana Dubieckiego „*Romuald Traugutt*”. Autorem książki o dyktatorze Powstania Styczniowego był sekretarz Rządu Narodowego do spraw Rusi. Treść książki była dokumentem o Powstaniu Styczniowym i oczywiście nosiła charakter wybitnie antycarski. Cenzura kijowska, dając zgodę na jej wydanie, nie uzyskała, jak się okazało, aprobaty cenzury warszawskiej, wymaganej dla każdego druku w języku polskim na terenie imperium. Firma została obłożona wysoką grzywną, a Ojcu prokuratura wytoczyła proces, który Ojciec przegrał w kilku instancjach sądowych. Został skazany na trzy lata twierdzy i apelował do ostatniej instancji – Senatu Rosyjskiego. Cała nasza rodzina żyła w niepokoju o przyszłość firmy i Ojca. W Petersburgu w senacie kilku adwokatów wystąpiło w obronie Ojca. Na rozprawie jeden z obrońców przytoczył słowa senatora oskarżyciela Gredingera, który w jednej ze swoich poprzednich mów powiedział, że „*historia – to prawda narodów, a wszelkie jej tłumienie powoduje wypłynięcie prawd historycznych jak oliwy na wodzie*”. Szczęśliwe przytoczenie wypowiedzi oskarżyciela zaważyło na wydaniu wyroku uniewinniającego Ojca i zwolnieniu książki z aresztu. I znów zapanał spokój w naszej rodzinie. Później, w roku 1933, już w Polsce, za ten czyn Ojciec został odznaczony orderem Polonia Restituta.

Kijów był dla nas miastem najlepszym pod słońcem. Chodziliśmy z rodzicami do Teatru Polskiego, prowadzonego wytrwale przez zasłużonego dyrektora Rychłowskiego, do Teatru Sołowcowa i najczęściej do Teatru Operowego położonego niedaleko od naszego domu na skrzyżowaniu ulic Funduklejowskiej i Dużej Włodzimierskiej. Na drugim rogu tych ulic był Hotel „Francois” i cukiernia należąca do Polaka Franciszka Gołąbka, a obok redakcja „*Kijowskiej Myśli*” – odpowiednika naszego „*Kuriera Warszawskiego*”, którego to pisma wydawcami była rodzina polska Łubkowskich.

Szkolne wakacje zimowe w ośnieżonym i rozdzwonionym dzwonekami sanek Kijowie miały urok czarownej scenerii karnawałowej. Ziemia i dachy pokryte grubą kołdrą stale odświeżanego prószonego śniegu, drzewa przystrojone szronem, powietrze mroźne, prze-

ważnie bez wiatru, w którym głosy i śmiechy niosły się jak echo, okna wymalowane kwiatami, palmami i gwiazdkami mrozu, na ulicach ruch rozpędzonych sanek i śpieszących przechodniów osłoniętych w futra, para unosząca się w mroźnym powietrzu z otwieranych drzwi wypełnionych towarami sklepów, rozognionych koni i ludzkiego oddechu – wszystko to mówiło, że nadszedł czas Bożego Narodzenia, Nowego Roku i karnawału, a niedługo nastąpią kijowskie Kontrakty.

W oknach domów jarzyły się choinki, wysokie do sufitu, przystrojone zabawkami. Nad miastem prosto w niebo z kominów szły nad domami smugi dymów, co wskazywało, że będzie pogoda i mróz. Ścielące się dymy wskazywały niepogodę i były w Kijowie zjawiskiem rzadkim.

W okresie trzytygodniowych wakacji zimowych w Teatrze Operowym odbywały się popołudniowe przedstawienia oper dla dzieci i młodzieży. Poznawaliśmy wówczas takie arcydzieła, jak: *Złoty Kogucik*, *Car Sołtan*, *Sadko*, *Śnieguroczkę*, *Rusłana i Ludmiłę*, *Cyrulika Sewilskiego*, a z baletów *Łabędzie Jezioro*, *Copelię*, *Dziadka do Orzechów*, *Chopinianę* i *Noc Walpurgii* oraz inne arcydzieła. Młodzież, uczniowie szkół i dzieci, wypełniali tłumnie gmach opery i nie zrażeni repertuarem uczyli się lubić muzykę operową i wyrabiać zamiłowanie do sztuki muzyczno-plastycznej. Kina wówczas nie było, była to więc jedyna droga muzycznego i teatralnego doksztalcania przyszłych pokoleń. Nas, chłopców, oczywiście najbardziej interesowały śpiewaczki, jednych Montwid Woroniec, a drugich Van-Brin i inne bohaterki głównych ról tych oper.

W księgarni było tyle pięknych nowości książkowych, pism ilustrowanych i zbiorów kolędowych. Wszystko na Gwiazdkę. Uciekaliśmy więc w tym okresie nieraz z domu na Nestorowskiej i z góry Funduklejowską bieглиśmy na Kreszczatik do księgarni. Tam szukaliśmy po wszystkich działach naszego Ojca, w czym pomagali bratu memu i mnie pracownicy stojący za ladami księgarskimi, na tle półek wypełnionych książkami i nutami. W księgarni, jak zwykle, panował wielki ruch klientów, świeciły się liczne światła elektryczne. Ojca odnajdywaliśmy po przebyciu nieraz wielu pokoi, a on całował nas, muskając wąsami po rozgrzanym mrozem czole i policzkach. Po otrzymaniu wybranych książek Ojciec wzywał Fiodora Karpowicza Rudenkę, starszego woźnego, przyjaciela naszej rodziny i powierzał nas jego opiece, aby odprowadził nas do domu, do Matki. Po drodze wracaliśmy ul. Prorezną, gdzie był sklep zabawek „Nowe Wynalazki”. Tu

na rachunek firmy, za uprzednią zgodą Ojca, wybieraliśmy zabawki. Szczęśliwie obładowani mijaliśmy Dużą Włodzimierską, Złotą Bramę i Podwalną, a potem ześlizgiwaliśmy się z góry ulicą Nestorowską i wpadaliśmy do domu. Dostawaliśmy burę od Matki, która nie znosiła zbytków i rozpieszczania nas przez Ojca.

Choinkę, zwyczajem kijowskim, mieliśmy do sufitu i była przez nas już przed Wilią ubierana.

W pierwszy, drugi i trzeci dzień Bożego Narodzenia po południu zajeżdżały pod ganek domu sanki, z których wyładowywali się panowie, by złożyć rodzicom życzenia świąteczne, przy czym niektórzy z nich przyносили pudełka czekoladek, najczęściej od „Georga”, rzadziej od „Francois” i od „Fruzińskiego” z Warszawy, który prowadził swój oddział w Kijowie. Nieraz były pudła owoców cukrzonych od „Bałabuchy”. To samo powtarzało się w Nowy Rok. Wizyty zaczynały się wówczas od samego rana, miały charakter bardzo urzędowy. Przychodził w nienagannie skrojonym szynelu przy szabli *okołodocznyj nadziratel* – stójkowy, przychodzili dozorczy, kominiarze. Każdy wypił *riumoczkę* i dostał asygnatkę przy składaniu życzeń.

Dnie stawały się coraz dłuższe. Było już po świątecznych wakacjach. Słońce zaczynało pomału grać. Z dachów zwisały firanki sopli lodowych. Nadchodził czas słynnych Kontraktów, gdy życie miasta przybierało gwałtownie na sile. Cały ruch handlowy przenosił się na Padół – dzielnicę miasta, gdzie mieścił się centralny gmach Kontraktów kijowskich. Był on oblepiony wokół licznymi kramami, które zajmowały cały wielki plac. Handlowano tam wszystkim, ale za moich czasów przeważnie wspaniałymi rosyjskimi rybami, kawiozem, suknamy, artykułami sztuki ludowej, wyrobami chałupniczymi, muszlami morskimi mieniącymi się perłową masą, również wszelką tanizną. Był tam niesamowity tłok, gwar i ciężko było poruszać się pomiędzy straganami po drewnianych kładkach, bo obok wpadało się w wymieszany brudny śnieg. Na Kontraktach sprzedawano nadmuchiwane baloniki z figurką diabła z różkami, który płakał przy wypuszczaniu powietrza. Te *czortiki* każde dziecko musiało dostać na Kontraktach, choć była to zabawka niehigieniczna, roznosząca katary i kaszle, i czyniąca piekielny hałas w domu i w szkole, dopóki nie pękła.

W latach mojego dzieciństwa księgarnia nie miała na Kontraktach żadnego stoiska. Na Kreszczatiku była ona punktem centralnym dla licznych przyjezdnych na Kontrakty, które odgrywały swoją tradycyjną rolę miejsca dokonywania transakcji handlowych w Kijo-

wie. W lutym i marcu było też sporo bali, a zwłaszcza koncertów, które ściągały masy przyjezdnych z prowincji. Do księgarni wpadali niejednokrotnie ziemianie-*hreczkosieje*, pod dobrą datą, podchmieleni, po strawę duchową dla prowincji, po nowości książkowe i nutowe. Zdarzały się wypadki, że podpity *hreczkosiej* w szerokim kresowym geście polecał bez dyskusji zapakować sobie wszystkie książki z półki, choć mogły to być dublety jakiegoś dzieła, i odesłać do hotelu. Polecenie musiało być wykonane, ale jednocześnie w hotelu zjawiał się przedstawiciel firmy, który proponował zamianę pochopnie zakupionych książek.

Kijów był podczas Kontraktów miastem tryskającym życiem, rozbrzmiewającym dzwonkami sanek miejscowych rysaków, zaprzęgami przybyłymi z majątków. W tym to okresie odbywało się najwięcej swatań, kojarzeń młodych par, zaręczyn. Odbywały się również kiermasze i kwesty, a lokal księgarni był zawsze otwarty dla tych dobroczynnych imprez. Firma „Leon Idzikowski” brała zawsze udział, ofiarując fanty i kwoty pieniężne.

W styczniu 1909 roku był jubileusz pięćdziesięciolecia działalności firmy „Leon Idzikowski”, która została założona w 1858, a otwarta w 1859 roku. Jako jedenastoletni chłopak nie mogłem brać udziału we wszystkich uroczystościach tego jubileuszu, które trwały kilka dni. Babcia Hersylia – wdowa po założycielu, moi rodzice i pracownicy byli pochłonięci przypasowaniem wizyt, prezentów i korespondencji gratulacyjnej z okazji tej rocznicy. Po jubileuszu pozostała moc pamiątek, listów, depesz, które firma otrzymała z całego świata. Do dziś jednak zachowało się ich niewiele.

Któregoś dnia Matka postanowiła odwiedzić z nami Berdyczów. Już w dorożce, która wiozła nas Nestorowską, Funduklejowską, Pirogowską, Bibikowskim Bulwarem, Bezakowską na dworzec kolei żelaznej, brat mój i ja zachowywaliśmy się niesfornie i wojowniczo, tak, że Matka musiała nas poskramiać, obawiając się, aby chłopcy nie powypadali na bruk. Po usadowieniu nas przez *nosilszczyka* w przedziale drugiej klasy, w którym obecni już pasażerowie nie przyjęli nas zbyt radośnie, przyklepiliśmy się do szyby okna wagonu. Ciekawił nas zawieszony na peronie duży mosiężny dzwon. Rozległ się dźwięk dzwonu, raz, dwa razy i po przerwie trzy razy, po czym coś targnęło wagonem, pociąg wysunął się z peronów dworca i dudniąc coraz szybciej powiózł nas do Berdyczowa. Te wrażenia były tak silne, że dalsza podróż dla brata i dla mnie odbyła

się bez bijatyki, zresztą Matka wydobyła z walizek różne zapasy, a my jedliśmy i gapiliśmy się przez okna wagonu. W Berdyczowie zajechaliśmy do jakiegoś hotelu żydowskiego, bo miasto było w większości zamieszkane przez ludność żydowską. Po przespanej nocy podczas śniadania pobiliśmy się z bratem tak, jak to było w naszym zwyczaju i dostaliśmy lanie gorsetem matki, która szykowała się do wyprowadzenia swoich dzieci na miasto. Dorożkarz odwiózł nas do klasztoru, którego mury obronne były oblepione kramami. Wysłuchaliśmy w kościele Mszy świętej, podczas której przy odgłosie organów i dzwonków nastąpiło odsłonięcie cudownego obrazu Matki Boskiej. Byliśmy bardzo poważni i grzeczni. Z Berdyczowa wróciliśmy bez przygód do Kijowa.

W roku 1908 rodzice oddali mnie do klasy wstępnej I Gimnazjum Kijowskiego. Ojciec i Matka zaprowadzili mnie do zabytkowego, olbrzymiego gmachu gimnazjalnego, huczącego od gwaru i swawoli uczniów, których liczba sięgała 900 chłopców. Dyrektor Niemołodyszew i inspektor Bodziański, po przywitaniu się z rodzicami, przekazali mnie całkiem wystraszonego i zdruzgotanego w ręce profesora języka rosyjskiego Mitrofana Iwanowicza Trościańskiego, który wprowadził mnie do klasy, a w niej już siedziało w ławkach wielu pyzatyh i szczupłych chłopców – przeważnie złękniomyh obcą atmosferą i przeczuciem zmiany w życiu oddalającej ciepło domu rodzicielskiego. Wypracowanie, które dyktował profesor Trościański pisałem w nieprzytomnej rozpacz, płakałem bez ustanku tak, że kajet był mokry, a wybazgrane przeze mnie litery były rozlane i nieczytelne. Nie wiem co zdołała wyczytać komisja egzaminacyjna, ale zostałem przyjęty do wstępnej klasy gimnazjalnej.

Ojciec odąd był częstym gościem profesorów i dyrektora gimnazjum. Przyjeżdżał najczęściej sankami na wielką pauzę i szerokimi schodami marmurowymi szedł do dyrektora, który urzędował w bocznej salce o dwóch kolumnach przy wejściu. Do tej małej salki szło się przez całą długość wielkiej, o wysokości trzech pięter sali aktowej, po wyfroterowanej śliskiej, skrzypiącej posadzce, pod dwoma olbrzymimi żyrandolami, wzdłuż szeregu okien. Ściany sali były obwieszone ponadnaturalnej wielkości portretami carów: począwszy od Aleksandra I po Mikołaja II. Uczeń po przejściu tej sali był psychicznie doprowadzony do małości, gdy stał przed dyrektorem. Tam, za dużym biurkiem sie-

dział dyrektor Niemołodyszew, a nad nim na ścianie wisiał portret Tadeusza Czackiego – inicjatora założenia szkoły, organizatora i polskiego działacza oświatowego. Był to symbol i widomy znak promieniowania kultury polskiej na Ukrainie i na terenie naszego starego gimnazjum. Następnym dyrektorem był Storożenko. Podczas wizytowania szkoły przez cara Mikołaja II padł nasz dyrektor na podłogę plackiem. Stałem wówczas w szeregu na klatce schodowej i widziałem zdenerwowanie cara zaskoczonego przesadną służalczością dyrektora. My, uczniowie, wiedzieliśmy o przyczynie strachu tego carskiego sługi. Poprzedniego dnia wieczorem wychowanek naszego gimnazjum Bagrow na galowym przedstawieniu w operze strzelił i śmiertelnie ranił prezesa Rady Ministrów Stołypina. Car z rodziną był wówczas w loży.

Poza mną do gimnazjum o dwie klasy niżej chodził mój młodszy brat Marian. Siostra, najmłodsza w rodzinie, była uczennicą sławnej polskiej żeńskiej szkoły – gimnazjum Wacławy Peretiatkowicz. *Peretiatki* zawsze w kratki – tak przezywano te hoże dziewczęta, które miały nie lada urok dla uczniów Polaków z innych szkół kijowskich i były przedmiotem westchnień męskiej młodzieży w ogóle. Były to gorące patriotki, a my, uczniowie, byliśmy dumni z *peretiatek*.

Profesorowie mego gimnazjum oczywiście korzystali z nieograniczonych możliwości naszej księgarni, biblioteki, koncertów organizowanych przez firmę. Życiu mego gimnazjum i jego profesorom poświęcił wiele miejsca w swej wspaniałej książce Konstanty Paustowski – znany pisarz radziecki, a mój kolega starszy o kilka klas.

W roku 1911 rozwój firmy osiągnął tak wielkie rozmiary i rozmach, że Ojciec otworzył filię w Warszawie, przy ul. Marszałkowskiej 119. Ta decyzja okazała się później dla Ojca i rodziny zbawienną.

Życie w Kijowie po rewolucji 1905 roku płynęło na pozór spokojnym nurtem. Był to jednak nurt na powierzchni, wewnątrz ustroju carskiego postępował ferment rewolucyjny. Olbrzymie imperium było kolosem o glinianych nogach, tak, jak nam mówił Ojciec. Ponadto Europa już była podzielona sojuszami wojskowymi na dwa obozy, a traktat o przyjaźni rosyjsko-francuskiej oznaczał zerwanie z kilkunastowieczną tradycją przyjaźni rosyjsko-niemieckiej, scementowanej rozbiorami Polski. Aleksander III wyłamał się od zasady brania przez cara żony ze środowiska niemieckich księżniczek i choć syn jego Mikołaj II powrócił do tej tradycji i żona jego była Niemką, to jednak wpływy

niemieckie na dworze carskim i w polityce utraciły swoją siłę. Wszystko maszerowało ku wojnie, w wyniku której miała odrodzić się Polska.

Wydawał Ojciec nie tylko polskie książki i nuty. Cała twórczość muzyczna największego kompozytora ukraińskiego Mykoły Łysenki, partytury operowe, pieśni i muzyka instrumentalna – była wydawana przez firmę. Był on przyjacielem firmy i często żartobliwie powtarzał: „*Oj lachy, lachy, u was usie pany, a ludu nema*”. Ponadto nakładem firmy ukazało się wiele utworów muzyki ludowej i muzyki innych kompozytorów ukraińskich. Było to sprawą całkiem naturalną z uwagi na ucisk narodowy ze strony caratu. Wówczas żaden wydawca rosyjski lub niemiecki nie podjąłby się takiego zadania, a wykonał je Polak, w imię wspólnej walki o kulturę ciemiężonych narodów.

Rok 1913 był rokiem próby sił w Kijowie pomiędzy reakcją carską a siłami rewolucyjnymi. Miasto wrzało pod wrażeniem rozpoczynającego się procesu Żyda kijowskiego Beylisa, którego władze carskie oskarżyły o dokonanie mordu rytualnego na chłopcu o nazwisku Juszczyński. Ciało chłopca pokłute nożami i wykrwawione znaleziono w pieczarze jednej z licznych gór kijowskich. Policja rosyjska, która przeprowadzała śledztwo w tej sprawie, i koła „czarnej sotni” liczyły, że udowodnienie mordu rytualnego skieruje uwagę narodu rosyjskiego przeciwko Żydom, jako rzekomym winowajcom wszelkiego zła w Rosji, co spowoduje pogrom ludności żydowskiej na obszarze całego imperium. W tych warunkach aparat państwowy przygotował akt oskarżenia Beylisa, a Żydzi i postępową inteligencja organizowali obronę w tej sprawie, tak decydującej dla ludności żydowskiej i dla idei równouprawnienia narodów zamieszkających w Rosji. Obrona zaangażowała najgłośniejszych ówczesnych adwokatów z Karabczewskim na czele. Organizacją obrony zajmował się Walery Jastrzębiec-Rudnicki, wówczas młodziutki adwokat.

Z okien gimnazjum widziałem jak Kozacy wzdłuż Dużej Włodzimierskiej szarżowali końmi studentów, którzy gromadnie wychodzili z pobliskiego Uniwersytetu. Matka wówczas przybyła po nas do gimnazjum, abyśmy z bratem nie wpadli pod patrole kozackie obiegające miasto.

Do Ojca do księgarni przychodzili przedstawiciele „czarnej sotni” z żądaniem wystawienia literatury antyżydowskiej w oknach wystawowych, natomiast Żydzi

interweniowali o wystawienie materiałów wydanych w ich obronie. Firma jednak nie chciała brać udziału w tej sprawie, na rozdmuchiwanie której zależało policji carskiej.

Nagle, w trakcie toczącego się od kilku dni procesu, nastąpił nieoczekiwany zwrot. W krańcowym, antyżydowskim, prawicowym dzienniku rosyjskim „*Kijewlianin*” redaktor naczelny, poseł do Dumy Państwowej Szulgin opublikował artykuł demaskujący prowokacyjną robotę policji, wyłączając Beylisa z podejrzeń o popełnienie mordu. Oskarżał ponadto głównego świadka Wierę Czebierak o udział w zbrodni zamordowania Juszczyńskiego. W tym stanie rzeczy Beylis został zwolniony od zarzutów morderstwa i wysłany przez współplemieńców do Palestyny. Cała mozolnie przygotowana przez policję carską kampania antyżydowska została przez prawicowego posła Szulgina zniweczona. Było to olbrzymie poderwanie autorytetu carskiej władzy.

Wielkanoc w Kijowie była szczególnie uroczą na tle budzącej się po zimie przyrody i młodej zieleni. Często jeszcze po kątach w ogrodach leżał brudny śnieg, po stromiznach płynęły z szumem strumienie wody, a już zaczynały się przygotowania do świąt. Do naszego domu już na kilka tygodni przed świętami zaczynały przyjeżdżać ciotki, babcie, siostry i przyjaciółki. Babcia Hersylia uchodziła za dobrą gospodynię i była autorką przepisów mazurków wielkanocnych, umieszczonych w książce „*Kucharka szlachecka*”, wydanej nakładem naszej firmy. Mazurkami tymi objadałem się, zwłaszcza tymi czekoladowymi, które były właściwie kruchą masą czekoladową. W kuchni rządziła wszystkim kucharka Apolonia, której bali się domownicy. Przy mieszkaniu na Kreszczatiku 33 był internat dla wychowanków i praktykantów księgarskich, kształcących się w zawodzie przy firmie „Leon Idzikowski”. Z tej to szkoły księgarskiej wyszedł liczny zastęp przyszłych księgarzy i wydawców. Liczba uczniów sięgała 20. Wyżywienie, oprócz rodziny, dotyczyło i tych wychowanków firmy. Apolonia potrafiła utrzymać w garści tych często swawolnych stołowników. Wielki Tydzień był dla Apolonii szczególnie pracowity. W Wielką Sobotę przyjeżdżał ksiądz proboszcz kościoła św. Aleksandra, by poświęcić jadalnię. W ostatnich latach przed wojną 1914 r. był nim ksiądz prałat Teofil Skalski. Pierwszego dnia świąt Ojciec podejmował świętym wszystkich pracowników firmy, jej oddziałów, także warszawskiego. W kilka godzin później zjawiała się cała rodzina, która na ten czas zjechała do Kijowa. Stoły uginały się od różnego drobiu, szynki ubranych przy

kości kolorowym papierem, od faszerowanych prosiat, tradycyjnie z jajkiem w pysku, od bab wielkanocnych ubranych lukrem, nalewek i innego jadła. Kwiatem wielkanocnym był hiacynt, dekorujący licznie stół przykryty obrusem. W drugi i trzeci dzień świąt odbywała się wędrówka panów składających wizyty oficjalne i ceremonialne. Do dobrego tonu należało zapraszanie gości do poczęstunku i ostentacyjna dłuższa ceremonia wyrażania zgody na udział w posiłku. W Kijowie jadło się dobrze, obficie, tłusto i piło się przy tym nie wylewając za kołnierz.

Wybuch wielkiej wojny 1914 roku zastał nas na letnisku nad Morzem Czarnym pod Odessą. Ojciec, pomimo wstrzymania ruchu na kolei z powodu transportu armii rosyjskiej, dzięki swoim stosunkom przyjechał po nas do Odessy i w zarezerwowanym przedziale przewiózł nas do Kijowa.

Wojna była przyczyną wielkich nieszczęść dla wielu polskich rodzin, w których mężczyźni zostali zmobilizowani i wzięci na front. Pierwsze ofiary wojny i powroty rannych z placów dalekich bojów przejęły do głębi serc mieszkańców Kijowa, ale w miarę czasu jak wojna przedłużała się, rosła obojętność na powszechne tragedie. Życie przystosowało się do tych nowych warunków. Po pierwszych zwycięstwach armii rosyjskiej w Galicji i po zajęciu Lwowa w 1915 r. armie niemieckie i austriackie przeszły do wielkiej ofensywy, zajęły Warszawę, odebrały Lwów. Brak amunicji był jednym z powodów klęski wojsk rosyjskich. Kradzieże i nadużycia ze strony odpowiedzialnych za wyposażenie armii spowodowały postawienie pod sąd niektórych wykrytych winowajców. Społeczeństwo domagało się surowego ukarania winnych, na czele z ministrem wojny Suchomlinowem. Jednak dwór carski z cesarżową na czele, bo car był w kwaterze wojennej, z uwagi na stosunki i przyjaźń z Niemcami wyraźnie tuszował skandaliczną dla narodu rosyjskiego sprawę.

W 1915 roku z Polski do Kijowa napłynęła wielka fala uchodźców-*bieżeńców*, uciekających przed najazdem niemieckim na ziemie należące do Imperium Rosyjskiego. Wówczas to Kijów stał się wysoce spolonizowanym kulturalnie miastem. Teatr Polski pod kierownictwem dyrektora Rychłowskiego stał się największą atrakcją Kijowa, nie tylko dla Polaków, ale i dla osób innych narodowości. Nic dziwnego, bo na scenie teatru występowali tacy artyści przybyli z Polski, jak Osterwa, Jaracz, Węgrzyn, Frenkiel, Fertner, Przy-

byłko-Potocka, Larys-Pawińska, Gellówna i inne asy teatru. Do miasta zjechali również Polacy o wybitnych nazwiskach, zasłużeni dla literatury, muzyki, sztuki i polityki. Przed Ojcem i firmą „Leon Idzikowski” stały trudne zadania udzielenia pomocy przybyłym do nas rozbitkom społeczeństwa polskiego. Firma zaroila się od nowych pracowników-uciekierów. Przystąpiła też do masowego druku polskich książek. „*Elementarz Jagielloński*”, opracowany przez Cecylię Niewiadomską, został wydany przez mego Ojca w olbrzymim nakładzie około pół miliona egzemplarzy, a rozprowadzono go do wszystkich zakątków cesarstwa rosyjskiego, tam gdzie tylko znajdowali się Polacy. Kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy elementarza Ojciec mój ofiarował uchodźcom. Jednocześnie firma podjęła wydawnictwo książek polskich, w szczególności beletrystycznych. Ponadto firma kontynuowała wydawnictwa wszelkich kalendarzy w języku polskim, poczynając od kieszonkowych, a kończąc na kalendarzu „*Jutrzenka*” dla wsi i miasta i „*Kalendarzu kijowskim*” o charakterze literackim.

W domu Ojca odbywały się nieraz większe przyjęcia, zwłaszcza dla świata artystycznego. Na jednym z takich przyjęć zasiedli do stołu tacy ludzie, jak: Sergiusz Rachmaninow, Karol Szymanowski, Reinhold Gliere – ówczesny rektor konserwatorium kijowskiego, Józef Weyssenhoff, Kornel Makuszyński i inni przedstawiciele świata kulturalnego. Babcia Hersylia, Ojciec i Matka dopuścili i mnie do stołu. Wówczas to Rachmaninow w ostrych słowach skarcił Szymanowskiego, który nieprzychylnie wypowiadał się o muzyce Chopina. Pamiętam, jak Ojciec mój łagodził to zajście pomiędzy genialnymi muzykami. Szymanowski w kilka lat później nawrócił się bez reszty do muzyki Chopina i napisał wspaniałą rozprawę o niej i o Chopinie.

W naszym wielkim ogrodzie przy ulicy Nestorowskiej była taka zwykła drewniana altana, która odegrała ciekawą rolę w naszym życiu. Była ona bardzo obszerna i zamykana okiennicami tak, że robiła wrażenie małego drewnianego domku, chroniącego przebywających w ogrodzie od deszczu. We wnętrzu jej była stara kanapa z oparciem, stały dwie ławy i stół na środku. Do altany, ustawionej pod parkanem ogrodu, prowadziła główna aleja zbiegająca z górnego tarasu, z którego schodziło się po schodach do dolnej wielkiej części ogrodu. W tej to altanie działy się różne rzeczy, od bardzo doniosłych do zwykłych ludzkich i słodko grzesznych. Ojciec mój w dni deszczowe czytał tam prasę polską, rosyjską i zagraniczną, otrzymywaną przez agencję prasową naszej firmy oraz studiował katalogi księgarskie i

nutowe. W altanie odrabialiśmy lekcje i przygotowaliśmy się do egzaminów. Również tam odbywały się zabawy z kolegami. W latach wojennych altana była latem nieraz miejscem schronienia i noclegu dla polskich żołnierzy, udających się w dalszą tułaczkę do Francji, do armii Hallera. Byli to zbiegowie z rozpadaającej się armii carskiej i z obozu jenieckiego w Darnicy pod Kijowem. W altanie tej ukrywał się w dni niespokojne podczas walk rewolucyjnych poszukiwany i ścigany ksiądz prałat Teofil Skalski, proboszcz kościoła św. Aleksandra. Altana była również miejscem romantycznych przygód i wówczas gdy za jej zamkniętymi drzwiami gruchała szczęśliwa para, ja z bratem, dorastające urwisy, płataliśmy złośliwe kawały. Ukryci w pobliżu w krzakach bzu i na drzewach nasłuchiwalimy szmerów i odgłosów dochodzących w mroku wieczora spoza cienkich ścian naszej altany. Po doczekaniu się dojrzałej w naszej wyobraźni sytuacji rzucaliśmy grudami ziemi spod drzew owocowych w ściany altany, w której zaczynało się wtedy niesamowite zamieszanie. Po chwili w drzwiach ukazywał się dorosły kuzyn lub znajomy i wygrażał nam, a my, radzi z wyrządzonego kawału, uciekaliśmy w głąb ogrodu.

Teatr Polski, klub „Ogniwo”, księgarnia „Leon Idzikowski” i Towarzystwo Dobroczynności były ważniejszymi miejscami publicznych spotkań Polaków. Po przyprawie fali uchodźców były to miejsca rozmów, zbierania wiadomości, czerpania otuchy i wszelkich wzajemnych informacji. A wiadomości było coraz więcej, tak dobrych, jak i złych. Korespondencja nadchodząca i wychodząca z księgarni była, jak twierdził urząd pocztowy, największa w Kijowie. Księgarnia wysyłkowa pracowała ze zdwojoną energią, aby utrzymać łączność i zaspokoić potrzeby Polaków rozsianych po wielkich obszarach imperium.

Polskim pismem wychodzącym w Kijowie był „*Dziennik Kijowski*” – pismo społeczno-polityczne i literackie (redakcja mieściła się na Kreszczatiku 38). Znajdował się on prawie w każdym polskim domu. Było to pismo, które choć może nie wyrażało opinii wszystkich Polaków, jednak łączyło nas i przynosiło wiadomości z kraju.

Polacy byli zawsze wielkimi indywidualistami i nawet wśród obcych, na wygnaniu, byli skorzy do różnicy zdań, zwłaszcza ci, którzy przybyli z falą uchodźców. Bo rdzenni kresowcy mieli wyrobione uczucie obronne solidarności narodowej. Z tych to czasów ocalał u mnie egzemplarz „*Dziennika Kijowskiego*”. Historyczny ten numer na połowie pierwszej strony

umieścił nekrolog zapowiadający na dzień 10 listopada 1916 roku nabożeństwa w kościołach i kaplicach Kijowa za duszę zmarłego w Szwajcarii Henryka Sienkiewicza. Na nabożeństwo zapraszało wiele organizacji i instytucji istniejących w Kijowie, których ilość świadczyła o wspaniałym zorganizowaniu się Polaków w tym mieście. Dla przykładu podaję ich nazwy: Rada Okręgowa Kijowska, Okręg Kijowski Centralnego Komitetu Obywatelskiego, Polski Lwowski Komitet Ratunkowy, Oddział Kijowski Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, Chełmski Komitet Obrony Większej Własności Ziemskiej, Rzymsko-Katolickie Towarzystwo Dobroczynności, Koło Kobiet Polek, Koło Literatów i Dziennikarzy Polskich, Polskie Towarzystwo Gimnastyczne, Polskie Towarzystwo Lekarskie, Polskie Towarzystwo Przemysłowo-Techniczne, Towarzystwo Pomocy Studentom Polakom, Klub Polski „Ogniwo”, Polskie Towarzystwo Miłośników Sztuki, Prawnicy Polscy, Młodzież Polska i redakcje pism polskich wychodzących w Kijowie. Ta imponująca, choć zapewne nie wyczerpująca wszystkich nazw lista, była dowodem prężności Polaków w naszym mieście.

W tym samym numerze „*Dziennika Kijowskiego*” można zapoznać się z życiem Kijowa. Są więc ogłoszenia: Kino Teatru A. Szancera (Kreszczatik 28) daje program z udziałem znanego Chaplina, Kino „Ekspress” (Kreszczatik 25) występuje z dramatem w 4 częściach. Teatr Miejski wystawia operę „*Halkę*” itd. Następnie można tam znaleźć artykuły: „*Henryk Sienkiewicz*”, „*Samodzielność gospodarcza Ziemi Polskich*”, „*Franciszek Józef Pierwszy*” (z okazji zgonu) i obszerną rubrykę „*Za kordonem*” (tj. w Polsce za linią frontu). W numerze tym w specjalnej rubryce „*Na fundusz im. Sienkiewicza*” znajduje się wykaz ofiar na ten cel, wśród nich i z firmy mego Ojca. W Teatrze Polskim odbyła się akademicka uczczenie Henryka Sienkiewicza, na której obecni byliśmy z rodzicami.

Z dala od frontu i krwawych walk, pod koniec 1916 roku i na początku 1917 roku, na przyjęciach u mego Ojca mówiono wiele o zabójstwie Rasputina i o złej cesarzowej Alicji – Niemce, która w Petersburgu wraz z dworem carskim jest w zмовie z Niemcami i dąży do klęski armii rosyjskiej.

Nasze gimnazjum zostało przeniesione do gmachu szkoły prywatnej Stelmaszenki przy Zaułku Rylskim. Lekcje odbywały się po południu. W pięknym gmachu gimnazjum na Bulwarze Bibikowskim założono szpital wojskowy dla wielkiej ilości rannych, którzy napływali bez przerwy z frontu.

Któregoś dnia w marcu usłyszeliśmy wiadomość, że na rogach ulic stójkowi stoją w towarzystwie studentów i robotników, że chleb i cukier jest wydawany bez kartek żywnościowych, że nastąpił przewrót w Petersburgu, cara już nie ma, jest rewolucja i wolność. W kilka dni później Kreszczatikiem ciągnął olbrzymi pochód mieszkańców Kijowa i wojsk garnizonu kijowskiego. Lekcje w szkołach zostały zawieszone. Staliśmy na balkonie składu fortepianów Kerntopfa, mieszczącym się przy Kreszczatiku. Cała ulica była wypełniona sztandarami, hasłami i tłumem manifestantów: Rosjan, Ukraińców, Żydów i Polaków, niosących orły polskie i nasze barwy, zabronione od wieków na ulicach Kijowa. Wszystkie te sztandary łopotały na wiosennym marcowym wietrze. Na Placu Dumskim pomnik Stotypana, reaktionisty i tępicieła wszelkich swobód w rewolucji 1905 roku, skrzępowano sznurami. Pomnik runął przy grzmiących okrzykach zemsty mieszkańców Kijowa świętujących zwycięstwo. Nigdy potem w życiu nie czułem tak potężnego i żywiołowego powiewu wiosny. Była ogólna zgoda i jedność braterska ludzi upojonych niepowtarzalną wiosną rewolucji. Później narosły różnice poglądów, powstały nienawiści i porachunki za różnice przekonań i zaczęła się kilkuletnia okrutna wojna domowa. Ale wówczas była wiosna w umysłach, kojące upojenie po długiej zimie caratu. Z balkonu krzyczeliśmy „*Niech żyje Koło Polek*”, które maszerowało ulicą w pochodzie. „*Niech żyje Polska*” – wołaliśmy. Księgarnia tego dnia była nieczynna, jak i wszystkie sklepy, ale Ojciec był zajęty jak zwykle pracą nad wykorzystaniem polskiej książki dla nowej dziejowej sytuacji, o której marzyli nasi ojcowie i dziadowie.

Do Polski droga była jeszcze zamknięta linią frontu. A na Ukrainie powstało zamieszanie. Oficerowie carscy, junkrzy licznych szkół oficerskich, Ukraińcy różnych odcieni politycznych (Gruszecki, Winniczenko, Petlura, a później Skoropadski), robotnicy arsenału, bolszewicy, mieńszewicy, socjalrewolucjonerzy, Polacy o różnych poglądach politycznych, połączeni wspólną myślą powrotu do Polski, i Żydzi – wszyscy zamieszkujący Kijów wzięli się do walki. Szesnaście zmian władzy czekało nasz stary Kijów.

Pierwsze lato rewolucji w 1917 r. upłynęło na nieustannych wiecach. Tłumy dezertów z frontu i różnego ludu od rana do wieczora wiecowały na placach miasta, na których leżało wiele agitacyjnej literatury, a z balkonu teatru operowego często przemawiali mówcy. Z całej Rosji nadchodziły wiadomości o wal-



Warszawska firma „Leon Idzikowski” po II wojnie światowej

kach ulicznych i brataniu się żołnierzy rosyjskich i niemieckich oraz o rozpadzie armii rosyjskiej. Na wsi ukraińskiej, gdzie oddawano ziemię chłopom, wyrosła gwałtownie nienawiść do dworów i oficjalistów w majątkach, którymi często byli Polacy. Ukraina zapłonęła pożarami majątków, pogromami Polaków i Żydów. Kijów i większe miasta Ukrainy stały się schronieniem dla nowej fali polskich uchodźców ze wsi.

Księgarnia mego Ojca pracowała gorączkowo i była miejscem najczęstszych spotkań tych nowych rozbitków, dotychczasowych klientów firmy. W księgarni, z powodu rosnącej drożyzny, pracownikom ustawicznie podnoszono pensje i uspokajano rosnące wrzenie. Ojciec mój pracował z niesłychaną energią, pokonując coraz większe kłopoty.

15 sierpnia 1917 roku cała rodzina zebrała się na letnisku w Darnicy pod Kijowem na tradycyjnych imieninach mojej ciotki Marii Jaszczewskiej. Ojciec nadjechał później bardzo zmęczony zawiłą sytuacją księgarni. Po obiedzie babcia Hersylia, prowadzona

przez Ojca, przeszła z werandy do ogrodu i siedząc na ławeczce rozmawiała z ukochanym synem, a ja stałem przed nimi i słuchałem. Po chwili staruszka umilkła i upadła na ręce mego Ojca. Wezwany lekarz z obozu jeńców austriackich w Darnicy po zbadaniu stwierdził zgon. Od tej śmierci stałem się nierozłącznym cieniem mego zrozpaczonego Ojca i postanowiłem włączyć się do jego ciężkiej pracy księgarza-wydawcy.

Latem 1918 roku Kijów i cała Ukraina została zajęta przez armie niemiecko-austriackie, a władzę na Ukrainie sprawował marionetkowy hetman Skoropadski. Polacy po wkroczeniu Niemców i Austriaków na Ukrainę i otwarciu drogi do Polski, zwłaszcza uchodźcy, zaczęli z Kijowa masowo wyjeżdżać do kraju. Kijów tracił znaczenie ośrodka promieniującego polskością na obszarach dawnej Rosji.

Także mój Ojciec postanowił pojechać do Warszawy, by poznać sytuację w Polsce. (Od 1915 roku do 1918 byliśmy oddzieleni od Polski i naszej filii w Warszawie.) Podróż trwała dwie doby, ponieważ istniało stałe niebezpieczeństwo wysadzenia każdego pociągu przez grasujące bandy i partyzantów. Pociąg szedł pod niemiecką eskortą wojskową i w przedziałach było pełno wojskowych Niemców i Austriaków. Niemcy wywozili wszystko do wygłodzonego Vaterlandu, nawet czarnoziem z pól ukraińskich. Już po drodze, a zwłaszcza bliżej Brześcia, odczuwaliśmy bliskość kraju.



Grób Leona Idzikowskiego na Cmentarzu Bajkowa w Kijowie

Do przedziału wchodziły również osoby cywilne i coraz częściej słychać było mowę polską.

Były nam mocno serca, kiedy tragarz wyniósł nasze walizki przed Dworzec Wiedeński w Warszawie i zwołał dorożkę, których stało kilka przed dworcem. Ruch na ulicach był w porównaniu z Kijowem niewielki. Zaskoczyły nas, przybyszów z Kijowa, niektóre niespodzianki. Tramwaje konne, nie elektryczne, stuk drewnianych podeszew przechodniów, mundury straży obywatelskiej i czapki studenckie Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa była przez lata okupacji, tj. od 1915 roku, stale ogoławana przez Niemców. Miedź, a więc i sieć elektryczna tramwajów, została zdjeta, aby przetopić ją na potrzeby wojenne. Ponadto ludność dostawała na kartki chleb, zwany „*dynamitem*” z powodu skutków przy trawieniu. Cukru nie było, dawano sacharynę. Warszawskie dorożki były jednak większe, eleganckie i wyposażone w budę od deszczu, w odróżnieniu od kijowskiego *izwozczyka*, który nie miał budy i nie osłaniał pasażera nawet podczas ulewy.

Zajechaliśmy pod Hotel Europejski do bramy od Krakowskiego Przedmieścia i zostaliśmy wprowadzeni przez bardzo grzeczną służbę hotelową do pokoju. Kierownik oddziału warszawskiego firmy Bolesław Hoffman, wychowanek naszej firmy, powiadomiony o przyjeździe Ojca wprowadził nas w życie Warszawy. Przyjazd mego Ojca z bogatego, gościnnego Kijowa był wydarzeniem w Warszawie.

Wznowienie współpracy z wydawcami i księgarzami warszawskimi wypełniało całodzienną pracę Ojca, ponadto resztę czasu zajmowały wizyty u znajomych i osób oficjalnych. Ojcu składano różne propozycje, np. przeniesienia ciężaru działalności firmy do Warszawy. Trzaska prowadził z Ojcem rozmowy w sprawie uruchomienia wspólnego wydawnictwa i księgarni. Ojciec jednak był sercem i myślami związany z wieloletnią pracą w Kijowie. I nie należało się dziwić, bo owoce tej pracy były wielkie.

Ojciec wracał do Kijowa z wiarą, że będzie nadal zajmował się swoją pracą i że będzie mógł służyć społeczeństwu nad Dnieprem. Był szczęśliwy, że w Warszawie, którą nazywał „*Matką Łzawą, co swych wrogów nie pamięta*”, zdobył nowy zapas sił. Wiózł moc różnych zleceń oraz nowości książkowe i nutowe, które w okresie tych trzech lat rozłąki z powodu wojny nie były znane na Ukrainie. W drodze powrotnej odczuwaliśmy zaostrenie wrzenia, niebezpiecznie było na kolei. Nasz pociąg w okolicach Fastowa uległ sabotażowi. Stałem wówczas na otwartej platformie, kiedy raptem wagon

oderwał się od pociągu. Pomost rozpadł się w drzazgi, wypadłem na tory kolejowe, szczęśliwie staczając się z nasypu i ratując w ten sposób życie. Dalsza droga odbyła się już bez przygód.

W Kijowie trafiliśmy na zamach na Eichhornna, niemieckiego generalnego gubernatora Ukrainy. Niemcy i ich sojusznicy cofali się na wszystkich frontach. Polacy – obywatele ziemscy, oficjaliści – wraz z rodzinami opuszczali swe ojczyste gniazda i szukali schronienia w większych miastach.

W listopadzie 1918 roku Niemcy opuścili Kijów. Przegrali wojnę. Hetman ukraiński z łaski Niemców Skoropadski, biali Rosjanie, Ukraińcy spod znaku Petlury i bolszewicy toczyli walki w mieście i jego okolicach. W Polsce istniał już Rząd Polski z naczelnikiem państwa Józefem Piłsudskim i prezesem rady ministrów Ignacym Paderewskim na czele. Do Kijowa, podczas walk w mieście, docierały te i inne sprzeczne wiadomości. Księgarnia nie zawsze była czynna. Zależało to od nasilenia walk w mieście.

Zasługi Ojca w pewnej mierze osłaniały nas przed szalejącym chaosem, jednak każdy dzień był darowany. Rok 1919 przyniósł kilkakrotne zmiany rządów w Kijowie. Księgarnia została upaństwowiona. Ojciec dwukrotnie był aresztowany, lecz został zwolniony za wstawiennictwem pracownika-komunisty.

Latem 1919 roku Kijów zajęła armia generała Denikina. Walki przeniosły się w okolice Kijowa nad rzekę Irpień, skąd stale grzmiała artyleria walczących stron. Księgarnia była otwarta prawie co dzień, ale większość pracowników Polaków odjechała do Polski, przedzierając się przez ogarniętą ogniem Ukrainę i linię polskiego frontu. Ojciec wciąż pozostawał w Kijowie, jako jeden z niewielu, obok księdza Teofila Skalskiego i resztek polskiego społeczeństwa.

Któregoś jednak dnia październikowego ogień artylerii zaczął dosięgać miasta. Zza Dniepru pociski coraz częściej padały na miasto. Księgarnia była stale zamknięta, jak większość sklepów w Kijowie. Prawie co dzień odwiedzaliśmy naszego radcę prawnego firmy adwokata Andrzeja Michałowskiego, zamieszkałego przy ulicy Rejtarskiej. Dodawał nam otuchy do wytrwania w Kijowie. Był to mecenas wysokiej klasy, odważny, o przekonaniach jak najbardziej postępowych jeszcze za caratu, co zresztą Ojca narażało na szykany władz carskich. Miał zawsze dokładne wiadomości z kół rewolucyjnych Kijowa.

Nadszedł taki dzień, że nasz radca i przyjaciel przestał zatrzymywać nas w Kijowie. Jednopiętrowy nasz

dom na Nestorowskiej był coraz mocniej wstrząsany uderzeniami pocisków, które coraz gwałtowniej kruszyły domy miasta. Ostatnie składy pociągów stały na kijowskim dworcu kolejowym. Należało natychmiast zdecydować się na opuszczenie domu, aby nie utracić ostatniej okazji wyjazdu. Tego tragicznego dnia opuszczaliśmy dom, który tak bardzo kochaliśmy, jak ptaki własne gniazdo. Przebiegłem tego smutnego poranka nasz piękny ogród i wszystkie pokoje, czując dreszcz zimnej trwogi na plecach, i wstyd, że muszę odchodzić jak dezterter.

Do domu przybyło kilku pracowników firmy, którzy wraz z ojcem zdecydowali się na wspólną drogę do kraju. Wychodziliśmy z domu zasobnego i ciepłego w tym co mogliśmy włożyć na siebie. Nie nieśliśmy żadnych rzeczy. Ojciec zabrał jedynie inwentarz firmy. Przeżegnani przez obydwie staruszki, babcię Marcelinę i jej siostrę Marię, pozostające w Kijowie, opuściliśmy dom i przez wyludnioną ulicę Nestorowską ruszyliśmy na dworzec piechotą, bo w bombardowanym mieście nie było żadnych pojazdów, a na ulicy Fundulejskiej zwieszały się poszarpane pociskami druty tramwajowe. Zatrzymaliśmy się na rogu Nestorowskiej i Fundulejskiej, aby raz jeszcze spojrzeć w dół ku Kreszchatikowi, gdzie była księgarnia i mieszkanie po zmarłej babci Hersylii. Kilka pocisków, które uderzyły opodal Soboru Włodzimierskiego u wylotu Nestorowskiej i Bulwaru Bibikowskiego przerwały naszą zadumę i przyspieszyły nasz żałobny pochód Bibikowskim Bulwarem i Bezakowską do dworca.

Na dworcu kijowskim panował nastrój paniczny, a dolatujące od czasu do czasu pociski powiększały zamieszanie. Jednak spora ilość zgromadzonych tu rodzin polskich potrafiła zorganizować się i w zgodzie uzyskać kilka wagonów towarowych, w których zajęliśmy miejsca. Fala uchodźców z Kijowa, cywilnych i wojskowych, pozostała na dworcu, walczyła o zdobycie miejsc i trzeba było odpierać natarcie zrozpaczonych. Maszyniści bez okupu i gróźb nie chcieli prowadzić pociągu.

Staliśmy tak całą noc, patrząc przez otwarte drzwi wagonu towarowego na pożary i łuny bombardowanego Kijowa. Pociski szarpały to nasze kochane miasto, a my tęskniliśmy jeszcze wciąż za powrotem do domu, gdzie może jeszcze wszystko czekało na nas, albo dopalało się, lub było grabione przez grasujących morderców. Tam na płonących wzgórzach Kijowa drżały o nas na pewno dwie pozostałe w domu staruszki.

O świcie, późnym jak to w październiku, pociąg powoli zaczął się wytaczać z dworca kijowskiego. Jechaliśmy do Polski!

PIONIERZY SPAWALNICTWA

W 2016 roku Narodowa Akademia Nauk Ukrainy obchodziła 98. rocznicę urodzin swojego prezydenta Borysa PATONA. Utrzymuje on od lat liczne kontakty z Polską i Polakami, także jako dyrektor Instytutu Spawania Elektrycznego im. Jewgienija Patona. Oto wywiad, jakiego udzielił Borys Paton na moją prośbę wrocławskiej gazecie.

Janusz Fuksa

– Wyczytałem, że Pański ojciec ukończył gimnazjum we Wrocławiu.

– Mój ojciec Jewgienij Oskarowicz urodził się w rodzinie konsula rosyjskiego w Nicei w 1870 r. We Wrocławiu (wówczas Breslau) ukończył gimnazjum, a pierwsze wyższe wykształcenie otrzymał w Dreźnie. W 1894 r. wręczono mu dyplom inżyniera i zaproponowano pracę na katedrze mostów i w dużym biurze technicznym. Przed Jewgienijem Patonem otwierała się perspektywa błyskotliwej kariery w Europie, ale chciał on pracować w Rosji. Ponieważ niemiecki dyplom wówczas nie był uznawany w Rosji, Jewgienij Oskarowicz musiał ponownie zdać egzaminy i obronić pracę dyplomową w Petersburskim Instytucie Inżynierów Dróg Komunikacyjnych. W 1896 r. młody rosyjski inżynier już projektował mosty i wykładał w Moskiewskiej Szkole Inżynierskiej. W 1904 r. profesora Patona zaproszono do Politechniki Kijowskiej (KPI), proponując objęcie stanowiska kierownika katedry. W 1905 r. przeprowadził się więc do Kijowa i od tego czasu wiele lat przepracował w KPI.

W 1929 r. Jewgienija Patona wybrano członkiem Ukraińskiej Akademii Nauk. Do tego czasu zaprojektował ponad 40 mostów, napisał dziesięć książek i podręczników. Projekty Patona zdobyły światowe uznanie. W 1924 r. zbudował w Kijowie most przez Dniepr w miejsce mostu zburzonego przez wojsko Piłsudskiego w 1920 r. Zajmując się budową mostów Jewgienij Oskarowicz z czasem doszedł do wniosku, że nitowanie należy zastąpić spawaniem. Mając 60 lat zajął się rozwiązywaniem problemów spawalnictwa.

– Technologia spawania była już w tym czasie znana i stosowana.

– Rzeczywiście, istniało kilka metod spawania, ale stosowano je głównie w remontach. Jewgienij Oskarowicz stał się twórcą złożonych budowli inżynierskich, a będąc zakochanym w mosty, marzył o ich konstrukcji całkowicie spawanej. Już przed nim dokonywano prób spawania pojedynczych przęseł, ale zbyt często łamały się. Nie udawało się dokładnie ustalić przyczyn,

dlatego nikt nie dawał gwarancji na takie mosty. Podstaw naukowych nie było, a pytań pojawiało się mnóstwo. Chcąc znaleźć odpowiedzi na nie, Jewgienij Paton, jako pierwszy na świecie, opracował kompleksowy program badań w dziedzinie spawania metali. W 1929 r. stworzył Laboratorium Spawania przy Ukraińskiej Akademii Nauk, a w 1934 r. na jego bazie – także pierwszy na świecie – wyspecjalizowany instytut naukowo-badawczy. Chcąc być sprawiedliwym stwierdzę, że w tym czasie także w innych krajach rozpoczęto już badanie procesów spawalniczych, opracowywanie odpowiednich technologii, urządzeń i materiałów, a także doskonalenie konstrukcji spawanych. Ale wciąż nie było jeszcze racjonalnie opracowanych takich konstrukcji, bowiem projektanci kopiowali konstrukcje mostów i statków nitowanych. Nie znano sposobu spawania, który by zapewniał stabilnie wysoką jakość połączenia, nie było niezawodnej aparatury. Liczni badacze starali się rozwiązać pojedyncze problemy, na przykład były pewne sukcesy w opracowaniu elektrod otulonych, spawalniczych źródeł prądu, pracowano nad techniką spawania. Ale kompleksowym rozwiązaniem problemów, od których zależał los spawalnictwa, nie zajmował się nikt.

– I tym właśnie zajął się Jewgienij Oskarowicz?

– Tak, prawie wszystkim od razu, to jest kompleksowym rozwiązaniem masy konkretnych zadań naukowych i inżyniersko-konstrukcyjnych oraz doprowadzeniem idei do praktycznej realizacji, do wdrożenia.

W niewielkim swoim laboratorium, a później w instytucie, Jewgienij Paton zebrał specjalistów różnych profili, głównie ludzi młodych, którzy uczyli się u niego jak pracować – rzetelnie, z entuzjazmem, energicznie. Ponieważ specjalistów w dziedzinie spawalnictwa nie przygotowywała żadna uczelnia Ukrainy, w 1935 r. Paton zorganizował w KPI pierwszą na Ukrainie katedrę spawania i został jej pierwszym kierownikiem. Wykładali głównie pracownicy Instytutu Spawania Elektrycznego (IES). Niektórzy absolwenci przyszli do pracy w IES, inni poszli do fabryk, wdrażać nową tech-



Borys Paton

nikę. Tak Jewgienij Oskarowicz rozwiązał problem kadr. A obecnie, jak wiadomo, w Politechnice Kijowskiej działa wydział spawalnictwa, w którym wykładają pracownicy KPI, IES, a studenci odbywają praktyki w IES i przygotowują projekty dyplomowe o tematyce zadanej przez instytut. W wyniku tego część absolwentów przychodzi do nas do pracy, prowadzą tu działalność inżynierską i badania naukowe. W KPI działa także z naszym udziałem Ukraiński Metodyczny Kompleks Dydaktyczno-Naukowy SWARKA, który m.in. prowadzi kształcenie i atestację inżynierów spawalników.

W ciągu dziesięciu przedwojennych lat Jewgienijowi Patonowi i jego współpracownikom w Instytucie Spawania Elektrycznego udało się opracować wzorce konstrukcji spawanych o różnym przeznaczeniu, wytworzyć dobre jakościowo elektrody i, co najważniejsze, stworzyć własny krajowy sposób automatycznego spawania łukiem krytym, z odpowiednią aparaturą i materiałami spawalniczymi. Wszystko to osiągnięto w wyniku głębokich badań naukowych. Prace Patona wzbudziły zainteresowanie kolegów za granicą.

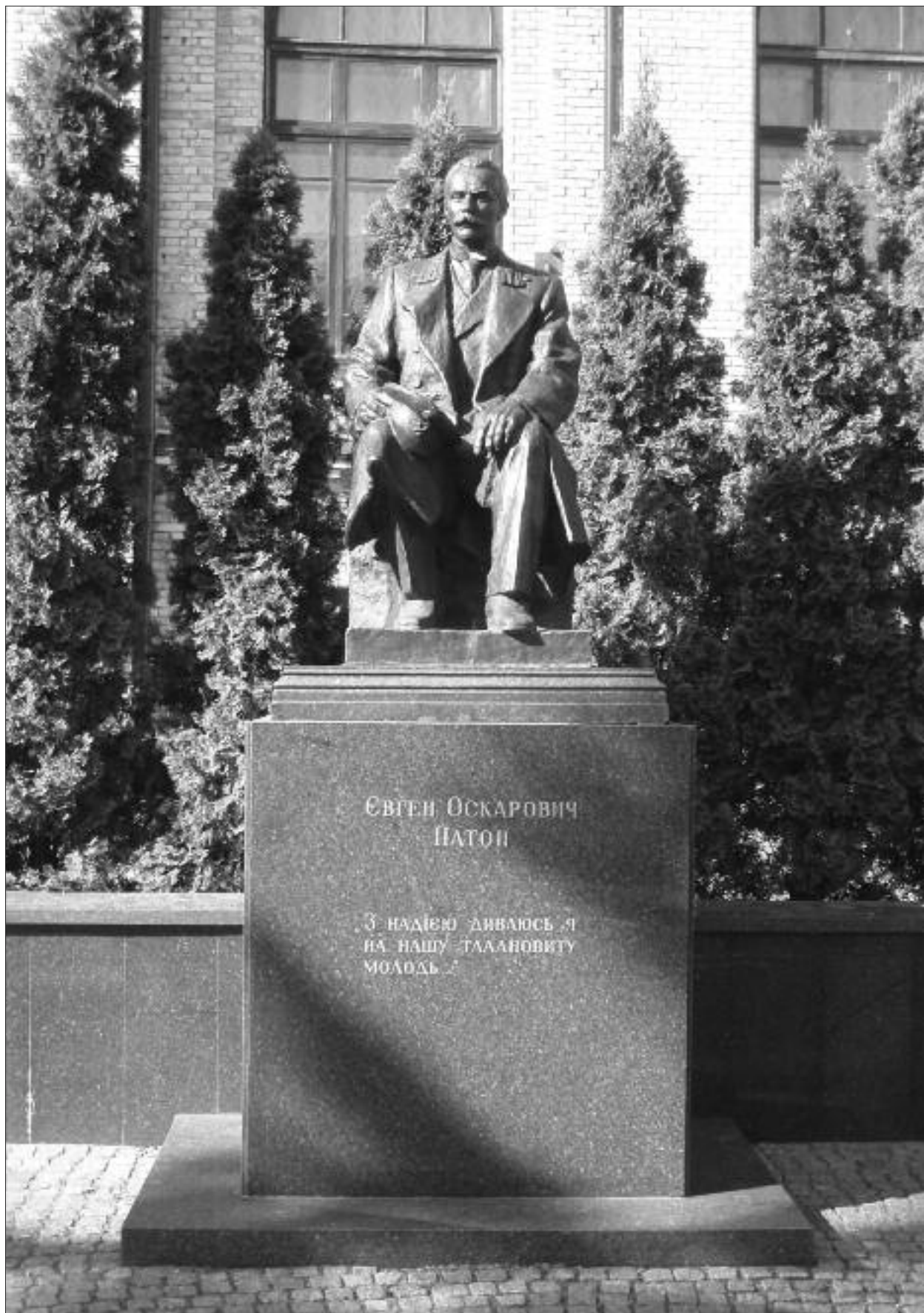
Do lata 1941 r. spawanie automatyczne było już stosowane w produkcji lokomotyw, urządzeń energetycznych, wagonów i innych ważnych wyrobów. Zaczęło się urzeczywistniać marzenie Jewgienija Oskarowicza – przystąpiono w zakładzie do spawania wielkich

przędź dla kijowskiego mostu przez Dniepr. Ale napaść hitlerowców na Związek Radziecki przerwała tę twórczą pracę.

– Jak pracował Instytut Spawania Elektrycznego w latach wojny, gdy faszyci okupowali Kijów?

– Instytut został ewakuowany na Ural, do Niżniego Tagiłu, gdzie znalazł miejsce w zakładach URAŁWAGONZAWOD. I choć część pracowników poszła na front, pozostali pracowali bezpośrednio w laboratoriach i wydziałach zakładów, w dzień i w nocy. Jewgienij Oskarowicz miał już ponad siedemdziesiąt lat, ale potrafił bywać wszędzie, odwiedzał inne fabryki, rozwiązywał sprawy organizacyjne w Moskwie.

Głównym osiągnięciem tego okresu było stworzenie technologii automatycznego spawania stali pancerniej. Już na początku 1942 r. technologię tę zaczęto stosować przy produkcji czołgu T-34, uważanego później za najlepszy czołg okresu wojny. W wyniku tego kilkakrotnie przyspieszono produkcję znakomitego czołgu, wyraźnie podniosła się jakość połączeń spawanych, przy tym zaoszczędzono energię elektryczną, a wielu wykwalifikowanych spawaczy przesunięto do innych prac. W rezultacie tylko w Uralskich Zakładach Budowy Wagonów wytworzono 35 tysięcy czołgów T-34. Patonowcy wdrożyli technologię spawania automatycznego także do produkcji innych czołgów, bomb



Pomnik Jewgienija Patona w Kijowie

lotniczych i okrętów. Warto zauważyć, że w USA spawanie automatyczne stali zbrojeniowej zastosowano dopiero w końcu 1944 r., a w Niemczech do samego końca wojny czołgi spawano ręcznie.

Możliwość spawania automatycznego uwzględniono przy modernizacji uzbrojenia, co pozwoliło na znaczne polepszenie jakości techniki bojowej. W ZSRR zbudowano więcej czołgów niż we wszystkich pozostałych wojujących krajach razem wziętych. Czołgi z patonowskimi spoinami uczestniczyły w wyzwoleniu Kijowa i wielu innych miast i sąsiednich krajów.

Ogromne zasługi Jewgienija Oskarowicza Patona i stworzonej przez niego nowej szkoły naukowej zostały docenione przez nadanie w 1945 r. jego imienia Instytutowi Spawania Elektrycznego, którym Jewgienij Paton nadal kierował do ostatnich dni życia, tj. do sierpnia 1953 r. Później zaszczyt bycia dyrektorem tej sławnej instytucji przypadł mnie.

– *Jakie są powojenne dokonania instytutu? Proszę opowiedzieć przynajmniej o najważniejszych.*

– W 2004 roku instytut kończy 70 lat, z nich 60 lat przypada na okres powojenny. Nie da się w naszym wywiadzie nawet pokrótce wymienić wszystkiego, czego dokonano w tym czasie. Ale uważam za ważne podkreślić, że przez wszystkie te lata konsekwentnie przestrzegaliśmy zasady Jewgienija Oskarowicza: „*Od idei, od nauki do praktyki*”. Takie podejście stało się szczególnie aktualne zaraz po wojnie, gdy trzeba było pilnie odbudowywać zniszczoną gospodarkę narodową, a potem w okresie zimnej wojny, gdy wyścig zbrojeń wymagał szybkiego rozwoju nowoczesnego przemysłu, przede wszystkim budowy maszyn. Nasz instytut włączył się w rozwiązywanie tych problemów.

Już w pierwszych powojennych latach zmieniliśmy radykalnie, w celu zastosowania spawania automatycznego, konstrukcje licznych wyrobów, co pozwoliło produkować je masowo. Dla przykładu można wymienić wózki kopalniane i lampy górnicze, których tysiące były potrzebne dla kopalń Ukrainy i Polski. Inny przykład: gdy zostały zerwane importowe dostawy rur do budowy gazociągu Daszawa – Kijów, w IES stworzyliśmy technologię spawania wielolukowego dla naszych krajowych linii produkcyjnych spawania rur. Dodam, że cały czas do dziś instytut bezpośrednio zajmuje się problemami budowy magistral rurociągowych o różnym przeznaczeniu. Rozpoczęliśmy od spawania automatycznego pod topnikiem na polowych stanowiskach trasy Daszawa – Kijów, później stworzyliśmy całą gamę

maszyn i kompleksów do spawania i zgrzewania rur, które znalazły zastosowanie przy budowie praktycznie wszystkich najbardziej znanych magistral przesyłowych gazu i ropy naftowej, w tym z Syberii do Europy. A w USA nasze urządzenia do zgrzewania rur pracowały na Alasce. Nowe technologie IES stosowano przy budowie wysokościowców w Moskwie i Warszawie, przy budowie najwyższych wież telewizyjnych w wielu miastach.

Ogromnym osiągnięciem stała się realizacja marzenia Jewgienija Oskarowicza Patona o zbudowaniu najdłuższego w Europie, całkowicie spawanego mostu przez Dniepr w Kijowie, który nosi dziś jego imię.

Wdrożyliśmy rezultaty swoich badań i opracowań naukowo-technicznych praktycznie we wszystkich gałęziach przemysłu i budownictwa. Nasze technologie spawania, lutowania, natapiania i cięcia stali specjalnych, stopów aluminiowych i tytanowych, takich egzotycznych materiałów jak niob, cyrkon czy hafn, zostały zastosowane w budowie atomowych urządzeń energetycznych, statków i samolotów, w wytwarzaniu kosmicznej techniki raketowej, w przemyśle elektronicznym i budowie przyrządów.

Wszystko, co wymienilem, odnosi się głównie do dziedziny celowych naukowo-technicznych badań stosowanych. Ale chcę podkreślić, że za podstawę mają one rezultaty prowadzonych przez nas badań podstawowych. Nie będę nużył specyficzną terminologią i długim wykazem opracowywanych tematów. Powiem tylko, że skalę naszej działalności naukowej charakteryzują setki wydanych monografii i dziesiątki tysięcy artykułów, z których każdy – to rozwiązanie jakiegoś problemu naukowego, krok do przodu w poznaniu obiektywnych prawidłowości. Spawanie – to pojemna w naukę technologia, którą można porównać z górą lodową: na powierzchni widać tylko rezultaty zrealizowane przez praktykę, a cały ogromny maszyn prac badawczych jest ukryty od oczu ostatecznych użytkowników, jest on udziałem naukowców i specjalistów.

– *Pana opowiadanie, Borysie Jewgienijewiczu, o osiągnięciach IES będzie, jak sądzę, niepełne, jeśli nie powie Pan o Waszym „wyjściu w kosmos”.*

– Tematyką kosmiczną zaczęliśmy się zajmować razem z legendarnym Siergiejem Pawłowiczem Korolowem, jeszcze przed pierwszym lotem w kosmos Jurija Gagarina. W październiku 1969 r. lotnik-kosmonauta Walery Kubasow wykonał przygotowany przez nas pierwszy na świecie eksperyment spawania w kosmosie na statku SOJUZ-6. Potem kontynuowaliśmy prace w



Pomnik Borysa Patona w Kijowie

dziedzinie spawania w kosmosie. Wielkim osiągnięciem stało się wykorzystanie w 1984 r. opracowanego przez nas uniwersalnego aparatu do spawania wiązką elektronów, do lutowania i napyłania w otwartym kosmosie. Wypróbowała go, wyszedłszy ze statku SALUT-7, kosmonautka Swietłana Sawicka. Tę pracę kontynuował i zakończył wyśmienity kosmonauta Władimir Dżanibekow. Rozwijamy nasze prace nad stworzeniem specjalnych urządzeń i kompleksowych kosmicznych technologii montażowo-spawalniczych i remontowo-montażowych, nad budową zwartych konstrukcji spawalniczych, przekształcanych bezpośrednio na orbicie w wielkogabarytowe podzespoły obiektów kosmicznych.

– *Wiadomo, że Wasz instytut ma szerokie międzynarodowe kontakty twórcze. Czy jest w nich miejsce na współpracę z polskimi naukowcami i specjalistami?*

– Nasze wspólne prace z polskimi kolegami już kilkadziesiąt lat rozwijają się w wielu kierunkach, w badaniach podstawowych i stosowanych, a dotyczą zarówno opracowywania nowej techniki i technologii, jak i wdrażania ich w polskich przedsiębiorstwach.

Szczególnie bliskie kontakty mamy z naukowcami i specjalistami Instytutu Spawalnictwa w Gliwicach, którym kieruje profesor Jan Pilarczyk – znany uczony w dziedzinie teorii procesów spawalniczych, zwłaszcza spawalności metali. Niedawno został on prezydentem Europejskiej Federacji Spawalniczej. Wraz z tym instytutem wykonaliśmy liczne bardzo interesujące badania i opracowania. Dotyczą one takich dziedzin, jak urządzenia i materiały do spawania i napawania, systemy automatyzacji procesów technologicznych, analiza spawalności metali z zastosowaniem metod matematycznych, badanie wytrzymałości konstrukcji spawanych i ich zdolności do pracy, diagnostyka ich jakości. W 1990 r. Instytut Spawalnictwa wraz z naszym instytutem stał się współzałożycielem Międzynarodowej Asocjacji SWARKA i wnosi poważny wkład w jej działalność w obu krajach. Naukowcy instytutów kijowskiego i gliwickiego aktywnie współpracują w organizowaniu międzynarodowych konferencji, seminariów, szkół, w wydawaniu materiałów informacyjnych, w urządzaniu wystaw osiągnięć naukowców i specjalistów spawalników w problematyce spawania i technologii pokrewnych. Artykuły polskich autorów publikuje się w naszych czasopismach „*Awtomaticzeskaja swarka*”, „*Swarszczik*”, a naukowcy IES zamieszczają swoje artykuły w polskich czasopismach „*Przegląd Spawalnictwa*” i „*Biuletyn Instytutu Spawalnictwa*”. Dru-



Barys Paton z wnuczką Olgą

kuje się też wspólne artykuły polskich i ukraińskich autorów. Prowadzi się regularną wymianę wydawnictw naukowo-technicznych obu instytutów. Niektórzy polscy naukowcy bronili w Kijowie swoje dysertacje naukowe. W wyniku aktywnej współpracy specjalistów IES i Instytutu Spawalnictwa napisano i wydano „*Katalog materiałów dodatkowych do napawania*”, który wykorzystywany jest w obu krajach.

Owocne były kontakty kijowskich naukowców ze specjalistami Zakładu Aparatury Spawalniczej OZAS w Opolu, Huty BAILDON w Katowicach i z innymi polskimi przedsiębiorstwami. W latach 1999–2001 w ramach europejskiego programu EUREKA ukraińscy i polscy naukowcy i specjaliści opracowali materiały i technologie napawania łukowego i laserowego matryc. Z polskiej strony w projekcie uczestniczyły: Instytut Obróbki Plastycznej Metali w Poznaniu, Instytut Spawalnictwa w Gliwicach, Politechnika Częstochowska i Zakłady Kuźnicze w Skoczowie. Nowe materiały i technologie pozytywnie przeszły próby w zakładach Polski i Ukrainy. Można przytaczać i inne przykłady kontaktów z polskimi naukowcami i specjalistami. Wysooko cenimy sobie te kontakty, nie tylko naukowe, ale także czysto ludzkie.

– *Bardzo dziękuję za rozmowę. Proszę o przyjęcie z okazji Jubileuszu życzeń zdrowia i dalszych sukcesów naukowych.*

Rozmawiał
Janusz FUKSA

(Wywiad wydrukowany został we wrocławskiej GAZECIE POŁUDNIOWEJ nr 21/2003 z 3.12.2003 r.)

1000 RAZY BORNHOLM

Katamran „Jantar” tropem wikingów

Południowy Bałtyk, lato, starszy oficer Ryszard Chłopecki rozmawia przez UKF-kę: „...*Tu wycieczkowiec JANTAR, pozdrawiamy ferryboat HARMONY of the SEAS, have a nice trip...*”

Po grzecznościowej wymianie komplementów, JANTAR kontynuuje – jak co dzień – podróż do Nexø na Bornholmie, natomiast HARMONY of the SEAS podąża do Gdyni. W porcie poruszenie, sensacja, rzecz niebywała: zawinął największy statek świata!.. Takiego kolosa nie było jeszcze na Morzu Bałtyckim!..

Jego charakterystyka: długość 362 m, szerokość 48 m, wysokość od lustra wody 70 m, powierzchnia pokładu głównego 160 arów, czyli 1,6 hektara, powierzchnia wszystkich 16 pokładów to 26 hektarów!.. Baseny, zabiegi SPA, strefa fitness, restauracje, bary, kasyno, kina, teatry, zielony skwer z tropikalną roślinnością, alejki, kafejki, ławeczki, korty tenisowe, boiska, ogródek jordanowski dla dzieci, etc...

Kolejne ferry-mamuty: OASIS of the SEAS – długość 360 m, INDEPENDENCE of the SEAS, – długość 339 m, BRITANNIA – długość 330 m.

Oferują mniej więcej wyrównany luksus i komfort spędzania czasu. Turystyka morska w formacie kilkogodzinnych wycieczek czy parotygodniowych rejsów rekreacyjnych rozwija się dynamicznie. Na szlakach żeglugowych każdego roku pojawiają się nowe „mamuty” i małe ferry. Przybywa amatorów bezstresowej włóczęgi

po morzach południowych. A w porze letniej, gdy w Europie Północnej nie zachodzi słońce, gigantyczne ferry w świetle dziennym przez okrągłą dobę dostojnie żeglują po norweskich fiordach. Malownicze zatoki osłaniają wysokie, strome łańcuchy górskie przed silnymi wiatrami i wysoką falą z Morza Norweskiego. Woda spokojna, głęboka, krystalicznie czysta, zasobna w łososie i przebogaty asortyment innych owoców morza.

Wehikuł czasu rusza: „cała wstecz” niesie wyobrażenie do odległej prehistorii. Od początku świata człowieka, kandydata na pana i władcę ziemskiego padole, fascynowała woda. Zanim wymyślił koło, puszczał na rozlewiska pnienie drzew, gałęzie, trzcinę, wiązki sitowia, żeby przemieścić się z miejsca na miejsce, żeby przetransportować upolowaną zwierzynę...

Przeczytane w Biblii: ...W roku 1446 przed Narodzeniem Chrystusa, czyli 3465 lat temu, Egipcjanem rządził faraon BOKCHORIS z XVIII dynastii. Władca obawiając się, że mniejszość żydowska, prężna biologicznie i intelektualnie, zdominuje autochtoniczną populację, rozkazał zabijać nowonarodzonych chłopców z rodzin izraelskich. W pewnej rodzinie niemowlę płci męskiej przez 3 miesiące żyło w ukryciu. Dalsza konspiracja okazała się niemożliwa. Matka Jochabel z mężem Amaramem upletli kosz z papirusów, wymo-

Bilety online: www.kzp.kolobrzeg.pl

Rozkład i cennik rejsów 2014 na
Fahrplan und Preise für die Reise nach

BORNHOLM

ścili baranim futrem, położyli synka i zwodowali na Nilu. Niesiony prądem i wiatrem dryfował w dół rzeki.

Córka faraona TERMUTIS weszła do wody, żeby zażyć kąpieli, i postrzegła unieruchomiony w szuwarach kosz. Spało w nim dziecko niebiańskiej urody. Zanimosiła je do pałacu, nadała imię: MOJŻESZ. Ukochała jak własne i uczyniła następcą tronu, gdyż faraon BOKCHORIS nie posiadał męskiego potomka.

W tamtych czasach po morzach i rzekach żeglowały już statki pasażerskie i towarowe. Chrześcijańscy apostołowie przemierzali się po akwenach Morza Śródziemnego. Legenda głosi, że Roku Pańskiego 40 Matka Boska, podróżując razem ze świętym Piotrem zatrzymała się u podnóża góry Athos. Wstąpili do świątyni. W momencie przekraczania progu posąg Zeusa rozpadł się na drobne kawałki przy akompaniamencie grzmotów, piorunów i blasku błyskawic... W X wieku na miejscu pogańskiej świątyni cesarz Konstantyn Wielki kazał zbudować klasztor, który stał się wielką ławrą i miejscem kultu chrześcijan obrządku wschodniego.

Święty Paweł w 49 roku po Soborze Jerozolimskim, podczas podróży morskiej do Rzymu napotkał ciężki sztorm i schronił się na Malcie.

Tytus Flawiusz Wespazjan, cesarz rzymski, prowadził wojnę żydowską w Judei. W roku 70 zdobył Jerozolimę, spalił wraz z synagogą a pojmanych mieszkańców kazał zaokrętować na statki. Przymusowi pasażerowie dryfowali przez Atlantyk. Jako rozbitkowie wydostali się na brzeg San Domigo i Jamajki. Ich potomkowie żyją po dziś dzień przestrzegając Talmudu.

Poczynając od epoki brązu żegluga staje się intratną dziedziną gospodarki, rozwijając handel zagraniczny i przewóz ludzi. Pasażerami byli przeważnie niewolnicy, którymi handlowano w basenie Morza Śródziemnego i Afryki Zachodniej. W przestrzeni czasowej 1450 roku do 1650 roku z Anglii wywieziono do Ameryki Południowej ponad półtora miliona osób!.. Kolumb uważał, że niewolnik to taki sam towar jak heban, pieprz czy cynamon...

Pierwszymi osadnikami w Ameryce Północnej byli prześladowani w Angli purytanie. W liczbie 180 osób uciekli żaglowcem (3-masztowy galeon) MAYFLOWER. Wylądowali na półwyspie Cape Cod w Nowej Anglii w grudniu 1620 roku. Indianie Wampa Noagowie pomogli im przeżyć zimę. Nauczyli łowić ryby, uprawiać kukurydzę. Później osadnicy wymordowali dobroczyńców co do nogi. Potwierdzili brutalną prawdę życia: „*Nikt nie lubi być wdzięczny*”. Stalin po-

wiedział kiedyś: „*Wdzięczność to choroba, psy na nią cierpią*”.

Nastała era ekspansji kolonializmu i zagospodarowywania nowoodkrytych obszarów. Rosło zapotrzebowanie na tabor pływający. Zaokrętowani pasażerowie musieli we własnym zakresie zadbać o rzeczy niezbędne jak: woda pitna, prowiant, ciepła odzież. Warunki ciężkie. Każdego tygodnia kilka pogrzebów morskich. W XIX wieku na niektórych statkach wywieszano w porcie transparent: „*U nas pasażerów się nie bije*”...

Żeglugę determinowały gorączka złota i emigracja za chlebem. Pojawiła się poprawa warunków społecznych. Na pokładzie ustawiono wychodki „dla pań”; wanty na burcie zawietrznej pozostały „dla panów”.

Ale z czasem warunki podróżowania uległy poprawie, na pasażera czekały miejsca w kabinach, restauracje, niekierujące sanitariaty, pomoc medyczna, usługi religijne. Poziom komfortu zależał od posiadanego biletu.

W okresie międzywojennym Polska Marynarka Handlowa dysponowała 49. frachtowcami w tym 6. transatlantykami. S/s KOŚCIUSZKO kursował na trasie Konstanca – Hajfa z emigrantami do Palestyny; s/s PUŁASKI woził galicyjskich osiedleńców do Ameryki Południowej i Północnej. Motorowce PIŁSUDSKI, BATORY, SOBIESKI i CHROBRY obsługiwały porty USA, Kanady i Europy Zachodniej.

Ale w drugiej połowie XX wieku żegluga powietrzna przejęła ruch pasażerski, samolotem prędkiej a czas to pieniądz. Transatlantyki uległy transformacji na statki wycieczkowe i promy pasażerskie. Klientami stali się amatorzy odnowy biologicznej, relaksu i odpoczynku psychicznego. Najskuteczniejszym lekiem na te przypadłości jest właśnie TALLASSO TERAPIA. Już starożytni Grecy zauważyli, że słona woda, słońce i powietrze bez kurzu, nasycone bogato jodem to najlepszy i do tego bezpłatny „zakład leczniczy”. We krwi ludzkiej znajdują się te same składniki co w wodzie morskiej. Formie leczenia morzem Grecy nadali nazwę: TALLASSO TERAPIA.

Lato 2017 roku. M/s JANTAR wyrusza z Kołobrzegu do Nexø w swoją jubileuszową 1000 podróż. 1000 rejsów to 12 lat stałego połączenia, to przewóz 250 tysięcy pasażerów, to „nakręcenie” przez śrubę 108 000 mil morskich, czyli „opasanie” kuli ziemskiej 5 razy po równiku. W jubileuszowy tysięczny rejs JANTAR – pasażerski katamaran odcumował od nabrzeża

Węglowego, stanowiącego prawy brzeg Parsęty. Z tego miejsca w 994 roku Świętosława, córka księcia Mieszka I i Bobrawy odpłynęła drakkarem – okrętem Wikingów do poślubionego męża, króla Szwecji Eryka VIII Zwycięzcy. Okręt wikingów – drakkar wyposażony był w prostokątny żagiel i 32 wiosł. Mógł przyjąć nawet 70 osób. Nie było kuchni, pokładu. Przed opadami i gorącem chronił brezent. Śpiwory zamiast koi. Ale szybkość 15 węzłów! Świętosława po trzech godzinach wysiadła na Bornholmie. Jej drugim mężem został Swen Widłobrody, król Danii, a syn Kanut panował w Danii, Norwegii i Anglii jako Knut II Wielki, jeden z najpotężniejszych władców w Europie.

Bornholm to skalista wyspa położona bliżej Kołobrzegu niż Kopenhaga – stolica państwa. Dla wielu rybaków Wybrzeża Środkowego była Mekką wolności. Rybacy z kutrów po zawinięciu do Rønne czy Nexø występowali do władz z prośbą o azyl. Duńczycy nie utrudniali. Na wyspie pojawiali się zbiegowie z PRL-u – łącznie może 500 osób na kajakach, na łodziach włas-

nej produkcji, etc. Zdarzały się sceny jak w filmach gangsterskich. W lutym 1957 r bracia Tadeusz i Władysław G., absolwenci Szkoły Rybołówstwa w Darłowie, zamelinowali się na kutrze DAR-45. Na morzu doszło do szarpaniny między załogą i blindziarzami. Padły strzały z broni palnej...

Po wolność udał się na Bornholm 30.08. 1948 roku pierwszy po wojnie kapitan portu w Darłowie p. Zdzisław Juszcakiewicz. Azyl otrzymał.

Rzecz niebywała: dnia 5 marca 1953 roku, w dniu śmierci Stalina, porucznik-pilot Franciszek Jarecki po starcie „swego” odrzutowca MIG-15 z lotniska w Redzikowie na trawersie Kołobrzegu oderwał się od eskadry sowiecko-PRL-owskiej, zmienił kurs na północ i wylądował na lotnisku w Rønne. MIG-15 został rozebrany a części poddane drobiazgowej kontroli przez amerykańskich specjalistów. Por. Jarecki otrzymał w Londynie z rąk gen. Władysława Andersa Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami.



Załoga JANTARA. Od lewej: Bartosz Kraczkowski – praktykant, Michał Jankowski – motorzysta, Andrzej Sobieraj – oficer wachtowy, Leszek Jankowski – st. mechanik, Ryszard Chłopecki – st. oficer, Dagmar Baczkowski – praktykant, Witold Tatarek – st. marynarz, Eugeniusz Repczyński – st. marynarz, Krzysztof Getka – kucharz, Piotr Wiszniewski – kapitan i autor artykułu, Marek Chmiel – mł. marynarz, Andrzej Wasilewski – st. marynarz, Dariusz Koziel – mechanik wachtowy

Następnego roku por. pilot Zdzisław Jaźwiński również na trawersie Kołobrzegu skręcił na północ. MIG-i sowieckie i PRL-owskie podjęły pogoń, odstrzelując z broni maszynowej. Nad Bornholmem skończyło się paliwo. Lądował niczym szybowcem. MIG-15 roztrzaskał się wśród zrujnowanych szop i stert gruzów. Pilot nie doznał uszkodzeń ciała, otrząsnął kurz z kombinezonu, wykonał kilka kroków i... na murze przeczytał wyblakły napis cyrylicą: „MIN NIET”... Struchlał... Z deszczu pod rynną... Czyżby los zdrwił z niego?!, podobnie jak z jego kolegi porucznika Adama Petko, który latem ub. roku samolotem JAK-9 szczęśliwie przeleciał nad terytorium PRL, Czechosłowacji do Austrii. W pobliżu Wiednia dostrzegł lotnisko. Wylądował. Pas startowy należał do okupacyjnej Armii Czerwonej... Deportacja do Warszawy. Proces. Kara śmierci. Wyrok wykonany...

Jaźwiński od napotkanych ludzi dowiedział się, że „*min niet i Ruskich także niet*”...

II wojna światowa miała się ku końcowi. Na Bornholmie garnizon niemiecki oczekiwał na kapitulację przed Brytyjczykami, których najbliższe pododdziały znajdowały się w odległości ponad 150 mil. Dowództwo sowieckie II Frontu Białoruskiego, dowodzonego przez marszałka Konstantego Rokossowskiego, przechytrzyło Anglików i wysłało desant z Kołobrzegu, odległego o 50 mil. 7 maja 1945 roku flotylla 6 kutrów torpedowych pod dowództwem kmdra D. Szewcowa opuściła Kołobrzeg. Po drodze potyczka z niemiecką barką desantową. Załoga niemiecka poddała się; barka w asyście jednego kutra została skierowana do Kołobrzegu. 5 kutrów sowieckich przybyło na redę Rønne. Garnizon niemiecki nie zamierza kapitulować, wyspiarze też nie chcą Ruskich. Kutry torpedowe od strony morza a samoloty z powietrza przeprowadziły atak. Zrujnowano Rønne i Nexø, 90% budynków legło w gruzach, 10 tysięcy czerwonoarmistów opanoowało Bornholm. Niemieckie dowództwo: 50 oficerów, w tym gen. Gerhardt Wuthmann i kmdr von Kamptz, dostarczeni kutrami do Kołobrzegu, podpisali w gabinecie komendanta Kołobrzegu kmdra J. Guskowa kapitulację Bornholmu dnia 8 maja 1945 roku. Nie udało się powołać władzy ludowej, zabrakło kolaborantów. Okupacja sowiecka zakończyła się 5 kwietnia 1946 roku. Realizując desanty Armia Czerwona „zainaugurowała” połączenie żeglugowe między Kołobrzegiem a Nexø...

Bornholm, nazywany przez turystów Majorką Północy, zamieszkuje 53 tysiące osób, dysponuje ścieżkami rowerowymi o łącznej długości 250 km i siecią dróg o doskonałej nawierzchni. Pasażerowie JANTARA wycieczkę rozpoczynają przy terminalu w Nexø. Autobus mknie przez malownicze osady i miasteczka. Mija zadziwiające budowle zabytkowe, m.in. wiatrak czynny od 1877 roku. Jego serce to trzy kamienie młyńskie, każdy o wadze 1500 kg. W Østerlarskirke znajduje się kościół rotundowy, których na Bornholmie jest cztery. Pamiętają one czasy templariuszy, urzekają oryginalną i niepowtarzalną architekturą. Zakon „Fraters Templi Salomonis” („Bracia Świątyni Salomona”, został założony przez Papieża Gelazego II w 1118 roku.

Templariusze – wojownicy w habitach, komandosi tamtych czasów to najodważniejsi żołnierze w dziejach. Przeorowie mieli głowy nie od parady..., lecz do interesów. Dysponowali ogromnymi zasobami złota, szlachetnych kamieni i kosztownych precjozów religijnych. Książęta i królowie byli ich dłużnikami. Budowali okrągłe świątynie, które uważa się za twierdze obronne i składnice bajecznych skarbów nie tylko w Skandynawii, ale także w innych krajach Europy. Papież Klemens V w 1312 roku rozwiązał zakon Templariuszy. O niezbite „dowody winy” postarali się inkwizytorzy. Oskarżeni – za odstępstwo od wiary i posiadanie ogromnego bogactwa – wielki mistrz Jakub de Molay i 54 rycerzy – braciszków zakonnych spłonęło na stosie. Majątek templariuszy skonfiskowano na rzecz króla Francji Filipa IV Pięknego i króla Anglii Edwarda II...

Nieopodal majestatycznie na wietrze kołysze się 800-letni dąb z ogromną dziuplą na wysokości półtora sążnia. W XVII wieku podczas wojny ze Szwedami jeden z żołnierzy w obliczu niebezpieczeństwa zmylił pogoń i ukrył się w dziupli. Został znaleziony 150 lat później. Pozostał po nim ogryziony przez owady szkielet i garstka miedzianych guzików od szwedzkiego munduru.

Wpisane na listę zabytków ruiny XIII-wiecznego zamku w Hammershus przypominają o średniowiecznej świetności i walecznej przeszłości duńskich wikingów. Przez wieki twierdza na wysokiej granitowej skarpie północnego brzegu strzegła przed Szwedami – najgroźniejszymi wówczas agresorami.

Od strony południa przylądek Dueodde to słynna oaza letniej rekreacji, z nowoczesną infrastrukturą turystyczną. Szerokie plaże z drobnym, jasnym, przezroczystym i pozbawionym kurzu piaskiem, używanym

do klepsydr odmierzających czas i stosowanym do produkcji najdelikatniejszego papieru ściernego. Czysta, o turkusowym odcieniu woda i łagodna pochyłość dna zapewniają bezpieczną kąpiel dla dzieci i osób miłujących spokojny wypoczynek. Stuprocentowa TALLASSO TERAPIA!!!

Bornholm różni się od reszty terytorium Danii. Jest bardziej nasłoneczniony. Na łagodność klimatu ma wpływ granitowe podłoże. W porze letniej nagrzane słońcem działa niczym gigantyczny termofor. Wpływ ciepłego prądu zatokowego Golfstromu, wypływającego z Zatoki Meksykańskiej, przyczynia się do tego, że tu, w północnej Europie, rosną figi i inne gatunki flory śródziemnomorskiej...

Wielu pasażerów wycieczkę JANTAREM zapamiętało jako niezapomniane i atrakcyjne przeżycie, wpisując się do kroniki statkowej.

Pierwszy wpis z dnia 6.07.2005 roku:

„To duży zaszczyt rozpocząć księgę. Tomek i ja będziemy bardzo mile wspominać rozbudowany katamaran ze świetną obsługą na pokładzie i bardzo smacznym jedzeniem. Brawo! Brawo! Na pewno powtórzymy tę piękną przygodę. (-)Dorota i Tomek Sosnowscy ze Szwajcarii”...

„Z podziękowaniem za morską podróż; mimo fali nie chorowałem. Pobyt na mostku kapitańskim dał mi okazję do spotkania interesujących ludzi. Dziękuję bardzo i do zobaczenia w przyszłym roku. (-)Jerzy Groza”...

„Wycieczka na Bornholm – dobry pomysł, miła sympatyczna załoga, wzorowa organizacja, mało rozreklamowana forma rekreacji; dotarliśmy na ten wyjazd dzięki naszej docieklivości. Jesteśmy zadowoleni. Poleciliśmy znajomym i sami chętnie powtórzymy. (-)Kazimierz i Grażyna Makowscy”...

„Bornholm – Kołobrzeg, wracamy JANTAREM z udanego urlopu na wyspie. W obie strony płynęliśmy z przesympatyczną i bardzo profesjonalną załogą. Dziękujemy! (-) Marynarz Sławek z Matżonką z Gdyni”...

„Ja Anka i moja koleżanka Julka wracamy JANTAREM. Pochłonęło nas do reszty piękno Bornholmu, cud plaże, ogniste słońce, mili ludzie. Rowery okazały się bardzo dobrym środkiem lokomocji. Trzydniowa wyprawa minęła bardzo szybko. Rejs katamaranem okazał się wielką frajdą. Morze kołysało delikatnie, słońce zachodziło jak nigdy dotąd. A załoga – super mili, ciągle uśmiechnięci... (-)Anka i Julka”...

„Gorące podziękowanie dla wspaniałej męskiej załogi za fachową opiekę, za duchowe wsparcie podczas dość trudnego dla nas rejsu po wzburzonym Bałtyku na przećrudną wyspę Bornholm. Bez Was ten rejs nie byłby taki super. (-)Beata i Emilka Oworuszko”...

Wycieczkę na Bornholm odbył redaktor TYGODNIKA RADOMSKIEGO Marek Mioduszeński, syn Stanisława – znanego dziennikarza i pisarza urodzonego w Kamieńsku na Zaporozżu. Swój wpis do kroniki JANTARA zakończył następująco: *„Świat jest rzeczywiście mały! Trzeba było wakacyjnego rejsu JANTAREM, żebyśmy spotkali na mostku kapitańskim przyjaciela mego ojca. Panie kapitanie – rejs był przyjemnością a rozmowa z Panem to niezapomniane, niezwykle miłe zdarzenie”...*

Przysłałe pocztą:

„W imieniu swoim i uczestników wycieczki wyrażam podziękowanie załodze katamaranu JANTAR za okazaną troskę podczas niedzielnego rejsu na Bornholm. Jednocześnie życzę samych spokojnych wypraw. Pozdrowienia. (-)Dyrektor Szkoły Podstawowej im. Wł. Reymonta w Mogilnie Dużym, mgr Renata Jary”...

„Szanowny Panie Kapitanie, byłem ub. roku kilka dni na Bornholmie promem JANTAR. Wyspa ta tak mnie urzekła, że postanowiłem w tym roku tam zawitać. Oczywiście skorzystałem ponownie z promu JANTAR, ponieważ w poprzednim roku, jak i w tym, byłem bardzo zadowolony podczas żeglugi. Dlatego chcę na ręce Pana złożyć serdeczne podziękowania za miłą i uprzejmą obsługę ze strony marynarzy. Do listu dołączam kilka fotografii z pobytu na mostku kapitańskim. Pozostaje pełen szacunku dla ludzi pracujących na morzu. (-)Zdzisław Urbański, były rybak kutrowy”...

Pewnego dnia w biurze armatorskim pojawił się dziwnie poruszony i zdenerwowany interesant. Chciał kupić bilet na Bornholm. Pilna sprawa a zgodnie z rozkładem statek dopiero za kilka dni wyruszy w rejs. A on potrzebuje już, natychmiast!.. Podczas negocjacji ustalono warunki i JANTAR odcumował. Po 4-ch godzinach przybył do Noxø. Krótki postój, na pokład weszła elegancka pani z pekińczykiem na rękach. Nikt więcej.

W drodze powrotnej zaprzyjaźniła się z bosmanem Witkiem, zwierzyła mu się z tego, co zakłóciło spokój jej duszy. Zięć – solidny mąż i ojciec, z natury domator, ma ostatnio piekło z żoną, czyli z jej córką. Zaczęło się od tego, że wystąpił w programie „Jaka to melodia?” i wygrał samochód. Zamiast radości – wojna domowa.

Zięć idzie myć samochód – awantura. Wraca z serwisu, przegląd gwarancyjny – awantura. Miał dość pomóc, obelg, sprzedał wygraną „renówkę”. Wyczarterował JANTARA, żeby jak najprędzej sprowadzić do domu teściową, spędzającą urlop w Danii. Tylko ona żelazną ręką potrafi zaprowadzić porządek. Oboje z zięciem bardzo się szanują i mają do siebie zaufanie...

Państwo Michał i Dorota Kazimierzakowie z Łodzi odbyli podróż poślubną JANTAREM na Bornholm, zaś na pozycji: szer. geogr. 54°30,6'N, dług. geogr. 015°21,5'E pan Rafał Jawor poprosił o rękę pasażerkę Annę Cieślar. Krótco po oświadczeniach pan Rafał zamarzył sobie ślubu na JANTARZE. Ale kapitan według polskiego prawa morskiego jest władny wystawić certyfikat narodzin, zgonu, ale ślubu już nie. Szkoda, w niektórych krajach prawo zezwala za zawieranie małżeństw na morzu przed kapitanem.

Bywa, że siła afektu przebijają przepisy prawa. Krótco przed wybuchem II wojny światowej parowiec polskiej bandery WILNO przechodził naprawy na stoczni Nakskow. Remont się przedłużał. Członek załogi, palacz o aparycji Rudolfa Valentino, poznał również piękną Dunkę. Panna chętnie chodziła z nim do kina, na spacer, koncerty. I na tym koniec. „*Na więcej możesz liczyć po ślubie*” – raz mu rzekła, gdy próbował po-

szerzyć zakres obcowania z jej ciałem. Swoje rozterki, sprawy sercowe i zmartwienia zawierzył koledze, kapitańskiemu stewardowi, który nie raz już okazał mu zrozumienie i życzliwość... Pewnej soboty kapitan wyjechał do Kopenhagi. Palacz „Valentino” przyprowadził swoją duńską „Polę Negri” na statek. W salonie kapitańskim – zgodnie z ustaleniami – zastali stewarda ubranego w wyjęty z szafy mundur z czterema złotymi paskami-galonami na rękawach, na głowie czapka z „jajecznicą”. W żargonie marynarskim „jajecznicą” to szmerunek zdobiący daszek czapki złotymi liśćmi laurowymi. Coś pomamrotał, pogratulował, poczęstował drinkiem. Jednak krótco po tej ślubnej maskaradzie „nowożeńcy” stanęli na prawdziwym ślubnym kobiercu przed konsulem RP w Kopenhadze...

Starszy oficer Ryszard Chłopecki zanotował w „Dzienniku Zapisów Radiowych”: „*Dnia 21.04.2014 r., godz. 08.22 – odebrano sygnał MAYDAY wysłany przez jacht żaglowy SYRIUS, pozycja: szer. geogr. 54°20,3'N, dług. geogr. 15°03,4'E. Na pokładzie dwie osoby, uszkodzony maszt...*”

M/s JANTAR znajdował się w odległości 8 mil morskich, zmienił kurs w kierunku SIRIUSA. Na miejsce katastrofy przybył o godz. 09.10. Stwierdzono: złamany maszt z żaglem w wodzie z lewej burty dzięki



Na mostku kapitańskim 3 pokolenia: kapitan Piotr Wiszniewski z synem Jakubem i wnukiem Leonem

olinowaniu utrzymuje się na powierzchni. Załoga nie chce opuścić jachtu mimo głębokich przechyłów bocznych; prosi o odholowanie do Kołobrzegu na stocznię. Do akcji ratowniczej włączyły się radiostacje brzegowe: Lingby w Danii i Witowo k/Darłowa, oraz statek ratowniczy SZKWAŁ.

Godz. 09.30: koordynowanie i kierowanie akcją objął SZWAŁ, katamaran JANTAR z pasażerami udał się do Nexø. Jego udział w ratowaniu szwedzkiego jachtu stanowił dla pasażerów niecodzienną dodatkową atrakcję i utwierdził w przeświadczeniu, że bezpieczeństwo życia na morzu – w przypadku zagrożenia – jest priorytetem i świadczy o międzynarodowej solidarności tych, co z morza żyją i tych, których morze pasjonuje.

Katamaran JANTAR spełnia ważną rolę edukacyjną, umożliwiając absolwentom kołobrzesckiej Szkoły Morskiej i Akademii Morskiej w Szczecinie zdobywanie niezbędnego minimum praktyki pokładowej i maszynowej na pierwszy dyplom oficerski. W każdej podróży załoga występuje w roli lektorów; pasażerowie chętnie odwiedzają mostek. Najczęściej zadawane pytanie:

– „*Jak uchronić się przed chorobą morską?*”.

Odpowiedź:

– „*Nie ma takiej choroby, zdarza się tylko chwilowy stan niedyspozycji, czasem żołądkowej*”.

– „*Przygody, groźne momenty? Chcemy posłuchać...*”

– „*Załogę mamy – odpowiada kapitan – dobrze przygotowaną profesjonalnie, doświadczoną; wszystko co dzieje się na statku – jest pod kontrolą. Czynności profilaktyczne są po to, żeby nie było «przygód», żeby z rejsu wszyscy wrócili cali i zdrowi...*”

– „*Gdybym wiedział, – pasażer sceptyk – że JANTAR ma 31 lat, nie wsiadłbym...*”



Panorama Bornholmu

– „*Dla statku – usłyszał wyjaśnienie – dopuszczonego do żeglugi wiek nie jest istotny. Tym samym kryterium musi odpowiadać «kilkudniowa nówka» i zwodowany przed laty. Każdy statek eksploatowany jest pod nadzorem towarzystwa klasyfikacyjnego i urzędów morskich. Jeśli dzielność morska niepełna, żaden ubezpieczyciel nie da polisy. Kadłub i wyposażenie techniczne musi być najwyższej klasy. Katamaran JANTAR dnia 6.09.2016 r. po wyjściu z Nexø napotkał sztorm o sile wiatru 10 st.B., do Kołobrzegu dotarł bez problemu*”.

Na wyspie Mauritius codziennie wychodzi na morze z turystami żaglowiec ISLA MAURITA zbudowany w 1890 roku. A należący do Muzeum Żegluga Morskiej w Bremerhaven statek żaglowy GRÖN-LAND zbudowany w latach 1867–1868 po dziś dzień kursuje po morzach i oceanach, niedawno odwiedził Gdynię i służy studentom morskich uczelni.

JANTAR jest statkiem pasażerskim, wyposażonym w najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne i bezpieczeństwa. Spełnia wymogi do uprawiania żegluga międzynarodowej. Oferuje pasażerom tylko 3 pokłady – nie 16 jak HARMONY OF THE SEAS – kawiarnię, restaurację, dyskotekę i kąpiele słoneczne. Cztery godziny podróży w jedną stronę to 4 godziny TALLASSO TERAPII.

Wyższość JANTARA nad statkami jednokadłubowymi wyraża się m.in. w tym, że wszyscy pasażerowie, w liczbie 288 osób, jednocześnie mogliby się znaleźć na jednej burcie, ale tym nie stworzą żadnego zagrożenia. Zaleta dwukadłubowca to duża szerokość i położony nisko środek ciężkości.

Katamarany wymyślili żeglarze mórz południowych. Dzisiaj operują one między wyspami Zielonego Przylądka, zaś na rzece La Plata nawigują (np. m/s BUENOSAIRE EXPRESS) między Buenos Aires a Montevideo w Urugwaju.

Liczna flotylla katamaranów utrzymuje połączenie między Stambułem a Wyspami Książęcymi na Morzu Marmara. 10 wysp (w tym 4 bezludne) tworzy archipelag. Na 6-ciu ucywilizowanych znajdują się hotele, dyskoteki, gabinety odnowy, ect. W powietrzu chmara mew, na chodnikach i jezdniach ogromne ilości kotów – ulubionych zwierzątek wyznawców islamu. Kocur Mahometa nazywał się Muezzin. Kiedyś Prorok spieszył do meczetu, na jego płaszczu ułożył się i smacznie spał ulubieniec. Nożycami odciał połę przygniecioną przez kota. Nie chciał go zdenerwować ani obudzić.

Na Wyspach Książęcych zamieszkiwał w 1929 roku Lew Trocki po wypędzeniu przez Stalina ze Związku

Sowieckiego. A zdetronizowany król Anglii Edward VIII z żoną Wallis Simpsson mieszkał w hotelu Splendid.

Noe na polecenie Niebios zbudował arkę (długość 150 m, szerokość 25 m, wysokość 15 m). Pomieścił w niej własną rodzinę i po parze wszystkich nie pływających zwierząt, aby bezpiecznie przeczekały katastrofę. Gdy wody opadły, arka osiadła na górze Ararat. Ale póki była jeszcze w stanie pływalności, pojawił się przeciek w kadłubie. Noe wziął na ręce ulubionego psa i jego nosem zatkał dziurę. Mając obawy, że pies się udusi, kazał dziurę zatkać kobiecym łokciem. Dla upamiętnienia potopu psi nos i kobiecy łokieć są zawsze zimne.

Prawnuk Noego, Hajer – protoplasta Ormian, założył tu Armenię.

Jubileusz 1000 rejsów JANTARA na Bornholm to impuls do rozważań nie tylko o 12-u latach na faworytów wikingów i templariuszy, lecz przede wszystkim refleksja nad dziejami żeglugi. Od zarania kształtowała ona stosunki społeczne między ludźmi. Nieustanne zmaganie z żywiołem hartowało charaktery ludzi morza, formowało sztukę współżycia w grupie.

JANTAR wpisał się do złotej księgi „uprawy morza”, bogatej w wydarzenia rzeczywiste, mity i legendy. Marynarze są przesądni, więc mity i legendy bywają barwne i zajmujące. W branży turystycznej JANTAR jest wyjątkowym zjawiskiem. Oryginalność wyraża się tym, że przez 12 lat nieprzerwanie utrzymuje stałe połączenie między portami Kołobrzeg i Nexø, zatrudnia tę samą załogę, nastawioną przychylnie do siebie i pracodawcy. Zaskarbił sympatię wypiarzy, turystów polskich, niemieckich i innych. Fenomen JANTARA doskonale wkomponował się w dzieje: począwszy od epoki kamienia łupanego po współczesność.

Żegluga, a ściślej „uprawa morza”, jest odporna na wszelkie „zadymy” ekonomiczne. Podczas światowego kryzysu 1929–1932 tylko dwa kraje nie odczuły negatywnych skutków: Norwegia i Estonia. Ich gospodarka bazowała na żegludze, rybołówstwie i budownictwie okrętowym. Dzisiaj po morzach i oceanach kursuje ponad 100 tysięcy statków o łącznym tonażu jednego miliarda ton. Zatrudniają ponad milion marynarzy. Transport wodny jest 10 razy tańszy od lądowego. 90% ładunków w wymianie światowej przewożą statki. Każdej doby tylko przez Atlantyk wartość ekspediowanych



Kościół rotundowy na wyspie Bornholm

towarów przekracza 2 miliardy dolarów. Z usług wycieczkowców dużych i małych w skali roku korzysta 20 milionów turystów.

Kpt. Żegluga Wielkiej
Piotr Dymitr WISZNIEWSKI

Załodze, Armatorom i Wszystkim, którzy przyczynili się do napisania reportażu z okazji tysięcznej podróży JANTARA serdecznie DZIĘKUJĘ! Nie wymieniam nazwisk, bo lista byłaby dłuższa od reportażu. Robię jedyny wyjątek dla komandora Waldemara Parusa za udostępnienie archiwaliów dotyczących wyspy Bornholm i Pomorza Środkowego.

Wszystkim składam najserdeczniejsze życzenia z okazji 1000. rejsu na duńską wyspę!

PDW

Wpis

Szanowny Panie Kapitanie,

W 2017 roku obchodzi Pan piękny Jubileusz: 70 lat „uprawy morza”.

Z tej okazji redakcja „Krynicy”, którą od wielu lat upiększa Pan swoimi mądrymi tekstami, składa Panu bukiet najpiękniejszych życzeń: mocnego zdrowia, wielu, wielu powodów do radości, wiecznej pogody ducha i... stopy wody pod kilem.

Redakcja kwartalnika „Krynica”



„Pokażcie światu miłość...”

WIERSE AGNIESZKI BULICZ

WIOSNA

Nadeszła kolejna pora roku
 Wiatr zmienił zapach
 Zazieleniły się aleje w parkach
 Na gałęzi przysiadł skowronek
 W soczystej trawie wyrasta
 bladnoróżowa stokrotka
 Dojrzewają w słońcu
 czerwone pomidory
 Nagie
 splątane dłonie
 wyznając sobie miłość
 na długo zapamiętają woń
 wiosennego bzu



FOTOGRAF

Jak ptak poderwany do lotu
 wolny,
 niezależny,
 odpowiedzialny za swoje życie.
 Jak drapieżca
 szybki,
 sprytny,
 chwytający w szpony swą zdobycz.
 Jak szpieg
 cierpliwy,
 opanowany,
 atakujący z zaskoczenia.
 Jeden gest
 Jeden zdecydowany ruch dłoni,
 by utrwalić
 moment walki o przetrwanie.



GÓRY MOJE

Nie śpieszno mi
 do betonowych bloków
 do ścian z karton gipsu,
 pokrytych lateksową farbą
 Nie śpieszno mi
 do zgiełku,
 szumu zatłoczonych ulic
 do zaduchu,
 smrodu spalin samochodowych
 Żal mi...
 zostawiać góry moje,
 połacie łąk w kwiatkach całe
 Żal mi...
 zostawiać lasy pachnące,
 potoki rwące, życiem tętniące
 Żal mi...
 tajemniczych zachodów słońca
 odgłosów natury,
 śpiewu ptaków,
 dotyku rosy na bosych stopach,
 gdy budzi się poranek
 Żal mi...
 zostawiać góry moje
 niczym nie skażone
 Żal mi..



CÓRECZKO

Widzę Cię
 jak biegniesz...
 w błękitnej sukni
 z bukietem stokrotek
 w dłoni
 z niewinnością

biegniesz...
przez łąny złotych zbóż
z uśmiechem w oczach
z chabrowym wiankiem

na głowie

Widzę Cię
jak pokonujesz
bosymi stopami
ścierniska

z nadzieją...

mierząc się
z dziwnym
światem dorosłych



BEZ CIEBIE MAMO

Kim byłabym bez Ciebie
Mamo
Czy marnym pękiem,
który zanim rozkwitnie kwiatem
usycha
bez Twojej miłości.
Czy żyłabym bez Ciebie
Mamo
Jak to bezradne piskłę,
które z każdą kolejną próbą
gdy rozwija skrzydła
nie wzleci
bez Twojej opieki i wsparcia.
Cóż zrobiłabym bez Ciebie
Mamo
Potykając się o trudy życia
z samotną,
okaleczoną duszą
gdyby nie Twoja troska i rada.

Kim byłabym bez Ciebie
Mamo?



TWÓJ PORTRET

W naręczu leśnych
fiołków
odnajdę blask źrenic,
szczęśliwych
od uniesień
W koszu pełnym
czerwonych jabłek
namiętność ust
i gorących nocy
W snopach siana
złotem oprószonych
wypatrzę
nagie ciała
połączone miłością

Narysuję portret
szacunku do życia,
tradycji
Bez klepsydry czasu
i bez zbędnego
opóźnienia
Ukryję głęboko
w sercu
zatrzymam na wieki
ocalę od zapomnienia



GONDOLA

Kołysana falą marzeń,
dryfująca bezsilnie
zagubiona nadzieja.
Skrrywana pod szczerozłotą, teatralną maską
smutna,
stęskniona,
martwa.
Czarną gondolą jak karawanem
popłynię
w gęstej mgłę
w poszukiwaniu utraconego szczęścia.
Tylko księżyc
jak wierny pies
pokaże jej drogę



KOCHANKOWIE

Zapalcie świece
 Pokażcie płomień nadziei
 Niech trwa...
 Wystarczy chcieć
 Mówić, że jest pięknie
 Kochać
 Niech płoną uczucia
 Pokażcie dobry świat
 Pomóżcie tym, co nie wierzą
 Niech to będzie też ich świat
 Nie kryjcie się
 Pokażcie światu miłość
 Niech znajdzie swój rytm



Zamek niczyj
 samotny
 opuszczony

Ulepiony niegdyś
 z lekkości
 okazywanych uczuć
 Zbudowany z marzeń
 Formowany przez lata
 z odwagi, rozsądku
 Solidny, oparty
 na fundamentach zaufania

Teraz platoniczny
 odrzucony
 zamek niczyj



MOJE MIASTO

Kocham moje miasto
 wiosną
 gdy świt spaceruje po dachach
 i tuli moje zmysły świergotem ptasich treli
 a ranek budzi się rosą

Kocham moje miasto
 latem
 skąpane w słońcu
 gdy muska mnie ciepłym wiatrem
 i gwarem wieczornych kafejek
 z energią mieszkańców

Kocham moje miasto
 jesienią
 gdy dywan wspomnień szeleści suchymi liśćmi
 grą w klasy, podchody
 z przeskokiem z wyliczanki smik- smak- smok
 do dorosłości

Kocham moje miasto
 zimą
 gdy wracają w pamięci czasy szaleństwa
 w dyskotecę, na ulicy w zabawie śnieżką
 i ulepionym bałwanem
 po hucznym przejściu w kolejne millenium
 z cudownie rodzinną atmosferą
 i lampką czerwonego wina w dłoni
 zanim zasnę
 wypowiem

– *Kocham Cię moje miasto*



PORT

Wczoraj spacerowałeś po drewnianym moście
 czekałeś
 z radością machałeś ręką
 na powitanie.
 Zawsze cierpliwa
 wypatrywałaś statków
 przybijających do brzegu.
 Miałeś uśmiech na twarzy
 odważne plany,
 marzenia.
 Dzisiaj znowu byłeś na molo
 stałeś spokojna
 pozwoliłaś nawet,
 by wiatr rozdzierał sukienkę
 skrzydłami tęsknoty trzepotał we włosach.
 Szczelnie zamknęłaś kolejny list w butelce
 zabrakło Ci wiary w przyszłość

zrezygnowałaś
rozgoryczona
odeszłaś.
Tylko morze pozostało niezmiennie
nadal szumi tak samo



ZAPACH OJCZYZNY

Pachnie mi czarna ziemia
mądrością pokoleń.
Pachnie mi błękit nieba
dobrocią wiary,
ufnością.
Pachnie mi złoty kłos zboża
szacunkiem do ciężkiej pracy.
Pachnie mi rząd czerwonych maków
krwią i potem poległych.
Pachnie mi krucha stokrotka
czystością,
niewinnością spojrzenia.
Pachnie mi świergot ptaków
muzyką z szopenowskiego fortepianu.
Pachnie mi słony deszcz
płaczem skrzywdzonych przez los.
Pachnie mi porywisty wiatr
czasami pozorną wolnością słowa.
Pachnie mi zieleń łąk
gwarą rozbawionych dzieci.
Pachnie mi polski chleb
ciepłem rodzinnego domu,
gdzie czuję się kochana,
bezpieczna.



skrzydłami motyla
otulam
twoje myśli
w kokonie zamykam
pytania
i wątpliwości

magią słów
okazuję uczucie

odlatuję...

z tobą
z zielenią łąk
z urokiem kwiatów
majowych
unoszę
w marzeniach
do spełnienia...



PEJZAŻ

Blask lampionów
nocnych kafejek
spełnia moje marzenia.
Spacerując promenadą
gubię codzienność.
Z księżycowych myśli
składałam kalendarz
wspomnień, które
niegdyś uleciały.
Fotografuję pejzaż
utkany prostotą życia
jakby muśnięty pędzlem
namalowany na płótnie czasu.



BŁOGI STAN

Lato w pełni
uśmiecha się słonecznikami
W duszy gra wakacyjnie
muzyka tropików
Pocieszeni szumem
morskich fal
znów odnajdujemy siebie,
szukając muszelek
na plaży

Lato w pełni
 potargane włosy
 muskają opaleniznę
 Czas zatrzymał się w miejscu
 zwiastując relaks
 Odprężeni
 obcując z naturą
 nie poganiamy
 rzeczywistości
 Błogi stan niech trwa



SPACER

Wyobrażam sobie
 spacer
 w chmurach
 z Tobą pod rękę
 jak tak
 idziemy
 i rozmawiamy
 Wyobrażam sobie
 jak Twój cień
 pokrywa się
 z moim
 w jednym czasie
 w słońcu
 w świetle
 wieczornej latarni
 Wyobrażam sobie

jak razem
 zanurzamy stopy
 w falach przyływów
 jak zapadamy
 w sen
 przykryci gorącym
 piaskiem
 Wyobrażam sobie
 jak wyglądają
 nasze poranki
 pachnące
 uśmiechem
 Wyobrażam sobie
 też
 jak krople
 deszczu
 spływają smutkiem
 gdy przechodzę
 przez bramę
 wspomnień
 Wtedy wyobrażam sobie
 że jesteś



NA ROZDROŻU

pożółkły już drzewa
 prysł letni nastrój
 niebawem opadnie
 ostatni zielony liść

„Poezja to dla mnie spełnianie marzeń wyrażanych za pomocą pióra; przenoszenie na papier wspomnień oraz ulotnych chwil pełnych nadziei i miłości, jak również opis rzeczywistości i piękna, które nas otacza, a czasem rozczarowuje i sprawia ból psychiczny.

Poezja to odskocznia od dnia codziennego. Piszę o tym co czuję lub o czym myślę w danym momencie. Opisuję zwierzenia ludzi, oparte na doświadczeniach, ale nie w perfidny sposób, tylko z nutą delikatności, z przekazem dla innych i dla wyciągnięcia indywidualnych wniosków.”

Agnieszka Bulicz

moja dusza milczy
choć piękna jesień
tego roku
a słońce
tak błogo rozświetla twarz

stoję na rozdrożu dróg
rozmyślam
jeszcze
nie wiem
w którą pójść stronę

chyba przysiadę na chwilę
poczekam
aż czas
jak drogowskaz
wskaże kierunek



OSTATNIE TCHNIENIE JESIENI

Korony drzew
dostojnie
pochylające się
nad zachodem słońca.
Kolory żółci i czerwieni
zatopione
w ostatnim pocałunku.
Migocące w promieniach
liście kasztanu i dębu.
Godnie składają
ukłon,
by oddać
ostatnie tchnienie
tej jesieni,
nim mroźny wicher
zamknie je w tysiącu kryształków
zwiastując następną porę roku.



Agnieszka BULICZ

Urodzona w 1976 r. w Stalowej Woli.

Ekonomista.

Kocha podróże i muzykę.

Interesuje się literaturą i filmem.

Jest osobą komunikatywną, wyrozumiałą, umiejącą słuchać ludzi.

Laureatka konkursów poetyckich Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeciono 2013 i 2014, 2016” w Nowej Sarzynie.

Publikowała na łamach tygodnika „Sztafeta” w Stalowej Woli i magazynie literackim „Wers” miesięcznika „Nasz Dom Rzeszów”, almanachu poetyckim „Spojrzenia 5” w Stalowej Woli, wydawanym przez Stowarzyszenie Literackie „Witryna”, oraz w almanachach poetyckich Dorocznych Spotkań Poetów „Przystanek Poezja” w Przemysłu i krakowskiej „Metaforze”.

Posiada pozytywne i profesjonalne podejście do powierzonych zadań.

Animator kultury, konferansjer i organizator spotkań kulturalnych.

Należy do Stowarzyszenia Kulturalnego „PRO-SCENIUM” przy SDK w Stalowej Woli.

W 2013 r. wydała debiutancki tomik poezji pt. „Gondole czasu”, a w 2016 r. kolejny pt. „Zamyślona porą roku...”.

Od 2012 r. związana jest ze Stowarzyszeniem Literackim „WITRYNA” w Stalowej Woli, a od 2014 r. pełni funkcję prezesa tego Stowarzyszenia.

CUD PRZEMIANY

Nie należała do dziewcząt, które w kółko biegały do kościoła, zaś wszystkich wikarych w parafii znały z imienia i nazwiska. Lekcje religii potwornie ją nudziły i kryjąc się za plecami kolegów sennie poziewywała, jak wybawienia wyczekując dzwonka. Z musu bywała w niedzielę w farze, jednak nie poruszało jej to, co działo się przy ołtarzu, nad którym w barokowych skrzętach unosiły się pulchniutkie aniołki. Krytycznym okiem oceniała kreacje starszych pań i młodszych mężatek, wreszcie podpatrywała madonny w swoim wieku. Darownie usiłowała dociec, dlaczego co poniektóre pchają się do prezbiterium, żeby tam śpiewać psalmy i czytać lekcje. Przeszepowywała z nogi na nogę, oglądając swoje stylowe pantofle na obcasie (natomiast w zimie zgrabne skórzane kozaczki) i dyskretnie zezując na zegarek. Przedkładała nad ten irytujący obowiązek słodką samotność w świąteczne przedpołudnia, zajmujący babski serial w telewizji lub romantyczną powieść ze łzawą fabułą.

Skończył się goniący ostatkami zimy marzec. Słońce mocniej przygrzewało, a drzewa okrywały się świeżą zielenią. W ciepłe popołudnia włączyła się po pobliskim parku, w którym aż roiło się od wiewiórek. Naprawiony rower górski czekał w piwnicy, więc mogła już planować pierwsze wypadki za miasto. Zamierzała cieszyć się wiosną i nowymi letnimi ciuchami, na które odłożyła trochę pieniędzy. Zapowiadało się ciekawie, jednak musiała najpierw przebrnąć jak przez barykadę przez niechcianą Wielkanoc z jej rozdmuchaną obrzędowością. Właśnie to sobie z przykrością uprzytomniła, przeciągając się na nakrytej wełnianą kapą wersalce i ze zniecierpliwieniem odkładając książkę, nad którą się pochylała.

– Dziś Wielki Czwartek – wyszeptała. – Jeszcze cztery dni i po krzyku.

Zgodnie z wolą mamy w Wielką Sobotę ukochana córeczka musiała udać się do kościoła ze święconym. I nie mogła od tego się wykręcić. Robiła to zresztą rok w rok i już się do tego przyzwyczaiła. Koszyczek stał w kuchni, wyjęty z pawlacza i odkurzony, zaś chusteczka z wyhaftowanymi motywami paschalnymi i napisem „Wesołego Alleluja” wykrochmalona leżała w szafie. Pisaniki mama krasila sama i Judyta, na szczęście, nie mu-

siała paprać sobie rąk farbującymi ekstraktami. Szkodziło to wypielęgnowanym paznokciom. Czasami tylko tarła chrzan, płacąc za to ceną zażawionych oczu, ale to ostatnie jakoś znosiła. Znużyła się trochę „*Damą kameliową*” Aleksandra Dumasa, powieścią w sam raz na te nudne dni, i wspierając się na łokciu, zaczęła medytować nad swym losem. Nie pojmowała, po co wokół tych idiotycznych świąt robi się tyle hałasu.

Zerwała się, słysząc dzwonek u drzwi i szybko pobiegła otworzyć. Młodziutki listonosz z czarnym wąsiem pod nosem trzymał w ręku wiadomość. Musiała złożyć podpis na pokwitowaniu i omal się przy tym nie zarumieniła z wrażenia. Telegram wywołał zamieszanie, w treści był nijaki, ale trudno się było innego spodziewać. Babcia zaniemogła i w związku z tym proszono je obie z mamą, aby niezwłocznie pofatygowały się na wieś. Wujek, którego nazwisko widniało u dołu, wspominał coś o pożegnaniu, więc domyśliły się, że sytuacja jest poważna – cóż, babcia nie była młodziutka. Przejmująca się byle czym matka musiała to odchorować. Utknęła wieczorem w kuchni, oddając się w samotności przeglądaniu zakurzonych fotografii. Judyta krzywiła się w duchu. Jej nadzieje na spokojne święta ulotniły się bez śladu, czego nie uwzględniła w swoich wcześniejszych rachubach.

Chcąc nie chcąc, następnego dnia pojechały. Babcia jednak wyzionęła ducha wczesnym rankiem i nie zdążyły się z nią pożegnać. W kalendarzu był Wielki Piątek, dzień nad wyraz nastrajający do smutku, a tego mieli tutaj ponad miarę. Przy zwłokach czuwało kilka kobiet i paliły się żółte świece, a w steranych pracą rę-



kach zmarłej widniał drewniany różaniec. W pokoju panował półmrok, bo zgodnie z tradycją okna zakryto. Matka płakała, przykładając do oczu kolejną batystową chusteczkę. Spędziły na wsi popołudnie w panującej tam atmosferze przygnębienia, zaś wieczorem wysłano je do nieodległego kościoła. Tam jednak także było zimno, ponuro i ciemno, a tylko przy okrytym fioletowym całunem wystawionym krzyżu tliły się wątłe świece. Judyta ukryła się pod chórem, nie mając ochoty zbliżyć się do krucyfiks. Ciągnęła się adoracja i pobożni mieszkańcy okolicznych siół przyklękali przed Ukrzyżowanym, całując Jego rany. Czynili to z nabożnym skupieniem, ze czcią i z powagą, a nawet ze łzami w oczach, jakby marna gipsowa figurka miała coś wspólnego z prawdziwym Jezusem, tym z krwi i kości, który przed wiekami żył w Palestynie.

Podniosła się z trudem, nogi jej zdrętwiały, postanowiła bowiem, że wbrew swoim zasadom zadośćuczyni nonsensownej tradycji. Figura obnażonego i poranionego Zbawiciela zdawała się ją milcząco przyzywać. Głównowała, jak sobie z tym poradzić, by nie zrobić z siebie pośmiewiska i obmyśliła strategię. Należało podejść, uklęknąć na prawe, potem na lewe kolano i niziutko się pochylić. Zniedołężniali wieśniacy ciężko się podpirali, nieudolnie dopomagając sobie rękami, jednak dziewczynie tak zgrabnej jak ona nie wypadało się kompromitować.

Kiedy całowała przebite gwoździami zimne stopy gipsowego Jezusa, przesunęła się przed nią zapomniana scena z odległego dzieciństwa. Wówczas jeszcze zdrowa i krzepka babcia myła jej nogi na podwórku w małej zielonej miednicy. Świeciło złote słońce, rzyły krowy na pastwisku za stodołą, skomlał łaszący się szczeniak i gdakały kury. I wołała: „*Widzisz, Judytko, jakie ty masz śliczne nóżki?*” Spoczywała na niskim zydłu do dojenia krów i niewymownie szczęśliwa zanosila się perlistym śmiechem. Teraz zaś poczuła nagły skurcz w gardle. Gdy podniosła się wreszcie z klęczek, nie umiała ukryć ściągniętej spazmem i zalanej łzami twarzy. Nikt się jej nie przyglądał i szybko wtuliła się w najciemniejszy kąt.

Po powrocie z kościoła czuwała w pokoju, w którym leżała babcia. W międzyczasie zmęczone życiem ciało zmarłej przeniesiono do sosnowej trumny, a ksiądz w komży i stule odmówił przy zwłokach przepisane modlitwy. Później w ślad za nim krewni i sąsiedzi rozeszli się do domów. Zrobiło się pusto. W półmroku syczały płomyki palących się świec. Bez lęku zbliżyła się do zwłok. Ucałowała poorane zmarszczkami



i naznaczone bliznami lodowate ręce. Znowu trysnęły jej z oczu łzy. Czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego, coś wielkiego, czego nie pojmuje, ale co jest dla niej niezwykle ważne. Płacz sprawiał, że wracały jak żywe sceny z dziecięcych lat, szloch wydobywał je na światło dzienne, a łzy obmywały je z patyny czasu. Jakże się myliła co do siebie i co do kolein swego życia! W pokoiku na poddaszu, który dziwnie zmałał, gdy mieszkała z mamą w mieście, umyła twarz w zimnej wodzie, chłodząc spuchnięte policzki i oczy. Obejrzała się w lustrze, nie mogąc siebie poznać. Oblicze w odbiciu zdawało się należeć do kogoś innego, kto w jednej chwili pojął sekret najgłębszego cierpienia. Wyglądała okropnie i gdyby miała się komuś ze znajomych pokazać, nie uratowałby jej przed współczuciem nawet najlepszy makijaż.

Rankiem, po skromnym wiejskim śniadaniu, wracały do miasta. Pogrzeb zaplanowano dopiero po Wielkanocy i nie było powodu, żeby świąteczne dni spędzać na wsi. Musiały odpocząć – i tak się przecież dość napłakały. Siedziały samiutkie w pustym, kołyszącym się przedziale, a za nie umyłym oknem przesuwwały się podobne do siebie pola, łąki i drogi. Koła wagonu wystukiwały monotony rytym – taki sam, jak w zegarku – zaś zmęczona czuwaniem matka przymknęła oczy. Judyta ukradkiem zezowała na jej błąd i wymizowaną twarz, instynktownie doszukując się w niej rysów babci, potem własnych, by wreszcie w długim jak wąz ciągu skojarzeń dotrzeć do nieostrych rysów ojca. W pustce po zgonie bliskiej osoby i silnym traumatycznym przeżyciu pojęła, jak bardzo jej go brakuje. Wprawdzie nie wyzionął ducha jak babcia, to jednak odszedł, tajemniczo zniknął z jej młodego życia, zaś w jego tchórzliwej kapitulacji było coś z opłakiwanego zgonu. Medytowała nad tym i chociaż nie studiowała psychologii po dłuższym namyśle uzmysłowiła sobie, że znaczy się przedziwny związek między jej stosunkiem do Boga a stosunkiem do ojca. Zachowany w pa-

mięci portret był niepełny, groteskowo przerysowany i brakowało w nim słonecznych chwil z czasów, kiedy maleńką Judytkę z radością brał lekko na ręce i unosił do góry. Tamten tata zza mglistej zasłony lat był prawdziwy. Nie zaglądał jeszcze do kieliszka i w napadach szału nie bił mamy...

Wymarła oczy wymiętą chusteczką. Udręczona matka przysnęła, kryjąc twarz w zimowym palcie, i nie chciała jej obudzić. Uprzymiotniła sobie, że skoro zda-

rzył się cud, a Ukrzyżowany w cichym wielkopiętowym *rendez-vous* udzielił jej niezwykłej łaski, musi teraz uczynić wszystko, aby odzyskać ojca. Koła wagonu cierpliwie postukiwały, zdając się przyznawać jej rację. Winna była odszukać go – przemyśliwała – pojednać się i sprawić, żeby na powrót stał się tak bliski, jak dawno temu. Wiedziała, że temu podoła. Przyłknęła oczy, roniąc kolejną łzę. Czuła, że Ukrzyżowany ją w tym wesprze...

W GÓRACH

Wysoko na niebie znaczyły się pierzaste cirrusy. Rozleniwiony Paweł leżał wyciągnięty na trawie. Obok spoczywał oparty o cienki pień brzoźki solidny czerwony plecak ze stelażem z rurek. Chłopak puścił wodze fantazji. Od zachodu nieustępliwie nadciągały kłębiaste cumulusy, a ten, który nierozważnie przykuł jego uwagę, skojarzył mu się z oblanym białym lukrem tortem urodzinowym. Nie tak znowu dziwne pokusy na tej wysokości nad poziomem morza! Znużony marszem przełknął ślinę, odkrywając, że nabrał nieprzemyślanej ochoty na coś słodkiego. Chodziło mu po głowie ciastko biszkoptowe z kremem waniliowym i wisienką na wierzchu. Pychota! Na porosłej lasem Dzwonkówce nie oferowano jednak żadnych smakołyków. Na dzikim i pustym szczycie nikogo i niczego nie było. Od czasu do czasu ciągnęli tędy w małych grupach turyści, zwykle się nie zatrzymując.

Przeleciał sennymi myślami witrynę cukierni, do której niekiedy zaglądał w Lublinie. Szarlotki, serniki, makowce, pączki, bajaderki, gofry ze śmietaną, lody bakaliowe... Palce lizać! Prowiant z jego plecaka odpowiadał mniej wybrednemu podniebieniu. Chował tam

już otwartą konserwę wołową, kawałek podsuszonego żółtego sera i dwa spore ogórki. No i napoczęty chleb, który wyprosił od góralki na Obidzy. Warował przed jej skromną chałupą okrągłą godzinę, co rusz zaglądając do kuchni, a potem nie odstępując rozgrzanego pieca, dopóki nie wyciągnęła pachnących, rumianych bochnów. Później musiał czekać jeszcze drugą, choć jego żołądek wygrywał straszliwe trele. Skręcało go z głodu. Dopiero gdy nieco przestygły i przestały parzyć, mógł za wypiek zapłacić, wybrać sobie jeden i włożyć go do plecaka.

W zalesione góry wyruszył z Piwnicznej, bez żalu żegnając ludzkie sadyby, lecz o pieczywie zupełnie zapomniał. Nie kupił i tyle. Był więc zmuszony jakoś sobie radzić.

Z Obidzy pomaszerował szlakiem granicznym w stronę Wysokich Skałek, lecz przed samym szczytem zboczył w prawo, schodząc do Jaworek. Zmitrężył dwie kolejne godziny w Wąwozie Homole, przeuroczym zakątku, który zawsze kojarzył mu się z białymi kanionami z amerykańskich westernów. Było tam cicho, nastrojowo i pięknie. Następnie dostał się rozklekotanym PKS-em do Szczawnicy. Z tamtą trasą uporał się poprzedniego dnia, teraz zaś cierpliwie zmierzał na Przehybę. Wspiął się z Krościenka, trzymając się czerwonych znaków. Podejście na szczyt Dzwonkówki było strome, więc postanowił nieco odpocząć. Wyciągnął się na trawsku i zadumał nad swym podłym losem. Wcześniej zdjął solidne górskie buty i ściągnął grube skarpety z owczej wełny, wystawiając na dzienne światło bose stopy.

Zadumał się nad wakacyjnymi planami, które nie chciały mu się ziszczać.



– Przeznaczenia nie można zmienić, bowiem jest ono czymś na kształt tragicznej konieczności – odkrywco wymamrotał do swoich sennych myśli.

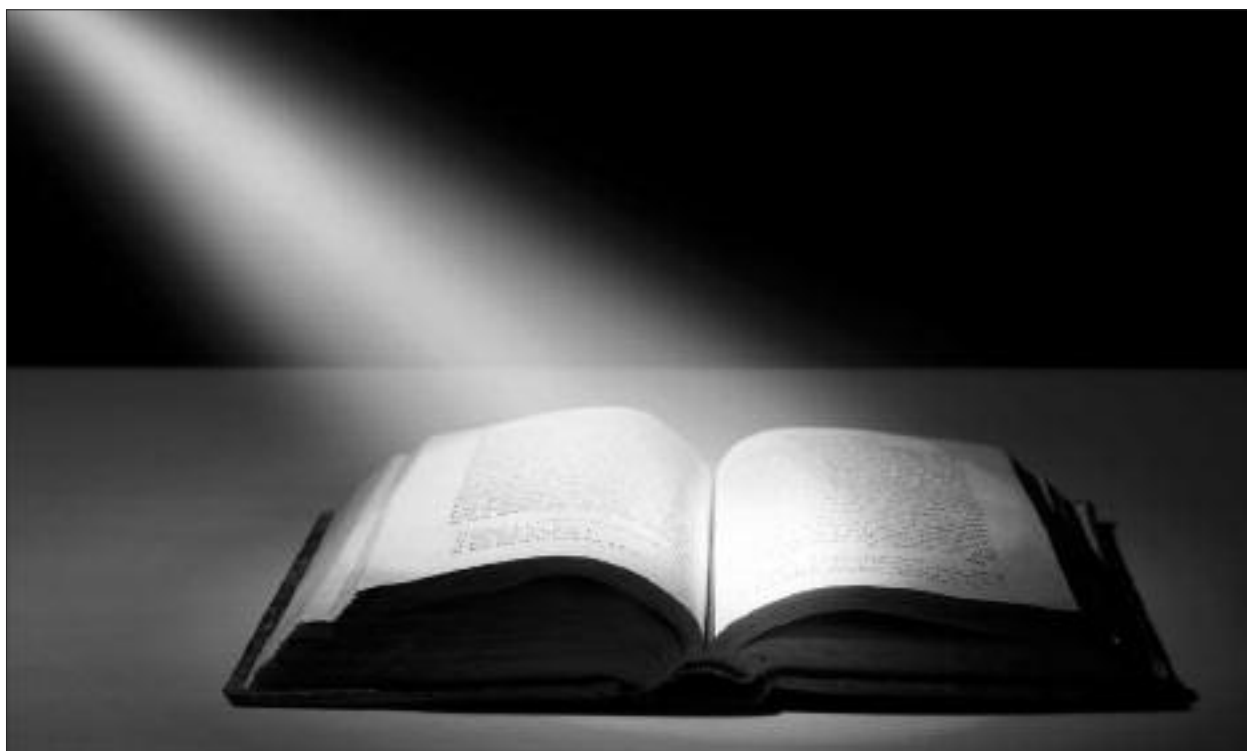
Przekonał się o tym już w Piwnicznej. Po górach miał się rozkosznie włóczyć z Basią, ale coś jej z pewnością wypadło, bo najzwyczajniej w świecie nie pojawiła się w umówionym miejscu. Nie przyjechała, chociaż dała słowo, że nie wystawi go do wiatru. Wyczekiwał jej niecierpliwie w Kosarzyskach przy ostatnim przystanku podmiejskiego autobusu, jadącego z Nowego Sącza przez Stary Sącz, Barcice i Rytro.

Przeglądał się sprzączkom przy plecaku. Z bocznej kieszonki wystawała podniszczona już mapa. Prawie z niej nie korzystał, bowiem wszystkie trasy turystyczne Beskidu Sądeckiego znał na pamięć. Czuł się pewnie i w Paśmie Jaworzyny, i w Paśmie Radziejowej. Wypadało ją jednak mieć przy sobie, bowiem stanowiła nieodłączną część górskiego ekwipunku. Potem zerknął na swoje buty. Dobrze, wierne tatarniki, które służyły mu już szósty sezon, stały przy niewielkim świerku, w sam raz nadającym się na świąteczną choinkę. Ale do gwiazdki, sypiącego śniegu za oknem, zapalonych świeczek i nastrojowych kolęd było jeszcze daleko. Westchnął głęboko, unosząc się na łokciu. Prawie parzące lipcowe słońce, przed którym chronił go duży słomiany kapelusz, nie pozwalało skupić się na zimowych atrakcjach. Zaśnieżone góry przyciągały swym niepowta-



rzalnym urokiem, ale mimo wszystko wołał gorące lato. Basię również poznał w lecie.

Właściwie trwała jeszcze wiosna, ale dojrzała zieleń przypominała już o nadchodzących wakacjach. Te zbliżały się szybko, nadbiegały z zadyszka, w tempie istic sprinterskim, a studentów dzieliła od nich tylko sesja egzaminacyjna. Dziewczyna miała na sobie kolorową letnią sukienkę z krótkimi rękawami, stała przed tablicą, na której wieszano ogłoszenia i przyciskała do piersi skrypt w granatowych okładkach. Taką ją zapamiętał. Potem zaczęli się spotykać – i wkrótce Paweł nie miał już wątpliwości, że się w niej na amen zakochał. Była powściągliwa i chłodna. A może starannie



skrywała uczucia, nie będąc pewną trwałości związku? Po ostatnim zdany dobrze egzaminie, miał wtedy dużo szczęścia, gdyż trafił na znakomity humor profesora, szybko wyjechał do rodzinnego miasta, bowiem został zaproszony na chrzciny. Wcześniej umówili się, że spędzą razem kilka dni w Paśmie Radziejowej.

Została mu jeszcze nie otwarta butelka pepsi-coli. Uprzątnął sobie, że leży na dnie kominowego plecaka, ale nie chciało mu się jej szukać. Do tej pory na pewno była ciepła i mdła. Smakowała prosto z lodówki. Pepsi-colę kupił w Krościenku nad Dunajcem. Nocował tam u znajomych gospodarzy. Podniósł się i zaczął grzebać w bagażu, wyrzucając na trawę leżące na wierzchu ciuchy. Natrafił na Biblię i chwilę ważył ją w dłoni. Starym zwyczajem targał ze sobą Nowy Testament w czarnych plastikowych okładkach. Jego stronicie były mocno pokreślone. Zaznaczał w nim bowiem miejsca uderzające i godne zapamiętania, a do wybranych fragmentów często powracał. Otworzył Świętą Księgę na chybił trafił i ją przewracał kartki. Zatrzymał się przy jednym z listów świętego Jana i przegonił dłonią natrętą pszczołę, która myliła metkę przy dzinsach z kwiatami na łące. Zapomniał o pepsi-coli.

Przeczytał szepem kilka wierszy:

– *Kto zaś swojego brata nienawidzi, żyje w ciemności, i nie wie, dokąd dąży, ponieważ ciemności dotknęły ślepotą jego oczy!..*

Oparł się na łokciu i zamknął księgę. Zasłonił twarz słomianym kapeluszem i oddał się nieuważnym medytacjom. Może za wiele spodziewał się po tej przeuroczej dziewczynie i dlatego doznał zawodu? Może nie była mu pisana? A Bóg wyznaczył mu inną drogę przez życie, zaś on nie potrafił się z tym pogodzić? Zerwanym patykiem bawił się z mrówką, która nie chciała zboczyć z raz wybranej trasy, uporczywie dążąc w swoją stronę.

– Kto nienawidzi!.. – powtórzył.

Chodziło mu po głowie metaforyczne znaczenie tego czasownika. Mistrz z Nazaretu głosił, że trzeba mieć w nienawiści najbliższych, to jest nie przenosić ich nad Boga i Jego wolę.

Mrówka wreszcie zawróciła, nie radząc sobie z wyrastającą przed nią co rusz przeszkodą, a on odrzucił zbędny już patyk. Wyciągnął się jak długi, zakładając ręce pod głowę. Podłożył sobie puchową kurtkę z mader, która znakomicie się sprawdzała w roli poduszki. Zabierał ją zawsze w góry, bez względu na porę roku.

– No i jak, młody człowieku? – spytał samego siebie. – Co dalej? Masz jakiś pomysł na życie?

Miał wrażenie, że utknął na rozdrożu. Studiował dwa lata, dobrze mu szło, a z egzaminami nie miał większych kłopotów. Jednak ciągle mu się wydawało, że płynie pod prąd, nie tam się zwracając dokąd powinien. Przed maturą w jego rodzinie przebąkiwano, że trafi do seminarium duchownego. Liczono się z tym, że zostanie księdzem i dziwiono się, że wybrał socjologię. Odczuwał więc coś na kształt niepokojącego wyobcowania. Rzeczą ludzką było błędzić i zastanawiał się, czy ze studiami przypadkiem się nie pomylił. Może sprzeniewierzył się powołaniu? Odsuwał od siebie te myśli z niejaką irytacją, rzucając się w wir życia na uczelni, lecz one co rusz wracały. Gdzieś tam na dnie duszy drzemało ukryte poczucie winy.

Podniósł się i ujął w dłonie Nowy Testament, znowu szukając natchnienia. Pomodlił się do Ducha Świętego i otworzył księgę z zamkniętymi oczyma. Tym razem natrafił na tekst z Ewangelii według świętego Jana. Był to fragment modlitwy arcykapłańskiej Chrystusa.

– *Nie tylko za nimi proszę – czytał półgłosem – ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał!..*

Stanął przed strzelającym w niebo świerkiem, wyciągnął przed siebie dłonie i odmówił Modlitwę Pańską. Potem poskładał rzeczy do plecaka i ruszył w dalszą drogę. Czuł, że nie znalazł poszukiwanej odpowiedzi.

Po trzech godzinach wytrwałego marszu dotarł do schroniska. Schodził w dół, ze wzruszeniem witając malowniczo położony budynek, w którym zawsze chętnie nocował. Uderzyła go nagle smukła dziewczęca postać, wystawiająca na murku przed wejściem twarz do słońca i zabiło mu mocniej serce. Szedł dalej, nie wierząc własnym oczom. Kiedy dziewczyna uniosła się i pomachała do niego ręką na powitanie, nie miał już ani cienia wątpliwości. To nie mógł być nikt inny, tylko Basia. Pojął, że dotrzymała słowa, tyle że przewrotnie udała się w góry inną trasą.

Wydawało się, że zerwie się natychmiast jak ptak, rozłoży szeroko skrzydła i do niej pofrunie, przytrzymał go jednak przy ziemi bezlitosny plecak, nie pozwalający zapomnieć o sile grawitacji. Ogarnęło go niewymowne szczęście i przyspieszył kroku. Zrozumiał, że znalazł upragnioną odpowiedź, a ten dzień nieoczekiwanie stał się dla niego prawdziwym darem losu.

*Opowiadania pochodzą z tomiku
„Randka i inne opowiadania”*



Młode jeszcze gałęzie tęzą się pokrótce
W zielonej, pniom dla znaku przydanej obwódce.
Kwiaty, kształt swój półsennie zgadując zawczasu,
Nikłym pąkiem wkraczają w nieznana głąb lasu.
W dali – postrach na wróble przesadnie rękaty
Z zeszłorocznym rozpędem chyli się we światy,
Jakby chciał paść w ramiona pobliskiej cierpiałki,
Co naprzeciw cień w skrócie rzuca w piasek miałki
W obłoku – obłok drugi napuszyście płonie.
Wróbel łeb zaprzepaszcza w swych skrzydeł osłonie,
Jakgdyby nasłuchiwał, co mu dzwoni w sercu?
Świat, zda się, dziś nam nastał, a na pola szczercu,
Gdzie zieleń swym wyrojem omgłiła rozłogi,
Bocian, pod prostym kątem załamując nogi
I dziób dzierżąc wzdłuż piersi dogodnie, jak cybuch,
Kroczy donikąd, w słońca zapatrzonego wybuch,
Co skrzy się, że go okiem zgarnąć niepodobna,
We wszystkich rosach naraz i w każdej zosobna.

*Bolesław Leśmian „Wiosna”
(ze zbioru „Łąka”, pisownia oryginału)*